

P. 9786 chr. Arch.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ      Nr 7/177 - 8/178      1962**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**PIĘTNASTOLECIE "KULTURY"**

J. MIEROSZEWSKI : **WYBÓR**

W. GOMBROWICZ : **KOSMOS**

B. MIECZKOWSKI :

**CZŁOWIEK WARUNKIEM POSTĘPU  
EKONOMICZNEGO**

## SPIS RZECZY

Aleksander Hertz:	<i>Konfrontacje</i> .....	3
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	29
Czesław Miłosz:	<i>O wstydzie i agresji</i> .....	37
Witold Gombrowicz:	<i>Kosmos</i> .....	43
Danuta Mostwin:	<i>Córki</i> .....	57
Maciej Morawski:	<i>Champs Elysées</i> .....	79
<b>WIERSZE</b>		
Czesław Miłosz:	<i>Elegia dla N. N.</i> .....	92
Thomas Merton:	<i>Elegia dla Ernesta Hemingwaya</i> ..	93
Kazimierz Wierzyński:	<i>Wiersze</i> .....	95
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Wybór</i> .....	103
Bogdan Mieczkowski:	<i>Człowiek warunkiem postępu ekono- micznego</i> .....	112
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i> .....	126
Stanisław Fischlowitz:	<i>Post-Scriptum</i> .....	133
<b>SĄSIEDZI</b>		
Borys Lewickij:	<i>Kierunek przemian w KPZS</i> ....	135
<b>KRAJ</b>		
—	<i>Oprotestujemy „Testament” Ki- sielewskiego</i> .....	147
—	<i>Humor Krajowy (II)</i> .....	161
<b>NOTATNIK SOCJALISTYCZNY</b>		
Jan Lewartowski:	<i>Nowa prawica i nowa lewica w so- cjalizmie brytyjskim</i> .....	163
Krem:	<i>Gospodarka uspołeczniona w Au- stria</i> .....	168
A. C.:	<i>Manuskrypty polskie Karola Marksa</i>	175
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Adam Nasielski:	<i>Z australijskiej perspektywy</i> .....	179
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Józef Czapski:	<i>O trzech młodzieńcach</i> .....	187
Ignacy Wieniewski:	<i>Łacina a sprawa języka międzynaro- dowego</i> .....	192
Benedykt Heydenkorn:	<i>Wielka strata</i> .....	203
Wanda Falk:	<i>Trocheje</i> .....	205
—	<i>15-lecie „Kultury”</i> .....	207
<b>KSIĄŻKI</b>		
Zbigniew Jordan:	<i>Nowe czasopisma socjologiczne</i> ..	219
Stanisław Bóbr-Tylingo:	<i>Wspomnienia głównego agenta</i> ....	223
Władysław Pobóg-Malinowski:	<i>Księga o polskim dorobku tysiąclecia</i>	230
Tymon Terlecki:	<i>Monumentum Kolbergianum</i> .....	233
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	237
K. Banach, J. Grobicki, J. Jurk- szus-Tomaszewska, St. Korboń- ski, W. Lednicki, J. Mackie- wicz, L. Paszkowski, Z. S. Siemaszko, J.O. Sokołowski, T. Tomaszewski i list bez podpisu:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	238
—	<i>Komunikat</i> .....	256

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ** Lipiec-Sierpień – Juillet-Août 1962

**INSTYTUT**



**LITERACKI**



## NOTY BIOGRAFICZNE

Jan LEWARTOWSKI, ur. 1917 w Warszawie, ukończył gimnazjum Reja, wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego i Sorbonę. Armia polska we Francji i w Szkocji, potem polskie Ministerstwo Opieki Społecznej w Londynie. Od 1950 r. urzędnik bankowy w Londynie. Współpracownik „Robotnika” w Londynie 1954-1958 (artykuły o polityce angielskiej i o angielskim ruchu robotniczym).

MORAWSKI Maciej, ur. w 1929 r. w Poznaniu. Matura w 1946 r. w Kościanie. Współpraca w tym okresie w organizacji młodzieżowej OM TUR i w PPS. Od końca 1946 r. we Francji. *Licence ès sciences sociales, Hautes Etudes Européennes, Etudes Commerciales Supérieures*. Zbliżony do kół chrześcijańsko-demokratycznych.

„PIĘTNASTOLECIE KULTURY” zamieszczone w tym nrze wydajemy również w osobnej odblitzce. Wszyscy czytelnicy, którzy chcieliby otrzymać tę odblitzkę proszeni są o przysłanie zaopatrzenia do administracji „Kultury”.

Bezpośrednio przed zakończeniem bieżącego numeru otrzymaliśmy od p. J.W. 5 egz. pism polskich, ukazujących się w Niemczech Zach. w latach 1945/46. Dziękujemy. Wszystkie otrzymywane dary do naszej biblioteki będziemy kwitować na łamach „Kultury”.

Przypominamy czytelnikom że ostateczny termin nadsyłania odpowiedzi na ankietę „Kultury” upływa 1 września br.

W ostatnio wydanym w „Bibliotece Kultury” tomiku wierszy Czesława Miłosza pt. „Król Popiel” jest szereg przykrych błędów i zniekształceń. Spowodowało to konieczność dołączenia do nakładu „errata”. Ci czytelnicy, którzy już zdążyli tę książkę nabyć mogą otrzymać „errata” bezpłatnie w administracji pisma.

## WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Bezimiennie ..... 4,90 NF  
Lleon Schubert, Sao Paulo (Brazylia) ..... 4,90 „

DZIEKUJEMY

Imprimé en France



P. 9486 chr. Arch.

## Konfrontacje

(Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE”)

### I

Od października roku 1956 kraj i emigracja znacznie zbliżyły się do siebie. Można było mówić o zakończeniu się okresu przedpaździernikowej izolacji. Na większą skalę rozpoczęła się wymiana ludzi i idei. Niewątpliwie w czasach ostatnich sytuacja zaczęła zmieniać się na gorsze. Trudno jednak przypuszczać, by mógł nastąpić nawrót do dawnej zupełnej izolacji. Kontakty mogą być utrudniane, mogą nieco osłabnąć, ale według wszelkich danych zostaną utrzymane.

Wyraźnie odczuwa się to na terenie amerykańskim. Przyjeżdżają tu z Polski pracownicy naukowcy, korzystający z różnych stypendiów, przyjeżdżają ludzie interesów, wcale pokaźnie wygląda ruch turystyczny. Po wielu latach rozłąki odwiedzają nas krewni i przyjaciele z Polski. Na niemniejszą skalę odbywa się ruch w kierunku odwrotnym. W pewnych okresach na poważne tysiące można było liczyć zastępy turystów z Ameryki, spędzających jakiś czas w Polsce.

Znacznie poprawiła się sytuacja w zakresie wymiany ideowej. Nie mamy tu trudności, gdy chodzi o otrzymywanie z Polski materiału drukowanego — książek i czasopism. Polska pod tym względem jest w położeniu znacznie gorszym. Wydawnictwa emigracyjne nie tyle tam dochodzą, ile przeciekają, i niektóre z nich — by wymienić tylko „Kulturę” — natrafiają na oficjalne szykany. Coś jednak z nich i tam dociera i — przynajmniej sądząc z rozmów — polska elita intelektualna jest dziś o produkcji myślowej emigracji poinformowana znacznie

lepiej niż przed rokiem 1956. Na ogół swobodnie odbywa się wymiana listowna. Prawie każdy z nas tu ma licznych korespondentów w Polsce i listy nasze — choćby o charakterze jak najbardziej prywatnym — są jednak drogą wzajemnego informowania się i jakimś elementem wymiany intelektualnej. Mamy też sposobność zapoznawania się z polską twórczością artystyczną. Odwiedzały nas polskie zespoły taneczne, mieliśmy możliwość dowiedzenia się o działalności kilku malarzy polskich, mieliśmy próbki polskiej sztuki scenicznej.

W okresach większej liberalizacji stosunków krajowych prasa emigracyjna mogła się zdobyć na ogłoszenie niejednego cennego omówienia stosunków polskich, opartego na bezpośredniej obserwacji przez ludzi, którzy kraj odwiedzili. Znalazło to dla siebie i wyraz literacki w formie opowiadań Marty Erdman i innych.

Z drugiej strony w prasie krajowej zaczęły się ukazywać reportaże i korespondencje o stosunkach amerykańskich i nawet o emigracji. O reportażach tych i korespondencjach — szczególnie ostatniej doby — można się wyrażać bardzo krytycznie, ale jakieś ziarno informacji i w nich dałoby się znaleźć. Oczywiście czymś osobnym są piękne prace Osmańczyka — wynik długich i sumiennych bezpośrednich badań rzeczywistości amerykańskiej.

Słowem, obie strony bardzo znacznie zbliżyły się do siebie. Przestaliśmy sobie wyobrażać siebie nawzajem, zaczęliśmy siebie oglądać i sobie się przyglądać. To wzajemne oglądanie i przyglądanie się przeszło przez dwie fazy. W pierwszej z nich nasze kontakty były pod znakiem czysto emocjonalnym: nastąpiło spotkanie po wieloletniej rozłące. Oznaczało to głębokie wzruszenie na widok ludzi i rzeczy dawno niewidzianych, utęsknionych, nieraz idealizowanych. W miarę jednak jak kontakty stawały się coraz częstsze, przychodziła faza druga, bardziej refleksyjna, faza wzajemnego przyglądania się i wzajemnego oceniania się. Jakie zmiany w ciągu tych wielu lat nastąpiły po obu stronach, jak daleko one sięgają, czy nadal możliwe jest wzajemne rozumienie się? Była to faza o wiele bardziej krytyczna i — gdy chodzi o stosunki kraj-emigracja — o wiele ważniejsza. Faza ta zdążyła już znaleźć dla siebie odbicie literackie, by wymienić niezmiernie ważną powieść Danuty Mostwin „Ameryko, Ameryko!”.

Z zaczęciem się tej fazy, można już mówić o wzajemnych konfrontacjach. Co kraj zobaczył w emigracji i co emigracja zobaczyła w kraju. Albo — by utrzymać się w bardziej wąskich granicach — co ludzie emigracji zobaczyli w ludziach kraju i ludzie kraju — w ludziach emigracji. Wnioski w tej sprawie możemy oprzeć na wcale obfitym materiale. Nazbierał się on po obu stronach. Piszący te słowa starał się zebrać możliwie dużo z tego materiału, korzystając przy tym zarówno z doświadczeń własnych jak i z łaskawie mu udzielonych doświad-

czeń innych. Na tej to podstawie spróbujemy podsumować wyniki tych konfrontacji i może na tej drodze dojdziemy do wniosków o bardzo istotnym znaczeniu dla zrozumienia wzajemnych stosunków ludzi kraju i ludzi emigracji po tylu latach rozłąki.

## II

Podkreślmy to mocno: te spotkania i konfrontacje następują po długiej, wieloletniej przerwie. Przeciętnie rzecz biorąc, jest to przerwa kilkunastu lat. W wielu wypadkach jest ona jeszcze dłuższa. Lata te były w jakiś sposób wypełnione. Wypełniły je nie tylko zmiany, jakie zawsze i wszędzie powoduje szybko biegnący czas, ale i ogrom nowych i od dawnych zupełnie różnych doświadczeń życiowych. Każde z tych doświadczeń głęboko dotknęło jednostki ludzkie zarówno w kraju jak i na emigracji. Na emigracji następstwa tych nowych doświadczeń były bodaj że znacznie dalej sięgające niż w kraju.

Oczywiście człowiek krajowy w wieku średnim i starszym ma za sobą koszmarną wojnę i okupację. To samo musiało zostawić w psychice ludzkiej ślady bardzo poważne. Po wojnie zaczęła się nowa rzeczywistość krajowa, przeorywanie terenu polskiego, daleko idące przetasowywanie społeczne, deklasacje i wnoszenia się szerszych środowisk ludzkich. Polska powojenna stawała się coraz różniejszą od Polski przedwrzesniowej, wnosząc do życia indywidualnego każdego Polaka nowe doświadczenia. Jednakże wszystkie te przemiany zachodziły na terenie polskim, w obrębie tego samego kręgu kulturowego, zachodziły kolektywnie, wnosząc mniej więcej te same elementy do przeżyć i postaw jednostek.

To zasadniczo różniło nowe doświadczenia ludzi kraju od doświadczeń ludzi emigracji. Ci ostatni musieli w jakiejś mierze znaleźć dla siebie nowe miejsca, musieli przystosować się do nowych kręgów kulturowych, nieraz bardzo różnych od polskiego. Zarówno jak ludzie w kraju, tak i oni żyli w epoce bardzo płynnych stosunków międzyludzkich, niestannie zmieniających się wartości, wśród konieczności ciągłego przystosowywania się do nowych wydarzeń i nowych ocen. A są to wydarzenia i oceny świata, do którego emigrantów przetrzuciły losy, świata, w którym każdy z nich musi dopiero znaleźć dla siebie jakieś miejsce.

Powieść Danuty Mostwin „Ameryko, Ameryko!” daje nam świetnie uchwycone przedstawienie tych procesów adaptacyjnych, jakie przypadły w udziale polskiej emigracji w Ameryce. Powieść ta zresztą daje nam wiele innych rzeczy, do których nieraz wypadnie nam powracać. Mamy tu dzieje rodziny emigracyjnej, reprezentowanej przez trzy pokolenia. Mostwin słusznie podnosi rolę elementu wieku w tych wszystkich procesach. Proces przystosowywania się najstarszej generacji jest niezmier-

nie trudny i przystosowanie się jest stosunkowo nieznaczne, fragmentaryczne, pełne opozycji do nowej rzeczywistości. Dla tej generacji nowa rzeczywistość oznacza pełną deklasację, zatracenie dawnego miejsca, obcość, wśród której czuje się zagubionym, ponizonym, wzgardzonym. Stąd jedyny ratunek: nieprzyjmowanie nowej rzeczywistości, tworzenie sobie fikcji rzeczywistości dawnej, próba życia tak, jak gdyby dokoła nas nic się nie zmieniło. W tym wyraża się w ogromnym stopniu sens owej działalności społecznej, jaką żyje dawna generacja emigrantów. Wszystkie te stowarzyszenia i organizacje, wszelkie zarządy i prezesury, namiętne pielęgnowanie dawnych — dziś już tylko „honorowych” — godności, to ratunek przed rzeczywistością, której przyjąć się nie chce i nie może.

Ale ta nowa rzeczywistość ma swoje twarde wymagania. Wdziera się w każdego z nas, narzuca mu się, wnosi jakieś nowe doświadczenia. Chcąc nie chcąc trzeba jej ulegać. Trzeba prowadzić „luncheonette”, choć jest się pułkownikiem, trzeba imać się wszelkiego rodzaju zajęć, choć są one sprzeczne z tym, czym było się dawniej i o czym zapomnieć się nie chce i nie może. Stąd to rozdwojenie osobowości, jakie tak często cechuje starszą generację emigrantów. Z jednej strony przyjmuje się konieczności nowej rzeczywistości — przede wszystkim natury ekonomicznej, z drugiej strony żyje się własnym życiem, życiem przeszłości i dążeniem do jej przedłużenia. Obiektywnie rzecz biorąc, jest to życie na niby, życie nierealne, jest to raczej zabawa w rzeczy, które — znów obiektywnie biorąc — przestały być poważnymi. Ale inaczej żyć nie można. Wyrzeczenie się tych fikcji byłoby osobistą katastrofą. Nie można żyć na pustyni. A jeżeli na niej się żyje, trzeba szukać ukojenia w fata morganie.

Ale nie można też żyć w zupełnej izolacji od szerszego środowiska. Choćby się najmocniej je odrzucało, choćby się starało jak najdalej od niego uciec, coś z niego musi się udzielić, coś z jego wartości i urzędzeń musi w nasze życie osobiste przeniknąć. Przy całym negatywnym stosunku do otaczającej rzeczywistości nawet najstarsze pokolenie emigracyjne wpływom jej powoli ulega. Uczy się cenić styl życia nowego świata, jego wygody i technikę. Przyjmie też niejedną z tych wartości społecznych, jakie stanowią treść amerykańskiej cywilizacji plebejskiej.

W bez porównania większym stopniu odniesie się to do pokolenia średniego. Są to przeważnie ludzie, którzy Polskę opuścili na początku swej dojrzałości i z których znaczna część swe studia wyższe dopiero rozpoczynała w starym kraju. Jest to generacja żołnierzy Wielkiej Wojny, generacja uczestników walk w Azji, w Afryce, pod Monte Cassino. Z Polski wynieśli oni wspomnienia cywilizacji swych ojców, w mniejszym jednak stopniu wynieśli nawyki społeczne, jakie z cywilizacją tą były związane. Zachowało się w nich więcej ze wspomnień niż z

tych postaw społecznych, jakie cechują generację starszą. Duża też część pokolenia młodszego studia swe odbyła czy zakończyła w krajach polskiej Diaspory. W jakimś też stopniu ludzie ci znaleźli dla siebie miejsce w obrębie nowej cywilizacji, przejęli jej zasadnicze wartości, uznali je za naturalne i własne. W dużej również ilości wypadków rozwinęli w sobie nie tylko afirmację nowej rzeczywistości ale i poczucie lojalności wobec niej.

Nie oznacza to, by ta średnia generacja wyrzekła się lojalności wobec dawnej ojczyzny i jej spraw. Ludzie ci nosili mundury wojska polskiego, gotowi byli złożyć ofiarę życia i zdrowia dla kraju rodzinnego. Tych rzeczy się nie zapomina i ich się nie odrzuca. Marta Erdman mówi o „obojnactwie” ludzi tej generacji. Jest to trafne określenie. Wielu z tych ludzi stoi jedną nogą na gruncie amerykańskim, starając się jednocześnie oprzeć drugą nogę na gruncie polskim. I nieraz zachodzą tu poważne konflikty wewnętrzne, głębokie walki sumienia, rozdzwinki między dwoma rodzajami wartości — tych nowych, amerykańskich, i tych starych, polskich.

W olbrzymiej jednak ilości wypadków generacja średnia przyjęła nową rzeczywistość, z nią się utożsamiła, w niej widzi swoją przeszłość i przyszłość swych dzieci. W tej też generacji małżeństwa mieszane są zjawiskiem częstym. W miarę zaś jak czas przechodzi, średnie pokolenie emigracji polskiej w swym stylu życia, w swych zainteresowaniach, ideologiach, ocenach coraz bardziej oddala się od dawnej rzeczywistości polskiej i coraz bardziej zbliża się do amerykańskiej. Proces amerykanizacji daje się tu wyraźnie stwierdzić.

Wreszcie jest generacja najmłodsza. Starsza jej część opuściła Polskę w dzieciństwie, młodsza urodziła się na emigracji. Dla młodzieży przeszłość polska jest już tylko tradycją, przekazywaną przez rodziców i szczególnie dziadków. Jest to jednak opowieść, ale nie rzeczywistość. Ta zaś ostatnia jest tu, w ojczyźnie amerykańskiej. Marta Erdman opisuje w jednym ze swych opowiadań reakcję małych dziewczynek na powrót do Ameryki po wizycie w Polsce. Ameryka to jest *home* — miejsce rodzinne, do którego się przynależy, które ma całe ciepło czegoś najbliższego, swojego. I małe dziewczynki w opowiadaniu Marty Erdman z zachwytem patrzyły na arcybrzydką dzielnicę portową New Yorku. To było piękne, to było *home*. Temu najmłodszemu pokoleniu konflikty wewnętrzne, walki między dwiema lojalnościami są już obce. Bardziej częste są tu raczej konflikty domowe, przeciwstawianie się próbom rodziców utrzymania swych dzieci przy jakichś tradycjach polskości. Młode pokolenie jest amerykańskie.

Wszystko przemawia za tym, że i w Polsce da się wyraźnie stwierdzić różnicowanie pokoleniowe, gdy chodzi o stosunek ludzi do nowej rzeczywistości powojennej. Stara generacja zachowała najwięcej z tych wartości, jakie cechowały cywilizację

Polski przedwrześniowej. W generacji średniej zachodzi obojnactwo, w najmłodszej występuje utożsamianie się z nową rzeczywistością. Nie oznacza to nawet wśród najmłodszych pełnej aprobaty wszelkich stron tej rzeczywistości. Tak absolutnie nie jest. Bunt młodych jest zjawiskiem w Polsce zachodzącym bezspornie. Tak samo zresztą jak występuje on i wśród młodzieży emigracyjnej. Ale w obu wypadkach jest to bunt na terenie przyjmowanej rzeczywistości, cywilizacji, którą przyjmuje się za własną i naturalną. Młodzi mogą się buntować, mogą odrzucać te czy inne wartości świata, w którym żyją, ale świat ten przyjmują i nie tęsknią za przeszłością, która dla nich jest nierealna, fantasmagoryjna.

Trzeba jednak stale pamiętać o tym, że należy być bardzo ostrożnym w przeprowadzaniu porównań między emigracją a krajem. Na emigracji zagadnieniem jest stosunek do nowej cywilizacji, do nowych wartości kulturalnych, do rzeczywistości, tak zupełnie różnej od tej, jaką się pozostawiło za sobą. Emigrant by znaleźć dla siebie miejsce w nowej rzeczywistości, musi zrobić skok ogromny, zwłaszcza gdy jest człowiekiem starszym. W kraju przy wszystkich zmianach, jakie tam zachodzą, jest się u siebie, na własnych śmieciach, w obrębie szerszej społeczności, której problemy są identyczne z naszymi. Nowy ustrój w Polsce może być narzucony z góry, może być odczuwany jako coś obcego i wrogiego. Niemniej jednak jest to ustrój w Polsce i każdy Polak, bez względu na to jak się do niego ustosunkowuje, siłą rzeczy musi brać w nim jakiś udział. Negować go nie może, co nie oznacza, by go przyjmował bez zastrzeżeń. Ale przyjąć go musi. Polska jest nadal Polską. Jest tu wciąż ten sam kraj, ten sam język, te same obyczaje i wartości. Niewątpliwie obyczaje te i wartości ulegają przemianom. Ale tempo tych przemian, sam ich proces, to nie są rzeczy tak radykalnie różne jak mus przystosowania się do świata amerykańskiego. Naturalnie i tu mogą zachodzić ostre konflikty, głębokie rozterki wewnętrzne, ale dla swego rozwiązania nie wymagają one tak poważnych i zasadniczych decyzji, jak to ma miejsce na emigracji.

Są to bardzo istotne uwagi wstępne, które musimy porobić, by przeanalizować sprawę tych kontaktów, jakie po Październiku nawiązały się między krajem i emigracją, oraz sprawę wzajemnych konfrontacji, jakie z nich wynikają.

### III

Z tych kontaktów najważniejsze są bezpośrednio. Są one dziś zjawiskiem powszednim. Ludzie stamtąd przyjeżdżają tu, ludzie stąd jadą tam. Niekiedy są to wizyty systematycznie

powtarzane. Na emigracji nie brak jest ludzi, którzy wielokrotnie odwiedzili Polskę, i — choć są to zjawiska znacznie rzadsze — są ludzie z Polski, którzy niejednokrotnie odwiedzali Amerykę. Oczywiście nie mówi się tu o osobach urzędowych — dyplomatach, dziennikarzach, ludziach interesów — którzy z racji swych stanowisk są u nas gośćmi częstymi. Zresztą kontakty nasze z nimi są rzadkie i przypadkowe.

W olbrzymiej większości wypadków dla ludzi z emigracji odwiedzenie Polski jest potężnym przeżyciem wewnętrznym. Po wielu latach rozłąki wraca się do kraju, w którym się urodziło, spędziło jakąś część życia, któremu się w jakiś sposób służyło. A ponadto spotyka się ludzi bliskich — krewnych, dawnych przyjaciół. Przeżycie jest bardzo silne i to na ogół zgodnie jest podkreślane we wszelkich relacjach.

Oczywiście jadąc do Polski, ludzie emigracji mają jakiś obraz tego, co spodziewają się zastać. Nie jest to obraz jednorodny i wolny od sprzeczności wewnętrznych. Składają się nań i wspomnienia przeszłości i te nowe elementy, jakie narosły na emigracji. Wśród tych ostatnich występują różnorodne relacje — pochodzące z prasy, z książek, z wszelkich innych źródeł, z poprzednich kontaktów z ludźmi z kraju, spotkaniami poza Polską. Jest to obraz potężnie emocjonalnie zabarwiony, pełen oczekiwań, niezharmonizowany, nieustalony. Pełno w nim przewidywań, obaw, nadziei. Pobyt w Polsce — z natury rzeczy bardzo krótki — wnosi tu zasadnicze korektywy, które jednak niekoniciecznie prowadzą do usunięcia wszelkich sprzeczności i wyklarowania się całości.

Relacje na ogół są zgodne co do jednego: w miarę jak czas przechodzi, jak przemija napięcie pierwszych dni, jak słabnie początkowy entuzjazm, w coraz większym stopniu zaznaczają się trudności porozumiewania się z ludźmi z kraju. Staje się sprawą wyraźną, że lata rozłąki nie były tylko kwestią czasu, ale i kwestią zupełnie odmiennych doświadczeń, które w ciągu tych lat stały się udziałem z jednej strony ludzi emigracji, a z drugiej — ludzi kraju. I to prowadzi do bolesnego rozczarowania: trudno jest znaleźć wspólny język. I to w bardzo wielu istotnych sprawach. I dopiero w Polsce ludzie emigracji zaczynają sobie uświadamiać, jak daleko odeszli od rzeczywistości polskiej, jak dużo w ciągu tych lat przejęli od rzeczywistości świata, w którym się znaleźli. A równocześnie zaczynają sobie uświadamiać, że i ludzie w kraju przeżyli rzeczy, które ich znacznie oddaliły od Polski roku 1939.

To rozejście się z krajem jest stwierdzane nawet przez ludzi pokolenia starszego, zdawałoby się najbardziej odpornego na wpływy nowego środowiska. I jest przez nich odczuwane szczególnie boleśnie. „Straszna to rzecz czuć się turystą we własnym kraju” — zdanie to nieraz słyszałem od ludzi tej kategorii. A niektórzy z nich dodawali: „Pod koniec czekało się niecierpliwie na chwilę odjazdu i nie można się było jej doczekać”. A

były też i takie oświadczenia: „Dopiero odwiedziny Polski przekonały mnie, że moje miejsce jest w Ameryce”.

Chodziło tu nie tylko o niezdolność przystosowania się do zewnętrznych warunków życia polskiego. Choć i to miało duże znaczenie. Człowiekowi, który wiele lat spędził w świecie amerykańskiej wygody i dobrobytu, polskie ubóstwo i prymitywizm wydawały się czymś przynębiającym. Jeszcze bardziej przynębiającymi wydawały się warunki pracy w Polsce, wydawały się te niezliczone utrudnienia w codziennych stosunkach z organami państwa, do których Polak przywykł i które, nawet gdy najmocniej na nie pomstuje, uważa za naturalne. Perypetie z różnymi urzędami polskimi są żywo opowiadane przez turystów z Ameryki. Przyzwyczajonym do stosunków amerykańskich czy kanadyjskich, polski system władzy wydaje się czymś bezsensownym i wysoce dokuczliwym.

Dla generacji młodszych pobyt w Polsce ma znacznie bardziej charakter turystyczny. Byli oni już zbyt wrońnięci w rzeczywistość świata Diaspory, by dać się zbyt daleko ponieść emocjom. Mniej oczekiwali i mniej byli rozczarowani. Dla generacji najmłodszej wizyta w Polsce to jedynie wyprawa turystyczna do obcego kraju.

W każdym razie wszyscy turyści — zwłaszcza ci z generacji najstarszej — zwracają uwagę na jedno: na brak zainteresowania ludzi kraju dla tego wszystkiego, co z emigrantami dzieje się w Diasporze. Trzeba to należycie zrozumieć. Ludzi kraju interesują sprawy czysto osobiste czy rodzinne ich amerykańskich bliskich oraz ich sytuacja materialna. Ale mało interesuje ich to szersze otoczenie ich amerykańskich bliskich, z którym ci ostatni są związani i które ma taki wpływ na ich sprawy. Otrzymuje się wrażenie, że dla ludzi kraju — dla starszej generacji w pierwszym rzędzie — ludzie emigracji istnieją jedynie jako przedłużenie dawnych wspomnień, w zupełnym oderwaniu od tej nowej rzeczywistości, w jakiej się obecnie znajdują. Jedna z moich znajomych, od lat przebywająca w wielkim amerykańskim ośrodku naukowym, była zdumiona, że w Polsce nikt jej się nie zapytał, jak taki ośrodek wygląda, co ona w nim robi, jak żyje, czy ma nowych przyjaciół, co ją z nimi wiąże. Wszelkie rozmowy i pytania sprowadzały się do spraw czysto rodzinnych i wysokości zarobku. Tu nawiasowo warto jest zauważyć, że podobnie i goście z Polski — znów głównie ze starszego pokolenia — wykazują bardzo mało zainteresowania, odwiedzając swych krewnych i przyjaciół w Ameryce, dla ich życia w nowej rzeczywistości, dla tego wszystkiego, co w postaci nowych doświadczeń dała im emigracja. I tu spotkanie się znów ma charakter kontynuacji tego co było przed wojną, w zupełnym oderwaniu od tych zmian, jakie lata te musiały przynieść.

To, że ludzie kraju widzą ludzi emigracji w oderwaniu od szerszego otoczenia i rzeczywistości tych ostatnich, jest często podnoszone w różnych relacjach z pobytu w Polsce i z kontaktów

z gośćmi w Ameryce. Ma się przy tym wrażenie, że uwaga ludzi kraju jest tak skierowana na ich własne, polskie sprawy, iż nie ma w niej miejsca na świat pozapolski. Interesuje w nim to, co łatwo da się przetłumaczyć na stosunki krajowe — sprawy materialne w pierwszym rzędzie. Wyraźnym jednak wyjątkiem pod tym względem jest młoda generacja krajowa, reprezentowana przez polskich naukowców, odwiedzających Amerykę jako stypendyści różnych fundacji. Z nimi porozumienie jest bez porównania łatwiejsze. Ale jest to grupa specjalna, złożona z ludzi żądnych wiedzy, o dużej chłonności i dyscyplinie intelektualnej.

Niewątpliwie odwiedziny kraju wnoszą poważne korekty. Wy do tego obrazu stosunków polskich, z jakim turyści z emigracji jechali do dawnej ojczyzny. Wiele rzeczy przedstawia się lepiej niż się przypuszczało. Inne rzeczy wyglądają jeżeli nie gorzej to przynajmniej inaczej niż się przypuszczało. Jedno jednak zdaje się przeważać we wszystkich odczuciach i oświadczeniach: do Polski jedzie się w charakterze turysty, ale nasz dom jest gdzie indziej — w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, czy w innym kraju Diaspory. Jest to nieraz stwierdzane z głębokim smutkiem, jest nawet stwierdzane niepewnie i niechętnie. Na ogół jednak jest powszechne. I nie jest to tylko kwestia takich czy innych przekonań politycznych. Jest to następstwo wieloletniego pobytu poza Polską i nabycia nowych doświadczeń, których wpływ na nasze postawy i systemy wartości był większy, niż sami to przewidywaliśmy i niż sobie zdawaliśmy sprawę. I stąd tak częste zdanie: „Wrócić bym już nie mógł. Gdybym wrócił, nie mógłbym tam znaleźć miejsca dla siebie”. I jeszcze jedno: „Do nowej emigracji nie jestem już zdolny”. Powrót do Polski nie byłby powrotem, ale nową emigracją.

#### IV

Jeszcze mniej konkretnie przedstawia się obraz Ameryki, z jakim za ocean jadą turyści z Polski. Ogromna większość przyjeźdźnych — włączając w to bardzo wielu pracowników naukowych, dziennikarzy, ludzi interesów, oraz tych, którzy jadą dla odwiedzenia krewnych — wiezie ze sobą wybitnie szablonowy, mętny i pełen sprzeczności obraz legendarnej Ameryki. Bardzo świadomie używam tu określenia „legendarna”. Albowiem wciąż jeszcze w obrazie dzisiejszej Ameryki, jaki służy za busołą gościom z Polski, jest coś z dawnej, tradycyjnej legendy amerykańskiej Ziemi Obiecanej. Legenda ta powstała w europejskich masach ludowych w okresie wielkich ruchów migracyjnych ze starego świata do nowego, a w Polsce utrwaliła się w końcu wieku XIX i na początku XX. Jest to legenda o cudownym kraju, w którym — jeżeli nawet ulice nie są bruko-

wane złotem — to łatwo jest o dolara i szybko osiąga się bezprzykładowy dobrobyt. Legenda ta była siłą motoryczną, która za ocean pchała milionowe rzesze ludzkie. Po roku 1929 urok tej legendy znacznie osłabł, ale coś się z niej zostało. Po wojnie odżyła ona znów, nie osiągając zresztą dawnego napięcia. W Polsce — jak i w wielu innych krajach — paczki amerykańskie i listy od krewnych były ważnym czynnikiem odrodzenia się legendy.

I jakieś jej elementy towarzyszą turystom z kraju w ich wyprawie za ocean. Są one umacniane przez fakt tego — w porównaniu z Polską — niezwykłego dobrobytu, z jakim spotykają się w Ameryce. Jest to stale podkreślane przez wszystkich naszych gości — zamożność Ameryki, stopa życiowa ich amerykańskich bliskich uderza ich bardzo mocno. Ale wtedy występują i inne elementy obrazu Ameryki, jaki wywieźli z Polski.

Musimy stwierdzić stanowczo: informacje o dzisiejszej Ameryce czy Kanadzie, jakimi rozporządzą Polacy w kraju, są bardzo fragmentaryczne, nie ściśle i mętne. Są to odgłosy amerykańskiej literatury powieściowej, udostępnionej polskim czytelnikom, relacje prasowe, wiadomości z filmów amerykańskich, zdawkowe nowiny z listów od krewnych amerykańskich itp. W sumie wszystko to daje całość pełną sprzeczności, szablonową, bardzo daleką od rzeczywistości. Dodajmy, że w dużej ilości wypadków człowiek w Polsce nie odznacza się nadmiarem zainteresowania dla spraw dalekiego i obcego mu świata. I — jak wszędzie — sprawy te usiłuje sprowadzić do własnej rzeczywistości i własnych doświadczeń. Jeżeli interesuje się sprawami i losami swych amerykańskich krewnych i przyjaciół, to — jak to już zaznaczyliśmy — w oderwaniu od ich szerszego otoczenia, widzi swych bliskich za oceanem takimi, jakimi ich znał przed wojną. To, że są w Ameryce, jest dla niego tylko kategorią geograficzną, kwestią miejsca, nie zaś tych wszystkich przemian, jakie są związane z faktem życia w obrębie cywilizacji amerykańskiej. Dla jakiegoś umiejscowienia swych bliskich wystarcza mu ten obraz Ameryki, jakim rozporządza. W jakim zaś stopniu obraz ten jest zgodny z rzeczywistością i czy potrafi on wytłumaczyć zachowanie się amerykańskich bliskich, interesuje człowieka kraju znacznie mniej.

Obraz ten w znacznym stopniu opiera się na relacjach prasowych. Czytelnik polski nie ma do nich zaufania, albowiem w ogóle nie ma zaufania do kontrolowanej prasy komunistycznej. Ze jednak na tę prasę jest zdany, przeto dużo z jej informacji do niego przenika i jest przyswajane. Szczególnie jeżeli utwierdza w nim te przekonania, jakie zdobył sobie na innych drogach.

W dobie „zimnej wojny” prasa polska, pisząc o Ameryce, posługuje się stereotypami, powszechnie przyjętymi przez cały świat komunistyczny. Stereotypy te mają dla siebie oparcie w

wielu ocenach, tradycyjnie popularnych w pewnych środowiskach polskich i w ogóle europejskich. Przed chwilą była mowa o ludowej legendzie Ameryki jako Ziemi Obiecanej. Ale obok tej legendy istniała i druga, rozpowszechniona w środowiskach nieludowych, inteligentkich. Była to legenda kraju wybitnie zmaterializowanego, prostackiego, o braku zainteresowań dla spraw duchowych, kraju wiecznej pogoni za dolarem. Dla ludzi subtelnych, o wyższych potrzebach kulturalnych, był to kraj wysoce niepociągający. O ile legenda ludowa kazała patrzeć na Amerykę bardzo pozytywnie, o tyle legenda inteligentcka odnosiła się do Ameryki negatywnie. Naturalnie i tu czas przynosił korektywy, ale zasadnicze treści przechowywały się bez większych zmian. Rzecz jest w tym, że obie te legendy mogły doskonale współistnieć w tych samych ludziach, nie widzących i nie odczuwających ich sprzeczności. Dzisiejszy czytelnik prasy polskiej na każdym kroku znajduje utwierdzenie właśnie tej, dla Ameryki nieżyczliwej, legendy, oraz zaprzeczenie pozytywnej legendy ludowej.

Niewątpliwie może on znaleźć i inne, bardziej rzeczowe opisy i analizy świata zamorskiego, żeby tylko wymienić relacje Osmańczyka. Ale są one przeznaczone dla elity i znacznie słabiej trafiają do szerszego ogółu niż stereotypowe reportaże „Przekroju” czy innych wydawnictw tego typu. Tu najczęściej autorami są ludzie, którzy po kilkotygodniowym pobycie w Ameryce (wnosi to moment autentyzmu) w jednym czy w paru reportażach dają wszystko, co czytelnik ma strawić.

Reportaże te operują niewieloma, ale przekonywująco brzmiącymi, sztampami. Ameryka nie jest Ziemią Obiecaną. Panuje tu straszne bezrobocie i nie ma właściwych ubezpieczeń społecznych (jedna z moich korespondentek, dziennikarka z zawodu, nie chciała wierzyć, że w Ameryce są pensje starcze!). W Ameryce rządzą monopole, które szykują wojnę i straszliwie wyzyskują robotników. Murzyni są prześladowani i nikt z białych (poza komunistami) za nimi się nie ujmuje. A do tego — jest to skierowane w stronę inteligencji — Ameryka jest krajem „wiecznej pogoni za dolarem”, jest krajem, w którym człowiek wykształcony jest pariasem; jest brzydka, pod każdym względem niepociągająca, nie można w niej pięknie spędzić wakacji. Ludzie tu rzucają pieniędzmi, ale jednocześnie ubierają się tandetnie, noszą — by zacytować jeden z krajowych reportaży — „konfekcyjne” ubrania. Jedzenie nie ma smaku, owoce nie są owocami (znów inny reportaż) itp. W całości obraz wysoce odpychający.

Bardzo interesująca jest owa, powszechnie przez obserwatorów z Polski podnoszona, amerykańska „pogoń za dolarem”. Co właściwie wyrażenie to znaczy i czy rzeczywistość w Ameryce „pogoń za dolarem” jest większa niż w Polsce „pogoń za złotym”? To ostatnie zdaje się być wątpliwe. Przysłuchując się potocznej mowie Polki dzisiejszej, ma się wrażenie, że





słowo „forsa” należy w niej do najczęściej używanych. W każdym zaś razie występuje ono tam częściej niż tu jego angielsko-amerykańskie odpowiedniki. Ale nie chodzi nam o kwestie językowe. Istotną rzeczą jest podłoże socjo-psychiczne polskiego przekonania o amerykańskiej „pogoni za dolarem”.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w kraju biednym — a jest nim Polska — wysiłek dla zapewnienia sobie minimum egzystencji jest znacznie większy niż w kraju tak bogatym jak Ameryka. A i w każdym z tych krajów „minimum egzystencji” wygląda zupełnie inaczej. Każdy z nas, stając wobec rzeczy nowych, próbuje je zrozumieć sprowadzając do rzeczy starych i dobrze sobie znanych. Stykając się z nową rzeczywistością, usiłujemy ją zinterpretować przez sprowadzanie jej do tych doświadczeń, jakie zawdzięczamy udziałowi we własnej rzeczywistości. Emigrant, który odwiedza Polskę, siłą rzeczy sprowadza fakty polskiej rzeczywistości do faktów rzeczywistości amerykańskiej i robi porównania, choć wie, że ma do czynienia z rzeczami nieporównywalnymi. I odwrotnie, Polak, odwiedzający Amerykę, posługuje się analogicznym aparatem, usiłując sprowadzić fakty amerykańskie do swych krajowych doświadczeń. Stwierdzając niezmiernie wysoki poziom życia amerykańskiego, zaczyna go przenosić do warunków życia polskiego. Co w Polsce trzeba by było zrobić, by tak mieszkać, tak się ubierać, tak odżywiać, jak mój amerykański krewniak? I odpowiedź jest prosta: musiałbym się zapracować na śmierć... Wprawdzie mój amerykański krewniak na śmierć się nie zapracowuje, ale — jeżeli tak żyje — to może to tylko osiągnąć za cenę „pogoni za dolarem”, za skoncentrowanie wszystkich swych wysiłków na zdobywaniu środków dla takiego życia. Bo przecież można żyć i bez tych wszystkich *gadgets*, można żyć znacznie skromniej i jeszcze mieć się lepiej niż ogół Polaków.

Przekonanie o wiecznej „pogoni za dolarem” jest utwierdzone w ludziach kraju i przez pewne szczegóły amerykańskiego stylu życia. Jedną z moich polskich korespondentek, pisząc o naszej wspólnej przyjaciółce w Ameryce, wypowiedziała taki sąd: „Nie mogę zrozumieć tej Zosi. Przecież oni oboje tak doskonale zarabiają. A ona wraca z pracy zmordowana i musi zająć się całym gospodarstwem. Przecież chyba mogą sobie pozwolić na służącą?”. Musiałem długo mej korespondentce tłumaczyć, że przyjaciele nasi, jakkolwiek rzeczywistość doskonale zarabiający, są dalecy od tej kategorii majątkowej, jaka w Ameryce pozwala na utrzymanie stałej służącej. Wyjaśniałem, że sytuacja w Stanach Zjednoczonych jest i pod tym względem zupełnie różna od stosunków polskich. Bardzo wątpię, czy wywody moje trafiły do przekonania mej korespondentce. Sądzę, że utrzymała się ona w swym pierwotnym przekonaniu, iż „pogoń za dolarem” przeważa i że nasza wspólna przyjaciółka woli się mordować bez pomocy służącej, byle by tylko zebrać więcej tych dolarów...

W tych wszystkich krajowych ocenach amerykańskiego materializmu i „pogoni za dolarem” dwa momenty zdają się wchodzić w grę. Gość z Polski wyjeżdża z kraju, w którym wyniki pracy są bardzo drogie, ale sama praca jest bardzo tania. Przyjeżdża on do kraju, w którym wyniki pracy są bardzo tanie, ale sama praca — bardzo droga. W Polsce prawie wszystko jest bardzo drogie, z wyjątkiem pracy, która jest bardzo źle płatna. W Ameryce prawie wszystko jest bardzo tanie, z wyjątkiem pracy, która jest opłacana bardzo wysoko. Przeciętny pracownik amerykański nabywa parę obuwia za ekwiwalent paru godzin pracy, przeciętny pracownik polski — za ekwiwalent kilku tygodni. To jest zasadnicza różnica między charakterem życia kraju na najwyższym poziomie uprzymysłowienia, kraju masowej produkcji i konsumpcji, a kraju bardzo biednego i gospodarczo uwstecznionego. Nasz polski gość tych różnic nie może sobie przyswoić. Tym bardziej nie może ich przyswoić człowiek w kraju. A jeżeli nawet je sobie przyswaja, to bardziej na rozum niż na serce. To ostatnie buntuje się przeciw tak wyraźnemu stwierdzeniu faktu gospodarczego zacofania własnego kraju.

I tu występuje drugi moment, o znaczeniu niemniejszym. Człowiek, któremu się źle powodzi, ciężko odczuwa fakt, że jego bliskiemu powodzi się znacznie lepiej. Zwłaszcza jeżeli jemu samemu kiedyś powodziło się lepiej i jeżeli wie, że właśnie kiedyś i on i jego bliski byli w tej samej sytuacji. Działają tu reakcje i postawy arcyłudzkie, bardzo powszechne i zrozumiałe. Stąd też płynie tendencja w kierunku deprecjacji sukcesu innych ludzi, chęć wykazania, że nie wszystko złoto, co się świeci. A jednocześnie występuje tu dążenie do podkreślenia dodatnich stron własnej sytuacji, do wykazania, że pod jakimiś względami ma się przewagę nad tym, któremu się powiodło. Działają tu nasz własny aparat ochronny, jego tendencje kompensacyjne, dążenie do wykazania naszego własnego znaczenia, własnej wartości. Żyjemy skromniej, ale jesteśmy wolni od „pogoni za dolarem”, nie jesteśmy niewolnikami naszych *gadgets*, naszego domu i naszej kuchni.

Jest rzeczą znaną, że z gości polskich największe uznanie dla Ameryki i jej stylu życia wykazują ludzie na bardzo wysokim poziomie intelektualnym, którzy przyjeżdżają tu dla określonych badań i którzy są zaopatrzeni w wyniki poważnych studiów przygotowawczych. Są to ludzie krytyczni, starający się wnikać w zagadkę nowej cywilizacji.

V

Możemy teraz przejść do rozważenia treści tych krajowo-emigracyjnych kontaktów i konfrontacji. Dla uproszczenia zadania

ograniczmy się do terenu amerykańskiego. Posiadamy tu materiał wcale bogaty. Powieść Danuty Mostwin jest tu szczególnie wiele mówiąca. Zresztą sprawa terenu ma raczej znaczenie uboczne. Zasadnicze elementy w większości wypadków są te same.

W powieści Danuty Mostwin po kilkunastu latach niewiedzenia matka z Polski odwiedza swoją zamężną córkę w Ameryce. Jest to postać kontaktu stosunkowo bardzo częsta. Ludzie starsi licznie udają się za ocean, by znów zobaczyć swe dzieci i poznać wnuki.

W przedstawieniu Mostwin spotkanie nie należało do łatwych. I nie ulega wątpliwości, że jej opis da się rozciągnąć na olbrzymią ilość takich spotkań, że może być uznany za typowy. Albowiem w olbrzymiej większości znanych mi wypadków nie były to spotkania łatwe. Wszędzie poprzedzały je długie okresy tęsknoty, wysiłków, marzeń, oczekiwań. Pierwsze chwile są bardzo gorące. Oto spełniło się, znów jesteśmy razem. Ale gdy początkowe momenty entuzjazmu zaczynają przechodzić, gdy życie zaczyna wracać do jakiejś normy, zaczynają się trudności, coraz większe i poważniejsze. Danuta Mostwin daje nam doskonały opis i analizę tych trudności. Postarajmy się je rozpatrzyć.

Pierwsza trudność powstaje, gdy dziadkowie a zwłaszcza babki z Polski spotykają się ze swymi amerykańskimi wnukami. Najmłodsze pokolenie, jeżeli nawet zna język polski, to — pomijając nieliczne stosunkowo wypadki — włada nim bardzo słabo. Co zaś gorsza, włada nim niechętnie, przy każdej sposobności przechodząc na angielski. Sprawę zaostroża i fakt licznych na emigracji małżeństw mieszanych. Ludziom starszym z Polski trudno się pogodzić z tym, że synowie ich i córki pożenili się czy powychodziły za mąż za nie-Polaków. Synowa nie-Polka, zięć nie-Polak, więc ludzie, z którymi porozumieć się nie można lub jest bardzo trudno, to głębokie rozczarowanie dla starszych gości z Polski. Ale i tam, gdzie — jak w powieści Danuty Mostwin — małżeństwa nie są mieszane, dzieci źle mówią po polsku, wcale nie mówią, lub wykazują słabe zainteresowanie dla polskości.

Dla gości z Polski są to rzeczy zarówno bolesne jak i nieoczekiwane. Trzeba stale pamiętać o tym, że ludzie ci myśleli o swych amerykańskich bliskich w oderwaniu od tej rzeczywistości, w jakiej ci ostatni się znaleźli. Dla ludzi kraju emigrant w Ameryce jest nadal tą samą i taką samą osobą, jaką się ongiś znało. Widzi się go ciągle jak gdyby nigdy Polski nie opuścił. Można się pogodzić z nieubłaganym wpływem czasu, z tym że się zmienił fizycznie — nie można się pogodzić z tym, że tak bardzo zmienił się psychicznie. Jego oddalenie się od polskości, jego obcość, obcość jego rodziny — wszystko to jest czymś nieoczekiwanym i głęboko wstrząsającym.

„Wynaradawiacie się” — każdy z nas na emigracji nieraz

spotykał się z tym pełnym rozczarowania i smutku okrzykiem. „Jak mogliście do tego dopuścić, żeby wasze dzieci przestały się uważać za Polaków, żeby nie mówiły po polsku”. W takim powiedzeniu wyraża się najwyższy stopień dezaprobaty ludzi z kraju wobec pewnych faktów życia emigracyjnego.

Oczywiście dezaprobatą ma ton najsilniejszy przy stwierdzeniu zjawiska wyobcowania się od polskości dzieci. Ale ma również i znacznie szersze znaczenie. Każdy dzień spędzony przez gości z Polski z ich amerykańskimi bliskimi utwierdza gości w przekonaniu, że emigracja „wynaradawia się”, „amerykanizuje”, staje się obca, daleka. Chodzi tu nie tylko o język. Chodzi o to że emigrantów coraz bardziej pochłaniają ich sprawy miejscowe, że słabnie ich zainteresowanie dla spraw krajowych, że coraz gorzej w nich się orientują. Niemniej ważne jest i to, że emigranci w ogóle się zmienili, że od świata, w którym żyją, przejęli i ciągle przejmują obyczaje, postawy i wartościowania, które nie mieszczą się w tym tradycyjnym wzorze, jaki obowiązuje w Polsce i jest szczególnie ważny dla ludzi starszej generacji. Coraz częściej ludzie z Polski, odwiedzający Amerykę, czy też w Polsce goszczący swych bliskich z Ameryki, stwierdzają, że ich emigracyjni bliscy przestali być przedłużeniem samych siebie, że nie są tym, czym spodziewało się, że być powinni.

Stąd dezaprobatą i stąd ciągle zarzuty. „Jak mogliście dopuścić...”, „jak mogliście tak się zmienić!”. Są to zarzuty przykre i w przekonaniu ogromnej części emigrantów niezaspokojone. Wiedzą oni, ile wysiłków wkładają w to, żeby ich dzieci choćby jako tako mówiły po polsku, i jak małe wyniki to daje. I dawać musi. Nie posyłać dziecka do szkoły? Izolować je od rówieśników? Robić z niego dziwoląga? Przecież te dzieci mają pozostać tu, w Ameryce. Są Amerykanami. Język polski jest im obcy. Jest to język bardzo trudny. Jest rzeczą powszechnie znaną, że wszystkie próby rodziców-emigrantów — bez względu na to skąd pochodzą — utrzymania swego potomstwa przy mowie i obyczaju dawnych ojczyzn rozbijają się o niechęć dzieci, o ich wyraźny opór wobec narzucania im spraw obcych i mało interesujących. Jest to w zupełności zrozumiałe. I żeby to zrozumieć, nie trzeba być uczonym psychologiem.

Ameryka dzisiejsza, której tak potrzebni są ludzie znający obce języki i obce kultury, życzliwym okiem patrzy na takie wysiłki rodziców-emigrantów. W rzeczywistości im sprzyja. Średnia szkoła amerykańska, jeżeli tylko może, chętnie wprowadza nauczanie obcego języka do swego programu, o ile tylko ma odpowiednią ilość kandydatów na uczniów. Trudność w tym, jak ich znaleźć. Albowiem jeżeli nie trudno jest znaleźć chętnych rodziców, to bardzo trudno jest znaleźć chętnych dzieci. To są fakty powszechnie znane. Cywilizacja amerykańska pociąga i wciąga. W pierwszym rzędzie odnosi się to do młodego pokolenia. Jest ono amerykańskie. Cała rzecz w tym, by, będąc amerykańskim,

zachowało jakieś zainteresowania dla przeszłości swych rodzi-  
ców. To się nieraz udaje osiągnąć, choć wcale to nie musi  
oznaczać „trwania przy polskości” tak jak to rozumieją nasi  
goście z kraju.

Stąd konflikty, nieraz bardzo dramatyczne. W rzeczywi-  
stości są to konflikty dwóch odmiennych postaw czy filozofii.  
Emigracja stopniowo zaczyna odchodzić od tych tradycyjnych  
pojmowań narodowości, jakie wciąż obowiązują w Polsce. I w  
tym sensie emigracja „amerykanizuje się”.

Polska definicja narodowości ma charakter wybitnie roman-  
tyczno-mistyczny i jest bardzo ekskluzywna. Narodowość ozna-  
cza podporządkowanie się jednostki szerszej wspólnotie duche-  
wej — narodowi. Cały nacisk przy tym jest położony na obo-  
wiązki jednostki wobec tej wspólnoty, na konieczność ofiar  
i poświęcenia się dla niej. Jednostka nie może być szczęśliwa,  
skoro w ojczyźnie szczęścia nie ma. Nie chodzi o to, w jakim  
stopniu filozofia ta jest w praktyce stosowana. Chodzi o to, że  
obowiązuje, że jest powszechnie uznawana i że stanowi wzór  
wychowawczy. Zarazem polska definicja narodowości jest wy-  
bitnie ekskluzywna, rygorystyczna, ściśle określająca warunki,  
jakim zadość powinna uczynić jednostka, by być uznana za  
Polaka. Odstępstwo od tych reguł oznacza zdradę narodową,  
renegactwo, zasługujące na najwyższe potępienie.

Emigracja polska w Ameryce zachowała bardzo dużo z  
tej tradycyjnej polskiej definicji. Ale na nowej ziemi spotkała  
się z definicją zupełnie inną i zaczęła ją sobie przyswajać. Ame-  
rykańska definicja narodowości jest w znacznym stopniu za-  
przeczeniem definicji polskiej. Przede wszystkim jest ona bar-  
dzo szeroka i w swym zasadniczym nastawieniu inkluzywna.  
Amerykańskość jest tu ujmowana bardzo ogólnie i tak, by  
mogła ogarnąć jak najwięcej. *E pluribus unum* i w tym ma  
swoje zastosowanie. W społeczeństwie imigranckim, w społecz-  
stwie „tygla narodów” praktykowanie definicji polskiej byłoby  
samobójstwem. Równocześnie definicja amerykańska z całym  
naciskiem podkreśla prawa jednostki, przede wszystkim — jej  
prawo do szukania szczęścia indywidualnego. Nie oznacza to,  
by amerykański system wychowawczy pomijał milczeniem obo-  
wiązki jednostki wobec kraju. Te rzeczy są akcentowane bardzo  
wyraźnie. Ale są one uzupełniane przez filozofię praw jednostki  
i są bardzo dalekie od polskiego romantycznego mistycyzmu.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że obie definicje współ-  
istnieją w dzisiejszej emigracji w Ameryce. W praktyce jed-  
nak — szczególnie w pokoleniach młodszych — definicja ame-  
rykańska bierze górę. Wśród młodzieży panuje ona bezapelacy-  
jnie. Tam, gdzie istnieje współistnienie obu definicji, filozofia  
polska ma raczej charakter deklaracyjny, obrzędowy. Na co  
dzień wystarcza filozofia amerykańska.

Dla ludzi kraju takie postawy są czymś niepojętym i obu-  
rzającym. „Jak można być równocześnie Polakiem i Ameryka-

ninem?” — często słyszany ten okrzyk ma nieraz odcień głę-  
bokiej pogardy. Polskie „albo — albo” nie mieści się w tej  
filozofii, jaką od Ameryki przejmują emigracja. Dla ludzi z  
Polski zaś amerykański pluralizm i racjonalizm wydają się  
karykaturą największych wartości ludzkich.

## VI

Ale „wynaradawiacie się”, „amerykanizujecie się” sięga  
również i do sfery obyczajów oraz zasadniczych reguł i war-  
tości współżycia międzyludzkiego. I tu konfrontacja emigracji  
i kraju może być zarówno bardzo drastyczna jak i pouczająca.

Przede wszystkim chodzi tu o sferę wartościowań społecz-  
nych, związanych z pozycją socjalną jednostki. Ludzie z kraju  
mocno reagują na fakt „deklasacji” emigrantów. Jest to zresztą  
ta sama „deklasacja”, którą i emigracja silnie odczuwa. Fakt,  
że dawny dziennikarz czy wojskowy na emigracji zarobkuje  
jako robotnik, że dawny prawnik jest dziś — w najlepszym  
razie — agentem ubezpieczeniowym — wszystko to spotyka  
się z gorącą dezaprobatą kraju. I służy za dalsze uzasadnienie  
niekorzystnych ocen Ameryki jako kraju zmaterializowanego i  
niekulturalnego.

To, że ten robotnik czy agent ubezpieczeniowy może być do-  
skonałe opłacany i że może utrzymywać wysoką stopę życiową,  
dla ludzi z kraju nie ma zbyt istotnego znaczenia. I znów ra-  
czej utwierdza ich w przekonaniu o „amerykańskiej pogoni za  
dolarem”. Mamy tu bowiem do czynienia z konfliktem dwóch  
wyraźnie sprzecznych systemów wartości społecznych.

W plebejskiej cywilizacji Ameryki miernikiem społecznej  
wartości pracy są jej wyniki, wyrażone w stopniu dochodu. Jest  
to tradycyjna postawa amerykańska, choć w praktyce zachodzą  
w niej odchylenia, ostatnio coraz częstsze. W cywilizacji pol-  
skiej wartość społeczną pracy jest wciąż jeszcze niezależna od  
jej ekonomicznych wyników. Stąd w dzisiejszej polskiej „demo-  
kracji ludowej” zajęcie robotnika przemysłowego jest uważane  
za dające pozycję społecznie stopnia niższego niż zawód „pra-  
cownika umysłowego”. I to bez względu na ekonomiczne wy-  
niki tej pracy w każdym wypadku. Robotnik przemysłowy jest  
kimś „gorszym” od urzędnika, choćby zarabiał od niego znacz-  
nie więcej. Inaczej jest w Ameryce. Tu „ile zarabiasz” znaczy  
społecznie więcej niż „co robisz”. A ostatnio, w miarę postę-  
pów automatyzacji, mechanizacji i specjalizacji pracy, robotnik  
coraz wyraźniej przestaje być swoistą kategorią społeczną, będąc  
jedynie kategorią zawodową w obrębie wszechogarniającej całą  
społeczność amerykańską *middle class*.

Jak różnice te są istotne, o tym świadczy pytanie, które tak często słyszę od mych gości z Polski: „proszę mi powiedzieć, jak żyje i zarabia przeciętny robotnik amerykański”. Kłopotliwe to pytanie, na które z dużym wysiłkiem odpowiadam, wytrwale tłumacząc, że faktycznie w rzeczywistości amerykańskiej ma ono mało sensu. Albowiem w Stanach Zjednoczonych — inaczej niż w Polsce — robotnik (szczególnie „przeciętny” robotnik) przestaje być grupą społecznie wydzieloną, zajmującą niskie miejsce w hierarchii zarobkowej i prestiżowej populacji miejskiej. Do przeszłości zaczyna w Ameryce należeć *wrong side of the track* (choć wciąż istnieje podział na *nice and bad neighborhood*); robotnik mieszka, ubiera się, odżywia itd. jak cała jego kategoria zarobkowa w ramach *middle class*. Jeżeli zarabia więcej, to mieszka, ubiera się i odżywia lepiej — tak samo jak jego sąsiad, który jest „pracownikiem umysłowym”, drobnym kupcem czy przemysłowcem.

Cywilizacja polska — choć Polska jest krajem „demokracji ludowej” — wciąż jeszcze nie jest demokracją plebejską, wciąż jeszcze nie ma cech współczesnej społeczności wielkoprzemysłowej i wielkomijskiej. I wciąż trwają tam dawne tradycje kraju szlacheckiego i gospodarzo zacoфанego.

Za ilustrację może tu posłużyć mały przykład. Kilka lat temu na całym świecie poruszenie wywołało małżeństwo młodego Rockefellera z piękną służącą z Norwegii. Wzruszająca historia nowoczesnego Kopciuszka, który spotkał królewiczkę z bajki. Pisała o tym i prasa w Polsce. W jednym z tych opisów można było przeczytać, że owa służąca „naturalnie” nie brała od Rockefellerów żadnej pensji, że pracę swoją wykonywała „honorowo”, by móc uczyć się w Ameryce. Ktokolwiek zna stosunki amerykańskie, nie mógł mieć cienia wątpliwości, że taka historyjka o „honorowej” pracy pięknej służącej mogła być tylko pomysłem dziennikarza polskiego, wymyślonym dla uspokojenia sumień krajowych czytelników. Ładnie by wyglądali Rockefellerowie, gdyby się okazało, że „honorowo” zatrudniają swoją służącą! Jakże w Ameryce oburzenie wywołałby taki wyzysk! I jak by to zaszkodziło politycznej karierze Rockefellera! Ale dla czytelnika polskiego historia amerykańskiego Kopciuszka byłaby nie do przelknięcia, gdyby się okazało, iż był on tylko „zwykłą”, choćby dobrze płatną służącą. Bajka musiała być pełna i zgodna z polskimi *mores*: piękna Norweżka w rzeczywistości służącą nie była, swoją pracę wykonywała „honorowo”, na niby. To rozgrzeszało jej oblubieńca, to pozwalało młodemu Rockefellerowi na zawarcie takiego małżeństwa bez grzechu rażącego mezaliansu...

Konflikt dwóch cywilizacji znajduje dla siebie wyraz i w innych dziedzinach stosunków międzyludzkich. Tu znów jako ilustracja posłuży nam autentyczne wydarzenie, które należy uważać za bardzo typowe i przez to wysoce charakterystyczne. Do znajomych moich w niewielkim mieście amerykańskim ma

przyjechała matka, której się nie widziało od początku wojny. Więc coś w rodzaju narracji Danuty Mostwin. Poruszenie jest szalone, przygotowania gorączkowe. Razem z rodziną przyjazd starszej pani z Polski jest przeżywany przez sąsiadów, bez mała — przez całe miasto. Po kilku dniach pierwszych radośnych wzruszeń gość prosi córkę o zaprowadzenie jej do fryzjera. Ten już wie o wielkim wydarzeniu. Jest pełen radości. „Hi, Mary — woła do córki — *so that's your Old Lady. Hallo, Granny, it's awfully nice to have you here*”. I z nadmiaru życzliwości poklepał polską damę po plecach. Reakcja jej była nieoczekiwana i dla fryzjera i dla córki, która zdążyła się już „zamerykanizować”. Starsza pani na nią wylała swe oburzenie: „Jak mogłaś do tego doprowadzić, by fryzjer ośmielił się klepać mnie po plecach. Co za chamstwo, co za bezczelność. Co za stosunki!”. Biedna Mary z trudem i bez skutku usiłowała wyjaśnić matce, że nie jest to ani chamstwo ani bezczelność fryzjerska, ale wylew sąsiedzkich uczuć, udział w radości klientki uważanej za sąsiadkę i przyjaciółkę. A że było to robione w sposób dość bezceremonialny, to już jest właściwością Ameryki i temperamentu fryzjera, z pochodzenia bodajże Włocha.

W sztywnym systemie polskich wartości społecznych fryzjer, tak się zachowujący, zdecydowanie wypadł z roli, „zapominał się”, postępował tak jak człowiekowi jego kondycji społecznej postąpić wobec „damy” nie wypadało. W plebejskiej Ameryce zachowanie się takie było zupełnie właściwe i na miejscu. Fryzjer tu — obojętne że był fryzjerem — był po prostu sąsiadem i dobrym znajomym. W tym małym epizodzie odbił się ostry konflikt dwóch sprzecznych systemów wartości społecznych.

Przykładów takich można by przytoczyć całą masę i zapewne każdy z emigrantów mógłby tu coś nie coś od siebie dorzucić. Gości z Polski razi obyczajowość amerykańska, tak różna od polskiej. I odwrotnie, amerykańscy turyści w Polsce często podkreślają, że do obyczajów krajowych — zwłaszcza w zakresie stosunków międzyludzkich — już by się przystosować nie umieli, że od nich odeszli, że masa rzeczy ich razi i gorszy.

Stale trzeba podkreślać, że dezaprobata amerykańskich *mores* jest najsilniejsza i najpowszechniejsza wśród ludzi starszych generacji. Nasi goście młodzi, szczególnie reprezentujący elitę intelektualną, raczej są pociągani swobodą i bezceremonialnością stosunków plebejskiej Ameryki. Są jednak i inne rzeczy, które z kolei i ich rażą. Ale o nich pomówimy nieco później.

Ale i tu trzeba zaznaczyć, że nawet młodzi nieraz są zgodni ze starszymi w dezaprobacie innego elementu życia amerykańskiego. Są nim obyczaje i stosunki międzyludzkie, wyrosłe na podłożu masowej produkcji i konsumpcji. Chodzi tu znów o rzeczy, które wciąż jeszcze odbiegają od wzoru polskiego.

Gości z kraju powszechnie razi fakt, że kupujemy gotowe ubrania, że w swym wyglądzie mało różnimy się między sobą. Nie smakują im nasze potrawy, widzą przyczynę tego w powszechnie w Ameryce przyjętej metodzie zamrażania produktów żywnościowych. „Przecież wasze mięso, wasze owoce i jarzyny nie mają smaku. Wszystko to jest mrożone. My jemy rzeczy świeże i to zupełnie inaczej smakuje”. „Jak można kupować gotowe ubrania. Przecież to taka tandeta”. To nieraz się słyszy od naszych polskich gości. Oczywiście pomijam tu skargi na np. swoistości kuchni amerykańskiej, w wielu rzeczach bardzo odbiegającej od polskiej. Pewna pani z Polski, opuszczając Amerykę po rocznym w niej pobycie, z oburzeniem stwierdziła, że przez cały ten czas nie jadła uczciwej polskiej zupy...

Jest rzeczą wątpliwą, by indywidualizacja w ubieraniu się i w wyglądzie zewnętrznym była rzeczywiście powszechną cechą życia polskiego. Jest ona jednak ideałem, o którym się marzy. Fakt, że w Ameryce ideał taki nie jest wprowadzany w życie i że — co gorsza — nie jest uznawany, budzi w naszych gościach uczucia rozczarowania i dezaprobaty. Trudno im zrozumieć, że brak jego jest tu następstwem rozwoju masowej produkcji i konsumpcji oraz zaniku indywidualnej produkcji rzemieślniczej, przeznaczonej dla wybranych. Trzeba im też dopiero tłumaczyć, że właśnie metoda zamrażania mięsa, jarzyn i owoców walnie przyczynia się do masowości konsumpcji dobrych artykułów żywnościowych, że np. niemrożone mięso polskie, choć smaczniejsze, jest udziałem stosunkowo niewielu i że znacznie prędkiej się psuje. Trzeba im też wyjaśniać, że w kraju tak drogiej pracy tylko nieliczni mogliby sobie pozwolić na „niekonfekcyjne” ubranie i że właśnie masowość i stereotypowość produkcji sprawia, iż nawet niezamożny Amerykanin może się ubrać bardzo porządnie i według swego gustu i miary, gdyż wybór rzeczy gotowych jest olbrzymi. A co do „tandety”, to przecież nikt w Ameryce nie kupuje odzieży czy obuwia na lata, ale na bardzo krótko. Są to rzeczy stosunkowo bardzo tanie, bez porównania tańsze od wyrobów polskich.

Wszystko to jest bardzo oczywiste dla ludzi wysoko-uprzemysłowionego świata, wrośniętych już w system masowej produkcji i konsumpcji. Ale system ten do Polski zaczyna dopiero docierać. Tam wciąż jeszcze tkwią pojęcia przeszłości, umacniane przez fakt taniej pracy ludzkiej.

To ostatnie ma duży wpływ na dezaprobatę, z jaką matki z Polski patrzą na gospodarstwo domowe swych zameżnych córek amerykańskich. Zdanie mojej korespondentki z Polski, na ten temat, przytoczone poprzednio, stale się powtarza w różnych rozmowach. Wspomina o tym i Danuta Mostwin. Matki z Polski — zwłaszcza w listach — powołują się na to, że i w Polsce bardzo trudno jest o służącą, że służące są bardzo wymagające, ale że jednak jakąś „gosposię” można znaleźć. I serca matkom się krają, gdy widzą, jak ich wychuchane có-

reczki same muszą gotować, sprzątać i robić setki rzeczy, do których nie były wychowywane. Matkom tym trudno jest wytłumaczyć, że w Ameryce służąca jest luksusem znacznie większym niż auto, i że najmniej wybredna służąca amerykańska z oburzeniem odrzuciłaby warunki, które z zadowoleniem przyjmuje najbardziej wybredna służąca polska. Nie mogą one bowiem przyswoić sobie całego wzoru życia amerykańskiego, całej organizacji domu amerykańskiego — rzeczy tak różnych od ich odpowiedników w Polsce.

A wszystkie te właściwości cywilizacji amerykańskiej zostały już w stopniu większym czy mniejszym przyswojone przez polską emigrację. I dlatego to w konfrontacjach ludzi z Ameryki i ludzi z Polski z całą wyrazistością odbija się kontrast dwóch różnych systemów cywilizacyjnych i konflikt, jaki między nimi zachodzi. Po jednej stronie jest cywilizacja plebejska społeczeństwa na najwyższym poziomie uprzemysłowienia, o technice wysoce zmechanizowanej i zrjonalizowanej, o masowej produkcji i konsumpcji. Po stronie drugiej jest cywilizacja o wciąż jeszcze silnych tradycjach szlacheckich, cywilizacja kraju dopiero uprzemysławiającego się, o technice dopiero wychodzącej z epoki rzemieślniczej, o produkcji i konsumpcji, które wciąż jeszcze nie stały się masowymi. Emigracja polska — nawet jej najstarsza generacja — jest wchłaniana przez cywilizację swych nowych ojczyzn, mniej lub bardziej chętnie do niej się przystosowuje, uczy się posługiwać jej zdobyczami i zaczyna je cenić. I odchodzi od wzoru polskiego. Na tym tle dochodzi do ostrych konfliktów między stroną jedną a drugą, dochodzi do gorzkich i bolesnych rozdzwieńców. Danuta Mostwin w swej powieści umiała te rzeczy przedstawić niezmiernie plastycznie i przekonująco.

## VII

Znacznie mniej drastycznie sprawy te przedstawiają się w wypadku młodszej generacji gości z Polski. Polska dzisiejsza wchodzi już w etap tych wielkich przemian gospodarczych i społecznych, jakie są właściwe wielkim społeczeństwom industrialnym naszych czasów. W formie jeszcze zaczątkowej występują tu procesy i ich konsekwencje, jakie od lat cechują Amerykę. Różnice ustrojowo-organizacyjne, sprawa kapitalizmu czy socjalizmu, mają w tym znaczenie znacznie mniejsze, niż się to przypuszcza. Bez względu na to, czy przedsiębiorstwa są w ręku państwa czy prywatnych korporacji, zasadnicze procesy przebiegają w podobny sposób i w tym samym kierunku. Oblicze młodszej generacji w Polsce zaczyna być stopniowo kształtowane przez fakty tych procesów. I Polska w jakimś stopniu zaczyna się „amerykanizować”.

Oczywiście nie oznacza to, by młody Polak miał się upodobniać do młodego emigranta, by nie powiedzieć — do młodego rodowitego Amerykanina. Odrębności są wciąż bardzo znaczne. I są one potęgowane przez odmiennie tradycje oraz przez wpływ odmiennych systemów ustrojowych i wychowawczych. Niemniej jednak młodszej generacji polskiej łatwiej jest podejść do właściwości życia amerykańskiego i je zrozumieć.

To daje się wyczuć przy wszelkich kontaktach osobistych. I to szczególnie uderza w wypadku młodych stypendystów, którzy dla studiów odwiedzają Amerykę. Naturalnie stypendystów tych nie można uważać za typowych nawet dla własnej generacji. Reprezentują oni elitę intelektów i talentów, rozporządzają dużą — nieraz imponującą — wiedzą. Ale właśnie to, że nie są typowymi, sprawia, iż lepiej niż na reszcie ich rówieśników dają się zauważyć następstwa tych przemian, jakie w życiu polskim zachodzą.

Stąd porozumienie z nimi jest znacznie łatwiejsze, stąd nie-skończenie lepiej, niż ich rodzice, chwytają oni sens tych przemian, przez które przechodzi emigracja. O ile wśród starszej generacji ludzi z Polski jest nieraz wyraźna pogarda dla form i treści życia emigracji i jej spraw, o tyle wśród ludzi młodszych z nią się nie spotykamy. Jest raczej lekceważący stosunek do tych ludzi emigracji, którzy nadal tkwią w przeszłości i próbują się przeciwstawiać wpływowi nowego otoczenia.

Nie znaczy to, by młodzi aprobowali to wszystko, co emigracja dała Ameryka. I nie znaczy to, by aprobowali cywilizację amerykańską jako całość. Wygląda to jednak zupełnie inaczej niż w przypadku starszych naszych gości.

Zdaje mi się, że wyrazicielem przekonań i uczuć dużej części tych młodych był pewien pracownik naukowy, człowiek niezwykle inteligentny i interesujący. Żegnając się ze mną, takimi słowami podsumował swe wrażenia z przeszło rocznego pobytu w Stanach Zjednoczonych: „W Ameryce zobaczyłem urzeczywistniony socjalizm, zobaczyłem, jak wygląda spełnienie celu, do którego dąży nasza część świata. I to, co widziałem, wcale mi się nie *podobało*”. Jak na człowieka przybyłego z kraju socjalistycznego było to oświadczenie niezwykle wymowne... Przypuszczam jednak, że ten młody Polak znalazłby pełne zrozumienie wśród bardzo wielu młodych Amerykanów.

Młode pokolenie wszystkich krajów industrialnych lub szybko industrializujących się zaczyna buntować się przeciwko społecznym i kulturalnym następstwom wielkiej rewolucji technologicznej naszych czasów. W krajach bardzo bogatych nuży je przesyty. Wszędzie buntuje się ono przeciwko uniformizmowi, przeciwko konformizmowi i plebejskości. Przy wszystkich swych odrębnościach amerykańscy *beatniks* i sowieccy wielbicielowie Jew-tuszenki mogliby łatwo znaleźć wspólny język. Wyrażają oni ten sam bunt młodych. Jest to bunt bardzo zdrowy i — jeżeli nie będzie stłamszony — może uratować niejedno z naszych

największych wartości kulturalnych. Oczywiście nie będzie on mógł iść po drodze szukania nawrotu do przeszłości, odrzucania tego, czego odrzucić się nie da: wielkiej rewolucji technologicznej naszych czasów i jej następstw społecznych. Hasła nawrotu do umarłej przeszłości były majaceniami ideologów faszystwu i skompromitowały się całkowicie. „Amerykanizacji” świata nie da się zatrzymać, obojętne czy amerykanizację tę nazywa się socjalizmem czy kapitalizmem czy jeszcze jakoś inaczej. Chodzi jedynie o to, by razem z tą amerykanizacją zachowały się te wielkie wartości kultury, jakie jedynie nadają sens życiu człowieka.

## VIII

Od końca roku 1956 kraj i emigracja *przestrzennie* zbliżyły się do siebie. Zostały nawiązane bezpośrednie kontakty, ludzie z obu stron zaczęli spotykać się ze sobą i nawzajem konfrontować. To przestrzenne zbliżenie pozwoliło stwierdzić, że pod wszelkimi innymi względami kraj i emigracja oddaliły się od siebie.

To ostatnie trzeba rozumieć właściwie: emigracja — szczególnie jej starsze i średnie pokolenia — nie zatraciła zainteresowań dla kraju, nie zerwała więzi uczuciowych i kulturalnych z dawną ojczyzną. Nas tu wszystkich gorąco obchodzą sprawy polskie, obchodzą ludzi w Polsce, ich nadzieje, zdobycze, troski i rozczarowania. Każdy z nas zresztą ma w Polsce tylu ludzi bliskich — krewnych, przyjaciół.

I niewątpliwie w kraju jest zainteresowanie dla ludzi emigracji, choć może mniejsze dla ich spraw — zwłaszcza dla tych, które są bezpośrednio związane z udziałem w życiu nowego środowiska. Ale nasi krewni i przyjaciele w Polsce uczuciowo są z nami i — wbrew temu, co czasem mówi rozgoryczenie niejednego z nas — jest to związanie bezinteresowne, niezależne od paczek z Ameryki.

Ale faktem jest, żeśmy się od siebie oddalili. Nasze kontakty z krajem pokazały nam rzeczy niezgodne z tym obrazem, jaki mieliśmy przed nimi. I tak samo, konfrontacje kraju z emigracją wykazują głęboką niezgodność rzeczywistości i poprzednio posiadanego obrazu. Ludzie kraju nie wyglądają tak, jak ludzie emigracji oczekiwali, i ludzie emigracji nie wyglądają tak, jak w oczekiwaniach kraju powinni byli wyglądać. Stąd przykre — nieraz bolesne — rozczarowania, niezdolność porozumienia się, konflikty, nawet tragedie osobiste. Nie są nieznanne wypadki, że goście z Polski — niecierpliwie oczekiwani, radośnie witani — wyjeżdżali rozgoryczeni, zniechęceni, z poczuciem klęski. I nie inne były uczucia tych, którzy ich przyjmowali. Tak samo kończyła się niejedna wizyta ludzi emigracji

w Polsce. Po wielu takich kontaktach-konfrontacjach pozostawały bardzo ciężkie wspomnienia.

Te konfrontacje pokazują wyraźnie, jakie zmiany nastąpiły na emigracji i jakie zmiany nastąpiły w kraju. Nie są to zmiany występujące jednolicie i jednokierunkowo. Są one różnego stopnia i różnego napięcia. Wyglądają one inaczej u ludzi starszych i u ludzi młodszych. Są one zależne od środowisk i od poziomu wykształcenia. Słowem, zachodzą w nich znaczne różnicowania. Niemniej jednak wszędzie one zachodzą i zawierają w sobie pewne stałe elementy. Z tego względu można nawet mówić o pewnych wzorach przemian.

Wzory te wynikają z różnic społecznych i kulturalnych świata emigracyjnego i świata krajowego. Emigrant amerykański, kanadyjski, południowo-amerykański, zachodnio-europejski od wielu lat uczestniczy — choćby tylko fragmentarycznie i zewnętrznie — w rzeczywistościach krajów innych niż Polska. I Polak żyje w świecie, który — przy wszystkich swoich przemianach — wciąż bardzo się różni od świata emigracyjnego. W ciągu tych długich lat po każdej stronie zachodziły odmienne doświadczenia, działały różne siły, odmiennie wpływające na osobowości ludzkie i rozmaicie je kształtujące.

Emigrant w Ameryce — im młodszy tym w stopniu większym — przyswoił sobie cechy plebejskiej cywilizacji Stanów Zjednoczonych czy Kanady. Może sarka na wiele z właściwości swych nowych ojczyzn, ale stopniowo przyjmuje je, wprowadza do własnego życia, uznaje za oczywiste. Komfort, jaki cechuje życie całej społeczności amerykańskiej, uznał za coś oczywistego i nie potrafi się już przystosować do materialnego prymitywizmu życia polskiego. Gdy jest w kraju, gdy gości u siebie swych bliskich z Polski, stale natrafia na rzeczy, które budzą w nim żywą dezaprobatę. Nie, tak żyć on by już nie potrafił.

I to samo da się powiedzieć o stronie drugiej. Ludzi z kraju razi mnóstwo rzeczy, które emigrant przyjmuje, uważa za właściwe i pożądane. Są to rzeczy tak drobne jak różnice dietetyczne (owa Polka, która w Ameryce nigdy nie jadła uczciwej zupy), są to rzeczy poważniejsze — z dziedziny stosunków międzyludzkich (poufałość „bezczelnego” fryzjera), i są to rzeczy bardzo poważne — stwierdzenie wyobcowania się, zatracenia cech narodowych („wynaradawiacie się”).

Ważne jest to, że we wszystkich tych konfrontacjach i konfliktach odbijają się zasadnicze różnice kultur. To nie tylko ludzie tu się spotykają i nawzajem konfrontują. Spotykają się różne cywilizacje, odmiennie systemy wartości kulturalnych. Różnice te jest bardzo zasadnicze.

Stwierdziliśmy poprzednio, że cały świat jest dziś pod znakiem „amerykanizacji”. Wielka rewolucja technologiczna, jaka cechuje naszą epokę, zaczęła się w Stanach Zjednoczonych, tu osiągnęła maksimum swego dotychczasowego natężenia, tu najbardziej wystąpiły jej konsekwencje społeczne i kulturalne.

W amerykańskiej demokracji plebejskiej miała ona doskonałe dla siebie podłoże i tę demokrację plebejską posunęła naprzód, rozwinęła i umocniła. Ogarnia ona i inne kraje, włączając w to i te, którym obce są tradycje demokracji plebejskiej. W nich demokracja ta stopniowo zaczyna się utrwalac właśnie pod wpływem wielkiej rewolucji technologicznej.

Powtarzamy raz jeszcze: różnice ustrojowe, organizacyjne mają w tym stosunkowo podrzędne znaczenie. Kisielewski nie bez słuszności mówi, że komunizm jest amerykanizacją dla biednych. Jest to w znacznie większym stopniu sprawa metod, techniki organizacyjno-społecznej, poziomu kulturalnego, tradycji historycznych, niż ideologii. Ta jest tylko próbą racjonalizowania faktów, sublimowania zjawisk brutalnych i często przyziemnych. Walki ideologiczne — z reguły szalenie namiętne, bezwzględne i bardzo krwawe — nigdy nie miały wiele wspólnego z racjonalnym myśleniem i trzeźwym rozumieniem rzeczywistości. Bez ideologii ludzkość istnieć by nie mogła, ale ideologowie byli sprawcami niejednego z jej nieszczęść.

Wszystko przemawia za tym, że i Polska dzisiaj wchodzi w okres swej „amerykanizacji”. I w Polsce zaczyna się odbywać proces plebeizacji — wciąż jeszcze w stadium początkowym. O tym najlepiej zdaje się świadczyć młoda elita polska i jej zdolność dostrzegania nowych zjawisk. W całości jednak w Polsce są wciąż silne tradycje dawnego wzoru kulturowego — wzoru szlacheckiego, a nie plebejskiego. Stosunek do komunizmu jest w tym bez znaczenia. Ileż to z dawnej szlachetczyzny jest w partii! I stąd ludziom z Polski nie jest łatwo znaleźć wspólny język z emigracją i emigracji — z Polską.

Z tych rzeczy trzeba sobie zdać sprawę i zacząć o nich mówić jasno i otwarcie. Bo tylko w ten sposób uniknie się przykrych i niesprawiedliwych wzajemnych obwinień i rozgoryczeń. Aby dojść do jakiegoś porozumienia, trzeba przede wszystkim ustalić, w czym się różnimy. Ta amerykańska zasada — produkt anglosaskiego pragmatyzmu — mogłaby być bardzo przydatna w stosunkach między emigracją a krajem.

Aleksander HERTZ

NOWY

" PODZIEMNY "

UTWÓR

LITERATURY SOWIECKIEJ

# CZŁOWIEK Z MINAP'u

To sensacyjne opowiadanie,  
które zamieścimy w numerze  
wrześniowym napisał

**N. ARŻAK**

Autor drukowanych w "Kulturze"  
nowel: "Ręce" i "Mówi Moskwa"

## Notatnik nieśpiesznego przechodnia

Kompleksy i powstałe z nich zaburzenia psychiczne zostały opisane i skatalogowane przez psychoanalityków. Po nich wzięli się do tych tematów literaci. Eugenio Montale zwrócił niedawno uwagę na to, że dziś się tych rzeczy wcale nie ukrywa. Kto tylko potrafi znaleźć u siebie chociażby jakieś uczucie alienacji czy frustracji, opisuje je, nie przemilczając niczego, najdokładniej i wynosi na rynek. Z tego robi się obecnie literatura a czasami nawet niewielkie pieniądze. Ciekawi tych głębinowych półmroków mogą przechadzać się po nich swobodnie z psychoanalitycznym Baedekerem w ręku, niby wśród sztychów Piranesiego — mam na myśli *I Carceri* — pełnych okien bez światła i schodów nie prowadzących nigdzie.

Mechanizm zbiorowych zaburzeń równowagi psychicznej jest nierównie mniej znany. Ogarniający milionowe rzesze szal podbojów i rabunku lub, przeciwnie, uczucie zagrożenia i lęku przybierające postać psychozy obłąkanego miasta, stany zbiorowej egzaltacji patriotycznej lub rewolucyjnej brane są na serio jako groźne zjawiska natury. Brak nam wobec nich poczucia dystansu i krytycznego uśmiechu, z jakim patrzymy na zaburzenia psychiczne indywidualne. Sama już niestałość tych zbiorowych zjawisk pozwala porównywać je z stanami chorobowymi. W *Nowym wschodnim świecie* Aldous Huxley przewiduje możliwość leczenia ich przy pomocy rozpylania środków uspakajających. Oporne na perswazję, stany te czekają jeszcze na swych diagnostów i terapeutów. Załedwie tu i ówdzie, zwłaszcza gdy mamy do tego klucz historyczny, rozpoznajemy niejasno strukturę tego czy innego kompleksu zbiorowego.

*Kompleks Zachodu.* W *Zmianie warty*, książce Jana Błońskiego o najmłodszej literaturze polskiej, znajdujemy obszerny wstęp poświęcony tradycji, ciężącej obecnemu pokoleniu piszących. W rozdziale tym autor przeciwstawia litera-



ture polską literaturze Zachodu. Rzeczywistość polska — mówi — była inna, i wyrosła z niej literatura miała zasięg ograniczony, zaściankowy. Pisarze zbliżający się do wzorów zachodnich odrywali się od rzeczywistości, utwory ich stawały się estetyczną rozrywką i wystawiały się na zarzut snobizmu. Duch zaścianka i duch snobizmu — pisze Błoński — są Scyllą i Charbą naszej literatury.

Ta fajerwerkowa ocena krytyczna literatury polskiej od romantyków do Października wyszła spod pióra bardzo uzdolnionego młodego krytyka, którego nieraz jeszcze będziemy zapewne z przyjemnością czytali. Ale, jak to zwykle bywa po fajerwerkach, w chwilę po przeczytaniu tych słów ogarnia nas mrok niepewności. Autor powołuje się wprawdzie na Brzozowskiego, Irzykowskiego i Żeromskiego, którzy w podobny sposób przeciwstawiali literaturę Polski i Zachodu, ale żaden z tych autorytetów nie rozwiewa następujących się tu wątpliwości.

Pierwszą wątpliwość budzi niewymierność porównywanych przedmiotów. Literatury poszczególnych krajów można by wycenić na punkty, gdyby rywalizowały ze sobą jak ekipy sportowe. Ale czy rywalizacja jest w ogóle zjawiskiem literackim? Zdarza się wprawdzie, że współzawodniczą ze sobą książki ubiegające się o nagrodę, że zbierają punkty i głosy, ale dla ich oceny literackiej nie ma to żadnego znaczenia. O rywalizacji między Mickiewiczem i Słowackim nie możemy myśleć bez pewnego zażenowania. Gdy Chruszczow mówi o współzawodnictwie Rosji i Ameryki w dziedzinie produkcji przemysłowej, ulega zapewne mistyce cyfr, ale mówi o zjawiskach dających się z gruba przynajmniej zmierzyć statystycznie. W dziedzinie sztuki miary i wagi są innej, mniej uchwytniej natury. Przeciwstawiają się sobie szkoły, kierunki, koncepcje, mody i wrażliwości. Wprowadzając do porównań pojęcia krajów i narodów schodzimy z terenu literatury.

Wątpliwości budzi również zbiorowe pojęcie literatury Zachodu, obejmujące zjawiska o różnej historii i zasięgu. Nie brakło też prób wzajemnego porównywania ich w sposób przypominający metodę Błońskiego. W swej klasycznej rozprawie o roli akademii np. Matthew Arnold, porównując literaturę francuską i angielską, zarzuca tej ostatniej zaściankowość. Dla krytyka polskiego próbującego takich zestawień szczególnie pouczający byłby przykład literatury włoskiej, która przez kilka wieków była niewyczerpaną skarbnicą wzorów dla pisarzy innych krajów, potem zaś utraciła swe promieniowanie na zewnątrz i sama nawet znalazła się w zasięgu wpływów obcych. We Włoszech podzielonych na królestwa, księstwa i zabory literaturze nie brakło także służebności narodowych. Przez długi czas książka włoska nie wychodziła poza granice kraju. W Paryżu można ją było znaleźć tylko w małej księgarni utrzymywanej przez Banco di Roma. Pewna znajomość literatury

włoskiej zaczęła się szerzyć w Europie dopiero w ostatnich latach, być może nie bez związku z ewolucją ogólną Zachodu, jaka znalazła swój wyraz w Wspólnym Rynku. Literatura hiszpańska, która niegdyś dostarczała tylu wzorów Francuzom, znana jest na Zachodzie tylko nielicznym hispanizantom. Z głośniejszych pisarzy naszych czasów znał ją bodaj tylko Hemingway. Wpływy literackie ząbebiały się często o wpływy polityczne. Prestiż dworu francuskiego i zwycięstw Napoleona odegrał tak wielką rolę w podboju świata przez książkę francuską, że później dopiero, w perspektywie historycznej, można było ocenić jej rolę w życiu literackim Europy. Książka amerykańska trafiła do Europy razem z milionowymi armiami oraz powodzią dolarów i coca-coli. Będziemy musieli wprawdzie ochłonąć z wrażenia zanim określimy jej miejsce w naszych doświadczeniach czytelników. Zbiorowy termin „literatura Zachodu” obejmuje zbyt wiele różnych zjawisk, literackich i pozaliterackich, aby posiadać bliżej określoną treść. Ukrywają się w nim zapewne wspomnienia z okresu supremacji francuskiej i „cudzoziemszczyzny”, kiedy żupany i kontusze przeciwstawiały się frakom.

U krytyka polskiego kompleks niższości wobec literatury Europy Zachodniej łączy się z romantycznym kryterium nowości. Błoński żąda od pisarzy polskich „bezwzględnej nowatorstwa”. Patrzy więc z pewną zazdrością na stary ośrodek życia literackiego, skąd przez tyle wieków przywożono nowości do rodzimych zaścianków. Europa Zachodnia, dziedziczka tradycji greckich i rzymskich, posiadała najlepsze warunki do wytworzenia w różnych dziedzinach wzorów, naśladowanych później na peryferiach świata zachodniego. Tam, między Neapolem i Amsterdamem, między Hiszpanią i Renem, znajdowało się centralne laboratorium myśli, sztuki i mody. Czy jednak obraz ten jest jeszcze aktualny? Jak niegdyś Grecja, stary ośrodek cywilizacji zachodniej zmarniał w jałowych zmaganiach swej wojny peloponeskiej, i źródłem nowych pomysłów i formuł stały się jego peryferie. Na pytanie, jacy autorzy byli ostatnio najczęściej naśladowani, kto zaważył najwięcej na obecnym stylu literackim, przychodzą nam od razu na myśl trzy nazwiska: Franz Kafka, James Joyce i Ernest Hemingway. Zresztą, patrząc na konformizm szerzący się we wszystkich dziedzinach produkcji artystycznej, nie możemy się oprzeć wrażeniu, że i samo kryterium nowości nie ma już dziś dawnego znaczenia. Zanim przemyślimy całą sprawę na nowo, powołujemy się na nie mechanicznie, idąc za tradycją romantyków i futurystów.

Literatura polska wyrosła z tych samych tradycji co literatura Europy Zachodniej. Kto miał do czynienia z łaciną średniowieczną, mógł spostrzec, że mimo odległości dzielących wówczas Polskę od Francji lub Irlandii we wszystkich tych krajach używano tego samego języka. Słownik Du Cange'a służy bez różnicy dla wszystkich krajów, gdzie w wiekach średnich pisano po łacinie. Czytając naszych poetów barokowych

widzimy, że rozporządzają tym samym zapasem pojęć, alegorii i ornamentów stylistycznych co Giambattista Marini lub Luis de Gongora. Dopiero romantycy wnieśli do literatury trochę elementów miejscowego folkloru wymagających komentarza, zresztą zarówno dla swoich jak dla obcych. Poza nielicznymi wyjątkami w rodzaju *Wesela* nie ma w literaturze polskiej utworów, które nie byłyby całkowicie przejryste i zrozumiałe a nawet swojskie dla czytelników Europy Zachodniej. Łatwo się o tym przekonać rozmawiając z czytelnikami coraz liczniejszych przekładów z polskiego. Razem ze swą Scyllą i Charybdą, literatura polska nie oddalała się nigdy od głównego nurtu literackiego Europy Zachodniej.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że przeciwstawności, o których pisze Błoński, są w istocie pozaliterackiej natury. Wyczuwamy w nich kompleks opuszczonego „przedmurza”, zdradzonego alianta, Józefa sprzedanego przez braci. Można też zrobić literaturę, trudniej byłoby zrobić dobrą krytykę literacką.

*Kompleksy jagiellońskie.* Byłem szczerze wzruszony odezwaniem się Kazimierza Okulicza na moją notatkę o Łobodowskim. Snującemu meandry myśli eseiście rzadko się zdarza poruszyć drzemiące w czytelnikach uczucia, zwłaszcza mówiąc o sprawach zamglonych już przez oddalenie. Okulicz próbuje racjonalizować swój jagielloński sentyment, znaleźć dlań rzeczowe uzasadnienie. Argumenty jego nie przekonywują mnie całkowicie. Jakkolwiek zbyt śmiałość nie pociąga za sobą w myśleniu tak zgubnych następstw jak przy kierownicy lub przy ewolucjach na trapecie, chciałbym być tutaj ostrożny.

Rzecz w tym, że mówiąc o cywilizacji czy idei jagiellońskiej używamy słów skrojonych na wyrost i ukrywających bardzo skromną rzeczywistość. Sama nawet Rzplita Jagiellońska była tylko miejscem na wspólnotę ludów, która nie doszła do skutku. Wspólnota taka nie obchodzi się bez kosztów. Wymaga wyobraźni, odwagi, służących temu celowi instytucji, wyrzeczenia się wielu tzw. świętych praw, nie mówiąc już o wzajemnym szacunku, przyjaźni i tolerancji partnerów. Polacy, mając w tej sprawie inicjatywę, jeżeli nie zaprzeczali użyteczności takiej wspólnoty, nie chcieli ponosić jej kosztów. Miałem zawsze wrażenie, że mówiący o „idei jagiellońskiej” wcale jej sobie konkretnie nie wyobrażali. Ostatnim, kto o tym coś wiedział, był chyba Jerzy Niemirycz, ale i on urodził się za późno. Miejsce na wykonanie jego projektów kurczyło się coraz bardziej, wreszcie znikło.

Pozostała pewna ilość osób, które z przypadku urodzenia pochodziły z obszarów, gdzie niedoszła wspólnota mogła być powstać. Do czego streszcza się багаż ich wspomnień? Przeważnie tylko do znajomości miejsc, których inni Polacy nie znali, chyba jeżeli służyli w Korpusie Ochrony Pogranicza. Niewielka tylko garstka znała historię tych miejsc, jeszcze mniej

liczni wynieśli znajomość języka i wspomnienia przyjaźni z ludnością, którą Polacy uważali za obcą. O tych tylko można powiedzieć, że są w jakiś sposób naznaczeni przez pochodzenie. Wśród Polaków odnoszą wrażenie, że są z innej parafii. Tworzą szybko topniejącą garstkę; za lat dwadzieścia nie będzie ich wcale. Ich wspomnienia i poczucie odrębności nie są nikomu potrzebne prócz nich samych.

Do tego streszcza się rzeczywistość. Różne słówka jagiellońskie zdarza się jednak słyszeć także w ustach osób, których w wschodnimi obszarami dawnej Rzplitej nie łączy żadne osobiste doświadczenie, chyba że byli raz kiedyś w Druskienicach lub Kossowie. Tu mamy do czynienia z innym zjawiskiem. Są to ci, którym dolega historia. Słówka jagiellońskie są dla nich formułami ekspiacyjnymi, mającymi w podświadomej intencji oczyścić ich z grzechów przodków, z grzechów Jaremy Wiśniowieckiego, szlachty i sejmów. Błędy gramatyczne nie znikają z rękopisów od skropienia ich hizopem, i od grzechów przodków nie ma uciezki. Nie śmiejmy się jednak z osób szukających na nie lekarstwa w symbolicznych obrzędach. Chodzi tu o rzecz zupełnie niewinną. Jagiellońskie słówka mają bowiem siłę magiczną tylko dla tych, którzy je wymawiają: na innych nie robią wrażenia. Dla Ukraińców i Białorusinów, już od czasów Chmielnickiego, jagiellońszczyzna kojarzyła się tylko z pańszczyzną.

*Kompleks pańszczyźniany.* Trudno nam dobrze sobie wyobrazić czasy pańszczyźniane. To co słyszałem o nich od mego dziada, który spędził młodość pod panowaniem Mikołaja I, przypomina raczej zły sen niż rozdział historii. Toteż wspomnienia pańszczyźny utkwily na długo w pamięci chłopów. Jeszcze w okresie dwudziestolecia można było łatwo odróżnić dawne królewszczyzny od dawnych wsi pańszczyźnianych. W pierwszych chłopci — podobnie jak Kurpiowie i Huculi — rozmawiali swobodnie, interesując się przeważnie moimi poszukiwaniami z dziedziny historii i folkloru. W drugich chłopci byli nieufni, niechętni, mówili często tonem lamentującym, jak gdyby moje przybycie zwiastowało przywrócenie pańszczyźny lub przynajmniej zwiększenie podatków. Spostrzeżenia te dotyczą głównie wsi polskich; we wsiach ukraińskich pamięć pańszczyźny była mniej wyraźna. Zmyły ją zapewne tradycje buntów i wypadki nowsze, jak wyższa niż w Polsce skala zarobków, parcelacja stołypinowska itd. W latach, o których piszę, pańszczyźny nie było już od kilku pokoleń i na wsi nikt jej sobie nawet jasno nie wyobrażał, ale mit złych panów i złych czasów przemawiał wciąż żywo do wyobraźni. Chłopci mieli inne zmartwienia, ale aluzje do panów i pańszczyźny były nadal asem autowym w elokwencji wiejskich demagogów. Znakomity ksiądz Okoń, nie znajdując innych argumentów, wołał z trybuny sejmowej: „Lud znalazł ładnych obrońców: ksiązę Poniatowski, hrabina Kosmowska i baron Thugutt”.

Księżda Okonia przypomniał mi ostatnio Jurij Kosacz swym pamfletem *Bankiet dorobkiewiczów*, ogłoszonym w *Zasiłim okeanom* z listopada 1961. Jurij Kosacz jest naczelnym redaktorem tego sowiechochwalczego miesięcznika wychodzącego w New Yorku.

Są ludzie typu Alcybiadesa, przeznaczeni do wielkiej kariery, wszystko jedno gdzie, bądź w Atenach, bądź na dworze perskiego satrapy. Takim wydał mi się Jurij Kosacz, gdy spotkałem go przypadkowo w Niemczech w 1945. Ani dawna Galicja, ani Niemcy, ani emigracja, ani nawet Ameryka nie przyniosły mu honorów odpowiednich jego talentom i ambicjom. Pokusa nieumiaru musiała go w końcu zetknąć z Mecenasem o planetarnych i kosmicznych projektach. Nie wiem, czy jest to ostatni etap jego drogi.

*Bankiet dorobkiewiczów* jest pamfletem, porachunkiem Kosacza z emigracją ukraińską, która nie umiała go ocenić. Oto próbka jego stylu na miarę Adolfa Nowaczyńskiego:

#### Wyspa kielbas

„Potraw, proszę mi wierzyć — mówi Pantagruel o swoim pobycie na wyspie Papefigów — był niezwykle dostatek i trunków w bród”. Choć talentu niezrównanego Rabelego nam brak, piszemy tu dalszy ciąg jego opowieści. Cadillaci i Studebakery wspinałym sznurem posuwały się w kierunku Wyspy Kielbas, rezydencji naszego przyjaciela pana Dorobkiewicza, obchodzącego właśnie swe imieniny. Jeżeli jesteś, drogi czytelniku, salonfähig — mówiąc galicyjsko-elitarnym językiem — zobaczysz tam jak w kosztownym zwierciadle wysokie i najwyższe szczyble emigracyjno-galicyjskiej hierarchii kulturalnego dorobkiewiczostwa z jego bogami, półbogami, mandarynami i maklerami politycznymi. Ale na co tu Rabelais? Zwróćmy się do źródeł autentycznych: „Było mnóstwo ludzi, wszyscy bardzo *fashionable*; panie były jak wycięte z *society page*, panowie świeżo wyprasowani (!), w wyczyszczonych na glanc trzewikach... Zaczęto od wytworzonego kielicha pieniącego się szampana...”. Tak *Swoboda* opisuje przyjęcie na jakiejś innej nacjonalistycznej Wyspie Kielbas.

Nawiasem mówiąc talent poniósł tu nieco autora. Co bowiem złego w tym, że w Stanach Ukraińcy jeżdżą własnymi Studebakerami, gdy w rodzinnych kołchozach musieliby na to bardzo długo czekać? Pretensje Kosacza do ukraińskich emigrantów streszczają się do tego, że — jak ich polscy koledzy — mówią coraz gorzej swoim językiem, że cenią wyżej dolary i honory niż literaturę i sztukę, i że zachowali obyczaje i gusty właściwe Galicji XIX wieku. Zarzuty niewielkiej wagi, zapewne mocno koloryzowane, i nie byłoby o czym mówić, gdyby autor

nie przypisywał tych ukraińskich grzechów wpływom polskim, w szczególności paryskiej *Kulturze*. Moi czytelnicy nie uwierzą być może temu od razu, przytoczę więc główne ustępy tej części pamfletu.

#### Do źródeł!

Badając zjawisko tzw. elity halicko-włodzimierskiej w jej historycznych i aktualnych aspektach, stwierdzamy, że poddała się ona bliskiej jej klasowo elicie kalolicko-szlacheckopolskiej, nienawidząc jej jednocześnie. Jak lokaj nienawidzi swego pana i naśladuje go. Naśladowanie pańskich zwyczajów i kaprysów, jego mowy i stylu życia leży w naturze lokaja. Galicyjska elita szła jeszcze dalej. Nienawidząc polskiej arystokratycznej cywilizacji, nie tylko naśladowała ją, ale — prawdy nie da się ukryć — ubóstwiała. Nienawiść, zrodzona z lokajskiego poczucia niższości, wzrastała z biegiem wieków, bo nasza elita, mimo jej serwilizmu i braku własnego oblicza, była dla polskich panów elitą plebejską...

Na emigracji widzimy powrotną falę tego swoistego polonofilstwa, tego uwielbienia, serwilizmu i sentymentu w stosunku do polskości. Jest w tym coś ze znanego opowiadania Conrada o stosunku między księciem Romanem Sanguszką i jego pańszczyńnianym chłopem z Sławuty, spotkanym w Syberii na zesłaniu po powstaniu 1863...

Warto popatrzeć np., z jakim nabożeństwem elita naszej rodzimej diaspory czyta organ polskich hrabiów, książąt i ordynatów (ordynaci — przejrzyta aluzja do barona Zygmunta Hertza. Przyp. tłum.), paryską *Kulturę*. Trzeba podziwiać cielecą radość elitarnego literata, gdy utwór jego *Kultura* raczy wzmiankować w rubryce „książki nadesłane”. A jakim szacunkiem otaczani są ci z naszych śmiertelników, którzy dostąpili zaszczytu druku na stronicach organu księcia Giedroycia!

Niezawodnym chwytem księżda Okonia Jurij Kosacz usiłuje wbić klin między Ukraińców i ich polskich przyjaciół: „Ostrożnie, bo to panowie! Książę Giedroyc, hrabia Czapski i ordynat Mieroszewski. Uważajcie na pańszczyznę!”. Jest w nim coś z czarnoksiężnika siejącego złe czary. Nie wiem, czy uwierzą mu czytelnicy ukraińscy, dla których pamflet jego jest przeznaczony. Niejeden z nich zapewne poczuje się dotknięty tym, że Kosacz bierze go za naiwnego parafianina księżda Okonia. Pewne natomiast jest, że Jerzy Giedroyc, który włożył tyle serca w zyskanie dla swego pisma autorów ukraińskich i w zainteresowanie czytelników polskich sprawami ukraińskimi, będzie tym wystąpieniem głęboko zmartwiony. Nie rozpogodzi go nawet reklama, jaką Jurij Kosacz robi *Kulturze* w chwili, gdy w Polsce coraz surowiej zabrania się o niej mówić.

Jurij Kosacz wrócił raz jeszcze do tematów polskich w lutowym numerze swego pisma, z okazji „cywilizacji jagiełłońskiej”, wspomnianej dwukrotnie w *Kulturze*. Z wielkim nakładem cytatów z ksiąg starych i nowych dowodzi w swym artykule, że od czasów Lelewela emigranci polscy nigdy nie zrezygnowali z granic 1772 roku, i że wierni tej tradycji panowie z *Kultury* przygotowują się do rewindykacji Kijowa z Perejasławiem. Ponieważ nikt zapewne z jego czytelników nie da wiary tym wywodom, ograniczymy się tylko do zanotowania tego curiosum.

Paweł HOSTOWIEC

## WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- WSZYSTKIE LEKARSTWA
- MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- OKULARY
- POŃCZOCHY na ŻYLAKI
- WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

WYSŁE SPRAWNIE I BEZ ZWŁOKI

Największy Dom Wysyłkowy

### TAZAB & Co. Ltd.

Tazab House  
LONDON, S.W.7.  
22, Roland Gdns.,  
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd  
36, Third Avenue,  
NEW YORK, 3  
ALgenquin 4-4161

## O wstydzie i agresji

1. Wstyd jaki trzeba wziąć na siebie uprawiając niektóre rodzaje zajęć z trudnością daje się mierzyć. Może to być wstyd pochodzący z wycucia nieprzychylnego stosunku otoczenia do tych zajęć. Może to być też przede wszystkim obolałość ściśle własna, kiedy co robimy nie zgadza się z naszą wysoką ambicją, z naszym ideałem zachowania się. Zresztą obie odmiany splatają się zwykle ze sobą. Tak czy owak pewnej wiosennej niedzieli 1931 roku, wiedząc, że ukazał się właśnie, jako dodatek do wileńskiego *Słowa*, pierwszy numer naszego pisma *Żagary*, a w nim moje wiersze, nie czułem dumy tylko dotkliwy wstyd. Naturalnie zerwałem się wcześniej i pobiegłem do kiosku żeby gazetę kupić. Ale widok tych, co ją kupowali: kobieciny wychodzących z kościoła św. Jakuba, wąsatych ludków noszących wszędzie ze sobą aurę swoich drewnianych domków na Zwierzynicy, zawstydził mnie jeszcze bardziej.

Analiza tego przeżycia mogłaby zaprowadzić daleko. Tutaj wystarczy przyznać się, że byłem świadomy czym jest dla mnie poezja: leczeniem braku, zranienia, samoobroną. Ale odsłaniać się publicznie? Publicznie tzn. nie przed gronem mnie podobnych ale przed ogółem, który, moim zdaniem, takich rzeczy nie potrzebował. Od tamtej chwili pozostało we mnie ściśle rozróżnienie. Pisma czytane przez garstkę — to skromnie, pisma o dużym nakładzie — to nieskromnie. Nienstety *Żagary* wychodziły jako dodatek do gazety codziennej i dość szybko nabrały rozgłosu. Podziwiano nasz tupet, arogancję i energię witalną. „Wali to jak stado dzików przez chróst” pisał Stanisław Mackiewicz. Od wewnątrz ten tupet wyglądał inaczej. Owszem, mocą dziwnego sekretu miasta nasza młodość przypominała młodość Filomatów, przez wspólne wycieczki, majówki, dyskusyjne sesje i to ciągłe balotowanie, tak że z wierszy pokazanych przyjaciółom, jako żywo nie do druku, oni wyławiali ten czy ów i tak szło. Ale właśnie stąd

niepewność, obawa że to tylko inni podbijają nam bębenka. Jeżeli poprawnie teraz rekonstruuje swoje myśli, uważałem, że na publicznej widowni trzeba pojawiać się w zbroi, a nie obnosić swój mięksiz. W jakiej zbroi? W każdym razie żeby móc spojrzeć śmiało w oczy tym co kupują codzienne gazety czyli wykonywać czynność uznawaną przez zbiorowość za coś innego niż liryczne i awangardowe dziwaczności. No, może tylko „ważna” treść i jakaś forma metaliczna, mickiewiczowska czy puszkowska, że mucha nie usiądzie. Nie wiem czy inni czuli tak samo, podejrzewam, że tak. Najmniej może Teodor Bujnicki, dość harmonijnie współzyczący ze zwykłymi, nie-literackimi, ludźmi i raczej pozbawiony urazów, ale też u niego anty-literackość, która okazała się dużą siłą motoryczną, występowała najślabiej. Bo jeżeli byliśmy awangardą, to wstydzając się literatury. Kiedy zaczęliśmy przyciskać społeczny, lewicowy, pedał, jakby ulga. Wtedy już nie da się zbyć łatwo „młodych poetów” pobjaźliwym wzruszaniem ramion albo pokazywaniem palcem na czoło. Każdy już wtedy strzyże uszami: hoho, tu już pachnie czymś poważnym, polityką.

2. Taktyka terrorystyczna jest często stosowana przez izolowane, wyobcowane grupy, po to żeby siebie opinii narzucić. Co do wyobcowania, socjologiczne pomiary są tu zawodne. Żadne zewnętrzne cechy nie wyróżniały członków naszego zespołu spośród ich kolegów z ławy szkolnej, tych którzy zostali inżynierami, adwokatami, oficerami. A jednak pomiędzy każdym tego rodzaju zespołem jak nasz i inteligencją polską w sensie ludzi z maturą leżał wykopany topór wojenny. Zostawiam na boku politykę, bo jest zaledwie powierzchnią. Wyglądało to mniej więcej tak jak w *Pornografii* Gombrowicza, gdzie narrator i Fryderyk są w „towarzystwie” intruzami świadomymi swojej odrębności, i organizują grę, podżegając młodzież (a więc jeszcze płynność, nieokreśloność) przeciwko formie „dorosłej”, dla nich nie do zniesienia.

Z tym problemem musiałem borykać się całe życie. Zapewne w latach dwudziestych, kiedy wystąpiła grupa *Skamandra*, przedstawiało się to inaczej i jej związki z pewnym przynajmniej odłamem inteligencji były ściślejsze, o czym świadczyłaby popularność Skamandrytów. W latach trzydziestych kłębioło się już w zamkniętych pepinierach, rozdając kolegom tomiki wydane w 300 egzemplarzach. Powiedziałem, że polityka była zaledwie powierzchnią, bo zachodziło głębsze pokrewieństwo np. pomiędzy katastrofistami marzącymi o kryzysie i dobitności, a politycznym Józefem Czechowiczem obwarowanym w swojej poetyckiej twierdzy i Gałczyńskim, który wskoczył w *Prostu z Mostu*, dlatego że takie pismo, ze swoim ultra-nacjonalistycznym programem (uszy się nastawiają, to już nie literatura) mogło zapewnić mu publiczność. Co prawda w ostatnich latach przed wojną już zaczynała się szerzyć nowa

grafomania, pod Czechowicza albo pod Przybosia, zapowiadająca jakieś przesunięcia we wrażliwości a nawet mentalności. Niemniej nie przysięgłbym, że teraz, tu, w Kalifornii, jestem bardziej wyobcowany niż wtedy w Polsce przed r. 1939. Chyba mniej.

Formacja, która nas straszyla (odwołać się znów można do *Pornografii* Gombrowicza) poniosła w Polsce porażkę i układ się zmienił, powstały zupełnie inne napięcia. Jednak znalazłszy się za granicą napotkałem starą niewygodę, bo emigracja była inteligencją przedwojenną zamrożoną, czyli istotniejsze porozumienie — poza wyjątkami, ale te zdarzały się i przed wojną — było niemal niemożliwe. Wymijanie się autora i czytelnika nie może być sprowadzone do rzeczy względnie uchwytnych, jak różnice w poglądach i ideach; liczą się emocjonalne barwy, proporcje, akcenty, przejścia. Problem niebyłejaki, jeżeli się wie, że pisanie dla tzw. międzynarodowego rynku jest niewarte świeczki, a nie ma się ochoty przybierać póź dla potomności i tym siebie pocieszać.

Przywołuję dalsze i bliższe wspomnienia żeby coś zrozumieć z dnia dzisiejszego. Eksploracja z tego punktu mogłaby iść w różnych kierunkach. Najbardziej interesuje mnie zasada organizowania się młodych „awangard” w drużyny podboju a także kwestia ich broni — kiedy jest nią „wstyd literatury”, kiedy literatura.

3. Obok mnie siedziała kobieta nosząca na głowie donicę pokrytą kolorowymi piórami i jadła porcję lodów monstrialnej wielkości. Lody były polane czekoladowym sosem. Trochę mnie mdliło, że może aż tyle i że tak najwidoczniej rozkoszuje się, łakoma, więc odwróciłem się. Ale już nie umiałbym znaleźć w sobie ironii. Kobieta po prostu dla mnie istniała, jak miliony ludzi naokoło mnie i w każdym prawie z nich można by było odkryć jakąś szczególną absurdalność, dziwaczność, manię, od konika astronomii, po hodowlę paproci, łowienie rekinów, skoki z samolotu i otwieranie spadochronu tuż nad ziemią. Nic jej nie chciałem narzucać i nawet wyobrażałem sobie jej nieznanie mnie cnoty, pracownicy, matki, żony, którym nie musiał przeszkadzać jeden grzech, łakomstwa na słodycze. Byłem z nią równouprawniony i nie więcej niż ona wart, a literackie zajęcia ani mnie już nie zawstydzaly ani wzywały do zdobycia nad nią władzy, były moją prywatną rozprawą z życiem i śmiercią. Jakże inaczej wtedy, tak dawno, kiedy każdy wiersz czy artykuł, niezależnie od treści, przez samą swoją tonację, zrywał jej z głowy ten błazeński kapelus, deptał go, przewracał jej lody, a ją samą, idiotkę, która *powinna być przemieniona w intelektualną anielicę*, zapędział do czytania, bo ja wiem, Kanta. Ucząc się długo i z trudem, zdemokratyzowałem się. Tolerancja dla istnień rozwijających się podług swoich własnych prawideł.

A przecie, mijając w *Students' Union* półki na których leży mnóstwo awangardowych magazynów, zastanawiam się dlaczego przeczuciwszy jeden i drugi odsuwam je z niechęcią. I podejrzewam, że przyczyną jest ich jakby rezygnacja, ta sama, która wyraża się w mojej życzliwości wobec kobiety jedzącej lody. Każde z tych pism ma swoją małą klikę poetów i czytelników, swój rytuał, ale jaskrawe przybrania służą do odciążenia się, do podkreślenia odrębnych właściwości sekty równej sektom amatorów-astronomów. Brak tu agresji, woli zdobycia rządu dusz. Wprawdzie wspólna tym pismom jest pacyfistyczna jęklliwość, łagodny ból z powodu sytuacji świata, jest to jednak towar tylko dla brodaczy zbierających się w *Espresso* na rogu ulic (nazwy nie są zmyślane) Hearsta i Euklidesa. Pewnie że w takich a nie innych budowach wiersza, obrazach, metaforach kryje się więcej niż są skłonni odgadnąć nieuważni. Ale z zamiaru teraz, to pisząc, jestem nieuważny, to czasem wolno. W zaawansowanych cywilizacjach przemysłowych zaszły przemiany, które sprawiają, że nie łatwo jest określić przedmiot ataku, agresji, choćby potrzebę jej odczuwała sama krew krążąca w młodym ciele. Dlaczego tak się stało, można by nieskończenie. W wyniku różne awangardy, jeżeli próbują siebie narzucić, to jako przedstawicieli wybrednych literackich stylów i w grze na giełdzie mody odnoszą często sukcesy — dość wspomnieć o zespole autorów „anty-powieści”, który zdominował literacki Paryż całkiem skutecznie (choć szata pokutna i post byłyby tam dzisiaj może bardziej stosowne).

4. Oglądałem na telewizji godzinny wywiad z Uptonem Sinclairem. Wspaniały starzec 84-letni, w słowach, w spojrzeniu stalowa dobroć, rycerz prawdy, Don Kiszot — ale Don Kiszot, który *nie przegrał*. Europejczycy przedstawiali sobie Sinclaira zawsze fałszywie, przez analogię ze swoimi pisarzami tego gatunku. Podobna ostrość w demaskowaniu społecznego zła (choć przykładów aż takiej nie można właściwie w Europie znaleźć) używała się dla nich z gniewemzywającym do rewolucji. Ale Sinclair nie pisał swoich książek po to, żeby wpoić swoim czytelnikom rozpacz i doprowadzić ich do wniosku, że niczego się nie osiągnie zanim nie obali się ustroju. Pisał żeby zmieniać prawa i instytucje. Niemal wszystkie swoje batalie przedź czy później wygrywał i jeżeli Ameryka jest dziś inna niż w czasach jego młodości, nie mały w tym jego udział. Stąd zapewne jego optymizm. Zapytany o to, co wyłożyłem przed chwilą: ochłapanie awangard, zacieranie się wzorca ludzkiego do którego można by dążyć, odpowiedział, że widzi w Ameryce stały postęp, że obywatele są coraz bardziej politycznie świadomi, czego dowodem jest chociażby wybór obecnego prezydenta. Że ideał jego, Sinclaira, lat młodych, społeczna własność środków produkcji pod demokratyczną kontrolą, stopniowo będzie stawał się w Ameryce rzeczywistością, a nazwy znaczą tu mało, skoro

są dziś skompromitowane, jak się wyraził: zatrute przez wschodni despotyzm. W tym starym człowieku, którego *Dżungla* sprzedawała się w setkach tysięcy egzemplarzy kiedy nie było nawet prawdopodobieństwa że się urodzę, najbardziej uderzający jest humor, pogoda, brak łagodnego jęku, typowego dzisiaj dla poetów dwudziestoltnich. Ale też gra z publicznością, przez agresję czy wycofanie się, właściwa wszelkim literackim awangardom była mu obca. Ani konfliktu jak nasz, kiedy wydzielaliśmy się z inteligencji, ani konfliktu nowoczesnych brodaczy, dla których cel, ideał stał się niejasny, niesprowadzalny do ekonomicznych rozwiązań. Jakże inna tamta epoka i może Sinclair jest godny zazdrości.

5. Gdzie kontorsje młodych grup muszą być malownicze i jakoś zbliżone do naszych dawnych przygód, to w Ameryce Łacińskiej. Tak się przynajmniej domyślam. Meksyk jest tu blisko i coraz to ktoś wracający stamtąd opowiada o ruderach, gołych dzieciach i martwych krowach przy szosie pożeranych przez skrzydlatą służbę sanitarną. Prasa światowa dużo pisze o Ameryce Łacińskiej ale rzadko o stosunku przeciętnych obywateli Stanów Zjednoczonych do ich południowych sąsiadów. Jest to najczęściej desperacja i moralne oburzenie. I trzeba przyznać, że propaganda maluje tym soczysty obraz nędzy i nędzy. I artykuł wylicza: analfabetyzm, pół-głodowanie mas, korupcja wśród uprzywilejowanych, wysokie podatki nakładane na ubogich, niskie na bogatych. Gdyby autor był lewicowym dziennikarzem, ale nie, jest to relacja podróżującego businessmana. O Chile: „Nie zdarzyło mi się być w kraju, gdzie by rozpiętość między cenami i zapłatą za pracę była tak wielka. W Santiago właściciel małego przedsiębiorstwa zarabia 3.000 dolarów miesięcznie a jego najlepiej płatny pracownik ma 7 dolarów tygodniowo”. „W Santiago koszt utrzymania jest najwyższy na świecie, ale milionowe miasto nie ma swojej straży pożarnej”. I informacja o pszenicy posłanej przez Stany Zjednoczone głodującym Chilijczykom: wylądowała w destylarni alkoholu.

Polska lat trzydziestych nie odznaczała się zdrowiem swojej struktury społecznej, ale dystans pomiędzy murami wileńskiego

uniwersytetu czy Warszawą a poleską wioską był zapewne niczym w porównaniu z tym co przenika w świadomość kiedy wysunie się nos poza eleganckie dzielnice kilku wielkich metropolii Ameryki Łacińskiej. Można sobie wyobrazić jak to przygrzewa, ciśnię mikroscopijne pepiniery dwudziestoletnich intelektualistów, popychając ich albo do wrzasku, pokazywania pięści, albo, odwrotnie, do zawijasów przewyższających snobizmem osiągnięcia krajów żeglujących ku *welfare state*. Ale to musiałby opowiedzieć jakiś naoczny obserwator.

6. Nie ujmuje tematu w sposób klarowny, bo z założenia klarowność poświęcam na rzecz beztrudnej wędrówki po terenach mało zbadanych. Wstyd literatury, pochodzący z nieczystego sumienia — bo niby z czym do wąsatego chłopca, który tego nie potrzebuje — ma u podłoża cały galimastias mniej szlachetnych i szlachetnych odruchów: nadmierną ambicję, żądę uznania, miłość równości i sprawiedliwości. Może literaturę całkowicie zniszczyć, zaprzęgając ją w służbę spraw powszechnie uznanych za „poważne”. Ale może też być użytecznym bodźcem do ciągłego samo-przewycięzania się literatury, przez dobrowolną konfrontację jej form z czymś bardziej przyziemnym i dotykającym. Główną chyba zaletą „drugiej awangardy”, w Polsce lat trzydziestych był ten niepokój, zgrzyz, który nie pozwalał zadomowić się w żadnych chwytach i motywach raz wybranych. Czerpię tu z doświadczenia: tylko dzięki tej niezgodzie ze sobą napisałem podczas wojny cykl wierszy *Głosy biednych ludzi*, który i przez swoją technikę i pokazane postawy zawierał *in statu nascendi* późniejszą poezję Tadeusza Różewicza. Z kolei następców Różewicza się namnożyło i bunt przeciwko literackości zmienił się w układ literackich chwytów, znów wymagający przewycięzania, ale tak zwykle bywa. Niemniej od „drugiej awangardy” do młodej poezji w Polsce przebiega wyraźna linia, wyraźniejsza, sądzę, niż od Skamandra i krakowskiej „pierwszej awangardy” lepiej chodzących dokoła swego literackiego gospodarstwa. Czy w tej młodej poezji zwycięży jakaś nowa agresywność, czy też będzie działało „prawo łagodnego jęku”, nie wiadomo.

Nie ma powodu upiększać przypadłości młodego wieku, które są dość bolesne i upokarzające. Kiedy się swoje lata ma, skóra nasza robi się grubsza, a wyjątkowość naszej osoby czy zespołu podobnych do nas osób staje się wątpliwa. W znacznym stopniu pozbyłem się zażenowania, jakie towarzyszy poczuciu, że nasz głos nie jest na miarę wszystkich ludzkich tragedii. Coś niecoś ze wstydu jednak, mam nadzieję, zostało. Nie lubię literatury. Powinna być łamana, pokonywana, odzierać ze swoich przyzwyczajzeń — po to ostatecznie żeby raz jeszcze była literaturą, nie zabawą towarzyszką.

Czesław MIŁOSZ

## Kosmos

(początek powieści, będącej  
w opracowaniu)

Droga piaszczysta, gorąco drgająca, czarne drzewa iglaste wdzierające się między domki, pola ciemne pod słońcem sięgające aż po las, my zaś idziemy drogą w przejrzystym upale. Pot. Idzie Tun, ja za nim wlokę się i patrzę na jego nogawki, obcasy włożą w piach. Idziemy, idziemy, idziemy, patrzę w dół, ziemia, koleiny drogi, piasek i gruda, błyski z dołu, ze szklistych kamyków, górą blask, brzęczenie nieruchome upału. Skwar. Mnie wtedy do trzydziestki ze dwóch lat brakowało, aplikantem byłem w sądzie ale prawo już coraz bardziej mi brzydło i zaczynałem flirty z literaturą. Pojechałem w lecie do pewnej miejscowości na Podkarpaciu żeby się mimo wszystko do egzaminu adwokackiego przygotować, ale nie wiedziałem gdzie zamieszkać, bo wskazany mi pensjonat był jeszcze zamknięty — przypadkiem na ulicy spotkałem Tuna — widywałem go często za szkolnych czasów, ale potem przestałem widywać i nie powiem żeby mnie entuzjazmem wypełniło jego ryże oblicze, jasno blond wylupiaście, ze spojrzeniem wysmarowanym apatią. Ale okazało się, że też poszukuje pokoju, tudzież że ma adres dworku, gdzie i taniej, bo daleko, na samym wylocie — i właśnie tam szedł, zostawiwszy rzeczy w hotelu przy stacji, więc i ja z nim się wybrałem, zostawiwszy rzeczy, bo jednak wolałem z nim, niż w pojedynkę. Idziemy tedy, nogawki jego przede mną, wraz z obcasami, droga i gorąc, patrzę w dół, ziemia i piach, iskrzą się kamyczki, raz, dwa, raz, dwa, nogawki i obcasy, pot i śpik, z oczu niewyspanych powoli wszystko straciłem oprócz kroczenia tego oddolnego. Staął.

- Wypoczniemy?
- Daleko jeszcze?
- Niedaleko.

Rozejrzałem się i zobaczyłem to co — wiedziałem — było do zobaczenia i czego nie chciało mi się widzieć, bo tyle razy widziałem: sosny i płoty, świerki i domki, zielska i trawa, rów, ścieżki i grządki, pola i komin, powietrze — i to błyszczało od słońca, ale naprawdę było ciemne, czern drzew, szarość ziemi i odpychająco przyziemna zieleń roślin były jak oglądane przez zakopcone szkiełko. Pies zaszczekał. Tun skrecił w krzaki.

- Chłodniej.
- Chodźmy.
- Zaraz. Można by sobie przysiąc chwileczkę.

Zapusił się trochę głębiej w te krzaki, gdzie otwierały się wnęki, wgłębienia, zaciemnione splecioną u góry leszczyną i konarami świerków, zapuściłem wzrok w rozgardiasz liści, gałązek, płam świetlnych, zagęszczeń, rozziwów, parć, skosów, uchyleń i zakręgleń, w przestrzeń plamistą która nacierała i umykała, ucihała, narastała, bo ja wiem co, utracąca, rozwierała... nie wiedziałem, zgubiony i zalany potem, czując ziemię czarną i gołą, ziejącą z dołu. Tam, między gałązkami coś tkwiło — coś sterczało odrębnego i obcego, choć niewyraźnego... i temu przyglądał się teraz mój towarzysz.

- Wróbel.
- Acha.

Był to wróbel. Wróbel wisi na drucie. Powieszony. Z przechylonym łebkiem i rozwartym dzióbkiem. Wisi na kawałku cienkiego drutu, zahaczonego o gałąź.

Szczególnie. Powieszony ptak. Powieszony wróbel. Ta ekscentryczność krzyczała tutaj wielkim głosem i wskazywała na rękę ludzką, która wdarła się w gąszcz — ale kto? Kto powiesił, po co, jaki mógł być sens, jaki powód?... myślałem w gmatwaninie mroku i świateł, w całym tym rozrośnięciu wokół, obfitującym w bezmiar kombinacji, a trzęsąca jazda koleją, noc hucząca pociągami, niewyspanie, powietrze, słońce, marsz tutaj z tym Tunem, koleiny i grudy, obcasy, nogawki i kamyczki i liście, i wszystko w ogóle przypadło naraz do tego wróbla, jak tłum na kolanach, a on zakręlował mocą swej ekscentryczności, która wynosiła go ponad wszystko... i kręlował w tej swojej świątyni nad czarną ziemią twardą, w tym zakątku.

- Kto by go mógł powiesić?
- Jakiś dzieciak.
- Nie. Za wysoko.
- Chodźmy.

Ale nie ruszył się. Wróbel wisi. Ziemia była goła, ale miejscami nachodziła ją trawa krótka, rzadka, wałało się tu sporo rzeczy, kawałek zgiętej blachy, patyk, drugi patyk, tektura podarta, patyczek, żuk, mrówka, druga mrówka, robak nieznan, szczapa i tak dalej i tak dalej, aż ku zarośłom u podnóża krzaków — on przyglądał się temu, podobnie jak ja. Chodźmy. — Chodźmy. Ale jeszcze stał, patrzył, wróbel wisi, ja stałem, patrzyłem. — Chodźmy. — Chodźmy. Nie ruszaliśmy się jednak, może dlatego, że już za długo tu staliśmy i upłynął moment stosowny do odejścia... a teraz to stawało się już cięższe, bardziej nieporęczne... my z tym wróblem, powieszonym w krzakach... i zamajaczyło mi się coś w rodzaju naruszenia proporcji, czy nietaktu, niestosowności z naszej strony, która mogłaby nawet przemienić się w brutalność, a w każdym razie była przykrą niezręcznością. — No, w drogę! — powiedziałem nie bez irytacji i oderwali się... odeszliśmy... pozostawiając w krzakach zwisanie wróbla, same, sam na sam.

A dalszy pochód po drodze, pod słońcem, sparzył nas — i zdudził — po kilkunastu krokach ustaliśmy, niezadowoleni, naburmuszeni i znowu pytałem — Daleko?, Tun zaś odrzekł ukazując palcem tabliczkę, wywieszoną na płocie: — Co prawda tu także mają pokoje do wynajęcia. Spojrzałem. W ogródku stał dom z tych oszczędnościowych i pośpiesznych, ściany tylko, bez żadnych ozdób ani balkonów, z dwoma rzędami okien, po pięć, z gankiem skąpym, gołym — nudny, sterczący sześcian z cegieł i cementu, co zaś do ogródka, to było tam parę ścieżek żwirowanych, kilka karłowatych drzewek owocowych, trochę bratków mdlejących na grządkach. — Można by zobaczyć — dodał — co szkodzi, czasem w takiej budzie zdarza się wyzerka palce lizać, a może być tanio. Ja też byłem gotów zajść, zobaczyć, choć poprzednio minęliśmy kilkanaście takich tabliczek nie zwracając na nie uwagi — ale zagubił mi się cel nasz i nawiedziło zniechęcenie. Lało się ze mnie. Skwar. Otworzył furtkę i posuwaliśmy się po żwirowanej ścieżce ku połyskującym szybom w gorącu cichszym tutaj, suchszym i odosobnionym. Nacisnął dzwonek, postaliśmy chwilę na ganku z dwoma krzesłami i otworzyły się drzwi, pojawiła się w nich kobieta już bliska czterdziestki, jakby służąca, jakby gospodyni — ale w czarnej sukni, dosyć strojnej. — Chcielibyśmy zobaczyć pokoje. — Chwileczkę, zaraz poproszę panią.

Czekaliśmy na ganku. Ale to wszystko, tu teraz przeze mnie uwypuklane i wyszczególniane nie było wówczas niczym więcej, jak tylko jednym ze stu tysięcy doznań dnia, wypełnionego, jak wszystkie dni, czynnościami, słowami, zdarzeniami, wrażeniami, będącego rojem brzęczącym zjawisk, oparem, szumem, tumanem, kaskadą świetlistą, w której my żeglowaliśmy, i umyślnie łączę



„żeglowanie” z „kaskadą”, aby zastrzec się przeciw jakiegokolwiek ścisłości, albowiem nic tam nie było prócz rozproszenia i zagubienia, przewalania się z fali na falę w odmęcie, w wielkim rozhoworze i rozwałęśnianiu szumu oszałamiającego i roztapiającego. Co mnie zastanowiło w tej kobiecie, to dziwny zarys ust na twarzy pocziwej i krągłej gospośi o jasnych oczkach — ale usta miała niesymetryczne, z jednej strony jak gdyby nadcięte i to ich przedłużenie ciut, ciut, o milimetr, powodowało wywinicie wargi górnej, wywinicie jakby uskakujące, czy wyslizgujące się, prawie jak płaz, ta zaś oślizgłość uboczna, umykająca, odstręczała zimnem płazowatym, żabim, a jednak mnie z miejsca rozgrzała i rozpałała będąc ciemnym przejściem wiodącym do grzechu z nią płciowego, śliskiego. Tak ja to odczułem. I zbaraniałem na dźwięk jej głosu — bo spodziewałem się nie wiedzieć jakiego głosu w takich ustach, a tu odezwała się, jak zwykła gospodyni, starszawa, zażywna. Teraz słyszałem ją z wnętrza domu: — Ciocia! Panowie przyszlizli o pokój!

Ta ciotka, która po chwili wytoczyła się na krótkich nóżkach, jak na wałku, była osobą niską i okrągłą — i kilka zdań wymieniliśmy, tak, owszem, jest pokój dwuosobowy z utrzymaniem, panowie pozwolą! Zapach mielonej kawy, mały korytarzyk, sionka, schody drewniane, panowie na długo, a, studia, u nas spokój, cisza... na górze znów korytarz i kilka drzwi, dom był ciasny. Otworzyła ostatni pokój z korytarza, który obejrzałem od jednego rzutu oka, gdyż był, jak wszystkie pokoje do wynajęcia, ciemnawy, z zapuszczoną roletą, z dwoma łózkami i z szafą, z wieszakiem, z karafką na spodku, z dwiema lampkami przy łóżkach, bez żarówek, z lustrem w zabrudzonej ramie, brzydkiej. Trochę słońca zza rolety osiadało na podłodze w jednym miejscu i dolatywał zapach bluszczu wraz z brzęczeniem bąka. Tylko że... a jednak zdarzyła się niespodzianka, gdyż jedno z łóżek było zajęte i leżał na nim ktoś, kobieta, i nawet mogłoby się zdawać, że nie leżała zupełnie tak jakby należało, choć nie wiedziałem (i dokąd nie wiem) na czym polegała ta, powiedzmy, odrębność — czy, że łóżko było bez pościeli, z materacem jedynie — czy że mnie się przymieszała nieregularność tamta, ustna, z dołu — czy, że w układzie jej członków było coś niezgodnego z prawem anatomii — albo z innym prawem — ale też nie było wykluczone, że to jej noga, leżąca częściowo na żelaznej siatce łóżka (gdyż materac trochę się przesunął), że połączenie nogi i metalu zaskoczyło mnie w tym dniu gorącym, brzęczącym, męczącym. Spała? Ujrzawszy nas, siadła na łóżku i poprawiła włosy. — Lena, co ty tu robisz, złotko? Także coś! Panowie pozwolą, moja córka.

Odpowiedziawszy skinieniem głowy na nasze ukłony, wstała i wyszła, a to odbyło się cicho — cisza, zawarta w jej ruchu unicestwiła we mnie myśl o anormalności.

Pokazano nam jeszcze sąsiedni pokój, identyczny, ale nieco tańszy, gdyż nie łączył się bezpośrednio z łazienką. Tun usiadł na łóżku, pani dyrektorowa Wojtysowa na krzeselku i w rezultacie ten tańszy pokój został przez nas wynajęty z utrzymaniem, o którym dyrektorowa mówiła „panowie sami zobaczą”. Śniadanie i obiad mieliśmy spożywać u siebie, a kolację na dole, z rodziną. — Jedźcie panowie po rzeczy, a ja tu z Natasią przygotowuję wszystko.

Pojechaliśmy po rzeczy.

Wróciliśmy z rzeczami.

Rozpakowaliśmy się, a Tun tłumaczył, że się udało, pokój niedrogi, tamten, co mu polecono, na pewno droższy... a do tego dalej... Wyżerka będzie prima, zobaczysz! Mnie coraz bardziej nużyła ryza jego twarz rybiooka i... spać... spać... wydrażony zmęczeniem podszedłem do okna, wyrzałem, prażył się tam ten mizerny ogródek, dalej płot i droga, a za nią dwa świerki, które znały miejsca w zaroślach, gdzie wisiął wróbel. Rzuciłem się na łóżko, zawirowałem, zasnąłem, i wtedy zawisły nade mną usta wyslizgnięte z ust, wargi będące bardziej wargami dlatego, że mniej były wargami, i rozpałało mnie zimno tej śliskości ubocznej, pokątnej. Ale już nie spałem. Byłem obudzony. Nade mną stała ta gospodyni. Był ranek, ale ciemny i nocny. Tylko, że nie był to ranek. Ona budziła mnie: — Państwo proszą na kolację. Wstałem. Tun już buty nakładał. Kolacja. W stołowym, ciasnej klitce z kredensem lustrzanym, kwaśne mleko, rzodkiewki i wymowa pana Wojtysa, ex-dyrektora banku, z sygnetem, ze złotymi spinkami: — Ja, uważa pan kochany, przydzieliłem się teraz własnej połowicy mojej do dyspozycji i używany jestem do posług szczególnych, jak kran jaki nawali, albo radio... Więcej maselka do rzodkiewek radzę, u nas masło domowe...

— Dziękuję... Świeżutkie...

— Musi się skończyć burzą ten upał. — Słyszałaś papa grzmoty, za lasem, daleko? — Takie grzmoty to właśnie na pogodę. — Jeszcze trochę mleka? — Trzeba przyznać, moja żona spec od kwaśnego mleka, ciekawe, niech panowie sobie wyobrażą, cały cymes w przyrządzaniu zsiadłego mleka, to garnek... wszystko zależy od garnka... — Co ty tam wiesz, Leon! — Ja bridżysta, proszę panów, ex-bankowiec, obecnie bridżysta, choć mnie żona zwalnia tylko na popołudnia, ha, ha, ha! Bridżysta jestem, jak Boga kocham! — Natasiu, już można podać pieróg. — A panowie z myślą o studiach?... Odpowiedziałem, że chcę przygotowywać się do egzaminu adwokackiego, a Tun ma do opracowania

statystyki dla towarzystwa ubezpieczeń, w którym pracuje, i tak toczyła się rozmowa, Natasia pojawiła się z półmiskiem, w czarnej sukni, zanadto strojnej — niosła przed sobą półmisek, oraz swoją przypadłość wargowo-ustną, niezbyt wyraźną — i kiedy Lenie podsunęła półmisek, te jej usta zepsute zawisły nad ustami Leny i odniosłem wyraźne wrażenie, że usta odnoszą się do ust, ale czułem się nadal sennie, Tun coś mówił blade, białe, z flegmą, jadłem pieróg, mówiono teraz, że kurz na drogach i że polewaczka magistracka się zepsuła, pytałem, czy noce są chłodniejsze, skończyliśmy pieróg, pojawił się kompot i, po kompocie, Natasia podsunęła Lenie popielniczkę, która pokryta była siatką z drucików ni to echo słabowite tamtej siatki, na której noga Leny, gdy wszedł do pokoju tamtego, gdyśmy otworzyli drzwi, kiedy to jej stopę, część łydki zastaliśmy na siatce... etc... etc...

Poczułem się, jak na fotografiach koń spiętrzony przed przeszkodą, zastygły w skoku — zawisłem — ale zaraz odeszła Natasia, Lena przesunęła popielniczkę na środek stołu — i opadłem — i zapalałem papierosa, nastawiono radio, pan Wojtys pobębnił palcami po stole i zanucił melodyjkę, coś w rodzaju „ti-ri-ri”, ale zaraz urwał, po czym znowu pobębnił i znowu zanucił i znowu urwał. Było ciasno. Pokój był za mały. Jeszcze przyjrzałem się ustom Leny stulonym i rozchylonym, ich nieśmiałość była zbyt... zbyt... w każdym razie zanadto... i już nic więcej, dobranoc, idziemy na górę, a Tun rozbierając się mówił — Familijny nastrój, takie sobie... Zasnął. Zasnąłem. Obudziłem się.

I upłynęło z parę minut zanim, zaszyty pod prześcieradłem, odnalazłem siebie w pokoju z szafą, ze stolikiem, z karafką i pojąłem swoje położenie względem okien, drzwi — co mi się udało dzięki wytrwałemu, a cichemu wysiłkowi mózgowemu. Długo wahałem się, co robić, czy spać dalej, czy nie spać... nie chciało mi się spać, ale nie chciało mi się i wstawać, więc głowiłem się, wstawać, spać, leżeć, wreszcie wysunąłem nogę i siadłem na łóżku, a kiedy siadłem zamajaczyła mi się biaława plama okna zasłoniętego i, zbliżywszy się bosy, uchylilem rolety: tam, za ogródkiem, za płotem, za drogą, tam było miejsce gdzie wisiał wróbel powieszony wśród gałęzi pogmatwanych, z ziemią czarną u dołu, na której były tekturka, blaszka, szczapa, tam gdzie czuby świerków plawiły się w księżycowej pełni. Zasłoniłem okno, ale nie odszedłem, gdyż przyszło mi na myśl, że Tun może mi się przypatrywać.

Rzeczywiście, nie słychać było jego oddechu... a jeśli nie spał, to widział, że ja przez okno wyglądałem... co nie byłoby niczym niepożądanym, gdyby nie noc i ptak, ptak i noc, ptak w nocy, ptak z nocą. Gdyż w nocy moje wyglądanie przez okno musiało

dotyczyć ptaka... i to mnie zawstydziło... ale cisza przedłużająca się zanadto i nazbyt zupełna, przemieniła mi się szybko w pewność, że Tuna nie ma, tak, nie było go, na jego łóżku nikt nie leżał. Odśloniłem okno i w świetle jak z mleka drżącego ukazała mi się pustka tam, gdzie miał być Tun. Dokąd poszedł?

Do łazienki? Nie, szmer wody, dochodzący stamtąd, był samotny. Ależ w takim razie... ten głupiec... ten głupiec... a nuż ten głupiec w sekrecie przede mną dokonywał inspekcji? Śledził. Badał. Może i gdzie się zaczął... i to w związku z ptakiem powieszonym, bo ten ptak go zainteresował, zaintrygował, chciał się zabawić w detektywa, dowiedzieć się kto i po co wieszal, i jeśli wybrał ten dom, to przecież nie tylko dlatego, że nie chciało się nam iść dalej, ale i przez ciekawość trochę niezdrową, bo to był jedyny dom w bezpośrednim pobliżu ptaka. Najpewniej wyszedł, żeby jeszcze raz tego wróbla obejrzeć, sprawdzić może jakąś hipotezę, która mu się nasunęła... albo obserwował dom... skąd mógłem wiedzieć, co się przytrafiało tej wyobraźni głupiej, z którą od lat nie miałem styczności? W każdym razie było to zdarzenie lekkomyślne i wybitnie nieprzyjemne, które i mnie dotyczyło, wskutek którego nasza obecność w tym domu zyskiwała inny charakter przestając być zwykłą obecnością sezonowych lokatorów i, co więcej, wróbel tam, za drogą, też przestawał być zwykłym wróblem...

Sam w tym pokoju z szafą, łózkami, karafką, byłem niezadowolony... Jeśli rzeczywiście poszedł do wróbla... Jeśli zdobył się na to żeby w nocy wstawać, iść do wróbla... czymże tedy stawał się wróbel wczoraj mimochodem przez nas zauważony, który chwilowo nas zaciekał, oto ponowne uderzenie przeobrażało przypadkowy akord w coś, co już nie mogło pozostać bez konsekwencji. Dureń! Wymknął mi się, poszedł tam... i teraz co? Nie wiedziałem co robić, ale nie mogłem już pozostać bezczynny — nałożyłem spodnie, otworzyłem drzwi na korytarz, wychyliłem głowę. Pusto i chłodno, na lewo ciemność bladła w miejscu, gdzie zaczynały się schody, było tam bowiem małe okienko, nasłuchiwałem, ale nic... przeklęty kretyń, o, jak przeklinałem jego ryżę, wyłupiaste kretyństwo! Wyszedłem na korytarz, nie robiąc sobie złudzeń że, jeśli on niedawno po cichu wychodził, a teraz ja po cichu wychodzę... to to jest o wiele gorzej!

I gdy opuściłem pokój uprzytomniłem sobie strukturę domu, cały ten jałowy, retoryczny, scholastyczny układ, rozgałęzienia pokoiów, kombinacje ścian, sionek, przejść, sprzętów i nawet osób... czego nie znałem, z czym ledwie się zapoznawałem.

Ale znajdowałem się na korytarzu obcego domu w nocy, bosy, w spodniach tylko i w koszuli — to więc było zmysłowe

i było jakbym szedł do... do Natasi, do jej wargowo-śliskiej nikczemności, zimnej i lubieżnej, płazowato wysysającej i ubocznie świńskiej, ja, w koszuli, w spodniach, w obcym domu, i to mnie przewierciło dreszczem lodowato rozpalającym. Gdzie ona spała? Posunąłem się kilka kroków, doszedłem do klatki schodowej i wyjrzałem przez małe okienko, jedyne na korytarzu, które wychodziło na drugą stronę domu, przeciwległą drodze i wróblowi, na spórą przestrzeń okoloną murem i oświetlaną przez księżyc, gdzie widać było tenże sam ogródek ze zwirowanymi ścieżkami i karłowatymi drzewkami, przechodzący w dalszej części w teren pusty z kupą cegieł, z budką... Na lewo, tuż przy domu, był rodzaj przybudówki, pewnie kuchnia, pralnia, może i Natasia tam kołysała do snu figiel swych usteczek...

No tak... Tylko że zwrócił moją uwagę komin na dachu kuchni, właściwie nie komin, a to, że za tym kominem był inny komin, czy rura po prostu, załamanie rynny, dobrze nie było widać, ale coś tam za tym kominem się majaczyło, i za nadpsuciem ubocznym ust Natki ukazało mi się stulenie w rozchyleniu warg Leny, świeżych nieśmiała — rzecz nagła! — i to „odniesienie się” warg do warg było takie, jak podczas kolacji, kiedy Natasia podsuwała popielniczkę, z tą tylko różnicą, że teraz Lena była głębiej, za Natasią. Skombinowanie się tych ust we wzajemnym ku sobie odniesieniu, we wspólnym układzie, stało się faktem niesamowicie wstrząsającym, z którym nie bardzo wiedziałem co począć i za który czułem się poniekąd osobiście odpowiedzialny — ale był to fakt, fakt nie ulegający wątpliwości, że usta były z ustami tworząc kombinację ustną dziwnego rodzaju, podobną do umieszczenia ust względem ust na mapie... Lena! Natasia nic mnie nie obchodziła! O Lenie myślałem!

Zagospodarowanie w zepsuciu tej gospodyni uczyniło wyraźnym coś, co od pierwszej chwili dostrzegłem, mianowicie wstydlivość stulenia wargowego Leny, tę dziewczicość — która dopiero teraz uderzyła mnie, jak pałką. Zdziwiło mnie jednak i zastanowiło, że dziewczicość owa i wstydlivość wcale nie były nie do pogodzenia z zepsuciem, przeciwnie zdawały się chłonać niewinnie zarys plugawy natasin i to chętnie, jakby niezdolne odróżnić wilka od baranka, wszystkiemu otwarte, wszystko przyjmujące... i owa chłoność nieśmiała bierności wstydlivej tak mało się różniła od najrozwiąźlejszego apetytu, że kontrast pomiędzy przyzwyczajoną a zepsuciem stał mi się znieca, ku memu przerażeniu, żaden, ba, cały ten ładunek zdeprawowania przeniesiony z ust na usta, wszczepiony w czystość, stał się bardziej z francuska pikantny, pieprzny i ekscytujący! I ja, do gruntu zepsuty, do kości, bez ani jednej fibry w sobie, która by nie była zepsuciem, pożą-

dałem na zimno, z zapartym tchem i bez ruchu, czystości plugawej, niewinności rozpusznej, nieśmiałości wyslizgującej się ubocznie w beczelną rozwiąźłość!

Ale temu towarzyszyło wzrastające roztargnienie. Nie wiem, czy zgodzicie się ze mną, że nadmierne skupienie uwagi na jednym przedmiocie wwołuje uczucie roztargnienia, raczej może zagrożenia roztargnieniem — gdyż ten jeden przedmiot przesłania wszystko inne, całą resztę — wpatrując się w jeden punkt na mapie wie się jednak kąciakiem świadomości, że wymykają się spod kontroli wszystkie inne punkty... uzyskując wolność! Ja, zapatrzony w komin i w tę rynnę za nim, a poprzez nie w usta, w parę ust (jakbym badał położenie względem siebie dwóch miast na mapie), męczyłem się przecież w roztargnieniu, czułem, że coś mi się wymknęło, coś bardzo ważnego i niebezpiecznego, naglącego, i że to coś buja poza mną na wolności... Tun! Gdzie się podziewał, co robił, musiał przecie gdzieś tu być, ach, głupiec, dlaczego się wymknął na wolność?... Ponownie oczom moim ukazała się przestrzeń przed domem, w całości swojej, drzewka, ścieżki w pełni księżycowej przechodzące w plac, z tą kupą cegieł, aż po mur, biały do niemożliwości, ale wiedziałem, że patrząc na tę stronę domu nie widzę tamtej strony domu i natężenie światła księżycowego zbiegło mi się z natężeniem wróbla powieszzonego, który tam był, za drogą, mnie niedostępny, na swobodzie.

Ale, uwaga! Co to? Usta mi się wymknęły! Utraciłem usta goniąc za wróblem! Brak jakiegokolwiek związku pomiędzy wróblem a ustami, niemożność, że tak się wyrażę, umieszczenia wróbla i ust na jednej mapie, był przyczyną tego, że za wróblem goniąc zaprzepaściłem w sobie usta... Więc znowu rzuciłem się ku ustom na usta, usiłując w owym roztargnieniu odnowić w sobie moje zepsucie, żądzę, moje rozpalenie — ze skwapliwością człowieka, który coś zgubił.

Zaraz... chwileczkę... jeszcze coś... nieoczekiwanego... i przypisuję to przede wszystkim roztargnieniu, będącemu następstwem zbytnej koncentracji, tak, musiał to być rodzaj żartu, *qui pro quo*: nie wiadomo skąd i jak, znieca, gdy tak gonił za ich ustami, natknąłem się na własne usta. Moje usta przyplątały mi się do ich ust! Cóż powiecie? Ciekawe! Musiał to być rodzaj mechanicznego zsumowania na jakimś pustym polu, raz, dwa, trzy, usta Natasi, usta Leny, moje usta, skojarzenie machinalne, przedłużenie łańcucha ust o jedno ogniwo... tak, czy siak, czy owak, poczułem na sobie moje usta i stałem z ustami, z tym trojgiem ust, w tym trojgu ust, w tym nagłym ustnym wzmożeniu i rozmnożeniu, nie bardzo wiedząc co...

Z uśmiechem Naryza.

Wróciłem do pokoju i prędzej, niżby można było oczekiwać, zasnąłem.

Nazajutrz, wydobywszy książki i papiery, zabraliśmy się do pracy — mój egzamin, jego statystyki. Nie pytałem go, co robił w nocy, a także niechętnie wracałem myślą do własnych przygód na korytarzu — wstrzymywałem się z myślami, czekałem na kolację, chciałem przede wszystkim jeszcze raz przyjrzeć się, zobaczyć... Popołudniu pojechaliśmy autobusem „do miasta”, załatwiłmy kilka sprawunków i wałęsaliśmy się po placu, ale w przędcie wylazła z niego nuda i zaczęła nudzić — nic bowiem nie było bardziej niepodobne do Tuna, niż spacer, nie umiał chodzić inaczej, jak w określonym celu, gdy chodził dla chodzenia tylko z oczu robiły mu się szparki, i, nie ziewając, ział jednak ziewaniem, oddychał próżnią, jego nos, policzki, uszy przeraźliwie jasne, białawo-żółte, topiły się w bezmyślności. Spróbowałem o kobietach, widzisz tę przysadzistą, patrz, ruda, ale gdzie tam, czułem, że nie warto gadać póki gadanie nie zostanie umieszczone w konkretnym chodzeniu za jedną z nich, z określonym zamiarem. Podwieczorek w cukierence. Wróciliśmy do domu. Nadeszła kolacja i spożywaliśmy kwaśne mleko, a naprzeciwko mnie siedziała Lena.

Ale cóż za wytrącenie, przemieszczenie, zrujnowanie! Była męzatką! Mąż zjawił się, gdyśmy już byli w trakcie jedzenia, i teraz schylał nad mlekiem nos podługowaty... a ja przyglądałem mu się z niesmaczną ciekawością, jaką wzbudza partner erotyczny interesującej nas kobiety, ten jej widomy sekret alkowiany. Cios... tak... ale nie żeby mnie zazdrość brała, a tylko że Lena stała mi się naraz doszczętnie inna powodując zamęt w wyobraźni — myślałem, że było dziewicze to wszystko w niej, nieśmiałość, ta rezerwa, chłonność... a tu się okazywało, że było kobiece! Widać pobrali się niedawno, niekiedy nakrywał dłonią jej rękę, zbliżał do jej twarzy swoją, końską i zaglądał w oczy — był to zresztą spory chłop, nieźle wyglądający, architekt, zatrudniony przy budowie hotelu — ale miał w sobie coś irytującego: samowystarczalność. Mówił niewiele, sięgał po rzodkiewkę, nacinał, smarował, wsadzał do ust, a te czynności wypadały mu konsekwentnie i metodycznie, istniało tu jakieś subtelne poczucie granicy pomiędzy jedną czynnością a drugą, zaznaczało się wyraźnie, że przechodzi od jedzenia rzodkiewki do krajania chleba i że potem przystępuje do wzięcia udziału w rozmowie. Do nas, nowoprzybyłych, zwrócił się kilkakrotnie przez grzeczność, po czym odłożył to, jako już załatwione, i zabrał się do czego innego. Ale gdyby sam Einstein był na naszym miejscu, nie wzbudziłby chyba w nim większej ciekawości, gdyż rzucało się w oczy, że ten człowiek nie chce wychylić się poza krąg, w którym się zadomowił — reszta to był

dla niego teren obcy. Czy potraktowałby Einsteina, jako partnera do szachów? — nas w każdym razie zapytał, czy gramy, i na pewno musiał nieźle poczynać sobie na szachownicy, skoro go interesowała, wątpliwe aby zapuszczał się w dziedziny, których nie opanował, gdzie nie miał przewagi. A przecież zadawał sobie trochę trudu aby być uprzejmym i ludzkim, zwłaszcza w stosunku do teściów, wtrącał od czasu do czasu swoje uprzejme „hmmmm” do rozmowy, lub nachylał się nad stołem i zaglądał z uśmiechem życzliwym w oczy — kiedy zapytałem, czy lubi Mozarta (bo mowa była o koncertach radiowych) po prostu nie odpowiedział, ale zaraz pochylił się i zajrzał mi w oczy, jakby zapewniając o najlepszych swoich intencjach, a potem zabrał się do oglądania sobie paznokci. Pilnował swego ograniczenia aby zapewnić sobie dogodniejszą sytuację? Czy też to poczucie granicy było w nim silniejsze, niż w innych — i było wrodzone jego naturze? Ale skłonność do zachowania dystansu i przedziału przeobrażała się naraz w coś wręcz przeciwnego, zbliżał się zanadto, zaglądał w oczy ze zbyt bliska, oblewając oddechem jakby był krótkowidzem, ujmował pod ramię, przyciskał czule... aby zaraz oddalić się i przystąpić do czegoś innego.

Lena? Nie jest przyjemne gdy kobieta, która się nam spodobała, pojawia się u boku kogoś, kto nam się nie podoba, i pozostając pociągająca staje się jednak odpychająca w tym, co sobie upodobała. Jednakże... czy ona co czuła do niego... i co? Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje, deklamowałem po cichu — ale co wybrać? — mogła równie dobrze uśmiechać się do niego i nienawidzić, co uśmiechać się i kochać, dlaczego nie, przecież brano ją za rękę, zaglądano w oczy przymilnie nawiązując być może do innych pieszczot — jakież więc znaczenie mogły mieć jej uczucia, spychane w bierność? — i ona tam, w wieczystej nieśmiałości swojej, mogła być taka i owaka, na rozmaite sposoby, kochająca lub nienawidząca, i to nie miało znaczenia w tym bycie, który nie ośmielał się być. Nie pojmowałem tego! Nie chwytałem właściwie, jak może istnieć coś takiego — bierność — jak daje sobie radę z sobą twór, którego uczucia są mniej ważne w porównaniu z tymi, jakie wzbudza w innych... do siebie... I kiedy ją widziałem jako wysysanie, wabienie, wchłanianie, to mnie wprowadzało w świat rozluźniony, pokrewny zepsuciu.

— Komiczny fenomen — kończył Tun opowiadanie, jak to idąc tutaj znaleźliśmy w krzakach wróbla. — Wróbel powieszony! Takie coś nie często się zdarza!

— Słowo daję, już nie wiedzą co wymyśleć! — przytaknął uprzejmie p. Leon, i, że to był zgodny, z przyjemnością. Spozstrzegł-

szy, że w tym wypadku przyjemność nie jest na miejscu, dodał bardziej surowo: — Sadyzm.

— Łobuzeria! — zawyrokowała krótko i węzłowato pani Mania, jego żona, którą nazywał „Kulka”. Potwierdził zaraz z przyjemnością: — Łobuzeria! Na co Kulka zauważyła z przekąsem: — Ty zawsze musisz przeczyć! — Ależ tak, Mańciu, właśnie mówię, że łobuzeria! — A ja ci mówię, że nie łobuzeria, tylko łobuzeria! — wykrzyknęła buntując się na osłep przeciw zgodności, której nie ufała.

— Otóż to, łobuzeria, mówię, łobuzeria!...

— Łobuzeria! — krzyknęła, jakby on coś innego powiedział. Leon zabębnił palcami, zanucił swoje „ti-ri-ri”, którego nie mógł uchwycić, i zaraz urwał. Natasia wynurzyła się z kredensu żeby posprzątać talerze po kwaśnym mleku, a jej przyrządzony specyficznie otwór ustny jął krążyć i „odnosić się” do ust naprzeciw mnie będących, z bliska, z daleka, z rozmaitych stron, i było naprawdę dziwne widzieć, że ten związek na niczym nieoparty, będący kaprysem moim, czy też przywidzeniem, znowu się ustala, i z większą jeszcze niż wczoraj wyrazistością, jakby miał już drogę utworowaną. Z uwagą przyglądałem się temu widząc, jak owa konstelacja ustna potwierdza nocne moje przeżycia, które ja już chciałem precz wyrzucić... i widziałem jak jednocześnie mąż do niej coś mówił i pan Leon się wtrącał i Natasia chodziła i usta odnosiły się do ust, tak mniej więcej, jak gwiazda odnosi się do gwiazdy na mapie nieba, przy czym wargi Leny nieśmiało stulone nie umiały bronić się przed perwersją krążącą, ja zaś, zaszyty w sobie, jak w krzakach, oddawałem się śliskim i zimnym igraszkom z ową deprawacją. Rozpustnym, lecz okropnie łatwym — bo nie miałem wątpliwości, że to ja, nic innego, tylko ja... ja ujmowałem tak te usta, łączyłem je na mojej mapie, gdy nic w rzeczywistości nie uzasadniało skojarzenia, które było, aby jeszcze raz to stwierdzić, dowolne, fantastyczne i czcze! I roztargnione!

Mąż Leny, pan Ludwik, obtarł usta serwetką, odłożył serwetkę i przystąpił do powiedzenia, że i on przed tygodniem zauważył na jednym z przydrożnych świerków, niedaleko, powieszona kurczę. — Pamięta ojciec, mówiłem ojcu... — Cudeńka — komentował Tun — wróble powieszona, kurczęta wiszące, a może to koniec świata zwiastuje? Wisi jeszcze ten kurczak? Na drucie był powieszony? Na jakiej wysokości? Daleko od drogi? Architekt poinformował go z precyzją, ale lakonicznie — nie interesował się tą sprawą, wychodziła poza zakres jego kompetencji. Pani Wojtysowa przecięła:

— Łobuzeria.

I poprawiła chleb w koszyku gestem dobrej gospodyni, w którym wyrażało się też i to, że nie znosi bezczynności i że jest rozdawczynią posiłków i że bez niej nic by nie szło, jak trzeba. Tun odpowiedział.

— Owszem. Ale w tym witz, że wróbel i kurczę powieszona zostały na wysokości ręki dorosłego.

— Co? Jeśli nie łobuzy, to kto? Pan myśli, że jakiś maniak? — zapytał dyrektor — Nie słyszałem o żadnym maniaku w tej okolicy. Natasia podsunęła Lenie popielniczkę z metalowymi sztabkami, Lena strząsnęła popiół z papierosa, mnie roztargnienie napadło, usta nad ustami, żelazne łóżko, ptasi drut, kurczę i wróbel, mąż architekt, rywna za kominem, Natasia za Leną, Lena za Natasią, pokój na górze i pokój stołowy, herbata i cukier, drzewka i ścieżki, drzewa i droga, ogrom, za dużo, bez składu ni ładu, a przecież za pierwszą falą szły inne, nieskończoność rzeczy i faktów ogarniających i rozpraszających, którym nie mogłem dać rady, tam w kącie stała butelka na półce i kawałek czegoś, może korka, przykleił się do szyjki, wpatrzyłem się w ten korek i tak z tym korkiem wypoczywałem, póki nie poszliśmy spać, kilka następnych dni przeszło niemrawo, był to muł czynności, słów, jedzeń, schodzeń po schodach i wchodzeń, tyle tylko, że uwypukliły się nieco osoby, a to głównie dzięki rozmowom z Kulką. — Pewnie — mówiła — sama nieraz Natce perswadowałam żeby się dała jeszcze raz na te usta zoperować, to był wypadek samochodowy, wie pan, omnibusem jechała, dobrze że się na tym skończyło, nie licząc wybicia trzech zębów. Trzeba by jeszcze raz rozciąć i zszyć, ja jej mówiłam, że koszty pokryję, bo, wie pan, ona jest moja siostrzenica, choć chłopka, ze wsi, ale ja się biednych krewnych nie wypieram i zawsze, jak mogę, to dopomogę. Ale nie chce, mówi, że Panu Bogu ofiarowała i że za stara na kokieterie, wola Boska, mówi, może i kara za to, że w klasztorze nie wytrzymała, bo ona, wie pan, dwa lata w klasztorze była. Gadanie, operacji się boi a i z lenistwa... bo, zresztą, tośmy się już przyzwyczaili i nikt uwagi nie zwraca, dopiero jak kto inny zwróci uwagę, to nam się to na oczy nasuwa. Proszę sobie wyobrazić! Odkąd to jej się wydarzyło na czarno się ubiera i prawie z domu nie wychodzi. To wszystko mówiła mi Kulka tocząc się od mebla do mebla ze ściereczką, ale mogłaby i co innego mówić, bo słuchałem nieuważnie — i ze wzrastającą nieuwagą dowiedziałem się, iż Lena jest nauczycielką języków, zaledwie trzy miesiące temu odbył się jej ślub z Ludwikiem, na Hel pojechali, teraz u nas zamieszkali, póki on domku swojego nie wykończy, co go ma w budowie, mówię panu, cacko. W ogóle nie powiem żebym, póki co, miała jakie zastrzeżenia, człowiek odpowiedzialny, ma tam swoje idee polityczne, trudna

rada, ale uczciwy... ona, nie to żeby poza nim świata nie widziała, ale jest zadowolona, a to grunt. No, niechby ją unieszczęśliwił, przysięgam, zabiłabym, wzięłabym noża i zabiła! O tym dowiadaliśmy się, Tun i ja, w przerwach pomiędzy studiami, jedzeniem, spacerem, ubieraniem się, czekaniem aż Natasia sprzątnie i te wiadomości rozpływały się w rzece wszystkiego monotonnej... i co wieczór, nieunikniona jak księżyc, kolacja i siedzenie naprzeciwko Leny z ustami Natasi krążącymi. Pan Leon lubił zabawiać się fabrykowaniem gałeczek z chleba i ustawiał je rzędem, przyglądając się im z wielkim zainteresowaniem — potem burzył układ, ustawiał inaczej, potem przerywał i, bębniąc, nucił swoje „ti-ri-ri”. Pan Ludwik nakrywając ręką dłoń Leny i zaglądając jej w oczy z bliska mówił czasem „Grażyno moja”, ach tak, mówił „Grażyno moja” i Bóg raczy wiedzieć skąd mu się to brało, przecież nie była Grażyną, ale on się nie wstydził, dlatego zapewne, że czuł się na swoim terenie. Ja przyglądałem się korkowi na szyjce butelki, tej odrobinie korka, sam nie wiem, może żeby nie przyglądać się wszystkiemu, gdyż męczą dni, w których nic się nie wyróżnia, wypełnione wszystkim, masą rozbełtaną, odmętym, szumem, nikłością. Przyglądałem się tedy korkowi, jakby on był łódką moją na oceanie...

Witold GOMBROWICZ

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.**

**PRZEKAZY  
PIENIĘŻNE  
DO POLSKI**

**CENTRALA WYSYŁKOWA  
HASKOBA LTD**

**121 Earls Court Rd, London S. W. 5**



## Córki

Skulone pod siwym, ciężkim płaszczem nieba miasto zwolna układało się do snu. Tarcza zegara na wieży stacyjnej wskazywała godzinę dziesiątą. Żółte prostokąty okien, niespokojne reflektory samochodów i wbite pomiędzy niebo, a ziemię mleczne głowice latarni oświetlały resztki brudnego śniegu na chodnikach. Przechodniów było niewiele, a w parku falistym, rozległym — nikogo. Poza żelaznymi sztchetami leżały białe, nierówne plamy trawników. Tuż na wprost bramy wejściowej — pomnik: grupa żołnierzy. Pochyleni ku przodowi potężni i obojętni przyglądali się miastu, które dawno już zapomniało o Wojnie Cywilnej i dwóch datach wrytych na kamiennym cokole: 1861-1865.

Szum aut łagodniał. Od czasu do czasu gruby, zielony autobus mijał bramę parkową, a za każdym razem było w nim mniej pasażerów. Był to zwykły dzień tygodnia i rzadko kto o tej porze wychodził z domu. Około godziny jedenastej na tle ciemnych pni drzew zarysowała się sylwetka człowieka. Był w czarnej jesionce, czarnym kapeluszu i długo nie można go było rozróżnić wśród cieni szerokich krzewów żywopłotu, który gęsto z obu stron obrastał prowadzącą ku wyjściu alejkę. Człowiek poruszał się wolno, krokiem nieco chwiejnym, ale widocznie był w dobrym humorze, gdyż podśpiewywał półgłosem i uśmiechał się sam do siebie. Przed bramą wyprostował się, krok jego nabrał elastyczności. Spojrzał w górę na oświetlone okna kamienicy.

— No to co? Nie mogę przyjść później? Nie wolno mi? — mruknął. Przystanął na brzegu jezdni, szukał klucza w kieszeni płaszcza. Znalazł. Trzymał go w ręku. Wahał się, miał ochotę zawrócić.

— A co tam! — dodał sobie odwagi, ale jezdnię już

przeszedł na palcach, a wstępując na schodki kamienicy wstrzymał nawet oddech.

— E, stary Wiśniewski! No to co? No to co? — roześmiał się. I zaraz uspokoił sam siebie: Cicho, cicho...

Otworzył drzwi, starał się zamknąć je bezszelestnie, nie udało mu się, trzasnęły.

— A co tam! — wzruszył ramionami. — Dziecinna godzina!

Ciepło, półmrok klatki schodowej rozmarzyły go. Zanucił, a z każdym stopniem w górę coraz głośniej. Wspinanie się nie szło mu łatwo, musiał się mocno trzymać poręczy. Na półpiętrze zachwiał się i oparł o ścianę.

— O psiakość! — zaklął. Zaraz jednak wyprostował się, roześmiał filuternie i rozśpiewał na cały głos:

„— Krakowski jestem fiakier  
Z krakowską fantazyją  
Celinder mam na bakier  
i długą kierezyją...”

— Grażyyy-na! — Wiśniewska poderwała się z tapczanu, gdzie pół-drzemała nad gazetą — Grażyyy-na! Leć! Ojciec!

„— ...I stoję u Sukiennic naprzeciwko  
Przychodzę goście moi i daają mi naaa piwko!”

— Zygmunt! Zwariowałeś? Grażyna! Leć! Upił się! Ludzi pobudzi!

— Mamusiu, nie krzycz! — Grażyna zbiegała po schodach, chichotała. — Tatusiu! — objęła go. — Co ty wyprawiasz?

Wiśniewska stała w drzwiach mieszkania. Domowa, perkalkowa sukienka opinała się na jej potężnych biodrach. Była rozczochrana, na prawym policzku odcisnął się deseń tapczanowej narzuty.

— No ja sobie z tobą porozmawiam! No jak mi się jeszcze raz historia tego rodzaju powtórzy.

— Mamusiu!

— Czego ty teraz chcesz Oleńko?

Stała za rozbująłą postacią matki szczupłą i niewielką otulając się szlafrokiem.

— Tatuś przyszedł. Myślisz, pójdzie z nami?

Grażyna prowadziła ojca pod rękę. Była tak wysoka, jak on. Większa, okazalsza niż siostra, rozkwitła.

— Zygmunt! — krzyczała Wiśniewska. — To ja z obia-

dem jak ta głupia jaka od 6-tej czekam. Bóg wie co myślę, a ty co? To sumienie trzeba mieć! Piłeś! Aż tu zalatuje! Miętówkami mnie nie zmylisz!

— Mamusiu, nie krzycz! Wyrzuć nas! — Oleńka ujęła matkę w pół. — Przecież pozwól tatusiowi wejść.

— No wy naturalnie za ojcem! Co dla was matka! Jak ja oczy zamknę to zobaczycie co to matka!

Wiśniewski wszedł do mieszkania. Twarz żony wirowała mu przed oczami.

— Znów gorzej widzę — pomyślał. Sięgnął do kieszeni marynarki po okulary. Pokój, po mroku ulicy, wydał mu się jaskrawo oświetlony. Skąpe umeblowanie, kilka jasnych, sosnowych mebelków, które on razem z Oleńką wygładzał, politurował, okna w za krótkich grzywkach firanek, akwarele Oleńki na ścianach, gołe deski brunatno malowanej podłogi, otwarte pianino — przedpotopowa landara — ukochane pianino Oleńki. Stoi pół-odwrócona ku ojcu, pół-nachylona nad klawiaturą, pyszczek wąski, grzywka spada na czoło.

— Zrób mi kawy córuchno...

— Zaraz zrobię, ale tatuśku posłuchaj! Tego jeszcze nie znasz, nowa piosenka, posłuchaj!

Wiśniewski jeszcze w palcie, podparł się o ścianę.

Całe plecy będę miał zielone od farby!

Patrzy gdzie by przysiąść. Tu, na tym krześle nie, zawali się. Na tapczanie Wiśniewska odwrócona szykuje się, szykuje, zaraz wybuchnie. Grażyna już popędziła do kuchni uczyć się przy stole.

— Posłuchaj tatuśku! — prosi Oleńka.

— No to już, już... — Godzi się Wiśniewski — kawy bym się napił i lu...lu...

A Oleńka jednym palcem trąca klawisze, a drugą ręką ujęła połę szlafroka i tak uczepiona klawiatury pół-nieruchoma, pół-tańcząca:

„— Złoty pierścionek, złoty pierścionek na szczęście  
Z niebieskim oczkiem, z błękitnym niebem na szczęście.  
Złoty pierścionek katarzyniarza...”

— Uspokój się Oleńko! — Wiśniewska podnosi się, spogląda groźnie na męża.

— Zdejm okulary!

— Bo co, Niusiu?

— Nie lubię jak sobie te mętne oczy tymi okularzyskami zasłaniasz! Myślisz, ja nie wiem, żeś pił! A następny raz za schaby złapię i przysięgam ci tu, jak mi się historia tego rodzaju...

— Niusiu, pozwól...  
 — Ja dobrze wiem gdzie ty byłeś!  
 — Niusiu, pozwól...  
 — Co ty mi tu będziesz z pozwoleniami. Dzieci czekają, a ty...

— Niusiu do...  
 — ...a tu jest historia tego rodzaju...  
 — Niusiu ty, jak Peszkowski mówi, ludziom wprost jedzenie z ust wrywasz! Zamknij się, do stu diabłów, daj mi powiedzieć!  
 — Ładne?  
 — Co ładne, Oleńko?  
 — No złoty pierścionek?  
 — Ładne, bardzo ładne. Daj mi kawy!  
 — A zaczyna się tak: „Chodził kiedyś kataryniarz, nosił na plecach słowików chór...”

— Zygmunt, siadaj, płaszcz zdejmij, bo proszę ja ciebie jest historia tego rodzaju, że generałowa zaprasza nasze dziewczynki na bal.

Wiśniewski zdjął palto, siadł obok żony na tapczanie. W głowie mu szumiało. Z Amerykanami, panie, jeden głębszy więcej zrobi niż godzinne gadanie, zwłaszcza, że ja po angielsku nie tego...

— Wjść słuchaj, Zygm, ty musisz je zabrać, bo jest historia tego rodzaju, że jednak to jest ich pierwszy występ i trzeba, żeby ojciec...

— Niusia! — jęknął. — Czyś ty za przeproszeniem z byka spadła? Ja na bal?

— No proszę ja kogo! I to jest ojciec! — Wiśniewska rozplakała się. — Kiedy szłam na mój pierwszy bal...

— Niusiu! — zerwał się Wiśniewski. Stanął przed nią groźny, nagle trzeźwy. — Co ty sobie wyobrażasz? Kiedy ty szłaś na bal! Czy ty nie widzisz? Nie rozumiesz? To jest emigracja, emigracja! Ja na bal! Z tymi rękami od wożenia taczek? W tym garniturze?

Trzasnęło wieko pianina, Oleńka wybiegła do kuchni. Łowicka wycinanka w czarnych rankach, owalny stół z plastikową serwetą, garnki na gazowym piecu, Grażyna pochylona nad książką.

— Nie pójdzie! Powiedział, nie pójdzie! — Oleńka przytuliła twarz do ceraty, wąskie plecy podskakują, płacze.

— Histeryczko, nie rycz! Nie plam mi zeszytu! Co ci tak na tym zależy? Nie pójdzie, to Tomczak z nami pojedzie. Królewicza z bajki poznasz? Czekaj, ja go poproszę! Chodźcie Bóg wie gdzie, kupiłbyś sobie garnitur.

— Bo ty, Zygmunt — krzyczała Wiśniewska — zamiast

— Jak chodzę, to chyba muszę, z ludźmi trzeba popić, kolegę z biura zaprosiłem...

— Z ludźmi! Chciałeś powiedzieć z Amerykanami! Ty sobie wyobrażasz że oni ci pomogą, że oni się z tobą zaprzyjaźnią? Grażyna! Wyjdź z pokoju! Za trzy miesiące masz egzaminy! Ty się ucz lepiej!

Rozkład mieszkania Wiśniewskich nie był wygodny. Z klatki schodowej wchodziło się do obszernego pokoju, gdzie na tapczanie spały obie dziewczynki, dalej sypialnia rodziców, bezokienna wnęką, dawniej pewnie korytarz — i kuchnia. Mieszkali na ostatnim piętrze, pod dachem. Latem prażyło tu słońce, zimą wiatr przewiewał, ale byli u siebie, wysoko, jak w bocianim gnieździe.

Grażyna ściągnęła czoło pomiędzy brwiami, patrzyła. Co się z tej matki zrobiło, jak się zaniedbała.

— Ja tylko chciałam powiedzieć, że tatuś ma rację.

— Dzieci i ryby głosu nie mają!

— Tatuś ma rację, bo z Amerykanami trzeba się zaprzyjaźnić i...

— No tego już ode mnie nie wymagaj!

— Ty nawet po angielsku żeś się nie nauczyła! Ojczyznę oplakujesz, a córki ci się z rąk wymykają! Zastanów się lepiej, gdzie jest twoja ojczyzna! I mnie wcale, a wcale na tym waszym polskim balu nie zależy!

— Grażyna nie bluźnij!

— Nie bluźnij! No wiecie!

— Wyjdź z pokoju!

— Chyba mam prawo położyć się spać? Przepraszam!

Milczeli, gdy ściągała gwałtownie narzutę z tapczanu. Ryngraf zakolysał się na ścianie i przez chwilę wstrzymali oddech, wydawało im się, spadnie — zły znak. Nie mieli odwagi spojrzeć na siebie. Wiśniewska pierwsza wyszła z pokoju i nie rozbierając się położyła się na łóżku. Po długich godzinach pracy w szwalni czuła się zmęczona.

— Zraniła mnie w samo serce — zaliła się. — I ten dom, jaki tam on jest, ale dom... Wymykają mi się z rąk! Wymykają mi się z rąk? Boże święty kiedy? Gdzie? Wymykają jej się z rąk? A przecież wydawało jej się idą bezustannie po obu jej stronach uczone ufnie jej dużych, opiekuńczych dłoni. Grażyna zawsze trzymała się bliżej: młodsza, malutka, pieśczocho, przylepka. Urodziła się na krótko przed wybuchem wojny. Zygmunt myślał, że to będzie syn, ale przecież nawet nie wspomniał, cieszył się. Będzie pani miała pociechę — mówiono — ani nie zapłacze, ani się nie złości, słoneczne stworzenie.



Wiśniewska usiadła na łóżku. Zgarnęła z twarzy wilgotne od łez włosy. Och ta wojna, ta wojna! Wojna i Ameryka! Dziecko mi odbierają, dziecko mi odchodzi!

— Grażynko! Córeczko!

Grażyna prędko zgasiła nocną lampkę, wsunęła książkę pod poduszkę. Ziewnęła głośno i poprzez ciemność głosem zaspanym:

— Jutro mamusiu. Ja już śpię...

Myślała: Teraz zebrało jej się na czułości. Jak tylko skończę *college* zaraz wyprowadzam się z domu. *I am sick of it! I am sick of it!*

— Śpij, śpij kochanie... — Wiśniewska rozwiązywała pasek sukienki. Była taka zmęczona, nie mogła nawet myśleć o myciu. Wsunęła się pod koc, ciemność przylegała ze wszystkich stron, tylko w dole zamkniętych drzwi do kuchni leżała smuga światła.

Jutro wstanę o szóstej i zrobię im lepsze śniadanie. No a co z tym balem? Co z balem?

Okna kuchenne umieszczone wysoko. Z tego po prawej stronie widać wieżę stacyjną z zegarem. Życie biegnie naprzód nieprzerwanym, drobnym truchcikiem, a może kometą? A może nie biegnie, nie płynie, tylko stoi w miejscu i czeka?

— Dlaczego ty się nie połóżysz, Oleńko?

Wiśniewski zdjął okulary, tak lepiej spoglądać na starszą córkę. Biedactwo, na niej ta wojna się odbiła. Jakie to miała dzieciństwo! Wieczne strachy, obawy. Grażyna nie rozumiała jeszcze, ale Oleńka!

— Zrobiłam ci kawę.

— No to siadaj, napij się ze mną.

— Nie.

— Córuchno, gdzie matka wino schowała?

Oleńka uśmiecha się. Wiśniewski podparł się łokciami. Uśmiech Oleńki, konspiracja, tajemnicze porozumienie pomiędzy ojcem, a córką.

— Ja ci zaraz powiem, na balkonie, za doniczkami w kącie. Chcesz?

— Ja wezmę.

— Przyniosę ci, przyniosę.

Już frunęła. Jaka ona lekka, każdy krok niby ruch tanecznicy. Bal, ach ten bal... Nie, jeszcze nie zwariowałem!

Odkorkowała butelkę, przysunęła szklanke.

— Pół? Ile chcesz?

Dobre, zimne wino.

Wino nie jest dobre, tanie, najgorsze kalifornijskie, ale jego cierpkość smakuje, a na samym dniu cierpkości twarz Oleńki.

Nie powinienem był jej samej puszczać do Ameryki.

Chociaż niby wie już wszystko co się działo, nie wie właściwie nic.

Jakto ona pisała? „Życie nic nie jest warte, tyle już przesłałam...”. Życie nic nie było warte, gdy nie miała jeszcze dwudziestu lat? Cóż ona przesłała? Wiem przecież wszystko.

— Dobranoc tatusiu.

— Czekaj-no dziecko, kto to was zaprosił na ten bal?

— I tak nie pojedziesz.

— Posłuchaj, bądź rozsądna...

— Zawsze musiałam być rozsądna. Już się przyzwyczyłam. Bądź rozsądna jedź do Ameryki sama! Bądź rozsądna, wytrzymaj jeszcze trochę! Bądź rozsądna, przerwij *college*! Tylko Grażyna nie musiała być rozsądna.

— Jak ona wszystko pamięta — myśli Wiśniewski. — Jak ona niczego nam nie zapomniała. Niezłe wino, uspakaja mnie.

— Słuchaj dziecko, gdyby to były czasy przedwojenne dwa razy byś mnie nie prosiła. Ubrałbym się we frak — Wiśniewski uśmiecha się. — Pojechalibyśmy z całym szykiem, ale... — Zastanawia się: „Po co ja jej to mówię? Za późno”.

— Ty i matka i wasze przedwojenne czasy i przedwojenne świętości! Przedwojenna Polska, przedwojenny Kraków, przedwojenna Warszawa! Wymiotować mi się chce na to wszystko przedwojenne. A moja młodość jest teraz i już się nie powtórzy! A ja wiesz co zrobię? Wyjdę za mąż za Amerykanina, za Żyda, za protestanta i krzyżyk na wasze przedwojenne czasy i w nosie mam wasze nieżywe świętości!

— Co ty opowiadasz? Co ty pleciesz? Co ty chcesz ode mnie?

Rozejrzał się po kuchni, nie było jej, uciekła. Co ona chce ode mnie? Co ja jej zrobiłem? Co ona?

Na zegarze stacyjnym — północ. Na wprost niego kolorowa wycinanka.

Oleńka odgarnęła koc. Grażyna spała. Spała odwrócona do ściany. Znów zajęła sobie lepsze miejsce. Zawsze tak! Zawsze była z rodzicami, trzęśli się nad nią. Rodzice! Jak mogła się chociaż przez chwilę łudzić, że pojedzie. A przecież to właściwie i dla nich. Stary człowiek, nic nie rozumie, inne pokolenie. Gdyby nie ja, nie byliby w Ameryce. Byłam sama, będę sama. Grażyna ma rację, Grażyna jest mądrzejsza. I ten bal! Phi, wielki mi bal! Po co ja się łudzę. Boże, Boże... czego... ja się spo...dziewam... czego ja chcę?

— Czego ona chce ode mnie? — myśli Wiśniewski. — Co ja jej zrobiłem?

Sześć lat minie niedługo odkąd przyjechali do Ameryki.

Przedtem obóz dipisowski w Niemczech. Tomy mógłbym o tym pisać! Obóz i pragnienie, aby się wyrwać z baraków. Był jednak kimś! Komendantem obozu. Miał posadę, znał język, zwracano się do niego: panie inżynierze. Komitety imigracyjne zapisywały kandydatów na wyjazdy do Stanów Zjednoczonych. Wiśniewska wdychała: Do Ameryki! Gdzie mieli wracać? Do Polski? Do gruzów? Widział sam przecież jak dom się palił, waliły ściany. Stali oboje, patrzyli na ginące mieszkanie. Z palących się ścian zegnały ich oczy portretów i fotografii. Na zawsze. Nie miał odwagi wrócić. To już los decydował o wszystkim, pchał go naprzód. Najpierw pieszo w tłumie rozbitków powstańczych, potem pociągami na zachód, do ogrodzonego drutami obozu, do wyzwolonego obozu. Miał wracać, gdy stamtąd uciekali ludzie? Miał sam pchać się z powrotem w przepaść z której, wydawało się, nie ma ucieczki?

— Do Ameryki! — wdychała Wiśniewska. — Do Ameryki!

Co zrobić? Gdy myślą zwracał się na wschód czuł popiół w gardle, płomień palił policzki, gruzy miasta przygniatały plecy. Tęsknota czy obawa? Niezdecydowanie? Drugi raz już tego nie przeżyję, nie chcę, aby dzieci moje miały przechodzić przez podobne okropności. Kręciły się wkoło niego dwie roześmiane frygi. A on zabiegał, starał się o żywność, ubrania, skondensowane mleko, świeże mleko, konserwy dla dzieci. Karmił je i odziewał. Ogrzewał piecykiem torfowym i odbłaskami dawnych pożarów, uczył pacierza i miłości do gruzów. Odgradzał od dawnego i z dawnym związywał.

— Emigrujemy do Ameryki — zachęcała Wiśniewska.

— Niusiu, ja nie znam tego kraju, my tam nikogo nie mamy.

— Co to znaczy nie znasz, Zygma? Zdziadziałeś zupełnie.

Była historia tego rodzaju, pamiętam, że tej koleżanki mojej ojciec co to ze mną była w internacie, no wiesz! Świetnie im się powodziło, skrzynie pomarańcz córce przysyłałi, ale zakonnice, uważasz, tylko po jednej jej wydzielali, a niechby tylko tak policzć! I była historia tego rodzaju, jej matka raz z ojcem przyjeżdża, a masę pieniędzy się na tę szkołę waliło, a my na obiad w poście dzień w dzień te mordoklejkę... no czekaj, ja zaraz do tego dojdę... Więc była historia tego rodzaju, że on wyemigrował, rozumiesz, do Ameryki, proszę ja ciebie, nikogo wtedy nie znał i tak się dorobił.

— Ale to jeden człowiek.

— A Skarzyńskiej brat! Ile to im przysyłałi! Raz proszę ciebie, była historia tego rodzaju...

Ksiądz Lipke, okazało się dawny Wiśniewskiego znajomy, przewodnik duchowy obozu, wciągnął ich na listę Komitetu Imi-

gracyjnego. Czekali. A tymczasem dorastała Oleńka, zrobiła maturę, oglądała się na chłopcami. Jeszcze im za jakiego Niemca wyjdzie! O Boże święty, co robić?

Wiśniewska przewróciła się na bok. Poczwała obok siebie puste miejsce, chłód prześcieradła. Gdzie Zygmunt? Otrzeźwiała, usiadła na łóżku. Co on tu mi za historie wyprawia! A może zastał? O rany Chrystusa! Łup, łup bosc pięty na linoleum. Pod drzwiami od kuchni żółta smuga światła. Nikogo tu nie mamy i ja się jeszcze z tym człowiekiem kłóć.

— Zygmunt! — wpadła do kuchni. — Zygmuś, człowieku, dlaczego ty się nie położysz?

Usiadła na wprost niego, pokiwała głową.

— No patrz, patrz, która godzina.

— Tak myślę — powiedział — jak ja oczy zamknę to kto się tu wami zajmie? Kto się tobą zaopiekuje?

Milczeli.

— Tu mi Oleńka mówi, wyjdzie za Amerykanina, za Żyda, za protestanta, pójdzie sobie...

— Plecie.

— Bośmy jej tak prawdą, a Bogiem wiele nie dali. Pojechała do tej Ameryki sama, ksiądz Lipke mówił na studia i co? Na służącą poszła za 30 dolarów na miesiąc. Gdybym wiedział, to bym jej nigdy nie puścił. I jeszcze — rozrzewnił się — z tego oszczędzała i nam paczki przysyłała do Niemiec i na drogę nam uciulała.

Wiśniewska drapała się po głowie. Myślała: te kaszaki trzeba usunąć. A myślała tak tylko, aby nie płakać.

— A z Grażyną to pamiętasz, o mało nam zakonnica nie została w trzynastym roku życia. Pamiętasz jak z tego zakonu do nas uciekła, a człowiek był wtedy taki związany, taki zależny. A teraz i uczy się dobrze i pracuje w szpitalu.

— Te dwa kaszaki trzeba usunąć — myśli Wiśniewska, a obrazy same nakładają się na siebie: przyjazd, jak tu zaczynali, co tu znaleźli. Uwierzyłyby kto?

— A już nie wspominaj!

— Ja tak myślę, matka, pójdę do tego sklepu na rogu, taki co ma dwie wystawy, wiesz, przy aptece, „dragstorze”, wypożyczę ubranie, ja mam standartową figurę, ubranie dobiorę, wezmę je na ten bal. Prawdą, a Bogiem należy im się. A jak nie, to wezmę ubranie na raty i tak mi przyzwoitszy garnitur potrzebny...

Wiśniewska przeciera zaspiane, zapłakane oczy, wyciera je zmiętym rękawem szlafroka.

— Ty to masz złote serce — pochlipuje. — A z ubraniem to jest historia tego rodzaju, mówił Tomczak, że tam w mieście jest wysprzedaż i że możesz, tak jak to jego znajomy, to z nim znów była inna historia, a będzie trzeba to Tomczak, albo Peszkowski ci pożyczą. No ale jest jeszcze inna historia, że niech tam one kogo poznają, to trzeba będzie jednak w domu zrobić przyjęcie i też ci się ubranie przyda. Ja tam, broń Boże, o żadnym małżeństwie nie myślę, ale wszyscy Wiśniewscy zawsze mieli domy otwarte, młodzież się bawiła, chłopak zawsze patrzy z jakiego domu dziewczynę bierze. Odmaluje się tu trochę, ja wiesz gotować umiem, będę sobie musiała też jakąś sukienkę, bo już niech się wszystko lepiej dzieje pod okiem rodziców, bo pamiętasz tę, no jak ona się nazywała, tę córkę tych co to chodziła z tym Amerykaninem, z Ajrysem? Nie? No więc czekaj, z nią znów to była historia tego rodzaju...



Generałowa mieszkała w stolicy. W swojej odrębności podobna była do brzozy, której biały pień należał do rzadkości w południowych Stanach. I dopiero oddalając się na północ zaczynają nagle pojawiać się początkowo wątle, niepewne, pojedyncze, by później rozwinąć się lasem w którym jednak każda z nich zachowuje swoją wdzięczną inność, niepowtarzalną wytworność i melancholię północy.

Stolica ściągała do siebie reprezentacje emigracji politycznych, różne ich ugrupowania i kierunki. W nadziei, w pragnieniu, z ambicją, determinacją. Stąd też w i tak już różnobarwnej, różnostonowej stolicy tyle drzew, a wśród nich brzoza ta z pogranicza wschodu i zachodu jedna z pierwszych, wątleszych, przeginających się łatwiej, a przecież biała, wytworna melancholijna generałowa.

Generałowej obecne jej życie wydawało się nieprawdziwe. To nieprawda — myślała często — to tylko sen z którego się obudzę. Budziła się rano i niezupełnie jeszcze świadoma myślała: to sen. Na ułamek sekundy, który dzieli próg ulatującego snu od progu napierającej jawy myślała: to sen. Nie otwierając jeszcze oczu nad słuchiwała. Z sąsiedniego pokoju nie odezwą się głosy dzieci, nie zaskrzypią deski podłogi pod stopami męża. Natomiast odgłosy ulicy, poranne krzątania się sąsiadów stawały się coraz bardziej wyraźne. Wtedy płakała krótko zakrywając dłonią usta, jakby chciała powstrzymać kaszel. Odrzucała koc, bosymi nogami zanurzała się w samotność zarastającą pokój, przytomniała. Więc zaraz — myślała — co to ja mam dziś zrobić? Dziś, to znaczy

po godzinie piątej. Do piątej trzydzieści sprzedawczyni w sklepie — *sales lady*, po piątej znów ona. Wtedy zaczynał się dzień.

Generał umarł nagle, w autobusie, na atak serca. Jechał do pracy, był windziarzem w dużym hotelu. Nie był wcale generałem. *Mister Kej* — mówiono, albo *you*, czasem *boy*, czasem *this man*. Nawet wtedy, gdy upadł w autobusie nikt nie wiedział. Sprawdzono w pośpiechu papiery. „Ten stary, to cudzoziemiec” — zauważono. — „Jacy to różni ludzie umierają w stolicy”.

Generałową odwołano od lady. Sprzedawała kosmetyki, wytworna starsza pani, jej akcent przyciągał klientki. Zachwiała się, jakby nagle runął na nią wodosпад ogłuszający, prędko, jakby woda rzuciła ją na kamieniste dno i poprzez ten szum, ból, szeptała pół-przytomnie w słuchawkę.

— *Where is he? Where is he?*

To musiało przyjść kiedyś — myślała — wiedziałam. I ból też i płacz — to byłoby wszędzie, ale szum, ale bezwładność unoszenia przez wodę — tylko tu. Żegnali go, tacy jak on, emigranci — jedyna grupa drzew na płaskim, pustym cmentarzu — kępa drzew naznaczonych na ścięcie. Płakali. I nie tyle nad nim — nad sobą. Spoglądali w swe twarze ukradkiem — zwierciadła własnych twarzy. Kobiety na ciemno z elegancją zachowaną, przechowaną mimo wszystko i odkryte, posiwiałe, wyłysiałe głowy mężczyzn. Coraz rzadziej widywali się. Gromadziły ich pogrzeby, czasem akademii patriotyczna, czasem bal. Życie każdy żuł z osobna. Nie wolno rozgrywać cudzego życia, lepiej przyglądać mu się z daleka: krągłe, błyszczące, lepsze, słodsze.

— Wymieramy — myślała generałowa — trzeba ratować młodsze pokolenie. Nie udało jej się jednak uratować własnych dzieci. Córka odeszła pierwsza, wyszła za mąż za kolegę z *college'u* Amerykanina. Było to odejście nie jednorazowe, odejście, jakby przez szereg następujących po sobie bram, drzwi, furtek. Nie pożegnanie, nie rozłąka, jeden cios, jedno przekręcenie klucza w zamku — ale nieustanne oddalanie się, serie następujących po sobie drobnych zatrzaśnień, aby się lepiej odizolować, nieustanne domykanie, nieustanny zgrzyt klucza. Za każdym spotkaniem córka wydawała jej się coraz bardziej odległa, jej język polski nabrał amerykańskiego akcentu. Coraz częściej zatrzymywała się w połowie zdania szukając odpowiedniego słowa. Generałowa z wysiłkiem wsłuchiwała się w angielski szczebiot wnuków.

Ale syn mój ożeni się z Polką — postanawiała. — Wszystko jedno już z jaką — mówiła do generała. — Niech sobie będzie przeciętna, niewykształcona, ale chociaż się będę mogła porozumieć z wnukami. Syn generałowej ożenił się z dziewczyną z amerykańskiej *upper middle class*. Mówiła do generałowej *mother* i

starła się uczyć po polsku, ale nikt tego przecież od niej nie wymagał. Gdy tylko zjawiała się w pokoju, rozmowa natychmiast przechodziła na język angielski. Nie umawiano się nigdy, oczywiste było, że należy ustąpić. Ta nagła zmiana, oczywista przecież nieunikniona, wymagała nieustannego dostosowywania się i to w sposób dyskretny, nie dający poznać po sobie, że dostosowywanie się jest potrzebne.

— Lubię ją — myślała generałowa — ale czuję się zmęczona. Lubię ją — zwierzała się znajomym — jest taka łagodna, a jednocześnie chłopięca. Maszeruje wielkimi krokami nieświadoma potrzeby kokieterii, a w oczach ma tyle troskliwej słodyczy.

Gdy była sama, płakała. Dlaczego nie mogę pokochać jej bez reszty? A przecież na to zasługuje.

— Wymieramy — smuciła się. — Odejdziemy, zapomną o nas, rozplyniemy się, jak smuga samolotowego dymu. Jesteśmy sami dla siebie, ekscentryczna *community* zdarzająca się zaledwie kilka razy na przestrzeni stuleci. I któż to zrozumie, kto zapamięta, kto utrwali, uszanuje, gdy coraz to któryś z nas odpada?

Z racji rangi i byłego stanowiska męża czuła się moralnie odpowiedzialna za rozsianą w stolicy emigrację polityczną. Czuła się również odpowiedzialna za Zbigniewa.

Porucznik Wrona-Gordzicki, Zbigniew, pupil generałowej, protegowany, ulubieniec, prawie że przybrany syn był w wieku, który Amerykanie nazywają *middle-thirtieth*, ale wyglądał na mniej. Wydawało się, że czas nie zostawiał śladów na Zbyszku, jakby stworzony był z bardzo twardej, impregnowanej materii i dlatego zamiast dojrzałym mężczyzną był nieustannie chłopcem. Jakoś nikt nigdy nie nazwał go starym kawalerem, przeciwnie, mówiono o nim „nasza młodzież”, „nasi chłopcy” i zapraszano na obiady, herbatki, przyjęcia. Był zawsze nieskazitelnie ubrany, z pewną dystynkcją odróżniającą go od niedbałego stroju Amerykanów. Miał sympatyczną, przystojną twarz, nieskalaną żadnym rysem charakterystycznym, czuprynę jeszcze bujną, spojrzenie śpiwaka z warszawskich kawiarnianych estrad. Całował panie w rękę z miną niezwykle poważną długo i uroczyście pochylając się nisko. Mężczyznom podawał dłoń ściskając mocno z niezmiennym „Cześć kolego!”. Między brwiami ukazywała mu się przy tym pionowa zmarszczka, zaciskał szczęki jakby pieczętując uścisk dłoni. To zaciśnięcie, któremu towarzyszyło lekkie przytaknięcie, zmarszczka między brwiami stwarzały rodzaj suchego uśmiechu bardzo energicznego, męskiego, chociaż była to tylko maniera. Odporność Zbyszka na wpływ czasu była również odpornością na wpływy otoczenia. I chociaż już więcej niż dziesięć lat przebywał zagranicą na emigracji, przebywał właściwie tylko na emigracji.

Pozostał taki, jakim wyszedł z domu: absolwentem gimnazjum, szczęśliwym, że zhora wkuwania skończyła się, absolwentem szkoły podchorążych i weteranem leśnych, partyzanckich oddziałów. Z Amerykanami znał się mało, przebywał głównie w towarzystwie swych dawnych kolegów, gdzie popijano, jak za „leśnych czasów” śpiewając „Nie szumcie wierzy nam” i „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”.

— Zeby mi się ten Zbyszek tylko nie zmarnował — troszczyła się generałowa — żeby mi on gdzie nie wpadł. A mówiła: Tylko się nie zeń nierozsądnie, Zbyszku, nie z cudzoziemką. Ja już ci żonę wynajdę.

Porucznik Wrona-Gordzicki całował ręce generałowej, nie tylko, że zgodnie z „Cześć kolego” imponowała mu szarżą, ale że naprawdę ją lubił i zapewniał, że nie ma zamiaru.

Ale czterdziestka ci leci, Zbyszczku, tak między nami, kiedy ty dzieci wychowasz?

W sypialni rodziców toaletka z lustrem. Jak ustawić ją najlepiej, pod jakim kątem, aby zobaczyć się całą. Niebieska sukienka opina się na piersiach, kwitnie od talii koroną kwiatu. Oleńka myśli: poszerzyć dekolt, czy nie? No to kiedy pokażę szyję i ramiona? Jak się pofałdują, zwiędną? Ale komu pokażę? Komu? Grażyna!

Grażyna klęczy na podłodze. Rozłożony materiał, na nim białe plachty papierowego wzoru, szpilki w ustach i przez zęby ściśnięte:

— Co chcesz?

— Czy ty myślisz, że my tam kogoś poznamy?

Wiśniewska wchodzi do pokoju i natychmiast podnosi wrzask:

— Wyjmiesz mi te szpilki z ust! A cóż-eś za bałagan zrobiła na podłodze?

— Oj ma...

— Wyjmij szpilki, bo połkniesz jeszcze. Pamiętam, była historia tego rodzaju... — Wiśniewska siada na tapczanie, sapie. — Zmęczylam się, więc była historia... Grażyna! Na tapczanie szpilki! Więc była historia...

— Słyszałam! Że krawcowa połknęła szpilkę.

— I proszę ciebie była historia tego rodzaju, że ja tu leże w szpitalu... na ślepą kiszkę operował mnie ten słynny chirurg, bo to nagle przyszedł ten atak, w nocy... zaraz, no dobrze, jak on się nazywał? Za...

— Zawrocki, słyszałam, a koło ciebie ta krawcowa całą noc

krzyczała i ty wtedy sobie przyrzekłaś na całe życie, że szpilki do ust nie weźmiesz.

— To jak wiesz, czego pchasz szpilki do ust?

— Bo nie ma pieniędzy na gotową sukienkę! I nic mi nie wychodzi, nie starcza mi materiału! Ja nie jadę!

— Pomóż jej Oleńko. Ty się. Grażynko, nie denerwuj, zostaw Oleńce. Oleńka ci wszystko ułoży, przykroi.

Grażyna prostuje się, przeciąga, wymyka za matką do kuchni. Siada na krzeselku, wyciąga nogi przed siebie długie, muskularne, przygląda im się, mówi:

— Jeff chce żebym z nim poszła na *party*...

Wiśniewska już zrzuciła płaszcz, obiera kartofle.

— Kto to ten Jeff?

— Ten co mnie samochodem czasem przywozi ze szpitala.

— Samochodem! — Wiśniewska rzuca nóż, bulgocze cała, czerwienieje.

— Czasem czy nie, ja o tym nic nie wiedziałam! Ty chyba sobie zdajesz sprawę do czego takie jeżdżenie samochodem może doprowadzić.

— Wszystkie moje koleżanki jeżdżą.

— Ty wiesz jaką Amerykanki mają opinię. Wychowałam cię na uczciwą dziewczynę. Nałóż mi w tej chwili sukienkę, do czego to podobne, żeby tak w koszuli latać! I po co ci ta *party*, przecież jedzicie z ojcem na bal, poznacie odpowiednie towarzystwo.

— Ale ty nic nie rozumiesz, mamusiu.

Wiśniewska nastawia zupę, kroi teraz cebulę, siąka nosem.

— Jakto nie rozumiem? Ty myślisz, że ja jestem taka stara, że już nic nie rozumiem? Zawsze mówię przyprowadź swego kolegę do domu, zapoznaj z rodzicami...

— To nie jest przyjęte w Ameryce... wszystkie moje koleżanki... a co ja ci będę tłumaczyć!

Gdzie przyprowadzę? — myśli Grażyna. — Tu? Nic jej nie powiem.

— Słuchaj dziecko — ręka Wiśniewskiej pachnąca cebulą na głowie Grażyny — przecież ty masz dopiero osiemnaście lat.

— Pytam się czy mogę pójść z Jeff'em na *party*?

— No przecież jedzicie na ten bal.

Oleńka kłęczy na podłodze, szpilki w ustach, przypina skrawki papierowego wzoru do materiału.

„A jeśli nikt mnie nie poprosi do tańca? Niepewność, brak zaufania do samej siebie, poczucie, że jest się na drugim planie. Czy kiedykolwiek pozbędę się tego?”

Przyjechała do Stanów pierwsza. Już w porcie czekał na nią doktor Stern. Uśmiechała się starając się zrobić jak najlepsze

wrażenie. Cóż miała do zaofiarowania oprócz uśmiechu i kilku-nastu zdań wyuczonych z angielskiego podręcznika? Dr Stern oceniał: takie chuchro! Da to sobie radę z dwojgiem dzieci, gotowaniem i sprzątaniami? Ale chociaż nie odejdzie. Murzynki zmieniały się często. A przy tym wymagania! A humory! Doradzono mu, aby sprowadził Polkę, D.P. Dasz jej pokoiik, utrzymanie, 30 dolarów miesięcznie i w rękę cię będzie całować z wdzięczności. Już pierwszego wieczora wyznaczono jej miejsce. W piętrowym domku z czerwonej cegły należała do niej kuchnia i pokoiik przy kuchni. Państwo jedli w stołowym, Oleńka w kuchni. Upokorzona, osamotniona przepłakała pierwsze noce.

Skoro tylko nauczę się języka — pocieszała się — postaram się o stypendium, pójdę do *college'u*. Z dnia na dzień uczyła się języka i jeszcze owej sztuki znikania w odpowiednim momencie, wycofywania zawsze o krok wstecz, drugoplanowości, uśmiechu na zawołanie, który zastępował elokwencję. A jednak za wszelką cenę chciała okazać się inna niż ta, za którą ją uważali. Obmyślała sposoby odkrycia siebie prawdziwej. A więc jak to się oni zdziwią, gdy któregoś dnia odważy się usiąść przy pianinie i zagrać. A może powie kilka słów po francusku? A może powie im o sobie, o rodzinie, a wtedy doktorostwo Stern przeproszą ją za pomyłkę. I co? Odeślą do Niemiec? Była przecież w ich rękę, podpisała kontrakt. Mogą ją odesłać jeśli okaże się, że nie jest tą, o którą im chodziło. Wrócić do rodziców? Ona, która tak buńczucznie obiecywała, że otworzy im drogę do Ameryki? Nie mogą się zdradzić, muszę wytrzymać — postanawiała. Zdradzała się jednak z dnia na dzień i wtedy gdy wszystko już było wiadome, te jej skarby utrzymywane w tajemnicy, jej wykształcenie, pochodzenie, znajomość fortepianu i początków francuskiego, to wszystko czego broniła i co jednocześnie w obronie swej oddawała — zdziwiła się, że nie zmieniło się nic. Była nadal D.P. zaangażowaną do służby domowej z wynagrodzeniem 30 dolarów na miesiąc. Tak uzbrojona, zubożała, nie mająca już czego chronić i nie mogącą się niczego spodziewać bała się tylko jednego: aby nie stracić posady. Zaczęła więc usilnie wciskać się w swoją rolę osoby podrzędnej, dodatkowej, nie należącej do rodziny z którą mieszkała, ani też do kraju, który ją otaczał, a do którego sama nie umiała i nie miała odwagi znaleźć drogi. Myślała więc coraz częściej o tych, których opuściła, rodzicach, siostrze, o latach spędzonych w obozie, o dzieciństwie w Polsce, gdzie mimo wojny i trudności byli jednak razem.

— Panno Oleńko, Oleńko!

Generałowa w czarnej sukni obcistej, wydekoltowanej nie za bardzo, w miarę na tle bufetu — matrona. Oleńka frunęła ku niej.

— Zaczekaj tu kochanie, zostań tu chwileczkę...

Generałowa rozgląda się, odchodzi, szuka.

— Zbyszku!

— Słucham pani generałowo.

— Zbyszczku — generałowa pochyła się, szepcze — to właśnie ta panienka, dobra, zacna rodzina, przemiłe to, niezepute...

— Pani generałowa nic, tylko chce mnie ożenić. Gdzie ona jest?

— Czekaj chwileczkę — i głośno: — A dobry wieczór panie pułkowniku, prosimy do bufetu na flaczki! Znakomite! — i znów szepcem: Zbyszku, marnujesz się, ty już nie masz dwudziestu lat... — głośno: — Otóż tu mamy naszą zgubę! Panno Oleńko, pani pozwoli, porucznik Zbigniew Wrona-Gordzicki! Błaga mnie, żeby go z panią zapoznać. I ja was, moje dzieci, na chwilę zostawię. Zbyszku, to jest ta panienka, która tak pięknie tańczyła ku jawiaka na naszym obchodzie, tak się o nią wtedy dopytywałeś. Wybaczcie mi, przepraszam!

Tak więc wszystko już było uplanowane zanim po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy.

Trzy niewielkie salki — lokal wynajęty na emigrancki bal, orkiestra rzępoli przyklepiona do ściany, nieżywa. Krzesła pod ścianami, na jednym z nich Grażyna. Myśli: Jeff by tu nie przyjechał, ale dlaczego ja? Po co ja? Dla ojca? Dla Oleńki? Dla siebie samej, aby samą siebie przekonać?

Zygmunt Wiśniewski stoi nieśmiało w hallu. Rozgląda się, pali papierosa. Niezły lokal, taki dywan i punkt w mieście, zdaje się, pierwszorzędny. U nas to jak jaki lokal wynajmą, cholera, wstyd próg przestąpić, a tu, ho, ho! Wiadomo stolica. Przedstawić się generałowej? Właściwie to ze słyszenia się znamy, sama podeszła do dziewczynek po tym obchodzie i pytała o rodziców, prosiła, aby pozdrowić. Oleńka tańczy! Chłopiec zdaje się zupełnie do rzeczy sobie... może lepiej Grażyna mnie przedstawi, albo sam podejść. Mówiła Niusia: w czarnym ubraniu, a tu i w jasnych poprzychodzili, ale co fason, to fason. Generałowa na czarno, na wieczorowo.

Był to bal wiosenny. BAL, ale atmosfera raczej prywatnej tańcówki, szkolnego wieczorku. Uczniowie i uczennice porządnie się już podstarzeli, młodsze klasy dobrze pod czterdziestkę. Ale dyganie i uśmiechy i ukłony i odcienie dystansów i pewne zażeno-

wanie wobec nauczycielstwa i nauczycielstwa ton protekcjonalny, w miarę serdeczny wobec młodzieży — wszystko to samo. Musimy sobie nawzajem dawać przykład, a wszyscy razem musimy świecić przykładem. Niech Amerykanie, którzy znajdują się pomiędzy nami, zobaczą, ocenią, powiedzą światu.

— Panno Oleńko, czy zna pani generała Żyjącego?

— Tylko ze słyszenia, z historii, ale osobiście nie... skądże? A jest tu?

— Tam! — Zbigniew wskazuje ruchem brody.

Tam-to pokój do którego wchodzi się z hallu na lewo, albo wprost z sali tanecznej. Małe stoliki, bridge, dym. Generał Żyjący mógłby być słusznie mianowany dyrektorem szkoły, której potańcówka właśnie się odbywa. Jest wysoki, ma kształtną czaszkę i ujmujący uśmiech, którym, wie, czaruje ludzi. Trudno mu jest mieć cokolwiek za złe, jest tak ujmujący i przy tym postać historyczna. Jeśli byłby dyrektorem szkoły, nie karałby uczniów bezpośrednio, nie potrafi zranić nikogo, skierowałby raczej ostrze przeciwko samemu sobie... Zdaje sobie sprawę ze swojej pozycji i ze swego na balu znaczenia, jest gościem honorowym.

Orkiestra zmęczona, zwiędła, orkiestra amerykańska wynajęta na wieczór balowy usunęła się, odpoczywa przy bufecie. I teraz dopiero rozpoczyna się bal. Podskoczyło pianino.

— Proszę państwa, MAZUR!

— Zatańczysz Grażynko?

— Z tobą zawsze tatuśku. — Myśli: Gdyby można zatańczyć mazura z Jeff'em! Na tej sali? Z tymi ludźmi? Trzeba wybierać, nie można mieć dwóch rzeczy. — Niecierpliwi się. — Jeszcze nie zaczynają?

— W imieniu komitetu, w imieniu pana generała, w imieniu emigracji witam państwa na naszym wiosennym balu.

— Kto to tatuśku?

— Nie wiem, spytaj się tego pana.

— Proszę pana, kto to mówi?

— A to prezes, cicho...

— To ten w pierwszej parze, ten z tymi brwiami?

— Proszę państwa, MAZUR!

Sala tańczy mazura. Korowód roześmiany, oczarowany, posiwiały, wyłysiały, pomarszczony, odmłodzony, oślepiiony. Za wodzirejem! Unosi ich, ponosi ich, w imieniu emigracji. Cóż emigracja! Cóż pierwsza para? Mazur! Mazur! Wynajęta salka z przyklepioną do ściany, zapomnianą, podrygującą w takt mazura orkiestrą. Pianista zrzucił marynarkę, ani na chwilę nie przestając grać, zrzucił krawat, czupryna spadła na oczy. Pianino wali skocznie, obraca się, od podłogi do sufitu skacze. Mazur!

Mazur! Jeszcze jeden, jeszcze raz, jeszcze dzisiaj! Porwali się z krzesel starsi i najstarsi i kto z kim może MAZURA! Generał Żyjący przytupuje, wąsa szarpie, nie wytrzymał. Porwał generałową-wdowę i na czoło korowodu.

— Czy pani pozwoli, panno Oleńko?

— Jeszcze nie, jeszcze za chwilę, jeszcze popatrzmy.

— Gdyby nie emigracja, pomyśl Grażynko, to by się człowiek nigdy w takim towarzystwie nie obracał: generał, generałowa, prezes, to ci mówię przed wojną...

Grażyna ogląda się: Gdzie Oleńka?

Generałowa ogląda się: Gdzie Zbyszek?

Nie widać ich, teraz wszyscy zajęci mazurem, generałem, prezesem-wodzirejem — a oni dwoje umknęli. Przyczajeni z tyłu za innymi, zapatrzeni, a niewidzący, ściśnięci tłokiem patrzających. Więc Zbigniew odgradza Oleńkę ramieniem, niby niechcący, opiekuńczo i spoglądają nie widząc, nie wiedząc — oni są tu najważniejsi.

Tańczmy, tańczmy! Tłok i gorąco, sala zbyt mała, orkiestrę niepotrzebną tańczący wtoczyli w ścianę.

— Panie generale, co za mazur!

— Tylko za mało miejsca! Mało! Mało! Bis! Bis! Bis!

— Otworzyć drzwi, drzwi do drugiej sali!

Pianista zrywa się więc i rozwała drzwi do drugiej sali. Drzwi pod uderzeniem jego dłoni odzywają się mazurem, a za drzwiami sala nie sala, ciemność, nie wiadomo co.

Tańczmy, tańczmy mazura! Mało! Brawo! Bis! Bis!

— Muszę odetchnąć świeżym powietrzem — woła Grażyna — muszę pomyśleć o Jeff'ie. Odbiega więc, ale nogi drgają jeszcze, przytupują w takt mazura, gdy biegnie w kierunku uchylonych drzwi, za którymi szumi chłodna noc amerykańska. Wiśniewski tańczy więc sam, nawet nie dostrzegł zniknięcia Grażyny.

— Za mało miejsca! Do drugiej sali! Generał Żyjący nieustraszenie w tę ciemność drugiej sali podskakuje mazurem, a za nim prezes i para za parą, para za parą... tylko pianino zarażone, oszalałe gra samo w pustce nagłej MAZURA.

— Panno Oleńko, czy pani pozwoli?

— Zatańczmy razem, dobrze, ale gdzie wszyscy? Gdzie goście, ojciec, Grażyna?

— Cóż to nas obchodzi? Będziemy pierwszą parą!

Wiśniewski oprzytomniał. Gdzie Grażyna? Zmęczony przeszedł do sąsiedniej salki, do zaimprovizowanego tam bufetu. Kupił szklankę punch'u i kanapkę.

— Nusia to by się tu cieszyła — pomyślał. — Tak, jak za starych, dobrych czasów w Resursie Obywatelskiej. Kiedy ja byłem na balu? Ho, ho, kopę lat! A od tego czasu wojna, obóz, potem tu harówka. Zaczął pracę jako kopacz, potem murarz, 80 centów płacili na godzinę, potem wozził cegły na wózkach do pieca, scharował się, zmarnował, aż wreszcie dochrapał się tej posady w biurze i znów przypomniał sobie, że był niegdyś inżynierem.

— Pan inżynier Wiśniewski?

Drgnął. Odstawił niedopitą szklankę z punch'em.

— Tak jest pani generałowo.

— Pan pozwoli, ach Boże, jak się zmęczyłam tym mazurem, pan pozwoli. Pan generał Żyjący, a to pan prezes Wimiński.

Wiśniewski ścisnął wyciągnięte dłonie. Nie mógł przemówić. No niech-no ja tylko Niusi opowiem!

— Młodzi — sciszyła głos generałowa — pasują do siebie, prawda?

Generał i prezes uśmiechnęli się.

— Nasza kochana pani generałowa ratuje młodsze pokolenie. A gdzie druga córeczka?

— Ja zaraz... — zaczął Wiśniewski, ale zatrzymał się, chciał coś powiedzieć, wyrazić jakoś swoją radość, wzruszenie. Zwrócił się do generała, patrzył w górę, gdyż generał Żyjący był dużo wyższy od Wiśniewskiego.

— Panie Generale, wielki to zaszczyt dla mnie uścisnąć pana rękę, bo tak Bogiem, a prawdą, gdyby nie emigracja to gdzie ja bym tam kiedy się do takiej osobistości docisnęła. Ja zaraz zawołam, przyprowadzę Grażynę... I odszedł prędko nawet nie sprawdzając jakie wrażenie wywołała jego przemowa. Spieszył się. Grażyna im się spodoba. Niech zobaczą jakie ma córki!

Nie było jej na sali, ani wśród tańczących, ani siedzących panien.

Podbiegła do niego natomiast Oleńka.

— Tatusiu pozwól, pan porucznik Wrona-Gordzicki.

Wiśniewski już widział, wiedział. Oleńka oczy nieco uniesione w górę, wniebowzięta, zaróżowiona, śliczna.

— Melduję się panie inżynierze, cześć!

— Bardzo mi miło, bardzo, niech pan do nas kiedyś, bardzo prosimy, żona się ucieszy... i ja za chwilę, bo właśnie z generałem... Oleńko, gdzie Grażyna? — Pomyślał: chłopak, jak malowanie, no to dobrze, ale gdzie Grażyna? Dlaczego ja się niepokoję?

— To poszukamy — zaofiarował się Zbigniew.

— Już nie, nie, ja sam! Ona tu gdzieś musi być, ja zaraz. Baw się Oleńko, proszę o nas pamiętać, będzie nam bardzo miło panie poruczniku. Przeszedł do drugiej sali, gdzie grano w bridge'a. Szukał, a cały czas rozmyślał, przemawiał sam do siebie i do żony:

— Niusiu, mówię ci, co za bal! Te nasze córki, to już nie dzieci, pannice! Oleńka chłopca poznała, bardzo, bardzo do rzeczy. Będę je musiał częściej brać na zabawy. A kogo ja tu nie poznałem! Cała, mówię ci, elita politycznej emigracji: generał Żyjący, prezes Wimiński. W Polsce to byśmy nigdy, a tutaj! No a tak się bałaś! Więc mówiłem, generałowa zachwycona Oleńką, a jak zobaczyła Grażynę, bo wiesz Grażyna to taka typowa Polka tylko ją ubrać w strój krakowski, tylko, że Grażyna to jeszcze smarkata...

— Grażynko!

— Jestem przecież!

— Nie było cię. Tańczyłaś?

— Nie, nie miałam ochoty i zresztą z kim?

Córka wydała mu się, jakby obca, inna, wymalowane mocno usta, dorosłe, chłodne, nieco ironiczne spojrzenie.

— Chodźmy — niecierpliwił się. — Chodźmy! Wyobraź sobie poznałem generała i czekają na ciebie, chcą cię poznać. No chodź! A gdzie ty byłaś?

— Obiecałam Jeff'owi, że zatelefonuję.

— Jeff'owi?

— Słuchaj tatuśku — wzięła go pod ramię i prowadziła ociągającego się do kanapki pod ścianę. — Siadaj, nic nie rozumiesz, ale daj mi papierosa.

— Palisz?

— Pewnie, tylko nie przy was.

— Chodźmy! — poderwał się. — Generał czeka!

— Nie — powstrzymała go — teraz ci powiem, teraz ci muszę powiedzieć.

— Że co?

— Wychodzę za mąż.

— Co? Co? No nie żartuj!

— Wychodzę za mąż za Jeff'a. Doktor Jeff Mc. Gregor. Zaraz w czerwcu, jak skończę college.

— Grażyna! Oszalałaś?

— A ty myślisz, że będę klepać waszą emigrancką nędzę, że mnie już nie obrzydło to mieszkanie na poddaszu? Jeff jest lekarzem, Amerykaninem...

— Jeff? Co ty? Nie rozumiem! A matka? I pewnie jest protestantem? — O Boże święty!

— Tatusiu, zrozum, przecież ja nie muszę zmieniać religii. Tu w Ameryce...

— Ale jak to? To przecież... A matka? Matka?

— Czy ty myślisz, że ja bym z wami została, że ja bym się tam z wami gnieździła nawet, gdyby nie Jeff... Tutaj każda młoda dziewczyna usamodzielnia się.

— Nie, to niemożliwe, żartujesz. A matka?

— My się z mamą nie zgadzamy.

— Ale — bronił się, osłaniał, nie wierzył — to trzeba przemyśleć, chodźmy!

— Nie zapominaj, że jestem pełnoletnia i już przemyślałam.

— Więc to naprawdę? — Wiśniewski podniósł się — bez naszej wiedzy, za Amerykanina? Kiedy się zdecydowałaś?

— A wiesz, że nawet niedawno, wtedy, gdy tańczyliście mazura.

— Ja teraz nic nie chcę słyszeć, ja ci nie dam mego błogosławieństwa, co ty w ogóle za żarty? Tu, na balu!

— Bal! — roześmiała się — bal! A to mi dopiero bal! Tańcie szkieletów! Ty myślisz, że ja tu się bawię? Że ja tu chcę należeć? Myślisz, dam się wyswatać jakiejś generałowej, że mnie obchodzi jakiś generał? Ja chcę żyć normalnym życiem!

— Dość! — wyszeptał ochryple.

— Tatusiu!

Odsunął ją, przeszedł obok niej wyprostowany odtrącając czepiającą się go rękę.

— Zostaw mnie, muszę wyjść na powietrze, duszno mi.

— Tatusiu... zrozum! — biegła za nim.

— Później, później, nie teraz! Odejdź!

Została na środku hallu, niezdecydowana, zapłakana. Rozdzielili ich przechodzący ludzie.

Wiśniewski przez uchylone drzwi wyszedł na ulicę. Noc była późna, gwiazdzista, wczesno-wiosenna, powietrza łagodnie chłodne. Odetchnął głęboko, zapalił papierosa. Stał długo nie myśląc. Za nim schody budynku, w którym odbywała się zabawa, przed nim — boczna, zadrzewiona ulica, w oddali światła, szum nocny stolicy.

— Jak ja powiem Niusi — jęknął — jak ja... W tajemnicy przed nami... Amerykanin, protestant... nie chce naszej emigranckiej nędzy...

Generał, generałowa, prezes, cała elita emigracyjna upragniona przed chwilą wydała mu się nieważna, niepotrzebna. Popiół papierosa spadł na klapę nowego, kupionego za pożyczone pieniądze ubrania.

— Emigrancka nędza, emigrancka głupia, nieważna траге-



dia... Bal! Jak ja Niusi powiem? Jak ja jej to powiem?

Ruszył przed siebie ulicą, nieznaną, boczną ulicą wielkiego miasta.

— Stary durniu nie płacz, stary Wiśniewski nie rozklejaj się, jak baba. Taniec szkieletów, tak powiedziała, obrzydło jej mieszkanie na poddaszu. Emigrancka nędza? Jakto? Przecież tak źle znów nam nie jest, przecież nie głodujemy. Więc dlaczego nędza? Jaka nędza? Co jej obrzydło? Boże, przecież ja ją stracę! Przecież jak pójdzie za tego Amerykinana to już odejdzie, to już inny świat, inni ludzie. Nie mój świat i nie Niusi. I nawet nie świat Oleńki. Jeff? Jeff? Nawet się z nim dobrze nie porozumiem.

Szedł ślepo przed siebie, nie słyszał nic, nic nie widział. Nagle stanął, drgnął, wstrząsnął się. Minał go długi, hałaśliwy, otwarty samochód wypełniony, przepełniony młodzieżą. Pewnie wracali z party i ryczeli na cały głos:

*Janke Doodle went to town...*

Przystanął, głosy cichły:

*A 'ridin' on his pony...  
He stuck a feather in his hat...*

Mimowoli uśmiechnął się, spoglądał za niknącymi światłami samochodu.

— Młodość... — mruknął — wszędzie, zawsze ta sama. Żeby się tylko, gdzie nie rozwalili, pędzi to, jak szalone. No to trzeba będzie wracać... Szukał w kieszeni chusteczki, nie znalazł, wierzchem rękawa przetarł twarz, rzucił niedopałek papierosa, przydeptał nogą.

— No i cóż, Zbyszek czy Jeff i tak odejdą i zostaniemy sobie razem z Niusią, sami. I czy mi tu jaki generał pomoże? E, stary Wiśniewski, nie rozklejaj się, jak baba. Późno, trzeba będzie wracać, zobaczyć tam... i zaraz, jak to idzie?

*Ta-ta-ra lal-la-la-la  
Ta-ta ra-ta-ta-ta  
Przychodzą goście moi  
I dają mi na piwko...\*)*

Danuta MOSTWIN

\*) Autentyczna piosenka krakowskiego dorożkarza Jana Kaczary.

## Champs-Élysées

Niedziela. Godzina piąta popołudniu, tłumy spacerują po avenue des Champs Elysées. Tłumy niedzielnych spacerowiczów, turyści i francuskie rodziniki drobnomieszczańskie, gruby papa, nijaka mama i szesnastoletnia córeczka rzucająca na prawo i lewo rozpaczliwe spojrzenia, zamaskowane wyrazem twarzy skazanym na niedzielny spacer. Rozpaczliwe spojrzenia — to nie całkiem tak; trzeba być specem, by odkryć pod obowiązkową maską banału starannie zamazaną nudę i inne aspiracje, chęć urwania się i rozwinięcia własnej działalności, szukania szczęścia we własnym, nie rodzinno-spacerowym zakresie.

Ale zostawmy ten kuchenny freudyzm i zajmijmy się biologiczną obserwacją wybranej z tłumu jednostki. Biologiczna obserwacja: określenie podoba mi się, żyjemy przecież w wieku precyzji naukowej. W czarnych okularach szybko posuwa się wśród tłumu panna Bernardette. Panna Bernardette ma lat trzydzieści, jest mistrzynią różnych sportów, absolwentką *HEC Jeunes Filles*. Poza tym jest sekretarką wielkiego patrona, a że szef jest kawalerem to przyjaźń ich pogłębiona po trzech *coctail'*ach w czasie podróży służbowej do Sao Paulo skończy się lada chwila małżeństwem. Lada chwila, ale dziś niedzielne popołudnie, no i admirowany szef daleko. Dziś panna Bernardette nie pracuje dla kariery, ukryte tęsknoty wyzieraają jej z oczu. Dziś popołudniu ta zdyscyplinowana osóбка, samowyszkolona niezawodną metodą Pellmana, popuściła sobie pasa. Szuka metafizyczno-fizycznych czyli erotycznych satysfakcji, z ukrytą nadzieją, że ich nie znajdzie. Gdyby sprawę do głębi przeanalizować, to można by stwierdzić, że szuka ona pożywki dla marzeń.

Na przeciw idzie Polak Wacek. Wacek waha się między kinem a kawiarnią. Kawiarnia może lepszy teren, może można

będzie coś załatwić: coś załatwić to znaczy poznać kogoś, kto popchnie realizację wielkiej kariery Wacka, da mu możliwość wykazania jak wielkim i rewolucyjnym, supernowoczesnym architektem jest on. Na rogu rue du Colisée grają „Krzyżaków”. Nagła asocjacja myśli i Wacka oblewa zimny pot. Zmuszony odmową paszportu konsularnego do wyboru wolności i odcięcia od kraju, ilekroć o tym myśli odczuwa głuchy ból w żołądku. Za Wackiem idzie chudy pedał o nieokreślonej narodowości. Narodowość nieokreślona nie dla wszystkich. To przecież po prostu czeski Żyd, jakby powiedziała pewna czystej krwi Francuzka urodzona w Bukareszcie. Jedyne eks-sfery wyższe i arystokracja Środkowej Europy chętnie wspominają swe „wschodnie” pochodzenie. Inni, często po zrobieniu kariery na Zachodzie, z wielkim wysiłkiem ślad zacierają ogonem. Pięćdziesięcioletni młodzieniec jest w specyficzno-specjalnej sytuacji — już sprawy żydowskie są inne od innych, a cóż dopiero homoseksualista. To połączenie dwóch mniejszości, dwóch mafii, podlane paszportem południowo-afrykańskim i stanowiskiem profesora muzykologii, wykłady na temat socjologii muzyki w różnych częściach świata, to rzeczywiście daje narodowość mocno wymieszaną. Jakieś między-narodowe, intelektualne *café congress and Saint Germain-des-Près society*. Pięćdziesięcioletni młodzieniec zbliżył się do Wacka i ocenia go śmiałym spojrzeniem starego wygi, polowania na łup męski. Wacek, co niegdyś bywał na Starym Mieście w literackim lokaliku „Manekin” i spotkał w swej karierze różnych, odkrywaniem młodych umysłów zainteresowanych literacików, szybko ocenił i rozpoznał łowcę.

Wacek prawie równocześnie zauważył pannę Bernardette. Wyczuł błyskawicznie jej nastrój, jej gotowość do kontaktu, wymierzył sens jej pełnego wahań, ale i zewu spojrzenia. Oceniał też należycie czarne okulary, nowoczesny symbol nastroju, i jej „chciałabym i boję się”. Spec ukryty w jego dwudziestopięcioletniej duszy powiedział mu: tę trzeba z lekka pogwałcić, gotowa pod nóż, ale śmiertelnie się go boi. Między analizą sytuacji, a wykonaniem planu akcji podyktowanego tą analizą, jest jednak wielka różnica. Wackowi brakło śmiałości definitywnej. Jeszcze, gdyby byli koledzy, no to może dopingowany ich obecnością zdobyłby się na wyczyn. Rzucił więc na Bernardette spojrzenie nader wymowne i na tym koniec. Bernardette pełna podniecenia i wahań „co zrobię jeśli mnie zaczepi”, postanowiła wykonać powolny zwrot strategiczny. Zmianę kierunku. Przed kawiarnią Colisée zawróciła. Ruszyła w górę w stronę Etoile i Łuku Triumfalnego. Wacek z lekka zniechęcony tym manewrem jednak też zawrócił i mówiąc sobie „boi się dziewczyna”, za nią podążył.

Czesko-żydowski intelektualista z paszportem południowo-afrykańskim, wyceniający Wacka od długiej chwili, powziął też decyzję, by zawrócić. Maneżu wokół Bernardette na razie nie spostrzegł, natomiast rozpoznał polskie pismo w rękach Wacka. Sześć tygodni spędzonych u kuzynów w Krakowie, wiele lat temu, zostawiło mu jaką taką znajomość tego, co Anglicy by nazwali *basic Polish*. Z decyzją zbliżył się do Wacka; w ostatniej chwili spostrzegł i boleśnie odczuł rozmowę spojrzeń między Wackiem a Bernardette. Do Wacka nie podszedł, ale siłą rozpędu ruszył za nim.

Sprzedawca „France-Soir” wykrzykiwał tytuł walki w Bizerte. Wacek drgnął, pomyślał coś o historii, co wdiera się w życie, odczuł głębokie zadowolenie, że coś się dzieje. Cieszył się że jest ruch w interesie, że koło historii ruszyło naprzód. Dlaczego taka radość, dlaczego ta jakaś starannie ukryta i niewypowiedziana nawet wobec siebie samego nadzieja, że może wojna ogólna? Sam chyba nie mógł jasno tej rzeczy ani zdefiniować ani wyjaśnić. Wiedział przecież jakie ryzyko atomowe zawiera w sobie nowoczesna wojna, lecz po jakimś jej chyba pragnął. Czy dlatego, że w kraju od lat jakieś stare a reakcyjne ciotki wbijały mu w głowę: aby do wiosny, na wiosnę będzie wojna, wszystko samo się załatwi gdy Anglosasi itd.? Czy dlatego, że wybrał wolność i widział w wojnie uzasadnienie swego posunięcia? Nie, chyba to jakaś sprawa bardziej złożona. Jakiś wstręt do rzeczywistości, do nudy i obłudy dnia dzisiejszego. Jakiś gust do stena, nostalgia tradycji narodowo-konspiracyjno-powstańczej. No i mimo sceptycyzmu i świadomości różnych ryzyk, nadzieja przecież na zmianę w kraju, zmianę nieokreśloną, nadzieje na nowy młody zespół, na nową generację. Niezależność od Rosji, tak, na pewno, ale w naszej epoce z tymi niezależnościami to sprawa nie taka prosta, przecież każdy od kogoś zależny, jak nie Rosja, to może wyskoczą Niemcy, a może Chiny. Wacek nagle ujrzał chińskich żołnierzy przed Pałacem Kultury, chińskich komendantów w jakimś polskim starostwie i zaśmiał się z przedwczesnej wizji. Wojna — ogarnął go jednak strach — cholera, śmierć atomowa, niech ktoś rąbnie w Paryż. Strach jednak szybko minął. Wackowi wizja własnej zagłady wydała się w to niedzielne popołudnie na Champs Elysées nierealna.

Wiadomość o walkach w Bizercie zauważył też nasz żydowsko-czesko-afrykański profesor Lederler. Odniosł się do niej z zainteresowaniem, z pasją biologa obserwującego ruchy insektów. Od momentu, w którym w niemieckich piecach czy krematoriach zniknęła bez śladu większość czy olbrzymia większość jego lat dziecinnych, wypadki i wojny, wszystko co ludzkości mogło się

zdarzyć napawało go dużą obojętnością. Koniec świata spowodowany amerykańsko-rosyjską wymianą bombardowań wodorowych wydawał mu się logicznym ciągiem dalszym kosmaru lat hitleryzmu. Ten super kulturalny esteta, zręczny i zabawny rozmówca salonów obu kontynentów, ukrywał pod gierkami rozpusty i pozorami wielkiej żywotności swą, jak ją w myślach nazywał, martwą duszę. Sprawy i losy wiedeńsko-praskich Żydów, o których nigdy nie mówił, żyły w nim, wracały po nocach jak obsesja. Cóż go mogło obchodzić poza starymi, cudem uratowanymi, fotografiami sprzed potopu? Sukcesy życiowe, funty i dolary przychodziły mu łatwo, tym łatwiej zapewne, że o nie zupełnie nie dbał. Erotyzm jego też był suchy, niezdolny był do przywiązania. Ile razy spotkał kogoś, budzącego w nim zainteresowanie mniej powierzchowne, po pewnym czasie obsesja przeszłości eliminowała terażniejszość. Tamte twarze, żydowska szkółka w Pradze, praskie gimnazjum, okres prześladowań, nocne dyskusje na stryżku praskim, gdzie spędził parę długich tygodni w towarzystwie innych żydowskich studentów. Wszystko to było dziwne; całą młodość spędził na wysiłku ucieczki ze środowiska pluszowych kanap, z żydowskiej drobnej czy średniej burżuazji, a od chwili gdy protekcja austriackiego barona i nazisty przez sympatię dla fizycznej formy SS-manów pomogła mu wywiać na Węgry, stale później myśląc wracał do pluszowej kanapy, do przeładowanych mieszkań, do karpia po żydowsku. Nic go nie łączyło ze średnio-żydowskim środowiskiem, nie starał się odnaleźć form życia zbliżonych do swej przeszłości. W czasie swych licznych wędrówek po świecie spotkał żydowskie domy i żydowskie pluszowe meble, jakby żywcem z lat międzywojennych w Europie Środkowej wyjęte. Domy te, ludzie ci, spotkania z nimi, wstrząsały jego wspomnieniami, jednak wszystko w nich drażniło go, tak jak drażniło go przed laty własne środowisko w Pradze. Ich prowincjonalna światowość, ich pseudo elegancja, ich groszowy sprytek, specyficznie żydowska egzaltacja kobiet — wszystko to go złościło. Obserwował ze zdumieniem kontrasty swej struktury uczuciowej: z jednej strony dominującą terażniejszość obsesję przeszłości, z drugiej, świadomość mierności ludzi co zniknęli w hitlerowskich dniach. A teraz Berlin, Bizerta, groźba konfliktu światowego, wszystko to go interesowało, podniecało nawet, ale żadne wypadki nie mogły złamać jego obojętności na własne i świata losy.

A jak na prasowe informacje, na alarmujące tytuły „France-Soir” zareagowała panna Bernardette? Ze świadomym odrzuceniem śladu wahania co do możliwości konfliktu. „France-Soir” produkuje alarmujące tytuły, by podnieść sprzedaż. We Francji klasy średnie w możliwość wojny nie wierzą, zbyt długo im tłu-

maczono, że konflikt atomowy jest nie do pomyślenia, że żadna ze stron nie pójdzie na takie szaleństwo. Poza tym Bernardette zbyt była, jak całe jej środowisko, zajęta najnowszym *fridaire'm*, spłacaniem rat za samochód, rat za nowoczesne choć położone daleko od centrum mieszkanie, żeby mogła pasjonować się sytuacją światową. Raz oceniła, że konflikt światowy nie grozi, że nowa wojna w jej życie nie wtargnie, bo to w epoce atomowej nie jest możliwe. Tytuły gazet przestały na nią oddziaływać, polityka światowa, podobnie zresztą jak i polityka wewnętrzna francuska, całkowicie ją nudziła, tak samo zresztą jak nudziła jej kolegów i koleżanki w biurze. Z podświadomości panny Bernardette wyskoczyło jednak niespodziewanie wspomnienie ostatniej rozmowy z jej flirtem i szefem w jednej osobie. Przypomniała sobie, że opowiadał jej, iż wielki przemysłowiec, właściciel całej ich firmy, zbudował sobie w ogrodzie swego pałacu w Normandii schron przeciwatomowy. Bernardette więc pomyślała: jeśli tak zorientowani ludzie budują schrony, to może coś jednak grozi, może konflikt światowy nie jest tak wykluczony, jak większość jej przyjaciół uważa. Nagle przeraziła ją myśl, że wojna jednak będzie. Ta perspektywa apokalipsy pchnęła Bernardette na nową tory, innym okiem spojrzała na rzucającego jej stale pełne propozycji, choć nieśmiało spojrzenia Wacka. Postanowiła zerwać z całą swą dotychczasową ostrożnością. O ostrożność tu rzeczywistość chodziło, o nic innego. Bernardette, jak dużo panien, nie była moralistką, zasady poprzednich generacji były dla niej czymś zupełnie obcym, dalekim i niezrozumiałym i wydawały się jej pochodzić ze średniowiecza. Stosowanie ich w obecnej epoce zdawało się jej śmieszne i nielogiczne. Jeśli nie praktykowała szeroko przygodnych awantur to tylko przez ostrożność — nigdy nie wiadomo na kogo się trafi — oraz przez higienę zarówno fizyczną jak psychiczną. Obserwacja nauczyła ją, że zbyt łatwe życie seksualne prowadzi do depresji nerwowej, że nadużywanie rozpusty wyczerpuje system nerwowy. Znała parę kobiet szeroko praktykujących łatwinę seksualną — były to prawdziwe szmaty, pałace papieros za papierosem, niezdolne do koncentracji i jakiegokolwiek pracy, cera ich szybko stawała się zniszczona, a oczy mętne i niespokojne. Bernardette więc, nie będąc wcale moralistką, ze względów higieniczno-praktycznych prowadziła życie względnie cnotliwe, ograniczając się do stosunku ze swym szefem dwa razy w tygodniu. Stosunek ten dawał jej zadowolenie, bo uważała go za pożyteczny, poza tym szef jej dogadzał jako towarzysz restauracji i podróży. Eleganckie ubrania za sto tysięcy starych franków robione u dobrego szkockiego krawca, osiadłego w Paryżu, krawaty od Lanvina, koszule robione na zamówienie, buty od Westona, wreszcie

ostatni model Porsche'a. Co do tego samochodu sportowego, to Bernardette nie całkiem zgadzała się z szefem. Uważała w głębi duszy, że sportowy samochód dla pięćdziesięcioletniego pana o wyglądzie zażywnym nie jest wskazany. Uważała to za głupią kokieterię na młodość. Starsi młodzieńcy stylizujący się na dwudziestoparolatków, ubrani w kolorowe koszule i *blue-dżins'y* wzbudzali w niej mieszaninę rozdrażnienia i litości. Z wrodzoną otwartością i szczerością tłumaczyła szefowi, że stylizując się na młodziana przyznaje się do kompleksu wobec młodości, odsłania spowodowany wiekiem brak pewności siebie.

Flirt Bernardette z szefem, mimo że jej dawał pewne satysfakcje i równowagę seksualną, nie przeszkadzał jej jednak w odczuwaniu od czasu do czasu ciągot w stronę innych generacji, w stronę świeższego mięsa, jak Bernardette — adoptująca starannie styl i język nowej fali lansowanej z szumem przez film i młodą literaturę — to nazywała. Od czasu do czasu, tej skądinąd niesłychanie zorganizowanej młodej osobce, marzył się jakiś Belmondo. Teraz, pod wpływem myśli o możliwości kataklizmu światowego, potopu wojny atomowej, zrywając z wrodzoną ostrożnością, rzuciła zachęcające spojrzenie idącemu za nią Wackowi. Wacka ta nagła zmiana frontu, przed chwilą niechętnie nań patrzącej panny, zdziwiła niesamowicie, nie wiedział jak zareagować, bo przecież już uznał sprawę za przegraną, a tu nagle takie spojrzenie. Takie spojrzenie, gdy on już niczego się nie spodziewał, gdy lotna myśl już go przeniosła od tydek panny B. do spraw światowych, gdy ekscytację łydkami zastąpiła ekscytacja możliwością konfliktu światowego. Wacek zmieszał się. Okazji nie wykorzystał. Zmieszanie jego Bernardette wzięła za odmowę i ze zmienionym, zimnym teraz, wyrazem twarzy ruszyła naprzód. Wackowi zabrakło szybkich reakcji i zdolności ofensywnych, by sytuację tę zmienić. Nie dość szybko zorientował się co zaszło, nie dość szybko zrozumiał, że jego zmieszanie zostało uznane za odmowę.

Bernardette, zmieszanie Wacka mylnie wzięwszy za odmowę, zmieniła nastrój brutalnie i nagle ucieszyła się z nieudania się szaleńczego planu, jak teraz uznała, zawarcia znajomości z Wackiem. Grał też moment inny: w rękach Wacka dostrzegła gazetę obcojęzyczną, w której górnym węchem rozpoznała jakiś język słowiański czy środkowo-europejski. Błyskawicznie przypomniała sobie rady jednej z przyjaciółek: nie flirtuj nigdy ze Słowianinem; w najlepszym razie ni stąd ni zowąd w biały dzień upije się w twoim mieszkaniu, zarzyga starannie dywan i klatkę schodową, w czasie twej imieninowej *party* uprze się by śpiewać swe narodowe piosenki i uczyć twych gości tańczyć kozaka, poza tym po-

prosi cię o przenocowanie w twym mieszkaniu swego wielkiego przyjaciela i rodaka, a następnego dnia zrobi ci piekielną scenę zazdrości o tegoż rodaka. Jest też pewna szansa, że popełni nieudaną próbę samobójstwa w twym mieszkaniu, a w każdym razie zażąda od ciebie załatwienia trzydziestu spraw, znalezienia flirtów, pokoi i pracy dla piętnastu kolegów.

Przez głowę Bernardette przewinęła się seria takich refleksji. Wacek ze swej strony, teraz gdy z własnej winy zresztą stracił wszelką szansę nawiązania znajomości, ocenił dziewczynę krytycznie, uznał nagle, że jest za stara, co najmniej trzydziestka (co zresztą odpowiadało prawdzie), zbyt umalowana, pod tymi malowidłami cera pewno zupełnie zniszczona (co było mocną przesadą).

Co Wacek stracił gubiąc możliwość poznania się z Bernardette? Z Bernardette znikającą w kierunku avenue Georges V znikła możliwość, znikła okazja szybkiej integracji Wacka w francuską rzeczywistość. Bernardette, dziewczyna pełna energii i lubiąca na swoją modłę organizować życia ludzi ją otaczających, narzuciłaby mu z pewnością styl i kierunek integracji szybkiej i kompletnej w miejscową burżuazję. Z wrodzoną u pewnej kategorii Francuzek zręcznością, umiałaby Wacka wprowadzić w swój świat, zmusić do akceptacji jako swego koleżę, nawet przez swego kochanka-szefa. Wacek dostarczyłby jej parodniowej atrakcji erotycznej, później byłby rezerwą na niedzielne popołudnia czy wieczory, gdy szef zajęty. Szans całkowitego zawładnięcia Bernardette chyba nie miał, a to z wielu powodów związanych z klimatem psychicznym, w którym dziewczyna ta żyła, w związku ze strukturą psychiczną, jaką w niej ten klimat wyrobił. Struktura psychiczna Bernardette nakazywała jej sprawy erotyczne traktować dość lekko, mniej więcej na równi z dobrym obiadem. Życie erotyczne dziewczyn z jej bardzo paryskiego środowiska zaczynało się wcześniej. *Surprise party* piętnastolatków degenerowały w orgie. Bernardette z mieszaniną zgorzienia i podziwu wspominała swoją szesnastoletnią w owym czasie koleżankę z liceum, która głosiła że chodzi na *surprise party*, gdzie z góry wiadomo, iż nie wypada odmawiać posuniętego flirtu żadnemu z obecnych chłopców, ale pod warunkiem, że z góry zna się listę zaproszonych chłopców. Bernardette sama nigdy się tak daleko nie posunęła, jednak przed maturą zdołała mieć już cztery mocno zaawansowane flirty. Taki tryb życia siłą rzeczy spowodował pewnego rodzaju dewaluację spraw seksualnych. Zagorowała nad nim ambicja „nowoczesnego życia”, eleganckich restauracji, szykownych toalet i *coctail'i*. Bernardette żyła jak mężczyzna, walczyła o luksus i niezależność, flirt był w jej ręku bronią w tej walce.

Tak więc było miejsce na Wacka w życiu Bernardette. Pół flirt, pół protegowany kochanek od czasu do czasu. Jedno pewne, to że Bernardette, chciałyby komenderować jego losami. Nie znaczy to, by stała się o niego zazdrosna, przeciwnie, chętnie pożyczylaby go od czasu do czasu jakiejś koleżance na jeden *week-end*, na dłużej to już by jej się mniej podobało. Komenderowanie losami Wacka miałyby różne rezultaty. Dzięki swoim stosunkom i swojej energii, decyzji i pewności siebie, którą niektórzy nazywają bezczelnością, Bernardette na pewno zdobyłaby dlań dobrą pracę. Poza tym, potrafiłaby zgalwanizować jego mało praktyczny i, jak to często bywa u Słowian, miękki charakter, zmusić do realizacji ukrytych w jego zdolnościach możliwości, nauczyłaby go drogo się sprzedawać. Z innej strony pchałaby go do możliwie jak najszybszej naturalizacji na Francuzą, niedwuznacznie żądając, by zerwał z przeszłością, by wykorzystał szanse zlania się ze społeczeństwem francuskim. Pchałaby go do zerwania z dawnymi kolegami i przeszłością, mówiąc mu: żyjesz teraz w innym świecie, musisz się do niego przystosować, dawni znajomi teraz ci na nic, czysta strata czasu! Ostro by skrytykowała przed Wackiem lokale i restauracje rosyjskie i polskie. Wacek, który wiele wieczorów spędzał w nowym lokaliku polskim przy St. Germain-des-Près, na pewno by nie zdołał namówić Bernardette, by tam chodziła, mimo że od pewnego czasu pod wpływem obserwacji poczynionych wśród znajomych *à la page*, zaczynała się zastanawiać czy wódka nie jest szykowniejsza od whisky. Kto wie, może po paru latach wchłonięcia przez środowisko Bernardette, Wacek stałby się autentycznym pseudo-Francuzem, mówił my Francuzi i wy Polacy. Zachowałby pewno wyraźny ślad akcentu cudzoziemskiego w języku francuskim, ale jak inni neo ultra Francuzi polskiego pochodzenia, z pogardą by mówił o getcie polskim w Paryżu.

Bernardette jednak zniknęła w avenue Georges V, a z nią dominowana przez jej energiczną osobkę droga życiowa.

Pozostał na placu profesor L. On także był gotów w jakiś sposób wpływać na losy Wacka. Jego także jakiś tajemniczy los rzucił na Champs Elysées, drogi jego skrzyżowały się z drogami Wacka i w tym zbiegu okoliczności leżała ukryta możliwość przebudowy losów Wacka. Jak wiemy, profesora L. świat i ludzie stosunkowo mało interesowali, nosił w sobie stannie ukrytą ranę przeszłości, pod maską cynizmu ukrywał olbrzymi sentymentalizm, sentymentalizm nawracający stale do minionych dni, do okresu żydowskiej apokalipsy. Psychoanalitik może by odkrył w duszy profesora jakiś kompleks winy, może czuł się winny, że kiedyś tym przez gorąco pieców kremato-

ryjnych spalonym środowiskiem gardził. Czy też okoliczności jego ucieczki, uratowanie przez protekcję austriackiego barona i okolicznościowego naziste, protekcję, którą zawdzięczał — jak to baron mu mówił — pięknym oczom żydowskiej sarny. Barona poznał w Pradze, w lokalu w którym bywali homoseksualiści, jeszcze przed inwazją Czechosłowacji, przed okresem protektoratu. Ówczesny jego młodzieńczy snobizm, chęć wyrobienia sobie eleganckich stosunków, wyrwania się z nudy żydowskiej drobnej burżuazji, skłonił go do spędzenia *week-end*'u w starym zamku, który gdzieś na Śląsku posiadał baron. Stosunki się jakoś urwały, gdy nagle w parę lat później na małym praskim placu zatrzymał się koło L., zaopatrzony w chorągiewki ze swastykami, samochód i wysiadł baron. Wracał z wizyty w swym zameczku, załatwiał jakieś interesy w Pradze, związane z leżącym na terenie protektoratu majątkiem. Był teraz nazistą, doradcą i kompanem gauleitera Baldur von Schirach'a w Wiedniu. Postanowił natychmiast swoją żydowską sarnę uratować. Bo L. został dlań widać żywym wspomnieniem, nie jakąś zapomnianą natychmiast przygodą. Ryzyko nawet dla niego było duże, jednak ten austriacki sybaryta, cynik bez czci i wiary, sceptyk i gracz, lubił dreszczyk jakiejś prawie średniowiecznej intrygi od czasu do czasu. W ciągu dwóch dni zorganizował polowanie na Węgrzech u swego kuzyna i też konfratry w homoseksualizmie i zaprosił na nie paru praskich nazistów. L. został ubrany w rodzaj liberii i z konwojem samochodów dygnitarskich przejechał bez trudności granicę jako cygański lokajczyk barona. Na Węgrzech został w posiadłości baronowskiego kuzyna. Tenże, dzięki licznym stosunkom z Niemcami, ochronił go od szalejących w roku pańskim 1944 deportacji. Pod Budapesztem doczekał się Armii Czerwonej, z nią wrócił do Pragi, by stwierdzić, że nie tylko rodzina, ale i całe jego środowisko przeminęło z dymem krematoriów. W 1945 roku znalazł się jako fordowski, czy jakiejś innej fundacji stypendysta w Stanach i tam został.

Zainteresował się socjologią muzyki i umiejętnie grając na guście do nowych i śmiałych koncepcji, zrobił karierę jako wykładawca i publicysta. Duże dochody przyniosły mu studia wpływu muzyki na pracę, stał się doradcą firmy, która instalowała w fabrykach głośniki nadające specjalną muzykę, mającą pobudzać zapał do pracy w robotnikach.

Teraz, po odejściu Bernardette, istniała szansa w to niedzielne popołudnie, że karty życia L. i Wacka się wymieszają. Spotkanie takie miałyby może dla obu stron brzemienne skutki.

Dla Wacka L. mógłby być otwarciem drogi do międzynarodowej sfery wędrownych intelektualistów. Przez L. ocie-

rałby się o to mieszane kosmopolityczne towarzystwo dziennikarzy, publicystów, filmowców, pisarzy. L. bowiem w takim świecie pływał na obu kontynentach. Jego żydowskie pochodzenie, jego homoseksualizm, już siłą rzeczy do tej koterii go zbliżały. Poza tym, właśnie to środowisko od lat go pociągało, fascynowało już w młodości praskiej. A teraz, od dawna w nim siedział. W najbliższych dniach opuszczał Paryż, by udać się do Saint-Tropez i tam w willi amerykańskiego producenta filmowego spędzić kilka dni. — Kto wie czy nie zaprosiłby Wacka. Wystarczyło mu wysłać telegram, czy też zadzwonić do Amerykanina, że przyjeżdża z przyjacielem. Amerykanin wyznawał zasadę: *plus on est de fous, mieux on s'amuse*.

Ale i ta możliwość spotkania zniknęła z drogi życiowej Wacka. Wacek moralistą ani purytaninem nie był i gdyby wiedział z kim ma do czynienia, gdyby znał potencjał możliwości leżących w rękach obrotowego profesora, może by na konwersację z nim, na jakieś koncesje w stosunku do niego poszedł, ale cóż, instynktownie zawarcie znajomości z pedałem drażniło go. Nie miał na tego rodzaju rozmowę żadnej ochoty. Gdyby był mu przedstawiony przez jakichś wspólnych znajomych, to by z nim gadał, przyjął zaproszenie na obiad, może zgodziłby się towarzyszyć w podróży. Ale tak, na ulicy dać się zaczepić przez wyginającego się w mętnych uśmiechach i dwuznacznych spojrzeniach faceta — nie, to mu nie odpowiadało. Szybkim krokiem poszedł w stronę Łuku Triumfalnego, by swe niedzielne popołudnie kontynuować na avenue Wagram w małej i obrzydliwej kafejce z nowoczesnymi neonami, gdzie w tylnej sali rżnęło w karty paru rodaków. Odnalazł tam swoich, od przybycia z kraju, codziennych rozmówców. Różnili w karty, kontynuowali od lat tę samą jakby partię brydża zaczęta zaraz po wojnie w roku 1945. Od czasu do czasu los dorzucał im z kraju, czy jakiegoś zakątka polskiej diaspory nowego kibica, od czasu do czasu ktoś zniknął, czy to wyciągnięty z polskiego świata żelazną ręką żony Francuzki, jakiejś Bernardette, starającej się męża odciąć definitywnie od getta rodaków, czy też losem przerzucony do jakiegoś innego miasta, kraju czy kontynentu.

Ale żelazna obsada twardo stała na karcianym posterunku. W morzu alkoholu i trzeciorzędnych anegdot topił się od lat zdolny niegdyś dziennikarz, dziś specjalista od kłótni polskiego świata, spec od walki z wszystkimi aktorami miejscowej polskiej komedijki. Kłócił się, godził się i tak na tym kłóceniu i godzeniu się upływało mu życie. Zgrywał się temperament stworzony do polemik na innej scenie, która nagle pod ziemię wiele lat temu się zapadła. Gdzieś coś czasem pisywał w emigracyjnych,

anemicznych pisemkach, współpracował z jakąś polską audycją miejscowego radia, robił jakieś tłumaczenia — na wino (to najtańsze) mu wystarczało. Przyjaciele Francuzi parokrotnie namawiali go, by starał się o pracę reportera w „Match'u” paryskim, ktoś go chciał rekomendować do „France-Soir”; znalazłby może możliwość życia w swych reportażowych zdolności, znalazłby jakiś rozmach; ale on wsiąkł w polskie getto i w czerwone wino, na wysiłek nie było go stać, walki o readaptację w nowym paryskim świecie nie podjął. Z nieliczną grupą starających się szukać nowych dróg polskiej myśli politycznej na wychodźstwie kontakt jego stał się tylko dorywczy. Był reporterem z temperamentu, a nie teoretykiem problemów politycznych. Poza tym, pogrążony w getcie, nie czytał prasy światowej, ani krajowej, tracił kontakt zarówno z Polską jak i krajem, w którym żył. Żył na księżycu.

Inne były problemy majora co też rżnął w brydża na Wagramie, a który Wackowi wybranie wolności swymi stosunkami u władz miejscowych ułatwił i jako czyn patriotyczny przedstawiał. Major w głębi duszy myślał o armii; major od piętnastu lat czekał na wojnę, co wiosną ją zapowiadał: zobaczycie, teraz to już na pewno alianci ruszą, to sprawa paru miesięcy, będzie to ciężka wojna, ale panowie zobaczą, zwyciężymy, oswobodzimy Warszawę. Masowy udział Polaków po stronie zachodnich aliantów wydawał mu się ważny. Trzeba wykazać, gdy nadejdzie moment, że polski sojusznik równie potrzebny jak niemiecki; bohaterstwo naszego żołnierza musi wyrębać Polsce odpowiednie miejsce na konferencji pokojowej, zrównoważyć wpływy niemieckie. Dzięki bohaterstwu naszych pułków utrzymamy Ziemię Zachodnie i odzyskamy Lwów i Wilno. Dlatego major cieszył się, gdy młodzi wybierali wolność. Wtajemniczonym mówił: jeszcze mamy jednego żołnierza więcej. Major, ranny pod Tobrukiem, ranny pod Falaise, ochotnik na Koreę, odrzucony bo nikt polskiego oficera dobrze po czterdzieście tam nie potrzebował, spędził rok czy dwa w kompaniach wartowniczych, a od paru lat na nowo osiadł w Paryżu i działał w ramach jednej z emigracyjnych organizacyjek, która nawet, o dziwo, potrafiła z dużymi opóźnieniami wypłacać mu jakąś pensyjkę, ta zaś, dorzucona do dochodów z jakichś bliżej nieokreślonych handelków, pozwalała mu na studencki — jak mawiał — tryb życia. Handelki majora nie zawsze były szczytem legalności, zwykle opierały się na sprzedaży zegarków, które kolega oficer przerzucał ze Szwajcarii, z ręcznie omijając francuskich celników, albo na sprzedaży aparatów fotograficznych przez przemysłnych rodaków przywiezionych z Polski. Wiadomo, wschodnio-niemieckie aparaty to pierwsza klasa, a cena ich w Polsce niska. W przeliczeniu dolarowym operacja

dla turystów z Polski bardzo opłacalna, no i na dobry procencik; dla pośrednika też miejsce jest. Czarnorynkowość majora miała jednak pewne ściśle określone granice; gdy przemyślny historyk sztuki i zarazem zręczny majster-klepka, zaproponował mu spółkę celem założenia małego warsztaciku dla stawiania na aparatach fotograficznych fałszywego znaku czy raczej stempla, świadczącego o ocleniu przez celników francuskich — major z oburzeniem odmówił.

Trzecim partnerem brydżowym był facet znany pod kryptonimem Studenta. Rzeczywiście od 15-tu lat uczęszczał do studenckich stołówek, a od czasu do czasu otrzymywał na swe parokrotnie zmieniane studia jakieś stypendia. Ale studiowanie, ani nawet tak pozytywne zajęcie jak staranie się o zapomogi stypendialne, nie było jego główną aktywnością. Głównym jego zajęciem było bowiem chodzenie do trzech uczęszczanych przez jego przyjaciół — podobnych z losu do niego polskich czy środkowo-europejskich studentów — kawiarni. Najważniejszym zaś źródłem dochodu malowanie mieszkań, a raczej podnajmowanie się w charakterze czeladnika pewnemu Polaczkowi, który na pół czarno rzemiosło malarskie uprawiał.

Czwartą osobą, która na Wagram powitała Wacka był gruby facet, podający się za dziennikarza względnie literata, oraz przywódcę politycznego, najważniejszego i najwyższego przez władze zachodniego świata cenionego ruchu emigracyjnego. Co prawda, major po pijanemu w chwilach wylewnej szczerości twierdził, że podstawowymi utworami literackimi grubego faceta są raporty dla trzeciego podreferenta w jakimś wydziale miejscowej komendy policji. Co do ruchu emigracyjnego kierowanego przez grubasa, to odkąd jego starszej córce, pod wpływem jakiegoś fagasa co wyprowadzał dziewczynę na dancing czy do kina, znudziło się odbijać na maszynie polityczne odezwy taty, ślad działalności ruchu zaginął. Gruby facet miał jednak nadzieję, że z czasem nuta patriotyczna zagra w duszy jego córki i odezwy znowu ujrzą światło dzienne na pohybel przeciwnikom i sanacji. Żona grubasa, która pracując jako krawcowa dostarczała większość pieniędzy do domu, bardzo zimno przyjęła propozycję poświęcenia swych niedzielnych popołudni na przepisywanie cyrkularzy i odezwy męża.



W to niedzielne popołudnie ominęło więc Wacka spotkanie z kosmopolitą Lederlerem i z Francuzką Bernardette. Losy niedzielne potoczyły się inaczej, wrócił na razie do kafejki na Wa-

gram, do świątka emigracyjnego, do atmosfery, którą znał, którą oddychał od chwili wybrania wolności. Co będzie dalej nikt nie wie.

Wacek siedział więc teraz w kawiarni na Wagram i nieuważnym okiem śledząc brydża rodaków myślał o sobie. Przypominał sobie studia w epoce stalinowskiej, duszną atmosferę oficjalnej obłudy, narzucaną przez aktyw partyjny, wreszcie Październik, okres egzaltacji i przemian, okres, w którym ludzie stawiali się inni i nawet nadęty w oficjalnej głupocie sekretarz komórki partyjnej na wydziale stał się nagle człowiekiem, a nie automatem do sloganów. Później powolne cofanie się, niełaskę bohaterów Października, zaciskanie śruby przez ekipę racji stanu i przez surowego towarzysza Gomułkę, zdecydowanego zwolennika metody trzymania narodu za mordę. — Formuła większej wolności, bardziej polskiej drogi, choć ryzykowniejsza więcej i narodowi i Wackowi by odpowiadała.

Myśl uzależnienia swej swobody ruchów od biurokraty z urzędu paszportowego, obawa przed powrotem do zespołu łysogo architekta, towarzysza Kocioł-Marchewskiego, odsuwały od Wacka myśl powrotu do kraju. Zagranicą odczuwał upojenie anonimatu i swobody. Czuł, że wiele dróg jest przed nim otwartych, wszystko było przygodą. W kraju zawsze zostałyby współpracownikami zespołu Kocioł-Marchewskiego, Kocioł-Marchewskiego — jednego z właścicieli Polski Ludowej, jak go w rozmowie z kolegami określali. Kocioł-Marchewski niegdyś, za sanacji, architekt urzędu wojewódzkiego w Lublinie, dziś w oparciu o stosunek i kontakty w komitetach partii trząsł zespołem młodych architektów. Wacek przed wyjazdem do Francji pracował u niego i był pewny, że w razie powrotu wpałby z powrotem w starą sieć.

Wacek pchany przez pęd do przygody i chęć ucieczki od krajowych ram swego życia, wybrał Zachód. Jak tu losy jego rozwiną się, ani on, ani my nie wiemy. Nikt nic nie wie. Jutro kryje zagadkę. Kłębią się w nim komedie i dramaty, Anouilh różowy i Anouilh czarny, manifest surrealizmu, pisany nie przez André Bretona, ale przez bombę-atomówkę, apokalipsa wymieszana z Genet'em, Wacek widziany przez Goya, czy Buffeta, Wacek zmieniony w Babbita, Wacek porwany w wir satanizmu Eleonory Fini, czy też prowadzony do akcji przez pułkownika Drystala, czy też gruby Wacek jedzący *croissant'a* w roku 1973 i mówiący: *oui, oui la Pologne j'ai connu cela*.

## Dwie elegie

### ELEGIA DLA N.N.

Powiedz, czy to dla ciebie za daleko.  
 Mogłabyś biec tuż nad małą falą Bałtyckiego Morza  
 I za polem Danii, za bukowym lasem,  
 Skreścić na ocean, a tam już niedługo  
 Labrador, biały o tej porze roku.  
 A jeżeli ciebie, co marzyłaś o wyspie samotnej  
 Straszą miasta i migot światełek na szosach  
 Miałaś drogę samym środkiem leśnej głuszy  
 Nad sinizną odtajających wód ze śladem łosia i karibu  
 Aż do Sierras, opuszczonych kopalń złota.  
 Zaprowadziłaby ciebie rzeka Sacramento  
 Między pagórki porośnięte kolczastą dębinią.  
 Jeszcze gaj eukaliptusów i trafiłabyś do mnie.

To prawda, kiedy kwitnie manzanita  
 A zatoka jest niebieska w wiosenne poranki  
 Myślę niechętnie o domu między jeziorami  
 I o niewodach ciągnionych pod litewskim niebem.  
 Budka kąpielowa gdzie składałaś suknie  
 Zmieniła się na zawsze w abstrakcyjny kryształ.  
 Jest tam ciemność miodowa koło werandy  
 I śmieszne małe sowy i zapach rzemieni.

Jak można było wtedy żyć, sam nie wiem.  
 Style i stroje wibrują, niewyraźne,  
 Niesamoistne, zmierzające do finału.

Cóż z tego że tęsknimy do rzeczy samych w sobie.  
 Wiedza mijającego czasu osmalila konie przed kuźnią  
 I kolumnienki na rynku miasteczka  
 I schodki i perukę mamy Fliegeltaub.

Uczyliśmy się, sama wiesz, tak wiele.  
 Jak zostaje kolejno odjęte  
 Co odjęte być nie mogło. Ludzie, okolice.  
 A serce nie umiera kiedy zdawałoby się powinno,  
 Uśmiechamy się, jest herbata i chleb na stole.  
 I tylko wyrzut sumienia że nie kochaliśmy jak należy  
 Biednego popiołu w Sachsenhausen  
 Miłością absolutną nad miarę człowieka.

Przyzwyczaiłaś się do nowych, mokrych zim,  
 Do willi, gdzie krew niemieckiego właściciela  
 Zmyto ze ściany i nie wrócił nigdy.  
 Ja też wziętem tylko co można, i miasta i kraje.  
 Nie wstępuje się dwa razy w to samo jezioro  
 Po dnie wystanym olchowymi liśćmi  
 Łamiąc jedną wąską pręgę słońca.

Winy twoje i moje? Nieduże winy.  
 Sekrety twoje i moje? Drobne sekrety.  
 Kiedy podwiązują chustką szczękę, w palce wkładają krzyżyk  
 I gdzieś tam szczeka pies i błyszczą gwiazda.

Nie, to nie dlatego że daleko  
 Nie odwiedziłaś mnie tamtego dnia czy nocy.  
 Z roku na rok w nas dojrzewa, aż ogarnie  
 Tak jak ty ją zrozumiałem: obojętność.

Czesław MIŁOSZ

### ELEGIA DLA ERNESTA HEMINGWAYA

Teraz pierwszy raz, w noc twojej śmierci,  
 imię twoje wymawiają zakonnicy, ne cadas in obscurum.

Teraz koniec twoich dziejów obwieścił prawdziwy dzwon.  
 I ludzie klasztorni, ludzie mszy żałobnych, oswojeni z umartwymi



włączają ciebie w swoje nabożeństwa.

Ty stoisz anonimowy, z tysiącami, czekając na ciemnych  
i wielkich stacjach u brzegu krain znanych tylko modlitwie,  
gdzie nie są bezlitosne, miejmy nadzieję, ognie, ani bez końca.

Szybko przechodzisz pośród nas. Do twoich pism, twoich ksiązek  
nie zagłądano. Modlimy się pro defuncto N.

Jednak niektórzy podnoszą oczy, jakby w tłumie więźniów  
czy dipisów rozpoznali przyjaciela z dalekiego kraju.  
Dla tych słońce też wschodziło po zapomnianej wojnie  
nad mową której dałeś wielkość. Ci nie zapomnieli o tobie.  
W ich milczeniu jesteś zawsze sławny, więcej niż cień.

Jak wolno na klasztornej wieży bije dzwon  
całemu stuleciu, nagle wymarłej niegotowej dynastii  
i tej mężnej iluzji: awanturniczemu ja.

Bo jednym strzałem skończyło się całe polowanie.

Tomasz MERTON

Tłumaczył Czesław MIŁOSZ

## Wiersze

### A L I B I

Kłóć się z długą jak życie powieścią  
O smutku, radości i nędzy:  
Wiersze to wyścig ze śmiercią,  
Kto prędzej, kto prędzej.

Więc śpieszmy się, słowo ospale,  
Z pułapczej wydobyć się matni.  
Widzę już.  
Sąd ostateczny.  
Wszyscy przybyli.  
Każdy niesie alibi.  
Ja — ostatni.

### W ZWIĄZKU Z CYTATĄ

Życie?  
Nie mówmy o tym.  
Wiadomo: „opowiadanie idioty”  
I zgoda na wszystko bezczynna,  
I może Bóg, jeśli to go interesuje,  
Płaczący nad tym samotnie  
Jak rytna.

Niech on sam, jeśli zapagnie sensu,  
Słowo na to odnajdzie,

*W ciemnym worku poszuka,  
Wyjmie je, wystucha, opuka,  
Prawdziwe jak serce,  
Sztuczne jak sztuka.*

## S E L F - P I T Y

*Jesteśmy pseudo-świętokradcami,  
Niby to wstępujemy na krzyż,  
Ręce otwieramy aby objąć świat  
A właściwie nie ruszamy się z miejsca.*

*Ciążar nasz ściąga nas w dół,  
Mówimy że gwoździe rozdzierają nam ciało,  
Obsuwamy się z wolna w ostatnią noc  
Z jękiem że nikt tak nie cierpiał jak my  
A poeci mówią o sobie:  
Qualis artifex pereo.*

*Jeśli to nie jest całe nasze życie,  
Taka jest główna jego treść,  
Tylko że nasz egoizm kamienny  
(Ze swoją pychą zaborczą)  
Jeszcze nikogo nie zbawił,  
Nawet nas samych.*

*I tyle wypiszą o nas  
Na wysokiej wyroków tablicy,  
Ześmy myśleli o sobie jak o męczennikach  
A jęczeliśmy jak jęczennicy.*

## N O C N E D R Z E W A

*Nocne drzewa seplenią coś niezrozumiale,  
Tylko świerszcze słysząc wyraźnie.  
Księżyc w pustce rozpałił swoją  
Wszystko-widzącą wyobraźnię.*

*Mnie wystarczyłby  
Ten muzykant malutki,*

*Skrzypek owadzi:  
Nutkę cieniutką  
Po nitce-nocce prowadzi  
O tym że jesień,  
Że zimno nad ranem,  
Że lepiej przy ludziach  
W szparze podłogi  
Pod ciepłym dywanem.*

*Ale drzewa seplenią, że nie.  
Że lepiej samemu na ciężkich wiatrach.  
Seplenią przez wybite zęby,  
Poszczerbioną szczęką,  
Przepuszczają księżyc przez sita bezlistne  
Przez palce zdeformowane artretyzmem,  
Przez głowy z dziurami na wylot,  
Przez jesienne tortury,  
Conocne kaźnie.*

*Tylko świerszcze słysząc wyraźnie.*

## K I E D Y R A N N E W S T A J Ą Z O R Z E

*Jeszcze oczy nie otwarte,  
Jeszcze usta zamulone,  
Jeszcze się nie zbudził wiatr,  
A już idzie duch nad wodą,  
Wznosi rękę,  
Powie pierwsze słowo,  
Zacznie świat.*

*Zacznie żyć od razu  
Światło w barwach płonącego gazu,  
Morskie słońce w mgłach.  
Świt się nagle zerwie:  
Żrebię kasztanowe  
Na niepewnych nogach,  
Złotą głową  
Trzaśnie w dach.*

*Dzień się zacznie,  
Świat się zacznie,*

*Srebrno- i niebiesko-okie  
Dzieciństwo żrebięcia:  
Morze wielkie, nieprzebyte,  
Piękne i głębokie  
Aż do zatonięcia.*

### EROTYK DLA ZIEMI

*Widnokrąg — objęcia miłosne,  
Pośrodku zieleni — ślubne łożo:  
Lato i jesień przygarne  
I nawet wiosnę,  
Chudą wiosnę przy sobie położę.*

*Żona moja sześćdziesiąta szósta,  
Piękność wieczysta przede mną i po mnie,  
Zorane ciało otwiera jak usta  
I aż się z miłości przeży  
Gdy gnają gościncem po niej  
W złoto-czerwonej uprząży  
Dzwoniące konie.*

*To w sobotę, w niedzielę,  
Dwa dni i dwie noce  
Muzyka, tańce, pijaństwo:  
Jedzie krakowskie wesele,  
Jaśnie państwo.*

*I zatacza się łożo wesole,  
Objęcia miłosne, koło,  
Widnokrąg zachłanny,  
Świat zamroczony —  
To dla mojej ziemi-panny,  
To dla mojej ziemi-żony.*

### RYСУNEK LEONOR FINI

*Dwa ptaki w locie  
Zbite w kłęb  
I tylko pisk miłosny, jęk*

*W powietrzu tryskiem błyskawicznym pękł,  
I zatoczyli się kochankowie  
W pierzastym kurzu, głowa przy głowie,  
Skrzydło na skrzydle, miłość w miłości,  
Pionową strzałą w dół zestrzeleni  
I tak powiktani i pomieszani,  
Że nic już nie widać tylko nogi,  
Cztery splecione ludzkie nogi  
Z ptasimi stopami.*

### USTA I OCZY

*Pisałem już: „usta ustawiczne”  
I nikt nie dostyszał.  
Więc co?  
Mam krzyczeć, że cucę omdlałe kamienie,  
Że to są irygacje pustynnych słów,  
Że Kastylija pokrywa się ogrodami Andaluzji  
A Florencję wkładam do flakonu  
I wnoszę do pokoju na jesień?*

*Oszukała nas logika,  
Umęczyła etymologia,  
A młodość jak chłopska głodna koza  
Szarpie się ogłupiała na sznurze,  
Biega dokola wyskubanego dziedzińca  
I gryzie kalosz.*

*Ja chcę aby tam rosty cyklameny  
Albo zagony narcyzów jak w Les Avants  
I jeśli napiszę: „oczy oksydowane”  
Aby oznaczało to miłość.*

### DWUNASTA

*Wybiegła w nocnej koszuli Dwunasta  
Tak jak spała:  
Gdzie są duchy i widma,  
Lustra spadające ze ścian,  
Koniec świata —*

*Krzyczy i biegnie  
Przez środek miasta.*

*A za rogiem stoję ja,  
Z pałką, berszt huliganów,  
Postrach dzielnicy:  
Dostaniesz teraz w łeb,  
W łeb koltuniasty,  
Pięć minut po dwunastej  
I po czarownicy.*

*Powlecemy cię do komisariatu,  
Przesuniemy o pięć minut zegarek,  
Policjanci klucz będą zarośla  
Sztyletami elektrycznych latarek.*

#### POWIEŚĆ O ŚNIEGU

*W nocy spadł śnieg,  
Powieściowy śnieg,  
Początek „Popiołów”,  
Ogary poszły w las,  
Zima z 19-go wieku  
Szlachecka, napoleońska,  
Sypie, sypie,  
Zasypała nas.*

*Huczy w kominie,  
Dorzućcie polan,  
Świat ma nogi uwięzione,  
Nie wstanie z kolan.*

*Nie wyjdzie stąd nikt,  
Zawiane drzwi i okna,  
A wy się śpieszcie nad Berezynę:  
Sople na wąsach,  
W butach mokro,  
Niebo w jodynie.*

*A jeśli nie zdążycie,  
Połóżcie się na śniegach,  
Na bożych poduszkach,*

*Sterane wiarusy:  
Pożałujemy was,  
Poczytamy was  
W patriotycznych romansach  
I w łózkach  
Po uszy.*

*Zapolujemy jeszcze raz,  
Ogary poszły w las,  
Śnieg oczy zalepia:  
Może wyjdzie jak pasjans  
Jeleń rogaty na strzał,  
A może błysną jak głód  
Wilczaste ślepia.*

#### KUFER

*Na strychu śpi mój powrót,  
Kufier blachą okuty, walizy,  
Cała moja ojczyzna,  
Paszporty, obywatelstwa,  
Emigracyjne wizy.*

*Kufier, mój wielki majątek,  
Którego tutaj mam bronić,  
Normalny nieszczęścia początek  
I obłąkany koniec.*

*Kufier starych, zjeżdżałych dzieci,  
Gotowych dalej dzieciennieć i głupieć  
I wśród niezdatnych na nic rupieci  
Samotność dzika, gorzycz nostalgii,  
Najrozpaczliwszy rupieć.*

*Psie wycie za moją ziemią karpacką,  
Spazm do którego wstyd mi się przyznać –  
I przewodząca za przewodząca,  
Z Ameryki do Europy,  
Z Europy do Ameryki,  
Kufier na plecach,  
Schodzone stopy,  
Ojczyzna.*

*Taki jest bagaż. Taki wojaż,  
Taki mój rozkład jazdy:  
Wszystkie strony świata otwarte  
A wyjścia z żadnej.*

*Taki jest potrzask. Ani co wziąć stąd  
Ani z czym dobiec na koniec:  
Strych mój i powrót,  
Zguba i miłość,  
Której zabić nie umiem  
Ani obronić.*

### ZASYPYWANIE MORZA SRÓDZIEMNEGO

*Ogarnął ich amok.  
Chcą zasypać morze Śródziemne:  
Na bucie włoskim już pudy piachu,  
W Marsylii — mielizna,  
A przecież to wszystko nasza ojczyzna,  
Aix — Biecz,  
Panteleria — Sanok.*

*A przecież jeszcze jest Kraków,  
Pod Gibraltarem delfinice,  
Słowacki patrzył na przelot ptaków,  
Nad Nidą odkopują Wiślicę.*

*Panowie archeologowie,  
Przebijcie starą skórę ziemi,  
Podnieście kamień spod gruntu,  
Posuńcie nasze granice  
Tam gdzie sięgają,  
Do Selinuntu.*

*Bo przedsiębiorcy przywieźli buldozery nad brzeg  
Pochwycili kraj jak łopatę  
I podziemny kopia już chodnik  
Pod morzem Śródziemnym, zasypywanym,  
Które nas łączy ze światem,  
Które dzieli nas od nich.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

## Archiwum polityczne

### Wybór

Młody człowiek, który urodził się Amerykaninem może sobie powiedzieć: „jeżeli wykażę odpowiednie zdolności i charakter pewnego dnia zostanę prezydentem Stanów Zjednoczonych, najpotężniejszym politykiem świata”.

Przed młodym Polakiem urodzonym w kraju czy na emigracji nie ścielą się równie rozległe perspektywy. Rozwój współczesnej techniki, a zwłaszcza technologii nuklearnej powoduje, że mocni stają się coraz mocniejsi a słabi coraz słabsi.

„Słabi” muszą mieć dziś zupełnie inną politykę niż dawniej. Stare, historyczne narody zrywają z wiekowymi tradycjami by sprostać nowej i bez precedensu sytuacji. Co mają robić takie kraje jak Włochy czy Belgia, które nie mają żadnej szansy przekształcenia się w nowoczesne potęgi atomowe?

Trzeba powiedzieć, że narody zachodniej Europy znalazły odpowiedź na powyższą kwestię. „Wspólny rynek”, w przyszłości zjednoczenie polityczne — to są rewolucyjne rozwiązania mające na celu przystosować Europę do epoki atomowej. Wyównanie stosunków francusko-niemieckich stanowić może miarę anty-tradycjonalizmu tego procesu. Europa kontynentalna francusko-niemiecka jednoczy się nie tylko pod wpływem nacisku bloku komunistycznego, lecz również na skutek nacisku bloku anglosaskiego. Narody kontynentalnej Europy chcą znaleźć polityczno-ekonomiczną odpowiedź zarówno na zagrożenie sowieckie, jak i na supremację amerykańską. To nie ma nic wspólnego z tanim antyamerykanizmem. Zachodni Europejczycy pragną tylko w epoce atomowej odbudować swoją polityczną i gospodarczą „pełnoletność”. By osiągnąć ten cel trzeba było w wielu dziedzinach zerwać z tradycją historyczną stuleci.

Najbardziej zdumiewający w tym wszystkim jest fakt, że architektami owej nowej anty-tradycyjnej Europy są starcy. Gen. de Gaulle w dwóch wojnach światowych walczył przeciwko Niemcom. Vichy, Oradour — wydaje się, że było zaledwie

wczoraj. Ale to „wczoraj” okielznano, by nie przeszkadzało w budowie współczesnego gmachu Europy.

Wszystkie wielkie idee rodziły się w Europie — od Rzeczypospolitej Platona po Manifest Komunistyczny Marksa. Jeszcze dziesięć lat temu można było mieć obawy czy Europa nie skarleje w cieniu dwóch świeżo upieczonych super-potęg — Związku Sowieckiego i Stanów Zjednoczonych. Dziś przyjąć można za pewnik, że jeżeli nie dojdzie do wojny zjednoczona Europa zachodnia przed upływem bieżącego stulecia osiągnie status trzeciej potęgi światowej.

Czy Francuzi mają mniejszy zmysł historyczny niż Polacy — czy są mniej przywiązani do tradycji? Myślę, że trudno byłoby znaleźć Francuza bardziej zapatrzonego w wielkość swego narodu niż gen. de Gaulle.

Gdyby wśród nas zjawił się mąż stanu na miarę de Gaulle'a i chciał bratać Polaków z Rosjanami czy z Niemcami — zostałby ukamienowany. Nikt nie słuchałby jego argumentów bo stałaby przeciwko niemu niepokonalna polska potęga, to jest tradycja.

Polaków cechuje — jak zauważył pewien wybitny cudzoziemiec „an inveterate historical memory”. Jesteśmy do tego stopnia historyczni, że przestajemy być współcześni.

Na emigracji pojawiły się wybitne dzieła historyczne — choćby wymienić Kukiela, Sokolnickiego, Komarnickiego, Pó-bóg-Malinowskiego — i wielu innych. Pojawiły się znakomite pamiętniki, często o dokumentarnej wartości. Ale tej literaturze „czasu dokonanego” nie można przeciwstawić pozycji politycznych czasu teraźniejszego.

W ubiegłym roku zapytał mnie jeden z dziennikarzy krajowych: „dlaczego nie piszecie i nie wydajecie studiów o Polsce współczesnej, rozpraw o jej gospodarce, literaturze, filozofii, dlaczego nie bierzecie udziału w dyskusji?”. Odpowiedziałem: „drogi panie — gdy Polska Ludowa zejdzie ze sceny, gdy zastąpi ją czwarta Rzeczpospolita — wówczas pojawią się setki studiów i rozpraw o Polsce Ludowej. Nasi historycy zadziwią świat znanstwem marksizmu, ale by to się stało, marksizm musi minąć granicę oddzielającą współczesność od czasu dokonanego”.

Każdego roku odwiedza Polskę Ludową tysiące Polaków zagranicznych, wśród nich wielu wybitnych naukowców i pisarzy. Ale na emigracji nie napisano i nie wydano ani jednej książki o Polsce Ludowej. Odwiedzają kraj historycy, których specjalnością jest historia nowożytna, odwiedzają Polskę specjaliści reportaży — ale literackie czy publicystyczne „pokłosie” tych wizyt jest równe zeru. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Każdy z tych panów zdaje sobie sprawę z faktu, że gdyby napisał i wydał za granicą obiektywną książkę o Polsce Ludowej pozabawiłby się raz na zawsze możliwości spędzenia urlopu czy wakacji w kraju. Odciałyby sobie możliwość drukowania w prasie krajowej, wydawania w Polsce książek, utrudniłby sobie kon-

takty naukowe, literackie — jednym słowem — koniec. Jeżeli ktoś raz odwiedził kraj, nie chce za sobą zatrząskiwac drzwi. Ceną, którą trzeba za to zapłacić jest milczenie. I dlatego poza garstką bardzo nierównych reportażyków wizyty w kraju niczego nam nie dały.

„Inveterate historical memory” ma jeszcze inny aspekt. Wyjawszy „Kulturę” (i to nie zawsze i nie w pełni) — polska prasa emigracyjna jest intelektualnie jałowa ponieważ jest zupełnie a-współczesna. Niezmiernej wagi problemy, które miesiacami nie schodzą z łamów periodyków angielskich czy francuskich — dla polskiej prasy emigracyjnej po prostu nie istnieją. Zagadnienia scjentyfiki, problemy „dwóch kultur”, które dyskutuje się w Anglii od dwóch lat, ewolucja socjalizmu, problemy socjologii, filozofii — jednym słowem cały wachlarz współczesnej problematyki kwituje się milczeniem.

Czy z powyższego należałoby wyciągnąć wniosek, że — powiedzmy dla przykładu, czytelnicy londyńskich „Wiadomości” nie interesują się współczesnością? Nie — taki wniosek byłby z gruntu fałszywy.

Emigrant rozpada się na dwie części składowe. Część pierwsza, polska, należy do kategorii czasu dokonanego, część druga, zagraniczna, wiąże go ze współczesnością.

Ten sam emigrant, który śledzi w periodykach obcojęzycznych z zainteresowaniem, a często z pasją dramat współczesności — wieczorem bierze do ręki bez sprzeciwu „Wiadomości” i rusza w podróż „za utraconym czasem”.

Powtarzam — bez sprzeciwu, ponieważ „Wiadomości” odpowiadają w pełni polskości „czasu dokonanego” i osobiście jestem przekonany, że większość czytelników byłaby bardzo niezadowolona gdyby charakter pisma miał ulec poważniejszym zmianom.

Polskość dla przeciętnego emigranta nie ma czasu teraźniejszego, posiada natomiast bogaty czas przeszły i zaprzeszły. Tygodnik by odpowiedzieć tego rodzaju zapotrzebowaniom musi w 80% drukować wspomnienia i pamiętniki — jednym słowem przenosić czytelnika-emigranta na ojczyzny łono, które opuścił z górą 20 lat temu.

Politykę obozu „niezlomnych” z legalizmem, orderami, awansami — można wytłumaczyć tylko w ramach cytowanego fenomenu. Ci panowie w sferze politycznej uprawiają to samo co londyńskie „Wiadomości” w sferze literackiej. Polska czasu dokonanego, Polska ze wspomnień — przysłania im teraźniejszość. „Niezlomni” — podobnie jak londyńskie „Wiadomości” — odpowiadają pewnemu typowemu dla emigracji zapotrzebowaniu i tym górują nad „Kulturą”.

Inteligent emigracyjny zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę. Ale „niezlomni” podobnie jak „Wiadomości” — nie wymagają od niego żadnego wysiłku, lecz przeciwnie, zaspokajają pewną nostalgiczną potrzebę. Dyplomy Skarbu Narodowego,

orły z koronami, sztandary, akademie trzeciomajowe — stwarzają złudzenie przynależności. Przynależności do Tej „co nie zginęła” do Tej sprzed września 1939 r.

A na zewnątrz program wyczerpuje się w orwellowskich „dwóch minutach nienawiści”. Józef Mackiewicz z dumą cytuje dedykację jaką wypisał mu pewien emigracyjny pisarz rosyjski: „cenię i kocham pańską nienawiść”.

Im bardziej postępuje proces aklimatyzacji — im liczniejsze i żywotniejsze stają się korzenie wiążące emigranta z krajem osiedlenia — tym wstydliej i niechętniej mówi się o tym wszystkim.

„Ach, tylko nie mówmy o polityce — zostawmy to Andersowi i innym mężom opatrznociowym. Mówmy o literaturze, o filmie, lecz dajmy sobie spokój z polityką bo w tej dziedzinie nie mamy niczego do zrobienia. Na nic nie mamy wpływu — po co więc czas tracić”.

To są klasyczne wypowiedzi. Pewien procent inteligentów odwiedza kraj i zaspakaja swoje potrzeby nostalgiczne bezpośrednio u źródła. Ci są straceni dla „niezłomnych”. Nie znajdując na emigracji odpowiedniego dla siebie „przydziału” politycznego ci panowie podpisują się z mniejszymi lub większymi zastrzeżeniami pod „orientacją” Stefana Kisielewskiego.

Gdyby panowie w KC PZPR byli zorientowani w problemie emigracyjnym — zamianowaliby natychmiast Kisielewskiego super-szefem akcji na emigrację. W całej Polsce Ludowej nie ma człowieka, który by na to stanowisko lepiej się nadawał. Było totalnym błędem, wynikającym z tępoty i bezprzekładnego braku wyobraźni — postawić na czoło krajowych „organizacji łączności z Polsnią” byłych emigrantów. Toteż — na szczęście — wyniki działalności tych panów są równe zeru. Kisielewski — trzeba mu to oddać sprawiedliwie — dokonał większych „spustoszeń” na emigracji niż wszystkie organizacje i biuletyny pp. Hanke i Hrabyków łącznie.

Kisiel reprezentuje pewien ideał. Jest katolikiem, nie jest komunistą, a nawet nie jest socjalistą. Jest „chory na Polskę” co najmniej jak Zygmunt Nowakowski. Nie ma w nim żadnego intelektualnego prerafinowania, a cechuje go swojska krzepa i humor. Wszystko co pisze ma pozory tzw. chłopskiego zdrowego rozumu.

Kisiel kokietuje swoich czytelników w kraju i na emigracji tym, że od czasu do czasu „wychyla się”, ale nigdy poza margines bezpieczeństwa.

Powiedzmy dla przykładu niektórzy intelektualiści, których Kisiel lekceważy — „wychylali się” bez względu na bezpieczeństwo i parokrotnie za tę odwagę drogo zapłacili. Ale nie łudźmy się, że ten typ odwagi znajduje uznanie galerii. Galeria — tak w kraju jak i na emigracji woli Kisielewskiego, bo Kisiel jest uosobieniem narodowego sloganu „śmierć frajerom”. Tylko frajer wychyla się poza margines bezpieczeństwa. Tylko

frajer bierze po głowie — przytomny facet jest zawsze na wierzchu. Będzie się wychylał, będzie pisywał w „Kulturze”, wyrzekał na komunizm, a mimo to będzie posłem na Sejm i będzie miał „chody”.

Polacy z jednej strony wykazują skłonność do koturnowych, napuszonych „niezłomności”, nieprzystępnych rozumowaniu — z drugiej strony poszczycić się mogą wprost cyrkową elastycznością, z którą słynna brytyjska „flexibility” nie mogłaby podjąć konkurencji. Wódz faszystowskiej falangi „katolickim komunistą” — Hrabyk z endecji do BBWR, a z BBWR do PZPR.

Hrabyk w jednym ze swych niedawnych artykułów określił nasze polityczne poczynania na emigracji mianem „lunaparku”. Myślę, że aktorami nieszczęsnego polskiego „lunaparku” są przede wszystkim tacy polityczni linoskoczkowie, jak on i jego rekordy w tej konkurencji byłyby trudne do pobicia. Takich panów, jak Hrabyk jest legion. Łączy ich dewiza: „śmierć frajerom”.

Najtrudniej u nas o ową „middle way” — o drogę pośrednią. O niezłomność rozumną i zdolną do kompromisu i o elastyczność pozbawioną cynicznego oportunistu.

Gdy w Polsce rządził Bierut, gdy na Zachodzie mówiło się o „wyzwoleniu” — emigracja przeżywała okres burzy i naporu. Nikt w owych latach nie powątpiewał w polityczny charakter naszej emigracji. Równocześnie jednak możliwości politycznego oddziaływania na kraj były wówczas minimalne, a bezpośrednie kontakty niemal nie istniały.

Dziś, gdy komunizm znajduje się w stanie fermentu, gdy możliwości oddziaływania są znaczne, gdy wzajemne kontakty są liczne i różnorodne — na emigracji obserwujemy odpiływ energii i uwiad zainteresowań politycznych.

To jest nie tylko kwestia kompleksu „inveterate historical memory” nie tylko sprawa postępującej adaptacji i wrastania w obyczajną, ale jeszcze coś więcej.

Polacy przy każdej okazji, na każdej akademii, w każdym „niezłomnym” artykule deklamują o wolności słowa. Równocześnie jednak nie wierzą w potęgę wolnego słowa, nie wierzą by słowem można cokolwiek zdziałać czy osiągnąć.

Kisielewski mówił za miliony, gdy w swym liście do Redaktora „Kultury” pisał, że jeżeliby w Polsce zniesiono cenzurę „po dwóch miesiącach napisano by wszystko co jest do napisania, a sprawy nie posunęłyby się ani o krok naprzód”.

Tylko w krajach o zakorzenionej tradycji demokratycznej doceniona jest polityczna rola słowa, mówionego i drukowanego. U nas niestety jedna cenzura zastępuje drugą cenzurę, jeden niedemokratyczny parlament zastępuje drugi niedemokratyczny parlament, a polityka sterowana jest odgórnie przez czynniki „autorytatywne”.

Tego typu tradycja powoduje w konsekwencji powszechne lekceważenie słowa jako narzędzia działania politycznego. W systemach totalnych i semi-totalnych słownictwo polityczne zostaje wykastrowane z sensu. Obowiązuje specjalna „sloganowa gramatyka”, która obfituje w nieprawdopodobne pojęciowe dziwolągi. Takim klasycznym dziwolągiem sloganowej, totalistycznej „drętwej mowy” jest termin „demokracja ludowa”. To tak jakby ktoś mówił o maśle maślanym. Nie ma bowiem innej demokracji tylko demokracja ludowa. Ale terminem tym nie określa się demokracji ludowej w Stanach Zjednoczonych (for the people and by the people) — tylko formy rządu z demokracją nie mające nic wspólnego.

W Polsce dziś nikogo nie razi mówienie czy pisanie o „demokracji ludowej” czy o „dyktaturze proletariatu — bo nikt tym terminom ani setce podobnych nie przypisuje jakiegokolwiek sensu czy znaczenia.

Tacy ludzie jak Kisielewski („polityki nie robi się gadaniem — smutne to dla publicystów”) i bardzo znaczny procent Polaków na emigracji nie zdają sobie sprawy z mechaniki przemian społeczno-politycznych. W Polakach tkwi głęboko zakorzenione przekonanie, że polityka to siła materialna, która stanowi istotę władzy. Innymi słowy, Polacy sądzą, że politykę mogą robić tylko ci, którzy dysponują wojskiem, policją i pieniędzmi. A wszystko inne można zredukować do szekspirowskiego cytatu: „słowa, słowa, słowa”.

Oczywiście na to by rozumieć owe przemiany trzeba je z uwagą śledzić. Ilu „niezłomnych” mogłoby o sobie powiedzieć: „nic co dzieje się w Polsce nie jest mi obce”.

Swego czasu proponowałem na tych łamach by Free Europe wprowadziła dla swych współpracowników obowiązujący egzamin ze znajomości marksizmu i ustroju polityczno-gospodarczego w krajach Europy wschodniej. Wieleletnia obserwacja życia na emigracji skłania mnie do wniosku, że nasi najniezłomniejsi antykomuniści są równocześnie największymi nieukami w tej dziedzinie. Od czasów stalinowskich nie posunęli się na krok naprzód i powtarzają w kółko te same frazesy, te same slogany — uprawiając stalinowską „drętwą mowę”, à rebours.

K.A. Jeleński w doskonałym artykule pt. „Bezdroża komunizmu” („Kultura”, maj 1962) zwrócił uwagę na wpływ jaki wywarli i wywierają nie-ortodoksyjni rewizjoniści na ortodoksyjnych rewizjonistów.

Można by napisać udokumentowaną rozprawę i wykazać ile poglądów i sformułowań Kołakowskiego — niegdyś potępionych — zostało przejętych z mniejszymi lub większymi poprawkami przez intelektualną górę partyjną z Schaffem i Żółkiewskim na czele.

Ortodoksyjni rewizjoniści zajmują wysokie szczeble na drabinie hierarchii partyjnej i wywierają bezpośredni wpływ na po-

litykę zwłaszcza w tak istotnych dziedzinach jak kultura, prasa, literatura, teatr itp.

Ryzykując pewne uproszczenie na benefis Czytelnika nie obznajomionego dokładnie z tymi sprawami — można by przyjąć następujący schemat: nieortodoksyjni rewizjoniści wywierają wpływ na ortodoksyjnych rewizjonistów a ortodoksyjni rewizjoniści kruszą opór dogmatyków, konserwatystów, stalinowców. Z kolei nie-ortodoksyjni rewizjoniści — nie będąc dogmatykami gotowi są zawsze przejąć wartościowy intelektualny dorobek Zachodu — co oczywiście nie oznacza akceptacji polityczno-gospodarczego systemu zachodniego.

Te procesy dopóki są w ruchu, dopóki są życiem a nie „czasem dokonanym” trudne są do uchwycenia i ściślejszej analizy. Niemniej dziś dysponujemy dostatecznym materiałem, by wykazać, że rewizjoniści nie-ortodoksyjni i ci, którzy stoją na pograniczu ortodoksji i nie-ortodoksji — wywarli duży formatywny wpływ na polski model ustrojowy. Fakt, że polski komunizm jest najbardziej zachodnią formą komunizmu w świecie — Polacy zawdzięczają rewizjonistom, a nie lojalistycznym katolikom. To oni wywarli swoimi pismami znamienny wpływ — „wychylając się” często poza margines bezpieczeństwa. Ale tylko tacy ludzie wywierają wpływ, a nie sprytni reprezentanci hasła „śmierć frajerom”.

Do czego zmierzają te rozważania? Na powyższych przykładach chciałem wykazać naszym Czytelnikom, że nawet w ustroju komunistycznym słowo, jeżeli reprezentuje nie frazesy, lecz niezależną myśl — jest wielką potęgą. Nieraz trzeba kilku lat by dostrzec wpływ danego pisarza czy filozofa — ale wcześniej lub później taki moment nadchodzi.

Przemiany społeczne w kierunku liberalizacji i demokracji wymagają pewnego klimatu. Ów klimat tworzą w pierwszym rzędzie nie-konformiści — gotowi „wychylić się” poza margines bezpieczeństwa dla obrony swych przekonań. Ów klimat socjalny jest niezmiernej wagi, bo pewne rzeczy w ramach określonego klimatu są nie do pomyślenia. Ilekroć mówimy, że taka czy inna zbrodnia stalinowska w Polsce nie mogłaby się wydarzyć mamy na myśli ów klimat. Proces brzeski, rzucony na tło stalinowskiej Rosji czy hitlerowskich Niemiec — byłby drobniakiem, o którym dziś nikt by nie pamiętał. Lecz w polskim klimacie byłby czymś monstrualnym o czym się pamięta i nie zapomni. Bo myśląc o dwudziestolecu odczuwamy absurdalną dysproporcję pomiędzy Berezą a Boy'em, Słonimskim, Tuwimem, Wierzyńskim — dysproporcję pomiędzy wolną świetnością intelektualną, a stupajkową parodią sprawiedliwości, która nie harmonizowała z polskim klimatem i u nas nie powinna się była zdarzyć.

Wybitne książki, odważne artykuły czy eseje — oddziałują dwójako. Wywierają wpływ na jednostki i podnoszą poziom ogólnego klimatu kulturalnego. Ci, którzy dzierżą władzę



nie rządzą w próżni. Rządzą w ramach owego klimatu, owej atmosfery kulturalno-socjalnej, której ciśnieniu ulegają.

Klasa rządząca, czy to będzie sanacja czy komuniści — jest zawsze konserwatywna. Rządzący boją się reform, bo większość reform oznacza poszerzenie sfery wolności co z kolei jest równoznaczne z uszczupleniem władzy tych, którzy są przy sterze. Wskutek tego wszystkie klasy rządzące popierają konserwatywno ortodoksyjne kierunki w literaturze, w malarstwie, w filmie, i napawa ich uzasadnionym niepokojem wszystko co odbiega od ortodoksyjnej sztancy.

Jeżeli komunizm miałby w Polsce trwać przez czasokres następnego pokolenia — to jest rzeczą wielkiej wagi, że przyszli członkowie KC (którzy zastąpią Gomułkę i towarzyszy) czytają Mrożka, Dąbrowską, Jasienicę i że Kruczkowski jest ciągle tylko jeden i bez następcy. Byłoby inaczej, gdyby Kruczkowskich było 20-tu, Putramentów 30-tu a eseistyka polska składała się przeważnie z panów Arskich.

W okresie, w którym formował się Gomułka i członkowie KPP — młody komunista oceniał polską literaturę jako literaturę burżuazyjną i w 98 procentach wrogą ideologii komunistycznej. Ale dziś, w Polsce Ludowej, nie ma literatury burżuazyjnej. Jednakże nie ma również ortodoksyjnej literatury komunistycznej. Takie książki jak „Pamiętka z Celulozy” — która nota bene jest dobrą powieścią — należą do wyjątków, które nie wyciskają piętna na całokształcie polskiej literatury.



Orientacji „niezłomnych”, zamkniętej w kręgu polszczyzny czasu dokonanego — orientacji Kisielewskiego, która stanowi wzorzec kolaboracji dla nie-komunistów, ale na komunistycznych warunkach — przeciwstawiamy orientację ewolucjonizmu.

Wielkie „wrzenie” w obozie komunistycznym datuje się od chwili kiedy Rosjanie włączyli do bloku wschodniego trzy zachodnie narody: Polaków, Czechosłowaków i Węgrów. NRD stanowi problem oddzielny).

Polski „Październik” potencjalnie istniał i dojrzewał już za czasów Stalina i Bieruta. Ale by potencjalnie istniejące i dojrzałe przemiany mogły się zmaterializować konieczne są pewne warunki zewnętrzne.

Osobiście dla mnie nie ulega wątpliwości, że nowy polski „Październik” potencjalnie jest gotowy i dojrzały. Czytając ortodoksyjnych rewizjonistów trudno oprzeć się wrażeniu, że wiele istotnych problemów rozwiązano, ale z otwartą wypowiedzią czeka się na korzystniejszą koniunkturę.

Ewolucjonizm jest polskością aktywną, współczesną i trudną, ale nie jest ślepą ulicą jak polskość czasu dokonanego. Jest trudno być Polakiem tak, jak trudno jest być Czechosłowakiem czy Węgrem.

Ewolucjonizm wypływa z przekonania, że Polacy przy minimum sprzejających okoliczności maksymalnie uzachodnią komunizm i w znacznym stopniu podkreślą awangardowość polskiego „modelu”. By Polska mogła spełnić rolę pomostu między Wschodem a Zachodem musi być nie tylko najbardziej zachodnim państwem w bloku państw komunistycznych — lecz również musi być państwem o najbardziej zaawansowanym, najbardziej postępowym modelu społeczno-gospodarczym.

Odrzucamy legalizm i pseudo-legalizm, bo to są orientacje, które do jednej „żelaznej kurtyny” dodają drugą kurtynę. Legalisci starają się wyłączyć emigrację z współuczestnictwa w ewolucji i zmaganiach — być może najistotniejszych w dziesięciu wiekach naszej historii. Nigdy bowiem nie szło o tak zasadnicze sprawy i nigdy współudział każdego Polaka nie był tak istotny.

Rozwój i przemiany komunizmu to nie są problemy, które dotyczą wyłącznie komunistów. To są zagadnienia, które jak najbardziej dotyczą nas wszystkich.

Musimy wreszcie zdać sobie w pełni sprawę z zasadniczego faktu. W Polsce i w Europie środkowo wschodniej nie może być żadnej restauracji. Może być tylko *reformacja*. Co mielibyśmy restaurować? Dyktatury Horthy’ego i sanacji bez Horthy’ego i bez Piłsudskiego? Z wyjątkiem Czechosłowacji na tym obszarze nie było nigdy ani zachodniej demokracji ani systemu gospodarczego klasycznie kapitalistycznego. Byliśmy raczej feudalni niż kapitalistyczni — raczej staroświecko rolniczy niż przemysłowi. Więc co mielibyśmy restaurować?

Celem ewolucjonizmu, który w moim przekonaniu jest jedyną realistyczną orientacją polityczną — nie jest wskrzeszanie widm przeszłości. Naszym przekonaniem jest pogląd, że zreformowany, oddogmatyzowany, unowocześniony komunizm stałby się z czasem systemem do zaakceptowania jeżeli nie przez większość, to przez bardzo znaczny procent polskiego społeczeństwa.

Unowocześnienie komunizmu, przemienienie go w racjonalny system społeczno-gospodarczy — jest historycznym zadaniem wschodnich Europejczyków, a przede wszystkim Polaków, Czechosłowaków i Węgrów. I tego zadania nikt za nas ani nie podejmie ani nie wykona.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Człowiek warunkiem postępu ekonomicznego

Refleksje z podróży są często niebezpieczne, gdyż z natury rzeczy opierają się na ograniczonej ilości spostrzeżeń zrobionych zwykle w stosunkowo krótkim okresie czasu. Mogą one doprowadzić do uproszczeń, wygodnych skrótów myślowych i do uroszczeń ekspertyzy. Zwrócenie na to uwagi czytelnikom na początku moich wrażeń z podróży naokoło świata może nie uchroni mnie od potencjalnych niebezpieczeństw, ale powinno zaostrzyć krytycyzm czytającego. Mam zamiar zając się tu jedną tylko kategorią podróźniczych spostrzeżeń, a mianowicie sprawą warunków sprzyjających wzrostowi ekonomicznemu. Nie mogę twierdzić, że prawie dziewięćmiesięczną podróż poświęciłem wyłącznie studiom ekonomicznym — wprost przeciwnie: spostrzeżenia moje w tej dziedzinie robione były *en passant*, raczej z siły przyzwyczajenia, niż zgodnie z jakimś z góry ustalonym planem. Być może, że zyskałem na przeprowadzeniu stosunkowo małej ilości dyskusji czysto ekonomicznych i na unikaniu „oficjalnych kontaktów” oraz połączonej z nimi frazeologii. Stykałem się głównie z miejscową inteligencją oraz z innymi „niezlomnymi turystami” podróżującymi na ograniczonym budżecie i równie jak ja dążącymi do jak największej ilości kontaktów z autochtoniczną ludnością. Tego rodzaju podłoże refleksji zapewnia im większą świeżość i bezpretensjonalność, choć wcale nie pomaga w zwiększeniu naukowej obiektywności.

### Czynnik ludzki we wzroście ekonomicznym

Wydaje mi się, że kardynalnym warunkiem gospodarczego wzrostu jest istnienie *poolu* (zespołu) ludzi umiających wykonywać czynności ekonomiczne w stadium uprzemysławiania. *Pool* ten musi być większy w państwach demokratycznych, a może być zredukowany w krajach rządzonych centralistycznie gdzie skala przedsięwzięć jest większa i stąd występuje (lub raczej wystąpić może) pewna oszczędność w użyciu kwalifikowanych pracowników. Przez zdolność operowania w warunkach industrializacji rozumiem umiejętność wykonywania funkcji zawodowych w sposób usprawniający działanie gospodarcze. Wymaga to zrozumienia celowości procesów gospodarczych, wyzucia ich roli społecznej oraz w pewnym sensie utożsamienia

się z nimi. Człowiek, który stara się jedynie wyłgać pracy nie jest jednostką pozytywną — szczególnie w warunkach gdzie nacisk kładzie się na wzrost gospodarczy, który zależy równie od indywidualnego jak i od zbiorowego wysiłku. Natomiast człowiek, który personifikuje się z usprawnianiem życia ekonomicznego, tak dla siebie jak i dla innych, z „dobrą robotą” Kotarbińskiego i z gospodarczymi aspiracjami swego społeczeństwa jest jednym z głównych filarów postępu. Nie trzeba mu przy tym sloganów, masowych zebrzań, pochodów i przemówień — są one raczej przeszkodą w wyrobieniu społecznie odpowiedzialnej osobowości, gdyż kierują uwagę na zewnętrzne i spłycone objawy identyfikacji z postępem. Ważniejsze wydaje mi się spokojne, może nawet tylko podświadome, poczucie własnej odpowiedzialności za to co się robi. Nie przed szefem, kolegami, klientami, „historią”, partią itd., a po prostu przed samym sobą. Ekonomiczna diaspora w społeczeństwach słabo ekonomicznie rozwiniętych, polegająca na braku w szerszym zakresie istotnych więzów gospodarczych między jednostkami, niestety nie pomaga w stworzeniu takiego nastawienia. Trzeba je dopiero w ludziach wyrobić — i tu niektóre kraje słabo dają sobie radę. Przejdźmy do kilku przykładów.

Hinduski urzędnik celny, który w nieskończoność przetrzymuje importowany towar szukając możliwości otrzymania bakszisu oraz nie chcący w najmniejszej nawet sposób narazić się przekroczeniem bezdusznych przepisów celnych (których sam dostatecznie nie zna) — postulatu usprawniania działalności gospodarczej nie spełnia. Nie spełniają go także rumuńscy urzędnicy kolejowi (w moim wypadku trzej), którzy błędnie informują podróżnych o pociągach, warunkach przejazdu, itd. Spełniają go natomiast sprawni i uczynni celnicy japońscy czy pakistańscy, lub kolejowi urzędnicy tureccy — na udzielanych przez nich informacjach można polegać. Nie spełniają tego warunku urzędnicy konsularni Iraku zrażający do swego kraju turystów, spełniają go natomiast grzeczni i szybcy urzędnicy malajscy. Strażnik nepalski — przy całej mojej przychylności dla Nepalczyków — który dokumenty przewozowe „czyta” do góry nogami — wykonuje swoją czynność w rezultacie negatywnie, podczas gdy policjant syjamski robiący wszystko aby zapewnić motocykliście dołączenie do konwoju policyjnego, jadącego przez tereny zagrożone przez bandytów — lub też przez partyzantów kareńskich — usprawnia, w tych specyficznych warunkach, tok życia w swojej gospodarce. Polski chłop jadący w nocy wozem bez świateł i będący przyczyną częstych wypadków nie pasuje do rozwiniętej gospodarki, podobnie jak urzędnik policyjny, który wzorując się na innych państwach komunistycznych o małej ilości pojazdów mechanicznych wydaje rozporządzenie o ruchu nocnym w źle oświetlonych miastach i osiedlach przy użyciu świateł posto-

jowych. Perski mechanik umiejący obsłużyć nowoczesny sprzęt techniczny i wykazujący zainteresowanie tak motorem jak i możliwością zarobienia kilku dodatkowych rialsów daje lepsze podstawy rozwojowe aniżeli perski pasażer autobusowy, który na trudnych odcinkach głośno (i chóralnie) wzywa opieki Allaha, prawdopodobnie przeszkadzając tym kierowcy, i który w innych okolicznościach zapewne zachowuje się równie nieracjonalnie. Nowoczesny rytm życia może być usprawniany przez ludzi, którzy go rozumieją lub też wstrzymywany przez ludzi, którzy z takich czy innych względów nie wykazują zdolności adaptacji do niego w sposób społecznie korzystny.

Energia ludności i jej motywacja psychologiczna grają dużą rolę w postępie. I tak ospały Hindus, zbyt niedożywiony, aby zdobyć się na duży wysiłek fizyczny i zbyt ograniczony, aby skonstatować że używane przez niego metody pracy są w rezultacie bardzo wyczerpujące, nie daje rękami postępu (1).

Tak samo często niedożywiony Pakistańczyk pracuje o wiele wydajniej, zarówno ze względu na tradycyjnie bardziej pozytywne podejście do pracy, jak i dlatego że świadomie dąży on do wzmocnienia swego państwa i do podtrzymania jego współzawodnictwa z Indiami. Nepalczyki, wg mojego doświadczenia, stanowią również dobre ludzkie podłoże postępu (częściowo dlatego, że dopinguje ich ekonomiczne i polityczne zagrożenie przez Indie), podczas gdy Tybetańczyki wydają się zbyt pochłonięci sprawami religii, aby móc zachować dostateczną energię dla spraw gospodarczych. Chińczycy wydają się dobrym „surowcem ekonomicznym”, czego nie można powiedzieć o Syjamczykach, których ideałem jest niefrasobliwa i kolorowa egzystencja z minimum wysiłku i maksimum wolnego czasu. W wypadku Chińczyków gra pewną rolę konkurencyjne życie w Hong Kongu lub konieczność „urządzenia się” w kraju emigracji — np. w Syjamie lub na Malajach. Japończycy wykazują nie tylko świadomą, racjonalnie przy pracy używaną energię, ale potrafią także pracować o wiele dłużej aniżeli ludzie na Zachodzie, co w dużej mierze jest wynikiem japońskiej spuścizny kulturalnej, dotyczącej obowiązków jednostki, jej stosunku do pracy, do pracodawcy i do życia rodzinnego. Energia jest częściowo wynikiem odżywiania, częściowo — wg Ellswortha Huntington'a — klimatu. Motywacja psychologiczna jest natomiast czynnikiem wyłącznie kulturalnym i dlatego może stosunkowo łatwo, choć stopniowo, podlegać zmianom. Elementami, które można tu wykorzystać, są uczucia patriotyczne, podporządkowanie się jednostki interesom społeczeństwa i bodźce materialne. Feudalne związanie

(1) Kto miał możność obserwowania Hindusów, przenoszących na głowie, na krótkim dystansie, małe kupeczki piasku i tracących masę energii na umieszczanie go na głowie i zdejmowanie z niej — wie chyba co mam na myśli.

pracownika z pracodawcą jakie obserwowałem w Japonii wydaje mi się zbyt kruchym i szybko przemijającym bodźcem dla indywidualnego wysiłku i nie sędzę że przeszczepianie go na inne grunty dałoby pomyślne rezultaty.

Podniesienie poziomu wykształcenia jest także atutem dla uprzemysłowienia. Państwo z dobrze postawionym systemem nauczania daje rękojmię podaży robotników z podstawowym wykształceniem, techników i inżynierów dla przemysłu i umiejących myśleć urzędników. Niektórzy ekonomiści traktują wręcz wykształcenie jako inwestycję w kapitale ludzkim, co podkreśla jego rolę w podnoszeniu produktywności (2).

Nie wystarczy jednak wytworzyć taki kapitał ludzki — trzeba umieć go także wykorzystać. W tym względzie doświadczenie wielu krajów gospodarczo słabo rozwiniętych jest niezadawalające: nie potrafią one znaleźć odpowiedniej pracy dla młodej zawodowej inteligencji. I znowu przychodzi mi tu na myśl przykład Iranu, gdzie bezużytecznie trwoni się masę kapitału włożonego w wykształcenie młodzieży. Podobna sytuacja panuje, jak słyszałem, również w Saudi Arabii. Wreszcie i Polska wykazuje w pewnych zawodach nadprodukcję — np. przez pewien czas było zbyt dużo historyków sztuki, ostatnio panuje moda na archeologię — niewspółmierna z oczekiwanym popytem na archeologów. W wypadkach tych można zastanawiać z pewnością analizę Józefa Schumpetera, którego zdaniem wytwarzanie inteligencji o wysokich aspiracjach i nadziejach, przy jednoczesnym dawaniu jej ograniczonych możliwości, rodzi klasę ludzi rozczarowanych, krytycznie nastawionych — i pragnących zmiany. Momenty te podkreślił także Wright Mills, choć obaj autorzy — szczególnie Mills — mieli na myśli jedynie system kapitalistyczny.

Aby ułatwić postęp ludzie muszą wyzbyć się nadmiernego konserwatyzmu, którego apogeum stanowi dla mnie masa ciemnych Hindusów, zastygłych w religijnych zabobonach, rozplądających się zgodnie ze zwyczajem zakrawania rodziny na heroiczną skalę, po to tylko aby dochować się względnie dużego potomstwa, oraz cierpliwie kontynuujących pracę na odwieczną modłę, łącznie z blokowaniem ruchu kołowego ciągnącymi środkiem drogi wozami zaprzęgniętymi w bydlę. Dużą postępowość wykazują natomiast, Turcy, Japończycy i — z wyjątkiem pewnych prowincji — Pakistańczycy. Konserwatyzm jest niewątpliwie wygodną postawą życiową, gdyż nie wymaga ciągłych i krytycznych oględzin kulturalnej spuścizny: do znużenia słyszałem w Indiach wzmianki o „pięciu tysiącach lat cywilizacji hinduskiej”, co stanowiło bardzo wygodne i, moim zdaniem, fałszywe wytłumaczenie obecnych trudności i braku

(2) Patrz np. T.W. Schultz, „Investment in Human Capital”, *American Economic Review*, marzec 1961, oraz „Communications”, *American Economic Review*, grudzień 1961.

poważniejszych osiągnięć, i za czym kryło się poczucie zupełnie nieusprawiedliwionej kulturalnej wyższości oraz zadowolenie ze znalezienia sloganu który wszystko jasno, zwięźle i dokumentnie tłumaczy i usprawiedliwia. Postępowość nakłada na człowieka obowiązek ciągłego rewidowania wartości — łącznie z własnymi postulatami. Zagadnienie to odnośnie państw komunistycznych dyskutował niedawno na łamach *Kultury* Zbigniew Jordan w artykułach na temat rewizjonizmu.

Postęp ułatwia dobre poinformowanie i korzystanie z informacji dotyczących gospodarczych możliwości. Jest rzeczą oczywistą, że z punktu widzenia efektów ekonomicznych nie jest obojętne gdzie zostanie zainwestowany kapitał lub użyta praca ludzka. Efektywność przedsiębiorcy jest w pewnym stopniu funkcją wykształcenia, użyteczności prasy, braku konserwatywności oraz zdolności zebrania kapitału, co w krajach mało rozwiniętych zwykle oznacza, zdaje się, zdolności oszczędzania. Celują w tym względzie Chińczycy w południowo-wschodniej Azji oraz Sikkowie, którzy z Parsami spełniają w Indiach ekonomiczną rolę protestantów Maxa Webera, dzięki swojej oszczędności i zapobiegliwości oraz względnej przynajmniej uczciwości. Tak Chińczycy jak i Sikkowie rozproszeni są na dużych obszarach południowej Azji przyczyniając się do ożywienia handlu, transportu i drobnej wytwórczości.

Postęp wreszcie ułatwia dobra organizacja, zarówno ludności jak administracji. Podam tu trzy przykłady, z których pierwszy dotyczy nie tyle dziedziny gospodarczej ile wojskowej, choć wpływające wnioski są i z punktu widzenia ekonomicznego. W wojsku syjamskim dowódcy oddziałów spełniają jednocześnie rolę płatników, gdyż odrębnej takiej funkcji organizacja tamtejszego wojska widocznie nie przewiduje. Rezultatem tego są wielomiesięczne zwłoki w wypłacaniu żołdu podkomendnym żołnierzom i oficerom. Komendant oddziału musi bowiem wybudować sobie dom (używając materiałów ze składów wojskowych), kupić samochód, zabezpieczyć sobie przyszłość, itd. Oskarżyć go trudno, gdyż korpus oficerski obróciłby się przeciw oskarżycielowi, który jego członka „pozbawiłby twarzy”. Taki stan rzeczy trwa więc bez przeszkód i każdy stara się coś ukraść, aby jakoś sobie odbić za zaległy żołd. Wśród szeregowych, którzy mają najmniej okazji do „kombinowania”, rozgoryczenie na taki system może być w skutkach dla politycznej przyszłości kraju tragiczne. Moralność handlowa też nie podnosi się gdy kupcy dzielą się z oficerami zyskami z tej części dostaw dla wojska, których armia w ogóle nie widziała i nie zobaczy. Wojsko syjamskie jest więc z kilku względów dość drogą pozycją i jako takie opóźnia gospodarczy rozwój kraju.

Drugi przykład dotyczy kraju, który jest potencjalnie tak bogaty jak Texas, a w którym nędza panoszy się wszechwładnie. Persja posiada olbrzymie bogactwa naturalne, zdolne kraj

ten gospodarczo wydzwignąć w ciągu jednego pokolenia do obecnego poziomu europejskiego. Rządzi w niej niestety klika posiadaczy ziemskich przeciwstawiających się mobilizacji kapitału na cele wewnętrzne. Wynikiem jest stały przepływ dochodów naftowych do banków szwajcarskich dla zabezpieczenia ich przed wewnętrznymi zamieszkami i ciągły brak kapitału na rozwój ekonomiczny, który stanowiłby najlepszą rękojmę przed zaburzeniami politycznymi. Iran nie potrafił więc zorganizować się w kierunku zapewnienia szybkiego wzrostu ekonomicznego, czego skutki sfery rządzące mogą łatwo, i w niedalekiej przyszłości, odczuć na własnych gardłach.

Trzecim przykładem jest Pakistan, gdzie reforma rolna — nie tak jak w Persji — stała się rzeczywistością, a nie handlową kpina, i gdzie Ayub Khan wprowadził surową ręką, trzeba to przyznać, uczciwość, stałe ceny i mobilizację kapitału. Lepszą organizację (w porównaniu np. z Indiami) widzi się tu w handlu, w kolejnictwie, w ruchu miejskim, w urzędach. Pakistan jest dla mnie krajem o dużych możliwościach, mimo słabego uposażenia w bogactwa naturalne. Daje on także dowód, iż dla usprawnienia organizacji potrzebna jest grupa ludzi poświęcających się sprawie i zdolnych do ujarzmienia korupcji — choćby i tak przysłowiowej jaka istniała w Pakistanie do 1958 roku — i do wcielenia w życie prawa, do czego potrzebna jest zwykle pewna doza przymusu i siły.

#### *Czynniki administracyjne we wzroście gospodarczym*

Z ostatnich przykładów wynika, że organizacja musi z natury rzeczy polegać na ludziach, na ich zdolnościach, praworządności i patriotyzmie. Wynika z nich jednocześnie, że stworzenie warunków organizacyjnych zależy w największej mierze od administracji kraju. Tak jak w stosunku do ludzi, można i w stosunku do rządów postawić pewne dezideraty odnośnie stworzenia „rozwojowej” atmosfery gospodarczej. A więc przede wszystkim, rząd powinien być sam dobrze zorganizowany. Największym przekroczeniem jest w tym względzie chyba dążność do niepotrzebnej centralizacji, zrodzonej na podłożu nieufności i braku wykształcenia pozwalającego zrozumieć procesy administracyjne. I tak, jeżeli Imam z Yemenu sam o wszystkim w swoim państwie rozstrzyga, łącznie z przydzieleniem przybyszowi pokoju w hotelu i wyposażeniem lub nie- wyposażeniem tego pokoju w radio, jeżeli od niego zależą decyzje, o której godzinie każdy samolot w jego kraju (nawet jeśli należy do zagranicznych firm) wystartuje i wylądaje, jeśli petenci wprost do niego składają podania — to sprawowanie rządów staje się procesem przewlekłym i bardzo przypadkowym (3).

(3) Przykład zaczerpnięty nie z mojego osobistego doświadczenia.

Tak samo, jeśli każdy urzędnik hinduski z którym się spotkałem, po sakramentalnym *sit down and have a cup of tea*, stwierdza, że sprawa wymaga decyzji jego przełożonego — co powtarza się na każdym szczeblu — załatwianie spraw urzędowych, w Indiach staje się pracą Syzyfa. Delegacja odpowiedzialności jest podwaliną sprawności administracyjnej, tak jak z kolei ta sprawność jest nieodzownym warunkiem postępu.

Głównym wrogiem sprawnej delegacji władzy na różnych szczeblach jest psychopatyczny kompleks nieufności, występujący szczególnie jaskrawo w państwach komunistycznych, wśród tamtejszej „ideowej” biurokracji. Zjawisko to rozmnaża ilość urzędników wzajemnie się kontrolujących — tak zresztą jak uwielokrotnia ją i w krajach takich jak Syjam, gdzie przy *clearing*'u celnym mojego *scooter*'a musiałem przejść przez ok. pięćdziesięciu (sic) „stacji” urzędniczych, w wielu z nich załatwiając sprawę z kilkoma urzędnikami naraz. Dwóch z nich powiedziało mi, że duża ilość „stacji” kontrolnych ma na celu przeciwdziałanie łapownictwu — które zresztą jest jak najbardziej rozpowszechnione. Ideologiczną nieufność wobec przybysza z „kapitalistycznego kraju” zauważyłem szczególnie na Węgrzech i w Polsce. Nieufność wobec miejscowej ludności w Niemczech Wschodnich zadokumentowana jest wprost tragicznie dużą ilością czarnej *Volkspolizei*, której utrzymanie z pewnością gospodarczo sporo NRD kosztuje (4).

*Nota bene*, nieufność taka oczywiście bardzo przedłuża czas potrzebny na załatwienie urzędowych spraw, ilustracje czego miałem tak w Bangkoku jak i w warszawskim „Mostozdroju”.

Członkowie rządu nie powinni parafernaliai władzy uważać za kwestię osobistego honoru. Słyszałem, że wypuszczenie w obieg osobnego pieniądza sudańskiego (zastępującego politycznie i ekonomicznie niepożądany pieniądz egipski) nastąpiło ze znacznym opóźnieniem tylko dlatego, że na gotowych już banknotach widniał podpis poprzedniego premiera. Nowy premier, który w międzyczasie doszedł do władzy, uważał to za polityczną propagandę na korzyść swojego poprzednika i gotów był wydać sporo rządowych dewiz oraz opóźnić monetarne uniezależnienie się swojego kraju jedynie dlatego, aby zatrzeć ślady istnienia jakiegokolwiek poprzedniego rządu. Podobnie „osobiste” podejście do władzy było w Kongo droższe w skutkach i tragiczniejsze. We wschodniej Turcji widziałem sporo mostów drogowych zbudowanych w oczekiwaniu na drogi, które jakoś do nich nie doszły, i w osamotnieniu swoim będących smutnymi świadkami rozrzutności i osobistej pychy Menderesa. Szczególnie bolesne są objawy marnotrawstwa kapitału w krajach które,

(4) Możliwość poczynienia obserwacji w NRD „zawdzięczam” polskim granicznym WOP-owcom, którzy dla siebie tylko znanych powodów usunęli mnie z bezpośredniego pociągu do Paryża, przez co musiałem zmieniać pociągi i stacje w Berlinie Wschodnim.

jak Turcja, nie posiadają go za dużo, ale których przywódcy uważają wydatki państwa za domenę osobistego *prestige*'u.

Innymi powodem trwonienia kapitału są presje zewnętrzne wywierane przez silnych sąsiadów lub kredytorów. Nie chodzi w pierwszym wypadku tylko o oczywistą konieczność zbrojeń, aby zapobiec ewentualnej agresji, tak jak ma to miejsce w Pakistanie czy Syjamie, ale również o inwestycje sztucznie wymuszone czy niepotrzebnie zawyżone. Przykładem takich jest Nepal, gdzie nowa droga łącząca stolicę Katmandu z Indiami, która miała być skonstruowana przez inżynierów szwajcarskich o dużym zasobie doświadczenia w budowie na terenach górskich, zbudowana została pod wpływem presji Indii przez inżynierów hinduskich. Wynik ich pracy jest łatwy do oceny i łatwy do wytłumaczenia: teren Indii nie posiada tak dużych przeszkód naturalnych, jak teren Nepalu, więc skąd inżynierowie hinduscy mieli mieć uprzednie doświadczenie? Oczywiście, zdobywali je dopiero w Nepalu.

W ciągu lat 1950 dużo mówiło się o tzw. „wiązanym kredytem” (*tied loans*), przy których pożyczający obowiązywał się do wydania pożyczki w kraju kredytora, często na przedmioty i droższe i mniej pożyteczne dla rozwoju aniżeli produkty innych krajów. Jeszcze teraz występuje zjawisko zamawiania towarów nie w krajach, które mogą dostarczyć je w najlepszych asortymentach, jakościach i cenach, lecz w krajach, które udzielają najłatwiej pożyczek — choć, trzeba zaznaczyć, niekoniecznie pożyczek na korzystnych warunkach. Dotyczy to specjalnie kredytów udzielanych przez państwa komunistyczne i doprowadza do gospodarczo niepożądanego konkurencji w liberalności kredytów, zastępującej konkurencję towarową. Kredyty takie zbyt często są, niestety, warunkowane względami politycznymi i mało mają do czynienia z racjonalnym rozwojem ekonomicznym. Przykładem jest tu słynna kontrowersja w sprawie tamy na Nilu pod Assuanem, sowieckie asfaltowanie ulic Kabulu, czechosłowackie pożyczki dla nowych państw afrykańskich, no i oczywiście poparcie udzielone prezydentowi Sukarno w Indonezji. Pomoc udzielona przez rząd Stanów Zjednoczonych prezydentowi Diem w Południowym Wietnamie jest jednym z wielu analogicznych przykładów usunięcia przez Amerykanów momentów gospodarczych na bardzo drugorzędne stanowisko. W warunkach dużego napięcia politycznego trudno jest oczekiwać, aby środki ekonomiczne używane były w sposób najbardziej gospodarczo użyteczny. Zamiast tego zapewnia się zaspokojenie ekonomicznych lub politycznych interesów kredytora lub też politycznych interesów dłużnika.

W polityce krajów mało rozwiniętych powstają często okoliczności siłą rzeczy prowadzące do niepotrzebnych inwestycji lub innych gospodarczych strat. Kraje te przechodzą — w sposób typowy — przez okres wzmożonych prądów nacjonalistycz-

nych, prowadzących do zatargów z sąsiadami i z mniejszościami narodowymi. W czasie mojego pobytu w Syjamie kraj ten miał zerwane stosunki dyplomatyczne z Kambodżą z powodu małego nieporozumienia granicznego, śmiesznego wobec ogromu wspólnego zagrożenia od północy. Ile środków ekonomicznych zmarnowano na tę dziecinną scysję, trudno określić. Bardziej natomiast dla mnie widoczne były straty spowodowane nacjonalizmem Burmeńczyków, który doprowadził poważne odłamy mniejszości narodowych Karenów, Szanów i Czenów do długoletnich walk partyzanckich, wynikiem których jest zdezorganizowanie szlaków komunikacyjnych (5) i utopienie olbrzymich sum na utrzymywanie garnizonów wojskowych na terenach zagrożonych przez partyzantów. Rozwój ekonomiczny w takich warunkach jest problemem niezwykle utrudnionym, tak jak utrudniony był on w obecnie kwitnących Malajach w okresie ich wewnętrznych walk partyzanckich. Nacjonalizm arabski prowadzi także do niepotrzebnych ekonomicznie wydatków oraz do szkodliwego zrażania do siebie obcokrajowych turystów: moje kontakty z Syryjczykami i Irańczykami pozostawiły na mnie najgorsze wrażenie, a trzech moich znajomych miało nieprzyjemne przejścia w Egipcie, spowodowane nacjonalizmem panoszącym się w tym kraju. Nacjonalizm taki powoduje z pewnością utratę części potencjalnych wpływów dewizowych z turystyki.

Reżym powinien być także otwarty dla dopływu „nowej krwi”, nie powinien stanowić zamkniętej w sobie kliki propagującej własne interesy. Zjawisko takie doprowadza do korupcji, niemożności efektywnej kontroli tak działalności gospodarczej rządu jak i działalności poszczególnych urzędników na wyższych i niższych stanowiskach, często do nadużywania władzy przez policję i do rozczarowania i niezadowolonia wśród młodej inteligencji, co z kolei stwarza klimat sprzyjający spiskom przewrotowym. Do krajów tego rodzaju należy Persja, gdzie korupcja sięga wszystkich szczebli życia gospodarczego i gdzie wskutek zaburzeń wśród młodzieży studenckiej tylko jeden uniwersytet był czynny w czasie mojej tam bytności. Do kategorii tej należą także Indie, w których Partia Kongresowa jest właściwie monopartią rządzącą prawie że absolutystycznie. U podstaw tego stanu rzeczy leży trwałe skojarzenie tej partii w umysłach mas hinduskich z walką o niepodległość Indii, z Gandhim, religią hinduską, a ostatnio także z rozbudzającym się nacjonalizmem panindyjskim. Ponieważ masy hinduskie są mało rozgarnięte i bardzo tradycjonalistyczne, raz umocnione wśród

(5) Z południowej Burmy do Moulmein, wg moich informacji i obserwacji, można się dostać jedynie statkiem żeglugi przybrzeżnej; granice lądowe Burmy są zamknięte; nie widziałem w Burmie ani jednego starego mostu — większość jest tymczasowa i zastępuje mosty wysadzone przez partyzantów.

nich opinie wykazują tendencję do permanencji, niezależnie od tego jak bardzo zachowanie premiera Nehru niegodne być może męża stanu, jak wyraźnie zarysowuje się w rządzie korupcja, nieczułość na potrzeby mas i protegowanie własnych indywidualnych interesów, *elephantiasis* ekonomiczne (np. budowa własnych odrzutowców podczas gdy Indie nie produkują nawet własnych samochodów ciężarowych),) nacjonalistyczna gigantomania (np. idea „Wielkich Indii”, obejmujących obecny Pakistan, Burmę, Nepal, Bhutan, Sikkim, Ceylon — i Siwa jeden racy wiedzieć co jeszcze), brak poszanowania dla religijnych, rasowych czy lingwistycznych mniejszości lub grup, niezależnie od porywania przed wyborami przez policję kandydatów opozycyjnych, itd. Fakt, że prasa hinduska jest albo w rękach Partii Kongresowej lub jej popleczników, albo też jest zastraszona aresztowaniami redaktorów za krytyczne artykuły i innymi metodami represyjnymi, wcale nie ułatwia powstania poinformowanej i krytycznej opinii publicznej wewnątrz Indii, oraz potęguje pewnie wygodne pozory na zewnątrz tego kraju. Tak więc, zamiast używać kapitału na produkcyjne i najpotrzebniejsze inwestycje, buduje się wspaniałe wille dla sykofantów rządu, fabryki odrzutowców i imponujące gmachy rządowe, wyrzuca się pieniądze na popieranie marionetkowego rządu w Kaszmirze, na rozrośniętą i blokującą postęp herbato-pijną biurokrację oraz na podniesienie wygód dla wyższych urzędników państwowych. Tego rodzaju stan rzeczy naturalnie sprzeciwia się wywalaniu w państwie pełnych potencjałów wytwórczych, a produktem ubocznym jego jest rozrastanie się partii komunistycznej w kraju (6) oraz powstawanie tendencji odśrodkowych wśród Sikków, Tamilów i innych grup mniejszościowych. Mamy tu, sądzę, do czynienia ze zjawiskiem dotyczącym każdego rządu monopartyjnego, pozbawionego w dużym stopniu rzeczowej wewnętrznej krytyki sięgającej samych założeń polityki i wskazującej na istniejące alternatywy, co częściowo rozładowuje ciśnienie, które powstaje normalnie w każdym nieskostniałym społeczeństwie.

Możliwości rozwojowe państwa zwiększa istnienie doświadczonej i zorganizowanej biurokracji, oddanej bądź krajowi, bądź też jego przywódcy. Szybki postęp Japonii w okresie cesarza Meidzi ułatwiony był spełnieniem tego warunku. Na początku ery Meidzi Japończycy wysyłali specjalnie urzędników na studia administracji na Zachód po to, aby jeszcze bardziej usprawnić istniejący wtedy — i bardzo dobrze rozwinięty — system administracyjny, zbudowany wokół grupy wykształconych biurokratów i opierający się na posłuszeństwie i lojalności wasali szogunów, a później poddanych cesarza. Z drugiej strony, trudności na jakie napotkała niepodległa Burma wywodziły się praw-

(6) Jedyną demonstracją polityczną jaką widziałem w Indiach był pochód komunistyczny w Benares.

dopodobnie częściowo stąd, że w okresie kolonialnym duży odsetek krajowych urzędników składał się z Karenów, którzy później zostali przez Burmeńczyków usunięci. Początkowe usterki administracyjne w Indiach i Pakistanie miały zapewne jako jeden z powodów brak wytrawnego wyższego personelu, który do czasu uzyskania niepodległości przez te kraje składał się z Anglików. W bieżącym okresie eksperci wysyłani z ramienia ONZ do krajów słabo rozwiniętych gospodarczo spełniają w wielu wypadkach rolę zastępczej wyższej biurokracji — do czasu, kiedy kraje te wykształcą własny personel, lub do czasu, kiedy z innych powodów uznają obcą pomoc fachową za niepożądaną.

#### *Mobilizacja kapitału wewnątrz kraju*

Dużo zużyto atramentu pisząc na temat pożyczek kapitału od krajów przemysłowych, rozdziału tych pożyczek, warunków ich udzielania, spłat itd. Stosunkowo mało pisze się natomiast o warunkach i możliwościach wewnętrznej mobilizacji kapitału, która wydaje mi się o wiele ważniejsza, zarówno ilościowo jak i pod względem zapewnienia ciągłości rozwoju — nie mówiąc już o względach stworzenia atmosfery polegania na własnych osiągnięciach, ufności w siebie i zmniejszenia ilości zjawisk międzynarodowego żebractwa czy też nawet szantażu w rodzaju „nie dacie nam pożyczki, to pójdziemy po nią do komunistów”, szantażu który niestety stosowany jest bardzo szeroko.

Warunkiem koniecznym do uzyskania stałego strumienia wewnętrznej akumulacji kapitałowej jest dobra organizacja administracyjna, motywacja społeczna (o których mówiłem wyżej) oraz konsekwentnie przeprowadzana polityka podatkowa. W każdym, najbardziej nawet ubogim, kraju istnieje warstwa ludzi choćby względnie bogatych, często bogatych zupełnie nieproporcjonalnie w stosunku do reszty ludności. Niestety, ludzie ci są zwykle członkami rządu (Saudi Arabia, Iran) lub wywierają nań przynajmniej wpływ (Indie, Południowy Wietnam, Thailand, kraje Ameryki Łacińskiej). Chodzi o to, aby warstwy te opodatkować w sposób nie umniejszający jej gospodarczej inicjatywy (często i tak nieistniejącej) i aby w ten sposób zebrać kapitał który jest obecnie trwoniony na społecznie zbędną „pokazową” konsumpcję, lub wydawany jest na kupno zagranicznych produktów konsumpcyjnych. Co więcej, trzeba zapobiec emigracji kapitału w poszukiwaniu bezpieczeństwa na przyszłość — co jest zwykłym zjawiskiem wśród dyktatorów i właścicieli bogactw naturalnych. Aby cel ten osiągnąć potrzebna jest znowu dobra i nieprzekupna administracja oraz stworzenie wewnętrznej atmosfery zaufania i rozwoju. Gdy ludzie posiadający kapitał skonstatują, że można inwestować go w rozwój własnego kraju i zarabiać na tym lepiej niż zagranicą, oraz że

kapitał ten jest bezpieczny, znajdzie się funduszków — jestem przekonany — dużo. Państwo musi jednocześnie wykonać poważne inwestycje społeczne w dziedzinach komunikacji i łączności, zatroszczyć się o poprawę bytu mas, podnieść poziom nauczenia itd., aby ułatwić wzrost przemysłowy. Aby sfinansować te wydatki trzeba zorganizować sprawny aparat zbierający podatki i ewentualnie opodatkować jednorazowo kapitał w taki sposób aby nie zniechęcić go do pozostawania w kraju.

Kapitał stworzyć można także, choć w bardziej ograniczonym zakresie, „metodą chińską” — tzn. przez rekrutowanie przymusowej siły roboczej, używanej na jego wewnętrzne wytworzenie. W warunkach bardziej niż chińskie demokratycznych można werbować całkowicie lub częściowo bezrobotnych ludzi (wykorzystując tzw. ukryte — zwykle rolnicze — bezrobocie) i zapewniając im minimum potrzebne do egzystencji, które by oni sobie tak czy inaczej wywalczyli. Tą drogą można stworzyć niezatrudnionym warunki potrzebne dla konstruktywnej pracy, która w konsekwencji może dostarczyć im samym, lub ich dzieciom, normalne warsztaty pracy. W większości krajów słabo zagospodarowanych istnieją duże zasoby ludzkie, które czekają tylko na wykorzystanie w racjonalny ekonomicznie sposób.

Problemy te rozumiała najwyraźniej administracja prezydenta Kennedy stwarzając *Alianza para Progreso* i kładąc nacisk na „doprowadzenie własnego domu do porządku” przez kraje Ameryki Łacińskiej, ubiegające się o amerykańską pomoc. Aby uchronić się od bezowocnego topienia kapitału w kraje o zafałszowanej strukturze socjalnej i skorumpowanej administracji pomoc amerykańska zostaje uzależniona od wewnętrznych reform w myśl zasady, że bez reform nie ma pomocy (*no performance — no aid*). Niestety, uczulenie rządów w Południowej i Centralnej Ameryce na niezależność od „Yanqui” stanowi w tym względzie wyraźną przeszkodę, czego przykładem była niedawna wizyta podsekretarza stanu Ryszarda Goodwin'a i szefa *Aliansy* Teodora Moscoco w Chile, gdzie przeprowadzili oni szereg układów dotyczących wewnętrznych reform. Treści tych układów rząd w Santiago nie zgodził się jednak opublikować ze względu na możliwość „politycznego zaambarasowania”. W związku z tym możliwe będzie w przyszłości kunktatorstwo w przeprowadzaniu nieogłoszonych reform, a może nawet wyparcie się poczynionych zobowiązań. Jednocześnie, z punktu widzenia amerykańskiego, program pomocy może nie znaleźć w Kongresie Stanów Zjednoczonych dostatecznego poparcia, ponieważ osiągnięcia, jakie trudno jest skonkretyzować na przestrzeni krótkiego czasu, są często dla polityków mało atrakcyjne. Brak poparcia w Kongresie bardzo łatwo przeistoczy się może w umniejszenie funduszków na pomoc ekonomiczną. Tak więc zwłoka w przeprowadzeniu programu może mieć w przyszłości skutki obustronne. Jak się okazuje, fałszywie pojęta duma narodowa wcale nie jest najlepszym motorem postępu.

*Na marginesie rozwoju ekonomicznego Polski*

Nasuwa się pytanie jak wyglądają omówione powyżej czynniki wzrostu na tle wrażeń niedawnego turysty w Polsce. Znowu stoję tu przed problemem stosunkowo wąskiego kręgu obserwacji, mimo to jednak odważę się je uogólnić, odnosząc je częściowo do wrażeń z pierwszej wizyty w 1957 roku. W Polsce rzucają się w oczy wyniki postępującej industrializacji, przynoszącej wyraźne podnoszenie się stopy życiowej. Jest rzeczą widoczną, że akumulacja kapitału stała się już teraz kwestią automatycznego odkładania części rosnącego dochodu narodowego, przy czym wielkość nowych inwestycji wydaje się ciągle podnosić, mimo że jednocześnie wzrasta także wielkość spożycia. Minęły już czasy kiedy inwestycje pociągały za sobą konieczność rygorystycznego obniżania poziomu konsumpcji. Odniosłem wrażenie, że Polska stoi już na odskoczni, o której mówi W. Rostow i z której następuje „wzlot” w przestrzeń wyższego stadium ekonomicznego rozwoju.

Wyraźnie występuje jednocześnie zjawisko większej fachowości wśród pracowników, lepszego dopasowania do pracy i lepszego przystosowania do życia w społeczeństwie przemysłowym. Trzymamie kozy w łazience uważałbym już teraz za zjawisko mniej powszechne, a natomiast kobieta za kierownicą samochodu nie wywołuje już specjalnego zainteresowania. Elektryk orientuje się w naprawie elektronicznych aparatów, obsługa samochodów widocznie się poprawiła, wiadomości o pociągach nie potrzeba wyciągać urąganiem z gardła niegrzecznych i niespecjalnie dobrze poinformowanych urzędników kolejowych. Uderzył mnie nawet wzrost uprzejmości wśród „urzędujących” i wśród reszty ludności; jest to, sędzę, głównie wynikiem podniesienia stopy życiowej. Milicjanci umieją sobie lepiej radzić ze znacznie zwiększonym ruchem ulicznym, jakoś wystaw i towarów widocznie się poprawia. Polskie reklamy wzbudzają podziw pomysłowością rozwiązań. Słyszysz się często strzępy rozmów uczniów i studentów na tematy techniczne. Polska najwidoczniej wyrobiła sobie zespół ludzki, który przygotowany jest na pełnienie funkcji ekonomicznych w rozwiniętym społeczeństwie, co z kolei powinno podnieść tempo wzrostu.

Aparat administracyjny wydaje się jakościowo niezmienny. Z własnego doświadczenia stwierdzam duże rozrośnięcie się aparatu policyjnego i — z punktu widzenia ekonomicznego — niestychanie rozrzutne nim szafowanie. W ciągu prawie całego pobytu w Polsce, widziałem śledzących mnie agentów, czasem bywało ich aż siedmiu w dwóch samochodach. Aparat użyty do bezpośredniej i pośredniej obserwacji mojej osoby kosztował państwo dużo pieniędzy i jestem pewien, że mógł być użyty na cele bardziej produktywne. Uogólniając, wydaje się, że występuje tu, niestety, jak w każdej administracji, konieczność zatrud-

nienia ludzi którzy w większości pozostali w tajnej policji po 1956 roku oraz tych, którzy zostali do niej od tego czasu przyjęci. W wyniku tego, ekonomicznie biorąc, koszty krańcowe w wypadku inwigilacji poszczególnych osób nie istnieją: aparat policyjny jest już zrekrutowany i stoi do dyspozycji, zatrudnianie więc go w sposób chociażby najbardziej bezsensowny właściwie nie *dotatkowo* nie kosztuje. Wobec tego właśnie zatrudnia się go, dając mu przez to *raison d'être* i stwarzając prawdopodobnie przy tym cały szereg „podejrzeń”, „możliwości”, „połączeń” itp. Stwarza to z kolei podstawę do dalszego rozbudowania tegoż aparatu przy czym do tej rozbudowy zużywa się względnie wykształcony materiał ludzki, który mógłby być użyty w produkcji, samochody, które mogłyby być użyte jako taksówki, magnetofony które, zamiast w centralach telefonicznych, mogłyby służyć np. w szkolnictwie, stawia się nowe gmachy urzędów, jak np. olbrzymi kompleks Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie itd. W gospodarce operującej na małych „luzach” oznacza to, że jakieś inne potrzeby nie zostają zaspokojone — i łatwo się domyśleć, że nie są to potrzeby innych działów administracyjnych.

Cenzura także najwidoczniej pochłania większe kadry ludzkie aniżeli kilka lat temu; więcej ludzi widocznie pracuje w działach propagandy — co przyczynia się do wyraźnego obniżenia poziomu m.in. wiadomości radiowych i tonu prasy. Więcej też niż przedtem książek i artykułów nie ma prawa doczekać się druku. W sumie, obserwacje moje prowadzą do ekonomicznej konkluzji (pomijam tu inne momenty tego zagadnienia) wznowionego marnotrawstwa materiału ludzkiego i kapitału w, ogólnie biorąc, administracji państwowej.

*Posłowie*

Powyższe refleksje przedstawiłem świadomie w formie mało obiektywnej, bazowanej przede wszystkim na osobistych obserwacjach raczej, aniżeli na teoretycznych wywodach, omawiających gruntownie całość zagadnienia, lub też ściśle określających którą jego część będą pokrywać. Przedstawiłem je częściowo dlatego, że zdaję sobie sprawę, iż wśród czytelników *Kultury* znajduje się dużo osób rozporządzających o wiele większym ode mnie doświadczeniem jeśli idzie o kraje słabo rozwinięte. Wyrażam nadzieję, że doświadczenie ich może być wykorzystane na łamach *Kultury* i w ten sposób przekazane szerszemu ogółowi.

W ujęciu swoim przy omawianiu wzrostu ekonomicznego pominąłem problemy demograficzne, planowania ekonomicznego, kolejności i wyboru inwestycji, określania ich ekonomicznej efektywności, problemy polityki fiskalnej i monetarnej, rolę i formę pomocy zagranicznej, itd. Dziedziny, jak też uwagi na temat czynnika ludzkiego we wzroście gospodarczym stoją otworem



przed kimkolwiek kto chciałby dorzucić swoje refleksje do poruszonego przeze mnie tematu. Emigracja polska przedstawia m.in. olbrzymi kapitał doświadczenia, gromadzonego na przeróżnych gruntach. Coraz to w swojej peregrynacji napotykałem na Polaków — tak z kraju jak i z emigracji. Byłoby ciekawe zebrać trochę ich wrażeń i wniosków, aby pogłębić ogólną wiedzę o praktycznych problemach rozwoju gospodarczego.

Bogdan MIECZKOWSKI

## Kronika angielska

### NIEMIECKA „WOJNA DOMOWA”

Niemiecka wojna domowa ma kilka aspektów. Zaczniemy od wojny przeciwko chłopom, którą ze zmiennym szczęściem prowadzi Ulbricht.

W gruncie rzeczy właściwie nikt nie wie w bloku wschodnim co robić z chłopami. W tej chwili można wyodrębnić dwie skrajnie różne polityki w tej materii. Pierwszą z nich reprezentuje Gomułka. Polska „chłopska polityka” może się poszczycić najlepszymi rezultatami. Na przeciwnym biegunie „kwestii chłopskiej” mamy p. Ulbrichta, którego polityka, jak do tej pory, jest katastrofalna.

Przywódcy NRD głoszą, że na przestrzeni ostatnich 10 lat przekształcili Niemcy wschodnie w szóstą z kolei potęgę przemysłową Europy. Równocześnie jednak Ulbricht zabiega w Bonn o pożyczkę w wysokości 250 milionów funtów wskazując na „wielkie trudności gospodarcze” niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Oba cytowane powyżej stwierdzenia w pewnym stopniu odpowiadają prawdzie. NRD istotnie rozbudowała imponująco swój potencjał przemysłowy, co w niczym nie zmienia faktu, że niemiecko-wschodnia gospodarka pozostawia niezmiernie wiele do życzenia.

W staroświeckim ustroju kapitalistycznym zakłady przemysłowe buduje się albo dla zysku, albo z uwagi na potrzeby zbrojeniowe państwa. Okazuje się jednak, że można budować przemysł wychodząc z całkowicie różnych przesłanek.

Rawle Knox, który przejechał ostatnio 2500 mil wzdłuż i wszerz po Niemieckiej Republice Demokratycznej, podał na łamach prasy brytyjskiej kilka interesujących szczegółów na temat życia pod rządami p. Ulbrichta.

Chłopski „węzeł gordyjski” rozwiązać jest trudno, ale można go w rozmaity sposób przeciąć. Można organizować kolchozy, sowchozy, chińskie komuny — można wreszcie zlikwidować rolnictwo, chłopów przemienić w robotników przemysłowych, a żywność kupować zagranicą. Komuś, kto uważa, że chłopci są źródłem wszelkich nieszczęść na tej ziemi — ostatnie rozwiązanie, choć radykalne, wydać się musi pociągające.

W NRD buduje się wiele fabryk nie pod kątem widzenia rentowności — innymi słowy wychodząc nie z przesłanek gospodarczych, lecz socjologiczno-politycznych. Nie chodzi o produkcję towarów, ale o produkcję przemian społecznych. Nie chodzi o zysk, ale o szybkie zwiększenie klasy robotniczej kosztem klasy chłopskiej. To jest nie tyle „nakręcanie koniunktury przemysłowej” ile nakręcanie „koniunktury socjalnej”.

W miejscowości Schwarze Pumpe buduje się odkrytą kopalnię miękiego węgla. Jeszcze parę lat temu był tu tylko las, pola i... chłopci. Budowa kopalni, która ma być całkowicie gotowa w 1968 r. — będzie kosztowała 440 milionów funtów. Węgiel, który się wydobywa w Schwarze Pumpe składa się w 60% z wody i zanieczyszczeń. Rzeczoznawcy obliczyli, że pokład zostanie wyczerpany po 40 latach.

Ale w tym jak i w wielu analogicznych projektach względy ekonomiczne nie odgrywały decydującej roli. Chodziło przede wszystkim o uprzemysłowienie obszarów do niedawna czysto rolniczych i przemienienie chłopów w robotników przemysłowych.

W Schwet nad Odrą jeszcze w roku 1949 rozciągały się niemal dziewięć lasy. Dziś powstaje tam nowoczesna rafineria, której produkcja wynosić będzie 8 milionów ton różnorodnych fabrykatów rocznie. Ropa naftowa dostarczana będzie rurociągiem długości 2500 mil ze Związku Sowieckiego. Tunel pod Odrą dla rurociągu jest już gotowy.

W tych wszystkich operacjach chodzi z jednej strony o „odchłopenie” Niemiec wschodnich — z drugiej strony o związanie gospodarcze z blokiem wschodnim. Całkowite włączenie w system ekonomiczny bloku wschodniego stanowi ze strony NRD odpowiedź na „wspólny rynek”.

Robotnikom w Niemczech wschodnich materialnie powodzi się znacznie gorzej niż w Federalnej Republice. Ale mają większe możliwości „awansu społecznego” i lepsze perspektywy kształcenia dzieci. 50% studentów na uniwersytetach jest pochodzenia robotniczego. Wielu robotników — po przejściu odpowiednich kursów — dochodzi do kierowniczych stanowisk.

Chłop, który rezygnuje ze swego tradycyjnego zajęcia i sposobu życia stając się robotnikiem przemysłowym — jednego dnia zyskuje status członka klasy uprzywilejowanej. Jego dzieci we wszystkich niezliczonych ewidencjach i ankietach będą mogły wpisać w odpowiednią rubrykę sakramentalną formułę: „pochodzi z klasy robotniczej”. W NRD posiada to znacznie większe znaczenie w sensie praktycznym niż w monarchicznej Anglii tzw. „dobre urodzenie”.

Propaganda komunistyczna osiągnęła w jednym punkcie istotny sukces. A mianowicie przekonała bardzo znaczny procent społeczeństwa w NRD, że rząd w Bonn składa się z faszystów i dąży do wojny. Ludzie składają krytycznie ustosunkowani do Ulbrichta i jego rządu — wierzą jednak

niezachwianie, że Bonn czeka tylko okazji, by rozpętać wojnę. Na ogół nie poddaje się w wątpliwość szczerości pokojowej intencji Waszyngtonu czy Londynu. Ludzie natomiast obawiają się, że mocarstwa zachodnie wbrew swej woli zostaną w momencie kryzysu wciągnięte w wojnę przez rząd w Bonn.

Przedstawianie rządu Federalnej Republiki jako dziedzica faszystowskiej przeszłości służy konkretnym i doraźnym celom politycznym. Aparat partyjny i urzędniczy w NRD jest przekonany, że w razie zjednoczenia na warunkach zachodnich — wszyscy, którzy współpracowali z reżymem Ulbrichta — byłiby prześladowani, sądzeni, więzieni w obozach koncentracyjnych. To samo tłumaczy się robotnikom, którzy wszyscy należą do takich czy innych reżymowych organizacji. I to stanowi istotę owej potencjalnej niemieckiej „wojny domowej”. Po tamtej stronie barykady żyją miliony Niemców, których ze *status quo*, tzn. z obecnym podziałem, wiąże nie tylko praca i stanowiska, lecz również poczucie bezpieczeństwa.

Zarówno ton prasy jak i audycji radiowych obu niemieckich republik nie różni się niczym od tonu prasy narodów będących ze sobą w wojnie. Jest bezbrzeżną naiwnością sądzić, że wystarczyłoby zburzyć mur Ulbrichta — by nastąpiło ogólne pojednanie. Rosja przepołowiła Niemcy znacznie dokładniej i głębiej niż skłonni jesteśmy przyznać.

### JEWTUSZENKO W LONDYNIE

Gdyby Jewtuszenko był Finem albo Duńczykiem prawdopodobnie nikt by o nim nie słyszał. Nie udzielalby wywiadów, nie organizowano by dla niego konferencji prasowych, nie pisywałby artykułów do prasy brytyjskiej, nie zapraszono by go i nie fetowano.

„Baza” na niego pracuje. To nie oznacza, że nie ma on talentu, ale talent nie wiele by mu pomógł bez „bazy”. Historycy i krytycy literatury nie dostrzegają tego podstawowego elementu. Owa „baza”, która w znacznej mierze wyznacza pozycję w świecie danego pisarza czy poety — jest zespołem faktów w całości poza-literackich. „Baza” to jest polityka.

Poeta rosyjski w przeciwieństwie do poety polskiego rodzi się z potężnym zapleczem. Na jego „bazę” składa się potęga, wielkość, rozmiar, egzotyka. Potęga — bez względu na jej moralny wyznacznik — nigdy nie jest banalna — przeciwnie, zawsze fascynuje.

W artykule drukowanym w londyńskim „The Observer” Jewtuszenko odsłonił nieco rąbka tajemnicy otaczającej skomplikowany mechanizm polityczno-socjalnej struktury w Sowietach.

Gdy wylądował na lotnisku w Londynie podeszła do niego reporterka z „Daily Mail” i zapytała: „Czy jest pan członkiem partii komunistycznej?” Jewtuszenko odpowiedział: „nie”.

Na drugi dzień w „Daily Mail” — Jewtuszenko przeczytał swą wypowiedź nieco ufryzowaną: *of course not* — „oczywiście, że nie”.

To jedno słówko *of course* w jego rozumieniu zmieniło cały sens wypowiedzi. Bo w Sowietach można nie być członkiem partii komunistycznej, ale nie można *oczywiście* nie być członkiem partii komunistycznej.

Słówko „nie” jako odpowiedź na pytanie czy jest członkiem partii — było tylko stwierdzeniem faktu i owo lakoniczne stwierdzenie nie przesądza stosunku do komunizmu. Natomiast dodanie określenia „oczywiście” jest już kwalifikacją, która manifestuje negatywny stosunek do komunizmu.

Dla ludzi na Zachodzie tego rodzaju subtelności są trudne do zrozumienia. Cóż w końcu za różnica czy się „nie jest członkiem partii konserwatywnej” — czy też „oczywiście nie jest się konserwatystą”. W Anglii czy w Ameryce słówko *of course* w analogicznym zestawieniu nie grałoby poważniejszej roli. Jednak to małe słówko w danym kontekście dla obywatela sowieckiego było niezmiernie wagi — decydowało bowiem o tym czy się „wychylił” czy się *nie* „wychylił”. I stąd ta gwałtowna reakcja Jewtuszenki z powodu tego jednego słówka.

Aleksander Weissberg-Cybulski w swej książce „L'Accusé” opisuje, że gdy wylądował w więzieniu, w czasie pierwszego przesłuchania wyjaśniono mu, że przestał być komunistą, ponieważ w więzieniach sowieckich nie ma komunistów tylko zdrajcy. O tym, kto jest komunistą decyduje Stalin i nikt poza nim.

Trzeba stwierdzić, że od owych czasów wiele się zmieniło. Jewtuszenko wyznaje: „sam fakt, że w mych wierszach atakuję biurokrację, dogmatyzm i szowinizm — oznacza dokładnie, że w mym sercu jestem komunistą. Dla mnie bowiem komunizm i biurokracja są po prostu nie do pogodzenia”.

I dodaje: „to wszystko dotyczy nie tylko mnie, ale całego młodego pokolenia Rosjan, które coraz bardziej zaczyna czuć się gospodarzem w swoim własnym kraju”.

Jewtuszenko nie jest członkiem partii, atakuje biurokratów i dogmatyków, a mimo to — jak nas informuje — jego ostatnią książkę wydano w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy.

To są wielkie i korzystne zmiany — bo dawniej biurokraci decydowali o nakładach książek. Dziś decyduje o tym publiczność.

Tytuł omawianego artykułu brzmi: „Moja Rosja”. Jewtuszenko nie używa określenia „Sowiecki” czy nazwy „Związek Sowiecki”. Pisze o literaturze rosyjskiej, o malarstwie rosyjskim, cytuje nazwiska rzeźbiarzy rosyjskich. Wszystko jest rosyjskie — nic nie jest „radzieckie”. Nawet festiwale poetyckie w Moskwie są „narodowym świętem rosyjskim”. Bardzo charakterystyczne.

Jewtuszenko zarówno w cytowanym artykule, jak i w czasie swego pobytu w Londynie nie „wychylił się” ani na milimetr. Ale nie to jest interesujące. Znamienne jest natomiast, że Jewtuszenko uznał za bezpieczne i nie grożące mu konsekwencjami powiedzieć to wszystko, co powiedział. Przemian nie można mierzyć indywidualną odwagą Pasternaków lecz odwrotnie wystudionymi wystąpieniami Jewtuszenków, którzy nie wychylił się poza margines bezpieczeństwa. Niewątpliwie ów margines bezpieczeństwa jest dziś niepomniernie szerszy niż dawniej.

Dziwi mnie osobiście, że prasa krajowa pokwitowała występy Jewtuszenki na Zachodzie milczeniem. W „Nowej Kulturze” w rubryce „Roz-

maitości" artykułowi Jewtuszenki w „The Observer” poświęcono 10 wierszy. Na miejscu redaktora „Nowej Kultury” artykuł młodego rosyjskiego poety przedrukowałbym w całości. Dla wielu polskich czytelników w kraju byłaby to prawdziwa rewelacja.

### „LITERATURA PODZIEMNA” POLSKI LUDOWEJ

W latach 1956-59 prawie wszystkie krajowe domy wydawnicze przysłały nam egzemplarze recenzyjne. Od dawna niemal nic nie przychodzi. O ile nasze informacje są ściśle nie wydano w tej sprawie formalnego zakazu. Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z fenomenem „strachu na wyrost”.

Wiadomo powszechnie, że eksport książki polskiej na Zachodzie — leży. Równocześnie zainteresowanie słowiańskimi literaturami stale wzrasta. Instytuty slawistyczne, katedry literatur wschodnio-europejskich, ośrodki badawcze — wyrastają dosłownie, jak grzyby po deszczu. Przy tych wszystkich instytucjach, katedrach, zakładach naukowych — powstają biblioteki slawistyczne dysponujące stałymi funduszami na zakup książek.

Warszawa nie interesuje się tymi instytucjami — stojąc na stanowisku, że polska literatura jest nadal literaturą podziemną.

Krytyczny Czytelnik zapyta może w tym miejscu, skąd my to wszystko wiemy? Może Ars Polona znana w kraju i zagranicą z rzeźkiej „sprężystości” rozsyła na cały świat biuletyny księgarskie, katalogi itp.

Paradoks polega na tym, że na tzw. szerokim świecie „Kultura” jest dość znana i cytowane instytucje, biblioteki, centra badawcze oraz specjaliści — zwracają się do nas b. często z prośbami o informacje i pomoc w wyszukiwaniu i zakupie książek krajowych.

Proponowaliśmy wielu krajowym instytucjom wydawniczym, by przysłały nam egzemplarze recenzyjne oferując wzajemnie prowadzenie w „Kulturze” stałego dodatku bibliograficznego. Tego typu dodatek byłby najskuteczniejszą pomocą w sprzedaży polskich książek i to zarówno na emigracji jak i instytucjom i bibliotekom slawistycznym na Zachodzie. „Kultura” bowiem jest prenumerowana przez instytuty slawistyczne i uważnie czytana przez wszystkich slawistów na całym świecie.

Jak dotąd nasze propozycje nie przyniosły żadnych rezultatów.

Od czasu do czasu rozmaici myśliciele występują na łamach prasy krajowej z projektami współpracy pomiędzy emigracją, a Polską Ludową. Jeżeli jednak instytucja emigracyjna wysunie konkretny projekt współpracy idący bezspornie po linii polskich interesów — nic z tego nie wychodzi. Bo tzw. czynnikiem nie chodzi o współpracę tylko o „wtyczkarstwo”. Na to ostatnie nie reflektujemy.

### FRANCJA I JEJ WSCHODNI SPRZYMIERZENCY

Nakładem „The University of Minnesota Press” ukazała się interesująca książka Piotra S. Wandycza pt. „France and her Eastern Allies, 1919-1925”.

Piotr Wandycz jest młodym polskim historykiem wykształconym zagranicą (Cambridge, London School of Economics.) W czasie wojny służył w wojsku polskim w Anglii. Obecnie jest profesorem historii na Indiana University.

Powyższe szczegóły biograficzne są konieczne do wypuklenia oryginalności i wartości omawianej książki. Tylko rdzenny Polak doskonale odczytany w literaturze przedmiotu mógł dać tak wnikliwą i intymną analizę stosunków polsko-francuskich i polsko-czechosłowackich. Wandycz spędził ostatnio szereg miesięcy w Polsce, a jego 500 stronicowe dzieło oparte jest w znacznym procencie na niepublikowanych dotąd materiałach archiwalnych.

Z drugiej strony tylko polski historyk w całości wykształcony w krajach anglosaskich — mógł zaprezentować swój materiał w tak zachodni sposób.

Po pierwsze, książka nie jest przekładem, ale jest napisana doskonałą angielszczyzną. Po drugie, metoda badawcza, „szkoła historyczna”, klimat intelektualny — to wszystko jest autentycznie zachodnie.

Podkreślam te szczegóły, bo Wandycz w pewnym sensie winien stanowić wzór dla młodych Polaków wykształconych i mieszkających na Zachodzie. Nie tylko bowiem nie zatracił swej narodowej tożsamości — ale wykazał, że polskość może być dynamiczną drogą do sukcesu.

Trudno jest przecenić wartość tego typu książki. Zachód jeszcze ciągle wie o nas bardzo mało i skąd inąd wybitni zachodni historycy wykazują często zdumiewający brak rozeznania w zawiłych dziejach Europy wschodniej. Pomijając trudności językowe — polska historiografia traktowana jest często nieufnie jako stroniczka i upolityczniona.

Zupełnie inny wydźwięk, zasięg i formatywny wpływ posiada poważne dzieło naukowe profesora amerykańskiego uniwersytetu. Książka Wandycza będzie traktowana jako studium zachodniego historyka, napisane dla zachodnich historyków. Książkę będą czytali studenci, oraz historycy amerykańscy, angielscy, francuscy, niemieccy — i lektura ta pomoże im do zrozumienia jednego z przełomowych okresów w dziejach Europy wschodniej.

Omawiane dzieło obejmuje okres od Konferencji Pokojowej w Paryżu w roku 1919 po Locarno w roku 1925. W ramach tych sześciu lat Francja usiłowała zbudować „wschodni bastion” (przedmurze), który oddzielając Niemcy od bolszewickiej Rosji miał zapewnić Europie trwały pokój i bezpieczeństwo. Polsce i Czechosłowacji, które były w owym okresie najważniejszymi środkowo-wschodnio-europejskimi sojusznikami Francji, przyszłość miała główna rola w budowie *barrière de l'est*.

Mimo, że owego „przedmurza” nigdy nie zbudowano, to jednak w bogatej i skomplikowanej historii, tego krótkiego okresu zawarta jest niejako dyspozycja dramatu, który w czternaście lat później doprowadził Europę i świat do katastrofy drugiej wojny światowej.

Studium tego sześćdziesięciu lat stworzyło dla autora sposobność przedstawienia szczegółowej analizy polskiej i czechosłowackiej polityki, jak i wzajemnych stosunków pomiędzy Polską a Czechosłowacją.

Niniejsza notatka nie jest recenzją. Chciałem tylko zwrócić uwagę Czytelników na tę niezmiernie interesującą książkę, którą winien omówić na łamach „Kultury” specjalista przedmiotu.

### NIE POD PLACKI!

Współredagowałem dwutygodnik ilustrowany 2-go Korpusu p.n. „Parada”. Drukowaliśmy ją kolejno w Kairze, w Neapolu i w Rzymie. Wyszło w sumie 100 numerów. Nie bagatela. Mój komplet pięknie oprawny zagał niepowrotnie w transporcie morskim.

W podobnej sytuacji jest „Biblioteka Kultury”, która nie posiada kompletu „Parady”. W bieżącym numerze Czytelnicy znajdą suche, ale wymowne w cyfrach i w faktach zbilansowanie różnorodnej działalności „Kultury” na przestrzeni lat piętnastu. Jednym z naszych zamierzeń było i jest nadal stworzenie biblioteki, która stanowiłaby dokumentację zarówno epoki w której żyjemy jak i działalności emigracji od samych jej początków tj. od końca września 1939 r. Dokumentacja jest tym cenniejsza, tym bardziej wymowna im bardziej jest kompletna.

W archiwach prasowych biblioteki „Kultury” znajdują się dosłownie emigracyjne białe kruki. Ale równocześnie brak nam kompletów pewnych pism, choćby dla przykładu wymienić „Paradę”, prasę na Środkowym Wschodzie, w Rosji etc.

Apelujemy serdecznie do naszych Czytelników — by wydawnictwa wojskowe, emigracyjne, zwłaszcza wcześniejsze — ofiarowali archiwom prasowym biblioteki „Kultury” i tym samym zachowali je dla potomności. Jesteśmy gotowi ofiarodawcom, sprezentować w podzięce — na przykład za komplet „Parady” w dobrym stanie — książki do wyboru z serii „Biblioteki KULTURY”.

Pamiętajcie, drodzy Czytelnicy, że wartość sentymentalną i pamiątkową owe wydawnictwa mają tylko dla nas. Nasze dzieci (niech im Bóg to wybaczy) wezmą te szpargały pod placki. Z bezcennych dokumentów, które w 17, 18, a nawet i 19 wieku w polskich domach poszły pod placki (dosłownie i przenośnie) — można by stworzyć wspaniałe narodowe archiwum.

Więc podejmijcie racjonalną decyzję póki czas. Chodzi przecież w tym wypadku o nas samych, o emigrację.

### KLUB N-tego MIEJSCA

Cytuję z „Przeglądu Kulturalnego” nr 498:

„Świadome samoograniczenie „silnej ręki” dodatnio wyróżnia obecnie Polskę.

W dwudziestoleciu „silna ręka” była ręką odgórnej anarchii...

I to ten anarchiczny sobiepan umundurowany i wyorderowany, zasłonięty bagnietami Gołędzinowa, z za swojego biurka urzędowego rzucał gromy na biedną krewniaczkę z buntów chłopskich, ze strajków fabrycznych”.

Któż to napisał? Autor „Sztafety”.

Nie musi się być świętym, ale trzeba mieć takt — jak mawiał onego czasu nieoceniony Lopek Krukowski.

LONDYŃCZYK

## Post-scriptum

Rio de Janeiro, 26 maja 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Niezmiernie byłbym Panu wdzięczny za ogłoszenie poniższego POST SCRIPTUM do dwóch moich artykułów, ogłoszonych w nrach 1/2 i 4 „Kultury”. Tempo wypadków rozgrywających się w Ameryce Łacińskiej jest ostatnio tak zawrotne, że ich ocena czasopiśmienna a nie gazetowa grozi zdezaktualizowaniem uwag, jakie się na ich temat nasuwają. Wydaje mi się więc wskazane uzupełnienie moich poprzednich spostrzeżeń — chociażby w formie telegraficznej.

Kryzys już nie tylko gospodarczy i społeczny, ale i polityczny Ameryki Łacińskiej zastrzył się ostatnio w sposób niepokojący. Spóźniona mocno akcja Przymierza dla Postępu nie daje jeszcze z natury rzeczy większych wyników i nie zdołała sparaliżować pogłębiającej się wciąż jeszcze niemal wszędzie ofensywy anty-amerykańskiej. Nowa fala militarystyki doprowadziła do zamachu stanu w Argentynie, która poza tym przeżywa całkowite załamanie swojej gospodarki i do faktycznego opanowania rządów w Ekwadorze. Pomimo wyraźnego osłabienia infiltracji Fidelkastrizmu (zupełny kolaps ekonomii kubańskiej!) wykazują niepokojące objawy rozprężenia: Wenezuela, Gwatemala, Peru i inne kraje Ameryki Południowej i Centralnej. Względne polityczne uspokojenie Brazylii — wciąż jeszcze w kleszczach potwornej inflacji! — nie oznacza opanowania zaognionych coraz bardziej konfliktów społecznych; zwłaszcza na „Północnym Wschodzie”: susza, bunt bezrolnych i po prostu powszechny głód.

Propaganda komunistyczna rozwija się powoli, ale systematycznie i planowo. Tak np. po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Brazylią przybrała formę „niewinnej” organizacji w Rio największej w historii sowieckiej wystawy produktów rosyjskich, która sprawiła na tutejszej opinii publicznej głębokie wrażenie.

Jednym słowem prognoza meteorologiczna w Ameryce łańcisko-iberyjskiej jest: *for a stormy weather...*

Co się tyczy pozycji P.R.L. na terenie Ameryki Południowej, trudno zaprzeczyć pewnego jej umocnienia, które znalazło wyraz w komunikacie podpisanym na Wawelu w dniu 17 maja br. przez brazylijskiego ministra spraw zagranicznych, San Tiago Dantasa i min. Adama Rapackiego. Coraz bardziej „niezależna” polityka zagraniczna Brazylii spotkała pewne punkty styczności z wytycznymi Warszawy, zwłaszcza co do „pokojowego współistnienia”, antykolonializmu i rozbrojenia — choć, zgodnie z moimi przewidywaniami, bez zażyrowania przez Brazylię Planu Rapackiego, czy granic zachodnich Polski. Nie tylko jednak rozszerzono znacznie wymianę handlową do 70 mld. dolarów rocznie, ale rozwinęto pokaźnie udział Polski w całym szeregu wielkich projektów przemysłowych.

Wszystko to — łącznie z ostrą antyamerykańską postawą niektórych gubernatorów stanowych na Południu — nie może nie wywierać pewnego wpływu na opinię („dawnej”) polskiej kolonii, skoncentrowanej w Kurytybie, która ostatnio wykazuje mniejszą odporność wobec współpracy z przedstawicielstwami P.R.L. Trudno byłoby jednak wysondować obiektywnie jej stanowisko wobec „Polski Ludowej” bez głębszej ankiety, do której zorganizowania nikt by się tu nie mógł zabrać...

Łączę wyrazy najgłębszego poważania.

Dr Stanisław FISCHLOWITZ

S p r z e d a m

## OBRAZY POLSKICH MALARZY

J. Matejko, W. Koniuszko, J. Fałat, T. Axentowicz,  
Tad. Styka, W. Kossak, Jerzy Kossak i inne

S. Dobczyński, 121 St. Marks Pl., New York 9, N. Y.  
Tel. GR. 58886

## Sąsiedzi

### Kierunek przemian w KPZS

Dwa podstawowe stwierdzenia muszą poprzedzić te rozważania. Wszelkie przemiany w Związku Sowieckim (a więc i w partii) uwarunkowane są procesami zachodzącymi w ramach określonego porządku społecznego. Podstawowe normy tego porządku zakreślają też ramy możliwych przemian. Z drugiej strony partia uważa się za jedyną integralną siłę społeczną. Ostateczną granicę możliwych przemian wyznacza więc wola partii, która za wszelką cenę pragnie zachować nieograniczoną władzę. Niewielką szansę mają przeto procesy przemian w samej partii, które z góry kwestionują jej uprzywilejowane stanowisko.

Byłoby jednak błędem wyprowadzać z tego wniosek, że te sztywne ramy nieuchronnie prowadzić muszą do stagnacji rozwoju społeczeństwa. W atmosferze zaostrożenia przeciwieństw politycznych łatwo zatracą się bezstronność i zapomina często, że problemy podobne istnieją i w tych zachodnich systemach społecznych, które uchodzą za ustabilizowane. Proces przemian społecznych nie musi bezwarunkowo oznaczać, że podstawy tego czy innego systemu już dziś są zagrożone.

Kierunek przemian w KPZS jest w równej mierze uwarunkowany czynnikami *obiektywnej* i *subiektywnej* natury. Do pierwszych należą przede wszystkim zmiany w ekonomicznej bazie społeczeństwa, konieczność przekształcenia stosunków produkcyjnych, gospodarcze i społeczne następstwa rewolucji naukowej i technicznej, która ma miejsce w całym świecie, na którą jednak społeczeństwo sowieckie reaguje ze zrozumiałych względów w sposób bardziej uczulony. Także narastanie nowych sił produkcyjnych i ich nacisk na istniejące w produkcji stosunki zaliczyć wypada do kategorii czynników obiektywnych.

Dla przyszłości KPZS podstawowym czynnikiem subiektywnym jest naturalne następstwo pokoleń. Znaczenie tego czynnika będzie rosło w miarę wkraczania do partii owej generacji,

kórej przedstawiciele w okresie śmierci Stalina mieli nie więcej jak 10 lat, nie zdołano im więc narzucić ustalonego światopoglądu politycznego. Uwzględnić trzeba również i te czołowe siły społeczne, których napływ do partii wzrasta stale w okresie postępu technicznego i automatyzacji. Kierownictwo partyjne jest przeto zmuszone zarówno uwzględnić fakt odmładzania kadr partii jak i w coraz większym stopniu uznawać pewne cechy światopoglądowe wymienionych sił społecznych, zasilających szereg partyjne.

Ponieważ ramy tego artykułu nie pozwalają na uwzględnienie wszystkich właściwości obecnego procesu przemian w KPZS, pozostaje nadzieja, że dla jego zrozumienia wystarczy wybranie najważniejszych problemów.

#### *Funkcjonalne przedstawienie ideologii sowieckiej*

Wszelkie przemiany w KPZS mają konkretne tło. Rok 1957 był dla gospodarki sowieckiej rokiem wielkich reform i można go uznać za punkt wyjściowy obecnych przemian. Od tego czasu umacnia się w kierownictwie kompartii świadomość, że konieczne jest zreformowanie systemu sowieckiego. Przemiany, które zaszły w Sowietach od tego czasu są rezultatem sytuacji przymusowej, są uwarunkowane obiektywną koniecznością. Przemiany w dziedzinie ideologii dostarczają najlepszej możliwości pokazania charakteru przeobrażeń w partii. Jest to dla sowieckich komunistów punkt najbardziej nawralgiczny. Ideologia komunistyczna ma charakter uniwersalny, co oznacza, że pragnie ona określić wszystkie problemy wynikające ze stosunków ludzi między sobą, ludzi wobec przyrody i wobec spraw transcendentnych (jest to nawiasem mówiąc charakterystyczna cecha także wszystkich innych ideologii). Doktrynalne zwyrodnienie ideologii w okresie stalinowskim wyrażało się właśnie w skrajnym uwypukleniu jej charakteru uniwersalnego przy jednoczesnym zredukowaniu „marksizmu-leninizmu” do kilku bardzo wąsko pojętych postulatów.

Także zwolennicy Chruszczowa są zdania, że „marksizm-leninizm” posiada charakter uniwersalny, różnią się jednak od stalinistów pod dwoma względami. „Chruszczowscy” wysuwają na czołowe miejsce pewne wybrane fragmenty „marksizmu-leninizmu” i twierdzą, że nie wszystko w nim jest równie ważne w każdej historycznej epoce. Dziś na przykład wydaje się zwolennikom Chruszczowa że główne znaczenie posiadają te fragmenty doktryny „marksizmu-leninizmu”, które odnoszą się do spraw gospodarczych. Drugą cechą charakterystyczną jest podkreślanie konieczności „twórczego stosowania” marksizmu-leninizmu. Zademontrował to bardzo wyraźnie Chruszczow na XXII zjeździe partii, powtarzając w kilku wariantach myśl, że „życie jest niepomierne bogatsze od wszelkich formu-

lek. Tezy teoretyczne muszą być formułowane i zmieniane z uwzględnieniem zmian zachodzących w życiu społeczeństwa”.

Dokładne śledzenie rozwoju ideologii sowieckiej w ostatnich latach potwierdza, że odbywa się interesujący proces funkcjonalnych przemian. Komuniści podkreślają, że rola ideologii musi wzrastać w etapie przechodzenia do komunizmu. Równocześnie precyzują oni, jak należy to rozumieć: najważniejszym zadaniem ideologii jest wychowywanie obywateli sowieckich w duchu komunistycznym, przy czym nie pojmuje się tego bynajmniej w sposób abstrakcyjny. Podczas grudniowej konferencji moskiewskiej ub. r. szef propagandy i agitacji w partii, Iljiczew, powtórzył to, co zostało powiedziane już w czasie zjazdu i uwzględnione w programie partyjnym: „Praca ideologiczna może i musi stać się jeszcze bardziej aktywnym czynnikiem walki o wykonanie głównych zadań gospodarczych partii i całego narodu, walki o stworzenie materialno-technicznej bazy komunizmu... Dlatego XXII zjazd potwierdził, że przysposobienie człowieka do produkcyjnej działalności, że doświadczenia pracy ludzkiej, że wychowanie ludzi w duchu miłości i szacunku wobec pracy — są istotą, są rdzeniem całej działalności wychowawczej komunistów”. I dalej: „Wychowanie nowego człowieka jest generalnym zadaniem naszej ideologicznej działalności jest rozstrzygającym sprawdzianem jej skuteczności”.

To przesunięcie akcentu w ideologii sowieckiej jest wyraźnie widoczne w najnowszych dokumentach partyjnych. Traktaty o materializmie dialektycznym odsunięte są na dalszy plan, dominują natomiast problemy wychowawcze. Nie jest przypadkiem, że w nowym programie KPZS znalazł się, jako osobny rozdział: „Kodeks moralny budowniczych komunizmu”.

Dla scharakteryzowania pewnych funkcji dzisiejszej ideologii sowieckiej można — z pewnym zastrzeżeniem — posłużyć się terminem socjologii amerykańskiej: *social control*. Zadaniem tej ideologii jest zabezpieczyć określony rozwój społeczeństwa nie tylko poprzez szereg akcji pozytywnych, lecz również przez stosowanie środków profilaktycznych. W teorii dążą komuniści do stworzenia społeczeństwa, które przejęłoby funkcje państwa, a także i partii. Warunkiem tego jest jednak, że całe społeczeństwo osiągnie ten sam stopień świadomości, co partia komunistyczna. Kierowani przez państwo i partię ludzie nie mają się przeto przekształcić w wolne jednostki (jak tego żądali klasycy marksizmu), lecz w ludzi ideologicznie „spreparowanych”. W tym właśnie zawiera się sens sowieckiej tezy o wzrastającej roli ideologii w obecnym etapie przejściowym.

#### *Ideologia i nauka*

Nie wolno zapominać, że w warunkach panujących obecnie w społeczeństwie sowieckim podkreślanie „wzrastającej roli”

ideologii nie oznacza nic innego, jak *wyraźną koncesję nastawionych pragmatycznie zwolenników Chruszczowa wobec czynników pozaideologicznych*. W pewnej mierze jest to więc odwrócenie się od uniwersalnego charakteru ideologii. Oczywiście komuniści nie kapitulują bynajmniej jeśli chodzi o główne zasady ich światopoglądu i budowy systemu sowieckiego. Przesunięcie akcentu w odniesieniu do określonych funkcji ideologii sowieckiej zawiera w sobie szereg koncesji, które wyrażają się *w uwolnieniu pewnych odcinków życia gospodarczego i politycznego od ścisłego dyktanda ideologii*. Ważne w tym rozwoju jest poszukiwanie formuły przystosowania systemu sowieckiego do rewolucji technicznej i naukowej. Nauce przypisać ma nowa rola,

Funkcje ideologii i nauki (łącznie z techniką) mają ulec ograniczeniu: Zadaniem ideologii jest wychowywanie mas oraz zabezpieczenie i kontrola określonego rozwoju społeczeństwa. Nauka natomiast ma w oparciu o istniejący porządek społeczny i posługując się nowoczesną techniką znaleźć *the best one way* funkcjonowania gospodarki. Dzisiejsi teoretycy sowieccy uważają, że między ideologią sowiecką a nauką może panować harmonia, że jest ona niezbędna. Spoglądając pod tym kątem widzenia na plan siedmioletni, a także i dwudziestoletni nie można oprzeć się wrażeniu, że Chruszczow i jego zwolennicy w swych wyobrażeniach o „społeczeństwie konsumentów” i w swej walce o „materialno-techniczną bazę komunizmu” widzą *usprawiedliwienie władzy komunistów właśnie w prawidłowym funkcjonowaniu komunistycznej techniki*. Istotną cechą najnowszych przemian w ideologii sowieckiej wydaje nam się to, że optymalny model przyszłego społeczeństwa komunistycznego ma być określony w pierwszym rządzie przez rewolucję naukowo-techniczną, nie zaś przesądzony z góry przez ideologię.

Przed omówieniem konkretnych możliwości zastosowania nauki w rozwiązywaniu zadań nowoczesnego społeczeństwa przemysłowego — konieczna jest dygresja. Gdy zapomnimy na chwilę o „marksizmie-leninizmie” i obecnym charakterze społeczeństwa sowieckiego możemy łatwo dojść do wniosku, że Związek Sowiecki stanowi jedyny w historii ludzkości przykład konsekwentnego rozwoju społeczeństwa w oparciu o spekulacje intelektualne. Nawet ktoś uznający naukowość punktu wyjściowego „marksizmu-leninizmu” nie będzie mógł zaprzeczyć, że *przez rzutowanie tez marksizmu w daleką przyszłość ideologia ta nabiera charakteru spekulatywnego*. Fakt istnienia rozbieżności między teorią a rzeczywistością w Związku Sowieckim nie był więc tylko wynikiem wad rządów biurokracji. Kryzys ideologiczny w Sowietach ma przyczyny o wiele głębsze, aniżeli zwyrodnienie ideologii w doktrynę, aniżeli zduszenie żywych wewnętrznych sił tej ideologii w okresie panowania stalinowskiego. Chodzi więc o konflikt między teorią, a praktyką, który byłby do pomyślenia i w innym społeczeństwie, który jednak z przy czyn wymienionych przybrał w Sowietach szczególnie jaskrawe

formy. Właśnie w tym społeczeństwie zawiodła intelektualna spekulacja „marksizmu-leninizmu” na odcinku gospodarczym. Stało się tak, ponieważ ta spekulacja, jak zresztą i każda inna spekulacja czysto intelektualna, nigdy nie może być w zgodzie z rzeczywistością, przede wszystkim dlatego ponieważ taki czynnik poza-ideologiczny, jak nauka, albo był wyłączony z odpowiedzialnego wpływu na formowanie społeczeństwa, albo też przekształcony we własną karykaturę przez zdegradowanie do roli użytkowego instrumentu.

W okresie stalinizmu rozwijała się wprawdzie nauka jako jedna z sił produkcyjnych, ale nie w harmonijnej zgodzie z ideologią. Znany w świecie sowiecki fizyk atomowy, Kapica, pisał niedawno w „Ekonomiczeskaja Gazeta” o rozwoju fizyki. Podczas gdy ideolodzy uważali do roku 1956 np. cybernetykę za „pseudonaukę” i „wymysł kapitalistyczny” — uczeni sowieccy zadali tym twierdzeniom kłam, opierając swe sukcesy w dziedzinie eksploracji kosmosu właśnie na cybernetyce. To samo dotyczy stosunku „marksistów-leninistów” do teorii względności Einsteina. Pracujący obecnie w Ameryce niemiecki badacz raketowy, Werner von Braun, jest niewątpliwie znakomitym specjalistą w swej gałęzi wiedzy, ale wykazuje zupełny brak zrozumienia społeczeństwa sowieckiego twierdząc, że: „w oparciu o swoją filozofię stworzyli Rosjanie system, który zapewnił im te sukcesy”. Sprawy mają się akurat odwrotnie: *sukcesy sowieckie na polu fizyki i innych nauk ścisłych były możliwe, ponieważ uczeni wyzwolili się z pęt filozofii*.

Jednym z najważniejszych wydarzeń w Sowietach jest *fakt, że w coraz większym stopniu uznaje się niedoskonałość spekulacji intelektualnych — czytaj ideologii*. Dziś nauka nie chce być uważana jedynie za instrument do rozwiązywania konkretnych bieżących problemów (jak by tego życzyli sobie w gruncie rzeczy komuniści), lecz za *instytucję korygującą*. Chodzi więc już nie o naukowe opracowywanie tego czy innego projektu, lecz o *szybkie wypieranie ideologii z terenów, na których nie ma nic do gadania*. Prasa zachodnia informowała niedawno o odwołaniu „osławionego” Łysienki ze stanowiska prezydenta akademii rolnej. Dla Chruszczowa Łysienko — to nie tylko problem „personalny”. Agrobiolog Łysienko, który zrobił karierę za rządów Stalina reprezentuje klasyczny typ naukowca podporządkowanego się manipulacjom partyjnym. Chruszczow popierał Łysienkę nie tylko dlatego, że są bliskimi przyjaciółmi, nie tylko dlatego, że w doświadczalnych farmach Łysienki hodowano byki, które płodziły krowy dające mleko o 2% tłustsze. To były dla Chruszczowa momenty może nawet ważne, rozstrzygające znaczenie posiadał jednak fakt, że Łysienko w większym stopniu chciał służyć partii niż nauce. Nie jest też przypadkiem, że został on dymisjonowany wkrótce po artykule Kapicy, w którym ten opisał uprzedzenia ideologiczne panujące w nauce biologii i wskazał na wiążące się z tym niebezpieczeństwa.

*Granice pragmatyzmu biurokracji sowieckiej*

Uznanie roli nauki w społeczeństwie nie oznacza bynajmniej, że w Sowietach otwarto możliwości rozsądnego rozwoju w tej dziedzinie. Biurokracja komunistyczna znajduje się w bardzo skomplikowanej sytuacji. Wystarczy czytać mowy Chruszczowa, nie mówiąc już o sowieckiej literaturze fachowej, aby dostrzec jakim przerażeniem napelnia przywódców komunistycznych rzeczywistość sowiecka, oglądana bez różowych okularów. Są oni ludźmi dostatecznie wykształconymi, aby ocenić całą doniosłość rewolucji naukowo-technicznej, która odbywa się w całym świecie. Poświęćmy kilka słów zróżniczkowaniu sowieckiej biurokracji, co ułatwi zrozumienie procesu przemian w KPZS.

Współczesną biurokrację sowiecką da się z grubsza podzielić na trzy grupy. Pierwsza jest *konserwatywna i prostalinowska* i jest politycznym anachronizmem. „Antypartyjna grupa” Mołotowa, Kaganowicza, Malenkowa, Woroszyłowa i in. opierała się na tym środowisku, próbując w czerwcu 1957 r. bezskutecznie narzucić swą wolę Chruszczowowi. Nie miało to nic wspólnego z walką o władzę na płaszczyźnie personalnej. Próba podporządkowania wysuniętych przez rozwój sytuacji problemów „żelaznej woli” partii wynikała nie tylko z nastawienia konserwatywnego, ale i z tradycyjnego komunistycznego woluntaryzmu. Zwolennicy Chruszczowa zarzucają przedstawicielom tego kierunku, że nie pojmują oni nowej sytuacji dziejowej, że chcą „kontynuować biurokratyczny rozwój w Sowietach”. Trzeba jednak przyznać, że Mołotow, Kaganowicz i Malenkow pojęli lepiej od zwolenników Chruszczowa co oznacza zapoczątkowanie reform, kiedy wiele ustalonych wartości zaczyna się deprecjonować. Ich niechęć do zmian wynikała z niepewności występującej w siłach społecznych, których historyczna rola skończyła się.

*Drugą grupę* w biurokracji sowieckiej stanowią *zwolennicy reform*. W przeciwieństwie do konserwatystów głoszą oni tezę, że obiektywny rozwój dziejowy wysuwa na porządek dzienny problemy, których nie da się ominąć. Sens dalszego istnienia biurokracji sowieckiej ma polegać na tym, że stanie się ona przodującą siłą tego procesu. Warunkiem jest modernizacja społeczeństwa i samej biurokracji. Biurokraci należący do tej kategorii nie myślą więc wcale o zejściu ze sceny historycznej, przeciwnie upatrują swą historyczną misję w unowocześnieniu społeczeństwa pod własnym panowaniem.

Czytelnik musi sobie zdawać jasno sprawę z faktu, że właśnie do tej kategorii biurokracji sowieckiej należy dzisiaj kierownictwo partyjne i większość kadr. To co niedawno twierdził w „New York Times”, amerykański dziennikarz Salisbury, że Kosygin i inni należą do grupy neo-stalinistów, zdecydowanie należy do świata fantazji. Nie tylko Chruszczow,

ale właśnie i Kosygin, Mikojan oraz z trudem podążający za rozwojem historycznym Susłow i Pospielow są głównymi wyrazicielami tej tendencji w sowieckiej biurokracji partyjnej.

Wiele danych wskazuje na to, że pojawia się jeszcze *trzecia grupa funkcjonariuszy partyjnych*. Chodzi tu o przedstawicieli owej generacji, której za czasów Stalina nie wrażono w mózgi ustalonego światopoglądu. Świadomość tych komunistów formowała się po śmierci dyktatora gdy zwolennicy Chruszczowa rozpoczęli obalanie bożków i głosili za zbrodnicze lub nieważne to, co dla dorosłych obywateli uchodziło za święte. Owa młoda generacja wkracza obecnie w szeregi partii i nie da się już dziś stwierdzić, jaką postawę zajmie ona w przyszłości.

W naszych rozważaniach na temat stosunku biurokracji partyjnej do nauki nie chcielibyśmy rezygnować z pewnej uwagi. Szkołą biurokracji sowieckiej wszystkich kategorii była kariera partyjna, stanowiska kierownicze w partii. Kozłow, Kosygin i większość członków obecnego kierownictwa posiadają dyplomy inżynierów. Fakt ten jednak nie miał żadnego wpływu na ich karierę. *Wyłącznie droga kariery partyjnej zapewniła im obecną pozycję w społeczeństwie*. Tu stykamy się z jedną z najważniejszych różnic między starą i nową generacją. Dla przedstawicieli tej ostatniej przynależność do partii może mieć ważne znaczenie, nie nęci ich jednak perspektywa zostania sekretarzem okręgu lub objęcia ważnego stanowiska w aparacie partyjnym. W latach 1914-39 ideałem życiowym dziewcząt wiejskich z okolic Lwowa czy Czerniowiec było poślubić kaprala czy sierżanta — dzisiaj rzecz przedstawia się nieco inaczej. Czasy zmieniają się szybko. Decydującym czynnikiem formującym osobowość przedstawicieli nowej generacji sowieckiej w epoce postępu technicznego i automatyzacji nie jest zetknięcie się z partią, lecz z nauką i techniką.

Wypowiadająca się za reformami część biurokracji nadaje ton obecnemu etapowi rozwojowemu w Sowietach. Pewne czynniki określają jednak *granice reform*, nawet jeśli te uznane zostały za celowe i niezbędne. Pragniemy wskazać tylko na kilka punktów, które rozstrzygają o granicach pragmatyzmu:

a) niewzruszalna *teza o przodującej roli i wyłącznym panowaniu KPZS*. Oznacza ona, że w Sowietach nie da się przeprowadzić reform, które by osłabiły lub zagrażały pozycji partii. Teza ta rozstrzyga o przyszłym charakterze systemu sowieckiego.

b) Także zwolennicy reform pośród biurokratów komunistycznych są woluntarystami. Nastawienie to piętnowane jest przez niektórych teoretyków sowieckich, ponieważ jest ono bezpośrednią przyczyną wielu braków szczególnie w gospodarce narodowej. Woluntaryzm jest immanentną cechą ideologii i mentalności komunistycznej, wpływa on z przecenienia subiektywnych czynników w historii ludzkości, rewolucyjnej roli prole-



tariatu itd. Dla ustalenia granic pragmatyzmu komunistycznego rozstrzygającą jest kwestia w jaki sposób woluntaryzm w ideologii i mentalności komunistycznej dojdzie do wspólnego języka z opartą na *racjonalnych* przesłankach nauką. Problem ten posiada szczególnie doniosłe znaczenie w etapie postępu technicznego i automatyzacji. Jak dotąd komuniści, uznający przecież rolę nauki, nie potrafili wyplenić największego wroga postępu technicznego — dyletantyzmu.

c) O granicach pragmatyzmu sowieckiego decyduje także szereg czynników związanych z polityką zagraniczną. Przekleństwem ruchu komunistycznego stał się fakt, że doszedł on do władzy nie w krajach przemysłowych, lecz zacofanych gospodarczo. Problematyka społeczeństwa przemysłowego aktualna jest dziś tylko w Związku Radzieckim i Czechosłowacji, ponieważ inne kraje bloku wschodniego są jeszcze bardzo oddalone od tego stopnia rozwoju. Reformy w Sowietach prowadzą więc do różniczkowania międzynarodowego komunizmu, co w sposób najoczywistszy objawia się w konflikcie sowiecko-chińskim. Komuniści sowieccy stoją w obliczu niebezpieczeństwa, że zostaną obwinieni o rewizjonizm. Zwolennicy reform, z Chruszczowem na czele, muszą stale mieć na oku to „niebezpieczeństwo”. Najbardziej rozwinięty gospodarczo kraj bloku wschodniego — Związek Radziecki — wpływa na rozwój zacofanych krajów bloku, z drugiej jednak strony, choć może to wydać się paradoksalne, owe najbardziej zacofane gospodarczo kraje wpływają też na przebieg rozwoju w Związku Radzieckim.

Naprężona sytuacja międzynarodowa jest dalszym czynnikiem zakreślającym granice pragmatyzmu sowieckiego. Każde szybkie przeobrażenie społeczne połączone jest z przejściowymi trudnościami, oznacza więc — wprawdzie ograniczone w czasie, ale niezaprzeczone — osłabienie systemu. Przywódcy komunistyczni nie chcą dopuścić do powstania tego niebezpieczeństwa. Zaostrenie sytuacji międzynarodowej jest więc bardzo ważnym czynnikiem hamującym szybkość procesów przeobrażeń w Sowietach. Nie wchodząc w szczegóły pokojowych propozycji sowieckich przyjąć wypada, że starania Chruszczowa i jego zwolenników o odprężenie międzynarodowe są szczerze i uwarunkowane właśnie dążeniem do przeprowadzenia reform.

#### *Czy nastąpi odbiurokratyzowanie partii?*

Dla przeobrażeń w KPZS szczególnie ważna jest kwestia, czy partia ta potrafi zmienić swój biurokratyczny charakter. Analiza socjalna KPZS, opracowana swego czasu przez Łwa Trockiego, uchodzi w dużej mierze za aktualną i w dzisiejszej sowiektologii. Partia będąca organizacją polityczną za czasów Lenina — przekształciła się pod rządami Stalina w czysto biurokratyczny aparat. Początkowo partyjny, ślepo posłuszny Sta-

linowi, uzyskał przewagę nad masami członków partii, później zaś pewina łącząca partię z narodem została całkiem przecięta. Cała generacja funkcjonariuszy partyjnych została wytresowana wyłącznie w jednym kierunku: bezwzględne posłuszeństwa dyrektywom partyjnym, idącym z góry.

Po śmierci Stalina następuje zrozumienie, że kadry partyjne, wychowane w szkole stalinowskiej nie są zdolne do wypełniania nowych zadań. Pierwsze posunięcia Chruszczowa i jego zwolenników, podjęte jeszcze przed XX zjazdem partyjnym, zmierzają do *szybkiego przekształcenia typu funkcjonariuszy partyjnych*. Mówiło się wówczas o tym, że komuniści mają się zmienić w organizatorów produkcji, że praca w gospodarce jest najważniejszym, jeśli nie jedynym polem działania dla komunisty. Masowe propagowanie znajomości nauk ekonomicznych wśród funkcjonariuszy i członków partii przybierało rozmiary niemal chorobliwe. Cały szereg dyrektyw i uchwał partyjnych ma przyspieszyć proces przekształcenia typu funkcjonariusza. Do zarządzeń tych należała reforma planu szkolenia partyjnego z 26 czerwca 1956 roku. Kilka cyfr dotyczących planu nauczania w czteroletnich szkołach partyjnych obrazuje ten rozwój. Z 3200 godzin nauczania przypada tylko 780 na takie działy, jak materializm dialektyczny, historia KPZS, rola ZSSR w międzynarodowym ruchu robotniczym. Pozostałe 2420 godzin poświęcone są nauce kierowania przedsiębiorstwem, organizacji rolnictwa, technologii najważniejszych działów przemysłu, sprawom budownictwa, hodowli bydła, statystyce, matematyce itd.

Proces ten, zapoczątkowany wkrótce po śmierci Stalina, określamy jako *funkcjonalizację biurokracji*, jako nastawienie aparatu partyjnego na wypełnianie zadań gospodarczych. Nie wchodząc w skomplikowane szczegóły tego procesu stwierdzmy, że Chruszczow i jego zwolennicy gorliwie starają się o przeszkolenie starych kadr partyjnych, o usuwanie elementów niezdolnych do wypełniania nowych zadań, o odmłodzenie kadr. Celem tych wszystkich zarządzeń jest wychowanie nowego typu funkcjonariusza: „Typ funkcjonariusza, który w każdej sytuacji czekał na dyrektywy należy już prawie do przeszłości. Dziś toruje sobie w coraz większym stopniu drogę funkcjonariusz, który słusznie może być określony jako polityk. Rozumie on zadania ogólnopartyjne i ogólnopaństwowe i zdolny jest do wypełniania tych zadań w określonych warunkach bez czekania na dyrektywy z góry... Sformułowany przed ponad czterdziestu laty postulat leninowski — być organizatorem mas, które budują socjalizm — stał się dziś głównym sprawdzianem zdolności danego funkcjonariusza. („Komunist”, nr 5/1961).

XXII Zjazd partyjny ustalił jednak wyraźnie, że ów nowy typ funkcjonariusza partyjnego pozostał do dziś dnia — na przekór wszelkim usiłowaniom kierownictwa partyjnego — tylko pobożnym życzeniem.

W rozważaniach na temat roli ideologii w epoce postępu technicznego nasuwa się pytanie, w jaki sposób rozgraniczone mają być kompetencje funkcjonariuszy partyjnych w poszczególnych dziedzinach życia sowieckiego. Jeśli by nauka i technika rzeczywiście stać się miałyby czynnikiem rozstrzygającym na licznych odcinkach tego życia — rozwój taki musiałby w następstwie *zwezić zakres władzy biurokracji partyjnej*.

*Funkcjonalne przedstawienie biurokracji jest, jak dotąd, tylko niezakończoną próbą rozwiązania tego problemu.* W rozwoju tym dają się zauważyć dziś dwie fazy. Pierwsza trwała do ogłoszenia planu siedmioletniego (1959). Przywódcom sowieckim wydawało się wówczas, że odpowiednie przeszkolenie komunistów na głównych organizatorów produkcji pozwoli na uniknięcie ograniczenia kompetencji funkcjonariuszy przede wszystkim na odcinku gospodarczym. W czasie planu siedmioletniego zaczęły się wysuwać coraz bardziej na czoło sprawy związane z rewolucją naukową i techniczną i od tego czasu można zauważyć odchylenie od pierwotnej linii. Kurs na przeszkolenie fachowe funkcjonariuszy partyjnych jest naturalnie kontynuowany. „Partynaja żyzn” (nr 8 z kwietnia 1961) pisze na ten temat: „Ludzie nie posiadający wykształcenia nie mogą w naszych czasach kierować pracą partyjną. Jak może funkcjonariusz partyjny torować innym drogę do postępu, jeśli nie znane mu są podstawy naukowe, na których opiera się produkcja, jeśli nie opanował współczesnej techniki i organizacji pracy?”. Z drugiej strony jednak nie należy pominąć tego, co powiedział Chruszczow na XXII zjeździe: „Nie oznacza to absolutnie, że funkcjonariusz partyjny musi być specjalistą we wszystkich dziedzinach wiedzy. Naturalnie musi on wiele umieć, musi być gruntownie wykształconym człowiekiem, szczególnie dobrze musi on jednak wyznawać się w powierzonym mu zadaniu, rozumieć i kochać pracę z żywymi ludźmi. Siła partii leży w tym, że jest kolektywem, właśnie to pomaga do połączenia uzdolnień, umiejętności i doświadczeń wielu ludzi w jeden wielki talent, zdolny do przeprowadzania wielkich dokonań”. *Wiara w to, że funkcjonariusz partyjny mógłby być równocześnie organizatorem gospodarki została mocno przygaszona.* Komuniści sowieccy wydają się dziś pojmować, że w nowoczesnym państwie przemysłowym nie da się uniknąć ograniczenia ich władzy. Namiastką utraconej części władzy stać ma się powierzenie funkcjonariuszom *zwiększonych funkcji koordynacyjnych* i w tym kierunku idzie też obecne szkolenie. Wyrażna jest próba ratowania w ten sposób uprzywilejowanej pozycji biurokracji partyjnej. Trudno analizować w tym artykule jakie będzie to miało konsekwencje socjologiczne dla społeczeństwa sowieckiego. Nie można pominąć tu jednak wskazania na to, że *chaos aparatów biurokratycznych też i w najbliższej przyszłości będzie główną cechą systemu radzieckiego.*

### *Liberalizacja, ale nie demokracja*

Mylenie takich pojęć, jak „liberalizacja” i „demokratyzacja” może spowodować wielkie zamieszanie przy rozważaniach na temat przemian w KPZS. Zamieszanie to jest już faktem w zachodniej sowietologii. Pewna grupa zachodnich teoretyków gospodarczych, będących wyraźnymi zwolennikami systemu kapitalistycznego, analizując rozwój sytuacji pod rządami Stalina wysunęła szereg tez, które do dziś jeszcze znajdują echo na odcinku badań spraw sowieckich. Naukowcy ci (jak np. prof. Hayek) byli zdania, że wszelka ingerencja państwa w procesy gospodarki wolno-rynkowej nieuchronnie prowadzi do formowania się „społeczeństwa niewolników”. Sytuacja w Związku sowieckim za czasów Stalina dostarczyła im ogromnej ilości „materiału dowodowego” w tej mierze.

Po śmierci dyktatora rozwój stosunków w Sowietach przyjął jednak całkiem inne formy. Pod naciskiem dysproporcji w gospodarce i w obliczu konieczności zmodernizowania systemu sowieckiego w duchu postępu naukowego i technicznego musieli przywódcy sowieccy przyznawać całym warstwom społecznym *coraz większy zakres wolności, aby stworzyć poprzez liberalizację systemu lepsze pozycje wyjściowe dla wykonania planu.*

Przeobrażenia te, będące w sposób oczywisty liberalizacją, zostały przez niektórych autorów określone mylnie jako „demokratyzacja”. W ten sposób powstał nowy kierunek spekulacji co do charakteru wydarzeń w Sowietach. Kierownictwo sowieckie jest zmuszone i gotowe z czysto praktycznych względów do rozszerzania zakresu swobód. Demokratyzacja oznaczałaby jednak uznanie praw politycznych dla osób wyznających inne poglądy. Nie ma żadnych danych na to, że proces taki zachodzi w Sowietach choćby w formie załączkowej. Demokratyzacja systemu przekracza granice tych politycznych koncesji, do których gotowa jest dzisiejsza biurokracja sowiecka (mamy przy tym na myśli nie tylko demokratyzację w pojęciu „burżuazyjnej demokracji”, ale także socjalistyczną, tzn. wolność polityczną dla różnych nurtów w obrębie ruchu socjalistycznego oraz bezpośredni udział producentów w kierowaniu gospodarką).

Wszystkie powyższe rozważania na temat ograniczonych możliwości procesu przemian w Sowietach, na temat sprzeczności między woluntarystycznym nastawieniem komunistów oraz racjonalistycznym stanowiskiem nauki w okresie postępu technicznego i automatyzacji nie powinny jednak odwrócić naszej uwagi od tego, co w najnowszym rozwoju sowieckim jest najważniejsze i najistotniejsze. Komuniści pojmują, że piętą achillesową ich systemu jest przepaść między teorią, a praktyką,

między potencjalnymi możliwościami, a panującą rzeczywistością. Postawili oni sobie jako główne zadanie usunięcie tych sprzeczności. Od tego w jakiej mierze nauka przekształca się w suwerenną instytucję, której przypadnie decydujące słowo w rozwiązywaniu tego problemu, zależeć będzie w wielkiej mierze możliwość usunięcia pewnych najślabszych punktów sowieckiego systemu. Możliwości przeobrażeń w KPZS i w systemie sowieckim są zatem kwestią o historycznej doniosłości, ponieważ właśnie one decydować będą o rozmiarach potęgi tego systemu.

Borys LEWICKYJ

## ZWIĄZKOWIEC

Jedynе pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służy Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

### Związkowiec

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

### Związkowiec

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

### Związkowiec

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

### Związkowiec

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

### Związkowiec

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów.

Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00.

Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA:

**1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada**

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

Kraj

## Oprotestujemy testament Kisielewskiego

Darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada. Artykuł Kisielewskiego jest zawsze darem. Nie mówimy tego przez grzeczność: czytelnicy „Tygodnika Powszechnego” zaczynają lekturę od Kisielewskiego, a niekiedy i na tym kończą. Jest zatem pedanterią wyławiać u Kisielewskiego niekonsekwencje, wadliwe sylogizmy, żeby nie powiedzieć: sprzeczności. Ale testament to rzecz serio; w jego niekonsekwencjach wypowiadają się poglądy i postawy, rozpowszechnione w kraju, a także poza nim. Wypadnie więc przyrzec się Testamentowi z bliska.

I.

Testament zaczyna się od pytania: „Co uderza przybysza z kraju w Zachodniej Europie?” i odpowiada: „niesłychana energia produkcyjna, modernizacja i znakomita organizacja przemysłu, rozkwit rolnictwa... obraz ziemskiego „Edenu”... gdzie... nawet najmniej zarabiający ma się nie najgorzej... „Wirtschaftswunder”... objął obecnie i Francję, i Północne Włochy, i inne kraje Zachodu... trans coraz intensywniejszej działalności produkcyjnej”.

Kisielewski opisał wcale dokładnie co uderza każdego przybysza z kraju, w stopniu silniejszym niż nas, zasiedziałych bądź co bądź w dosytach tego, mówiąc z niejaką przesadą — „ziemskiego Edenu”.

Tym mocniej brzmi w Testamencie oskarżenie:

„A jednocześnie 700 milionów Chińczyków boryka się z głodem, jednocześnie głodują Indie... czy ten stan rzeczy jest normalny i ma szanse trwania w nieskończoność?”.

Z pewnością nie „jest” i nie „ma”. O tym nie tylko publicyści, ale i mężowie stanu krzyczą na wszystkich dachach,

a mimo to wyzwoleni przez komunizm Chińczycy i niewyzwoleni Hindusi w dalszym ciągu głodują. Co, bezsprzecznie, jest i hańbą, i skazą współczesnych edenów.

Porzućmy egzotyczny teren, bo jak słusznie autor „Testamentu” zauważa, wciągnie to nas w gąszcz spraw nieprzebranych. Zacytowaliśmy Chińczyków i Hindusów tylko dlatego, że tą określną drogą dociera Kisielewski z Zachodu do Polski:

„Jak w perspektywie zachodnioeuropejskiego dobrobytu i wschodnioazjatyckiej nędzy wygląda dziś gospodarczo Polska?”.

Otóż to: w powyższym sformułowaniu zostały z góry wyznaczone koordynaty i korelacje Polski na mapie gospodarczej świata. W ten sposób została aluzyjnie podszeptana stara mistyka geograficzna. Prześwituje ona i w dalszych artykułach „Testamentu”. Swoista mistyka, przesuwająca się z każdą długością geograficzną: „Jak na wschodnią Europę” — mawiają, np. postępowcy francuscy; „Jak na dzicz moskiewską” — myśli co drugi postępowiec polski; to samo rosyjski o Chinach, chiński o Tybecie i vice versa. Fakty przeczą tej geozofii: np. w przeludnionej Japonii ludność nie „boryka się z głodem”, a na odmiannę, na Kubie wprowadzono kartki żywnościowe.

Aby wyjść ze strefy zmaconych pojęć, wypadnie sprowadzić pytanie Kisielewskiego do prostej postaci: jak wygląda dziś gospodarczo Polska?

## 2.

„Wydaje się, że w dziedzinie podstawowej eksperyment komunistyczny w Polsce powojennej osiągnął sukces” — stwierdza na wstępie Kisielewski, po czym wylicza imponujące osiągnięcia uprzemysłowienia i urbanizacji w Polsce, którym nikt przytomny nie przeczy.

O stronie dalej szkicuje obraz „fali nadużyć”, „trudności z modernizacją przemysłu”, „niecelowych i nierentownych inwestycji” itp. „Stała obawa przed inflacją — pisze — (która w krajach kolektywistycznych polega na zachwianiu równowagi między masą towarową a siłą nabywczą ludności) nie pozwala podnieść niezwykle nieraz niskich pensji w sposób zadowalający” (1).

Kisielewski w istocie „nie poskąpił cieni”. Ale nic tu rewelacyjnego. Słaba to odbitka panoramy absurdu gospodarczego, permanentnych reorganizacji, marnotrawstwa, brakoróbstwa, małwersacji, jako „komplementarnych” składników życia gospo-

(1) Otóż to: stała obawa inflacji nie przeszkadza zachodniemu kapitalizmowi nieustannie podnosić wysokie pensje właśnie dlatego, że tam masa towarowa stale przekracza siłę nabywczą ludności, a i po to, by ją stale nadal przekraczała — w przeciwieństwie do świata komunistycznego, gdzie dzieje się odwrotnie.

darczego — panoramy, jaka wyłania się co dzień z lektury prasy polskiej, rosyjskiej, czeskiej, wschodniemieckiej itp., z wystąpień przywódców (p. przemówienie Tito w Splicie z 6 maja br.).

„Mała wartość produkcji” — cytujemy Testament — „czyli wysokie jej koszty, wywołane niską wydajnością pracy — to jedna z walnych przyczyn naszej „niewydolności” gospodarczej”.

Powtarzając ulubiony zwrot Witosa: jeżeli jest tak dobrze, czemu jest tak źle?

## 3.

„Jak na komunistyczną Polskę, może to i sporo”, mówi o osiągnięciach Sceptyk z Testamentu, wcale rozsądnie. Ale Kisielewski odbiera mu głos i spieszy z argumentem obiegowym, a przeto i wymagającym chwili zastanowienia.

Według Kisielewskiego, wejście powojennej Polski na drogę industrializacji stało się możliwe właśnie i tylko dzięki temu, że władzę objęli komuniści: „...że w kraju tak społecznie i gospodarczo zacofanym jak Polska, pozbawionym kapitałów i kadr ludzkich... industrializacja nie mogłaby się dokonać bez akumulacji wewnętrznej kapitału inwestycyjnego w rękach państwa”.

Jeżeli nawet tak było — a tak, naszym zdaniem, nie było — jak długo ma ciążyć na mieszkańcach świata komunistycznego przekleństwo zacofania? „Eksperyment komunistyczny” trwa niespełna pół wieku, w samej Polsce — bez mała lat dwadzieścia. Gdyby Kisielewski poszerzył swoje kształcące wojaże, przekonałby się, w jakim tempie narody zacofane i bez kapitału wychodzą — w naszej dobie rewolucji przemysłowej — z zacofania i akumulują kapitał, o ile im struktura gospodarcza i społeczna nie przeszkadza. Tzn. o ile jest naprawdę pragmatyczna. Przebieg akumulacji zmienił się niemało od czasów Marksa i Dickensa.

A jeżeli nawet teza Kisielewskiego była słuszna na początku, to czy z tego wynika, że, na przykład, Polska, skoro przewyższy zacofanie i uciula dość kapitału, wymieni model „niewydolności gospodarczej” na bardziej wypróbowany, który już teraz zapewnia ludności „wysokie pensje”, „olbrzymią podaż towarów konsumpcyjnych”, „modernizację i znakomitą organizację przemysłu, rozkwit rolnictwa... trans coraz intensywniejszej działalności produkcyjnej?”. A może Kisielewski wyobraża to sobie w czytankowym wydaniu „współzawodnictwa pokojowego”: oto w r. 1980 granice się otworzą, ludność globu zbierze się: powojują się — powie „empiryk” i „symbol pragmatyzmu, premier Chruszczow” — popatrzcie sobie, pogadajcie, porównajcie i wybierzcie, który model lepszy?

Żarty na bok. Gdyby Kisielewski zastanowił się pragmatycznie nad swoimi podróżami, musiałoby go uderzyć nie tyle bogactwo Zachodu, ile zagadka: jak to się stało, że w Czechosłowacji np. przecież niegdyś bogatej, od dawna pragmatycznej, posiadającej i kapitał, i wzorowy przemysł, i kwitnące rolnictwo, i wykwalifikowane kadry, i zamożną ludność — po piętnastu latach komunizmu wprowadzono kartki żywnościowe, i — trzeba trafia: w dniu, w którym „Testament” został spisany, ostrożny na ogół w dobieraniu wiadomości „Monde” pisał o rozruchach na uniwersytecie w Pradze — z powodu braku mięsa.

A skonfrontujmy gospodarki wschodnio i zachodniemieckie. I tu i tam ci sami Niemcy; fachowcy — niestety, we wszystkim; i tu i tam zaczęli od ruin; i tu i tam wspierani przez możliwych protektorów, z których jednemu tak zależało i musiało zależeć na utrzymaniu atrakcyjnego „okna wystawowego” na Zachód, że nawet niedożywioną Polskę bierutową przymuszał do wymiany m.in. ton szynki na tomy dzieł Stalina, w przekładzie niemieckim.

Doprowadzić naród tak gospodarny, aż tak obskurnie zamitowany w porządku i dobrej robocie do tej mizernej egzystencji — to dopiero, a nie sputniki, daje miarę wielkości dzieła Lenina-Stalina.

A sama Rosja, którą Kisielewski-turysta także zwiedzał — czyż nie powinno go było zastanowić: olbrzymie imperium, najzasobniejsze w dobra naturalne, które od lat 45-ciu „akumuluje” za cenę bezprzykładnej w nowoczesnej Europie biedy mas pracujących, w której wszystkie „wielkie budowle socjalizmu” wzniesiono na ludzkich kościach, a „symbol pragmatyzmu” wciąż musi poganiać sto swoich narodów nadwerżoną obietnicą, że „dogoni i prześcignie” w dobrobycie Amerykę. Już nie w kolejnej pięcioletce, jak to ciągle zapowiadał jego mistrz, ale za lat 20. Czy pragmatyzm polega tu na ostrożniejszej rachubie lat dzielących od utopii?

Fantastyczne sputniki, moc produkcyjna, mocarstwowa potęga zbrojeń! — to zapewne olśniło Kisielewskiego w czasie jego wojażu. Ale jak dotąd, system ten dał tradycyjny dla Rosji — ale w takim stopniu i wymiarach nieznan w historii — wzór potęgi militarno-gospodarczej państwa, przy niedostatku jego poddanych. „Co z fortecy, gdy w niej głodno” — pisał zapomniany filozof, ziomek i równieśnik Kanta, Hamann.

Gdyby Kisielewski nie gardził teorią, zdałby sobie sprawę z fundamentalnej różnicy między wprowadzaniem pragmatycznych, naukowych technik, procedurów, urzędów do tych dziedzin i odłamów gospodarki, gdzie utrzymanie parytetu konkurencyjnego z „wrogiem” jest sprawą życia i śmierci (zatem dziedzin związanych ze zbrojeniami, czyli wydatkami nieprodukcyjnymi) — a oparciem całokształtu gospodarki narodowej na podstawach pragmatycznych, naukowych — po prostu: racjonalnych, naturalnych i gospodarczo celowych.

I nie „empiryk” Chruszczow, ale dogmatyk Stalin rozpoczął ten proces *częstkowej i wybiórczej pragmatyzacji*, nazajutrz po Hiroszynie zdejmując anatemę z badań nuklearnych, mobilizując do tego celu nieograniczone środki finansowe, zasobowe, ludzkie i represyjne (sam Beria stanął na czele sowieckiej agencji atomowej), aby — tu już bez humbugu, dogonić i prześcignąć Amerykę. Dogmatyk Stalin był zawsze *pragmatystą* w polityce w ogóle, a w międzynarodowej w szczególności, i to pragmatystą nieprześcignionym, gdy np. zawierał pakt z Hitlerem, może już wtedy przekonany, że prawdopodobniejsze są wojny między „imperialistami”, niż ich wojna przeciwko ZSRR (1), *Symbol pragmatyzmu* zbiera tylko jego posiew

Nie trudno się domyślić, że Kisielewski należy do nazbyt licznych w świecie polityków, którzy dobremu Chruszczowowi-pragmatyście chcieliby pomóc przeciw złemu Mołotowowi-dogmatykowi. Jak gdyby tamten potrzebował ich pomocy, i jak gdyby rola wymienionych jednostek w Historii nie była wymienna.

## 4.

Dziwny ten dzisiejszy polski „pragmatyzm”. Zaszczepiony na tradycyjnej u nas niechęci i nieufności do idei. Gdzie indziej pragmatyzm to w pierwszym rzędzie swoiste przemyślenie myśli, odsiewanie idei nieskutecznych i urojonych, od prawidłowych. W Polsce pragmatyzmem zowie się parafialny praktycyzm. Rzecz inna, że w dzisiejszej Polsce wstręt do ideologii ma inny żywiołowy sens: fala narodowego wstrętu do wiadomej ideologii (ideolo), wyrodziła się we wstręt do ideologii w ogóle, zatem i do idei, do intelektu i intelektualistów — i natrafiła na tradycyjne łożysko, co nadaje jej szczególną dziś siłę i zjadliwość. Nie zwalnia to przecież polskiego intelektualisty, zwłaszcza polityka, od obowiązku myślenia o ideologiach, od ich *przemysłania*.

Nieufność Kisielewskiego do „ideolo” sprawiła zapewne, że miesza święte teksty Doktryny z ideologią, a jedno i drugie — z praxis Systemu. Obycie z historią pozwoliło mu odkryć (z okazji krzyżowców), że idee stają się niekiedy przewodnikami faktów wręcz im przeciwstawnych. Ale gdyby więcej czasu poświęcił historii doktryn, byłby sobie zapewne przypomniawszy, że np. wielka schizma XI w., która zrodziła prawosławie, który zrodził cesaropapizm, który zrodził — (z nałożnicy obcego rodu, albo zgoła i „bez rodu”), panujący dziś Polakom komunizm — że schizma owa, która wybuchła u szczytu potężnych konfliktów ówczesnego Wschodu i Zachodu, legitymowała się sporem o literę. Podobnie jak raskoń rosyjski powstał z małych różnic w tekstach liturgii, z zęgnania się dwoma czy trzema pal-

(1) P. przemówienie Stalina na XIX Zjeździe w 1952 r.

cami i w imię tych śmiesznych dla nas różnic apostołowie jego szli ochoczo w ogień.

Wtedy może by i autor „Testamentu” łatwiej zrozumiał, że w komunistycznej cerkwi, zakładającej szczerłą jedność teorii z praktyką, raskolnicze, czy — jak to się mówi, talmudyczne różnice formuł i egzegez stanowią obowiązujący kamuflaż wszelkich zmian. A także wszelkich stabilizacji, każdego postępu, a także każdego regresu. I nie tylko kamuflaż, ale i katechizm działania. Ba! stanowią pośrednio o doli i niedoli setek milionów ludzi im poddanych. Tylko dlatego nawołujemy Kisielewskiego, by interesował się sporami rewizjonistów i dogmatyków, bo przecież nie z gustu do nich: są w obecnej ich postaci zniewolonej i „błogonadiożnej” rzeczywiście antypatyczne. I śmiertelnie nudne.

Jesteśmy zresztą najdalej od absolutyzowania pojęcia „rewizjonizmu” i „dogmatyzmu”. Jest się jednym albo drugim względem czegoś i kogoś, a od 1953 każdy myślący komunista jest jednocześnie i rewizjonistą, i dogmatykiem.

Rola tych wewnętrznych sporów jest w Polsce szczególnie doniosła. Nie ma żadnych podstaw do odmówienia Gomułce osobistej wiary w marksizm oraz szczerych intencji socjalistycznych. W przeciwieństwie do innych przywódców w kontr-socjalistycznym sowieckim bloku. W Polsce popaździernikowej fakty i ich racjonalne interpretacje, nie utraciły wagi argumentacyjnej. Co w obecnej koniunkturze światowego komunizmu i *przy niepomiarnej większej niż do niedawna swobodzie manewru wewnątrz obozu, nadaje niemałą doniosłość — w samej Polsce i dla Polaków — wszystkim postaciom rewizjonizmu, od pół oficjalnego po rozsiane i odosobnione, ale coraz liczniejsze jego ogniska w partii.*

A jednak powstała dziś w Polsce sytuacja karykaturalna: *gdy koniunktura w świecie komunizmu sprzyja dziś — jak nigdy dotąd — racjonalnemu poszerzaniu i pogłębianiu swobód „Października”, Polska gomułkowska w dalszym ciągu cofa i hamuje osiągnięte już swobody.* Jej polityka wewnętrzna i zewnętrzna przyprzęgła się na dobre do „przyjaciela”-Chruszczowa, a basują temu najgłośniejsi katolicy publicyści z „Tygodnika Powszechnego”!

Chociaż zakneblowana, myśl rewizjonistyczna w Polsce przebija sobie nieodparcie drogi i dróżki, a nie znajdując filozofów, gada mową szamanów. Tak się zresztą zwykle dzieje w warunkach zniewolenia nie dość szczelnego (nie dość stalinowskiego). Można by tu cytować i cytować z prasy i książek komunistycznych. Na międzynarodowej zresztą scenie komunistycznej odbywa się, jak widać, *strip-tease monstre* i coraz liczniej wypadają na nią korowody nowych przebierańców i rozbiehańców, niekiedy nawet figury najmniej w tej roli spodziewane.

Żywiolowe rozpętanie się wynaturzonej przez mimikry i podstęp myśli rewizjonistycznej dzieje się z uszczerbkiem nie tylko dla myśli polskiej, gdzie młody rewizjonizm w okresie

Października zabłysł tak świetnie i oryginalnie, — jedyna w kraju laicka myśl postępową — ale także i ze szkodą dla funkcjonowania samego ustroju. Nie poradzi on sobie z hydrą rewizjonizmu żywiolowego i wynaturzonego. Cenzura bywa społecznie skuteczna, gdy asystuje jej Miecz Karzący i Żelazna Miotła — dziś bezpowrotnie wymiecione na tzw. śmietnik Historii.

Partyjni cenzorzy zdają się dziś mówić do intelektualistów — pisarzy, filozofów, historyków:

Możecie pisać — niezależnie i samodzielnie — wszystko o wszystkim, bo i my już wiemy, że to stanowi o sytuacji intelektualisty. Wszystko o wszystkim, z wyjątkiem jedynie podstawowych spraw i zagadnień bytu narodowego, jego fundamentów i wyboru drogi w przyszłość: nic tu po was — tu narodowi potrzebni są wyłącznie chwalczy tego, co myśmy założyli i zakładamy. Wszystko o wszystkim, z wyjątkiem przeszłości, która was kształtowała: tu opracowaliśmy dla was wzorki kaligrafii. Ale za to puściliśmy was na dobre pastwiska: awangarda i nieawangarda, białoszewszczyzna i czarnoksiężstwa stylu, jasny świat dzieciństwa i ciemne marginesy społeczne. Tyle swobód! Dlaczego więc sprzeniewierzacie się wielkim tradycjom narodowej społecznikowskiej literatury? Dlaczegoście tacy miały, że i naród bez was się obejdzie, mając Mickiewicza i Żeromskiego?

Słowa nasze, ale ich dialektyka.



Mówiliśmy o doniosłości polskiego rewizjonizmu dla Polaki i Polaków. Nie tylko. W innych państwach, zwłaszcza w ZSSR, ferment polski natrafia na podatne mu jednostki, koła i grupy, coraz liczniejsze w miarę nieuchronnego postępu kryzysu w komunistycznym świecie. A ponieważ polska odmiana jest i mniej wykorzeniona z twórczych jeszcze tradycji myśli marksistowskiej, o wiele dojralsza i po prostu sprawniejsza, przeto — gdyby jej nie zatłuczono — mogłaby doniosłe i pozytywnie wpływać na rozwój wypadków. Ponieważ wszystko to dzieje się w jednej, choć rozległej rodzinie, i ponieważ, w dobie naszej, mikro i makrokosmos polityczny są ze sobą wielorako przeplecione, a w siatce historycznych determinacji nie sposób dziś ustalić, co jutro okaże się ważne a co przypadkowe, więc — tak się stać może, że działanie ideologiczne Polaków w jakimś tam, choćby i małym stopniu, uchroni dajmy na to, świat od niewesołej perspektywy przebudzenia się w obliczu rosyjskiej autokracji wojskowej, ku czemu siła faktów i tradycji pcha tę „Cytadelę Socjalizmu”? Uczyni to poprzez zachętę, wzmocnienie, ugruntowanie analogicznych (rewizjonistycznych, pragmatycznych i wolnościowych) dążeń i ruchów w Cytadeli?

Brzmi to przesadnie, i autor Testamentu pewno się tu z nas dobrze uśmieje. Choćbyśmy się wycofali z domniemań aż tak

ryzykownych, trzeba nie wierzącemu w skuteczność idei (i emigracji) Kisielewskiemu znowu przypomnieć, że np. hertenowski „Kołokoł” zaważył na losach Rosji o wiele bardziej, niż dywizje, a gdyby nie garstka inteligentów z przedrewolucyjnej emigracji rosyjskiej być może, że i sam Kisiel byłby dziś generalnym sekretarzem Stronnictwa Liberalnego i prezesem Stowarzyszenia Wolnomyślicieli w Polsce neokapitalistycznej.

## 5.

Zarty na bok. Oskarża nas Kisielewski, że to właśnie my — „Kultura”, przeszkadzamy gospodarczej rozbudowie Polski. Że mówiąc, iż ustrój jest zły, skłaniamy rodaków do bumelanctwa, brakoróbstwa, siucht (jak gdyby na emigracji wynaleziono ten szkaradny żargon do szkaradniejszych zjawisk). Bo Polakom tylko „w to graj”: „...U nas natomiast nawoływanie z zewnątrz do kwestionowania „systemu” wyzbyte jest wszelkiego realnego skutku, poza jednym: skoro system, ustalający zakres i treść pracy każdego obywatela (a to planistyczne ustalanie stanowi właśnie istotę ustroju komunistycznego (2) jest zły, w takim razie wszelka praca nie ma sensu”.

Kilka zdań dalej pisze trzeźwiej: „Ludzie u nas lubią to tłumaczyć... względami właśnie „politycznymi”: wiadomo, winien rząd, system, brak wolności”. Skoro „ludzie u nas” lubią — cóż temu winna „Kultura”? Rzecz jednak komplikuje się: bo właśnie to oskarżenie, tak ciężkie, chcieliśmy skierować pod adresem Kisielewskiego. Sprawa prosta. Wszyscy „podróżnicy”, a i dyskutanci w samym kraju, stwierdzają ospałość w wielu dziedzinach i środowiskach, przy ogromnej masie *rozstrzelonych i konwulsyjnych* wysiłków, jakąś apatię, klimat zniechęcenia. Odyta ostatnio narada w sprawie tzw. bodźców ekonomicznych stwierdziła ich małą, mimo ciągłych poprawek, skuteczność. Otóż, zjawisko apatii publicznej i wybujałej zapobiegliwości prywatnej wynika w pierwszym rzędzie ze zbiorowego poczucia beznadziei. I tu właśnie wojażerowie typu Kisielewskiego pogłębiają owo poczucie zniechęcenia uporczywie powtarzanym sloganem: „niezachwiany monolit”. Czyli potęgą, nic się dla nas zmieniać nie może poza tym, czym nas pragmatysta Chruszczow uraczy; *point de reveries*, Bóg jest z mocnymi batalionami, jak to niegdyś mawiano.

Nie trzeba więcej, by pobudliwych rodaków popchnąć silniej po równi pochyłej społecznej apatii. I na odwrót, wykazując, że wszystko zawsze się zmienia, że Imperium pomimo potęgi wykrusza się na oczach — i stwierdzając to nie ku po-

(2) Nie tylko: usiłuje też ustalić „zakres i treść” życia duchowego każdego obywatela. Co dla katolickiego działacza jest sprawą niemal ważną: „nie samym chlebem żyje człowiek” — powiedział Dudincew.

krzepieniu serc, ale zgodnie z prawdą — być może w jakimś tam stopniu, obudziłyby się u „ludzi” w Polsce silny u nich bądź co bądź bodziec patriotyzmu: ustroje przemijają a Polska zostanie?

Nie jesteśmy wyznawcami polityki „im gorzej, tym lepiej”. Przeciwnie: zrobilibyśmy wszystko co w naszej mocy, by skłonić ludzi w kraju do rzetelnej i dobrej „pragmatycznej” roboty, jesteśmy gotowi drukować każdy rzeczowy artykuł na te tematy (byle nie „agitkę”). Obserwujemy z odrazą deprawację gospodarczą, nie kończące się procesy „podziemia gospodarczego”, których opisy wypełniają prasę krajową. Ale jeżeli w kraju fachowcy zmuszeni są poprzestawać na opisie objawów, my stąd możemy dociekać przyczyn choroby. Korupcja nie jest, jak wiadomo, osobliwością polską, przeżera wszystkie państwa komunistyczne, od samego początku, a najwymyślniejsze jej machinacje zostały importowane do Polski wraz z „modelem” oraz obłąną filozofią: *blat wysze sowrnarkoma* — z samego ZSSR. I co tu wyróżnia zaszczytnie Polskę gomułkowską: że w nieporównanie większym stopniu ujawnia i szczerze usiłuje zwalczać korupcję, marnotrawstwo, złodziejstwa — w przeciwstawieniu do „okresu błędów i wypaczeń” i do innych państw obozu, gdzie z dawna odkryto, że korupcja nie tylko wynika z błędnego koła niskich płac i złej pracy, ale że nadto ułatwia rządzenie i gospodarowanie terrorem, a co więcej: przy drobniagowej siatce ukazów, zakazów i nakazów, przy scentralizowanym i ciągle gmatwanym układzie reglamentacji, kontroli, rekontroli całego życia, korupcja jest *niezbędna*, by uchronić mastodontowy organizm od paraliżu. Toteż w innych państwach bloku przyczyna się tylko jej co żywsze przerosty, powyżej mniej lub więcej regulowanego poziomu tolerancji.

Gdy w państwach demokratycznych malwersacje, kradzieże, korupcja bywają i bywały ogniskowe, koniunkturalne, chociaż nieraz monstrialne, to pod komunizmem — i to wszędzie bez wyjątku — korupcja rozlała się u podstaw bytu gospodarczego. Oraz przeplata go. Jeżeli to są wciąż relikty kapitalizmu — po 45 latach wypalania ich z życia i świadomości — to: każdy ustrój ma taki kapitalizm, jaki sobie był wychował.

Nie ma nic chyba bardziej zniechęcającego do rzetelnej pracy, niż poczucie jej daremności. Poczucie to powstaje i wzmacnia się, gdy „ludzie” nieustannie stwierdzają nazbyt słabą w stosunku do nakładu ich wysiłków poprawę swego bytu. W krajach demokratycznych nożyce te regulują się samoczynnie, m.in. za pomocą strajków, które jak wiadomo, w krajach „socjalizmu naukowego” są zakazane i uniemożliwiane. Ale zniechęcenie to zakorzenia się jeszcze głębiej, gdy ludzie widzą wokół — marnotrawstwo, gwałt polityki nad celowością gospodarczą, cyniczną korupcję przełożonych — administratorów, kierowników, działaczy, kult niekompetencji, absurdu gospodarcze.

Chyba tylko ze względów dydaktycznych Kisielewski stawia Polakom za wzór Rosjan, ba! — Rumunów. Bo największy ostatnio pod komunizmem przyrost produkcji, nie tylko w rolnictwie, wykazuje właśnie Polska. Co więcej liczni „podróżnicy” stwierdzają, że i w psychologii ogółu zawiązuje się nieśmiało jakaś — słaba i chwiejna — zmiana, powstaje jakieś ogólne poczucie małego ale uchwytne go wzrostu standardu życiowego — pomimo ustrojowych zahamowań i bałaganu. Polska w pierwszym rządzie zawdzięcza to polityce nie upierania się przy absurdalnej gospodarce kolektywizacji rolnej. Można by z tego wysnuć wniosek, że „ludzie” nie słuchają propagandzistów „monolitu”, zwłaszcza tych, którzy są najmniej do takiej propagandy powołani?

## 6.

O co wszystkim chodzi? Przynajmniej o zachowanie reszty tych swobód, które Polskę wyróżniają w Bloku: osiągnięć Października. Zdajemy sobie sprawę z bezcenneści tych zdobyczy, od rolnictwa aż po malarstwo abstrakcyjne. Ale jak je zachować w nieufnym i niechętnym „otoczeniu” komunistycznym? Oto pytanie! Aby móc odpowiedzieć, trzeba zawrócić do ich genezy:

Po pierwsze — w cztery miesiące po wypadkach poznańskich, kiedy to Polska władza robotnicza strzelała do robotników, w dniu 20 października 1956 „symbol pragmatyzmu” Chruszczow i dogmatyk Mołotow odlecieli z Warszawy z niczym, a Warszawa uniknęła losu Budapesztu. Bo oto najwierniejsi z wiernych wymówili posłuszeństwo; sekretarz warszawski uzbroił robotników, młodzież i ogół komunistów, rzeczywiście tym razem w awangardzie narodu, gotów był zagrozić drogę sowieckim tankom. Jak to się stać mogło? — o tym za wiele by mówić; wypadłoby spojrzeć wstecz na początki ruchu komunistycznego w Polsce i jego dramatyczne perypetie.

Jeżeli Warszawa uniknęła masakry budapeszteńskiej, to głównie dlatego, że dogmatycy oraz pragmatyci moskiewscy stwierdzili, że *nie mają kim tu rządzić*; aparat i „narzędzie” zawiodły kompletnie, a z nielicznych wiernych kreatur nie dałoby się sklecić nawet takiej ekipy jak kadarowska na Węgrzech.

Po drugie — Rosjanie są dobrze obeznani z dziedzicznym irredentyzmem ogółu Polaków. Rosja ma co prawda „pragmatyczną” i wypróbowaną technikę dławienia buntów, ale co innego sporadyczne rokose a co innego ciągle niewygaszony opór całego narodu. Jak to skutecznie działa na Rosję, świadczą przykład Finlandii. Pamięć wojskowej kompromitacji Czerwonej Armii z r. 1940 i perspektywa zacieklego oporu skłoniły zapewne Stalina do rezygnacji z zaboru, „pragmatycznie” chyba możliwego w euforii ówczesnej przyjaźni anglosasko-sowieckiej.

Z okazji tych uwag łatwo nas posądzić o podsycanie w

kraju i tak już nadmiernego szowinizmu i kompleksu *antyrosyjskiego*. Jesteśmy od tego jak najdalej. Na odwrót, uważamy ten kompleks za „ciężki garb” narodowy i w naszych publikacjach daliśmy temu nie raz dowody. Ale jest rzeczą pozytywną, godziwą, a nawet konieczną, by na Kremlu zdawano sobie zawsze sprawę z potencjału polskiego oporu przeciw wszelkiej obcej tyranii, skądkolwiek przychodzi.

Brzmi to gołosłownie, i postaramy się poświęcić tym trudnym sprawom specjalny numer. Na razie sformułujemy nasz punkt widzenia w dwóch zdaniach. Naród polski doznawał od Rosjan ogromnych krzywd; ciężar ich, jako też przynależność do dwu odrębnych, w dużej mierze przeciwstawnych kultur powoduje, że ogół Polaków ma dla ogółu Rosjan (i dla Rosji) *nienawiść* oraz *pogardę* — dwie namiętności, które zaciemniają i wypaczają polskie widzenie Rosji i jej swoistej i wielkiej, choć dla Polaków odpychającej kultury. I odwrotnie, ta zasłużona, niestety, nienawiść i niezasłużona, ale obronna pogarda Polaków, a być może i własne ich podświadome poczucie winy, wywołują u Rosjan analogiczne i odwetowe uczucia. Pięknie, ślicznie! — ale właśnie rzeczą intelektualistów, zwłaszcza gdy są na domiar politykami, jest odsiać rachunek krzywd dzisiejszych, które się Polakom jeszcze dzieją, a jeszcze bardziej — zagrażają, od rozpamiętywania spraw dawnych, zupiorzałych od złych namiętności. To znaczy, należy: 1) *nie gasić* w Polsce zacieklego oporu przeciw politycznej dominacji Rosji i przeciw zaszczepianiu obcej nam, rosyjskiej, czy z rosyjską bolszewickiej kultury — 2) natomiast *rozładowywać* nienawiści plebienne, odwetowe oraz lekceważenie, pogardę. Granica trudna do wytyczenia, ale odkąd to polityka w czasach trudnych była łatwą?

Wydaje się, że politycy katoliccy, za cenę pozbycia się plagi bolszewickiej dominacji, nie bez ulgi pogodziliby się z dominacją Rosji, pragmatyków, empiryków? — stare to zresztą nałogi polskiej myśli endecko-katolickiej.

Po trzecie — całe doświadczenie półwiecza wskazuje, że bolszewicy odstępują od ofensywy wyłącznie, gdy muszą, pod presją faktów i okoliczności, oporu zbiorowości, a niekiedy i jednostek. Tak przynajmniej było i jest dotąd. Co więcej, każde odstąpienie od ofensywy traktowane jest jako „pieredyszka”, i tak jest od Lenina po Chruszczowa, niezależnie od wszystkich, wcale zresztą istotnych zmian. Nauczycieli się rachować w kategoriach co najmniej dziesięcioleci, „mogą czekać” — w każdym razie wydaje im się, że mogą — aż owoc dojrzeje. Ale: po czwarte — sytuacja w samej Cytadeli potężnie się tymczasem zdegradowała: odśrodkowe siły, presje mas i grup, rywalizacje wodzów, i ich klienteli, oraz nieprzewidywalne pod komunizmem sprzeczności między siłami wytwórczymi a stosunkami wytwórczości. Nikt dziś nie jest w stanie rozumnie przewidzieć, w którą stronę to wszystko się obróci, dzisiejszy stalińczyk



może się okazać jutrzejszym rewizjonistą i vice versa; jedyna technokracja, która tam się *politycznie* liczy, to technokracja sprawowania władzy czyli aparat partyjny; młodzież — jak to młodzież, prędko się starzeje i nie ta młodzież, na którą z nadzieją spoglądają zachodni postępowcy, przygotowywana jest i powoływana do zmiany warty w rządzeniu; a i wojsko zapewne jest jeszcze wielorako rozdarte. Pomimo to i dlatego, pod oficjalną drętwą powłoką, *dzieje się* tam potężnie, a w tym burzliwym pod lodem strumieniu imponderabilia mogą uzyskać nieobliczalną wagę. Tak czy owak, Rosja jest na rozdrożu, na razie królestwo władzy jest tam olbrzymim polem manewrów. Toteż polityk, który zaufa „monolitowi” i na nim oprze swoje rachuby, ostatek się w durakach. Czyli wystrychnie się na dudka.

Wreszcie — także i w Polsce sytuacja się zdegradowała. Zawód i zniechęcenie, zobojętnienie, powiedzmy po ludzku: zmęczenie, zwłaszcza inteligencji, po zbyt zapewne wybujałych nadziejach, pseudo-konsolidacja partii za cenę ospałego zresztą neo-oportunizmu, dyktatorskie kaprysy i nałogi u szczytu, relikty — także — obumierającej Doktryny w świadomości, samobójcze zainstalowania u steru baronów moskiewskich (jak to oświetliła sprawa Hollanda), równia pochyła mniej i więcej dobrowolnych ustępstw, liczenie na „przyjaciela”-Chruszczowa; dalej oklapnięcie i reprivatyzacja lewicowych intelektualistów, kieszonkowy jezuityzm nonkonformistów katolickich, cała filozofijka „byle polska wieś spokojna”, która tumani życie społeczne i intelektualne kraju — wszystko to sprawia, że Polska jest dziś politycznie uboga. I słaba, słaba, słaba. Że może się niechęć wy kierować na drogę coraz szybszej utraty resztek zdobytych swobód. W przeciwieństwie do mimo wszystko postępującej, pod presją i z ogromnymi oporami, *względnej i częściowej* liberalizacji w Rosji. Czy taka sprzeczność jest możliwa? Gdy w Rosji udużono Berię, w Rumunii terror rozszalał na dobre! Bo im więcej „pragmatyści” zmuszeni są liberalizować u siebie, w Moskwie, tym oporniej tolerują liberalizację w bratnich republikach. A symetrii tu nie ma: im bardziej liberalizują się bratnie republiki, tym więcej trzeba liberalizować i w ZSSR. I z tego niesymetrycznego „prawa natury” komunizmu trzeba wyciągać wnioski.

7.

Mówiąc powyżej o szamanach mieliśmy na myśli dawnych aktywistów stalinizmu, którzy dziś harują na peryferiach. Sytuacja jest lepsza niż się wydaje, jak świadczy nadestana z kraju poważna jej analiza („Kultura” nr 6/176 — czerwiec 1962).

Rzecz w tym, że w Październiku partia była zmuszona przywrócić do głosu i wpływów poważnych fachowców — uczonych, ekonomistów, socjologów, technologów itd. Czyniła to wtedy z zapalem, później, niestety, z coraz kwaśniejszymi humorami. Niedawna dyskusja w „Przeglądzie Kulturalnym”, głosy Kotarbińskiego, Zonna, Infelda, wskazują że temperatura znów osiągnęła tu stopień krytyczny. Ale zmiączono dyskusję udrętwioną znów mową urzędowych „klajstrowaczy”.

Zjawisko to występuje również w Rosji, a jeżeli brać pod uwagę różnicę startu, trzeba stwierdzić, że Rosjanie przebiegli tu większy dystans.

Ale, obok tego, w Polsce występuje inne zjawisko, które gdzie indziej, jeśli zachodzi, to — na razie — dorywczo i bez większego znaczenia. Oto działacze partyjni, którzy poprzez partię doszli do wiedzy i uprawy nauk, a nawet co rzetelniejsi administratorzy, którzy w codziennej praktyce stają oko w oko z realnymi problemami administrowania, raz zdjawszy końskie okulary Doktryny, tak się wciągnęli w „dobrą robotę”, że przestają dbać o nadrzędny cel polityczny: o monopol dominacji politycznej.

Tu zapewne tkwi główne źródło nieuchronnie narastającego konfliktu najsporniejszego dziś odłamu partyjnych uczonych i administratorów — z kierownictwem, które nie chce i nie umie (albo jedno i drugie) wygramolić się z kolein drętwej myśli lenińskiego-stalinowskiej.

„Gdybym to ja był Panem Bogiem” — jak pisał Rzecki w „Lalce” — sprawiłbym, aby w kierownictwie zrozumiano te procesy dziejowe i korzystano z niemałych dziś możliwości manewru w świecie komunistycznym”. „Ale co tu gadać na próżno” — jak wzdychał tenże Rzecki.

Faktem jest, że dzisiejsza konsolidacja w partii jest pozorna, jak wynika z cytowanej analizy. A poczciwi publicyści katolicy wciąż i wszędzie widzą „monolity”.

8.

Nie mamy dostatecznych danych, by ocenić co partyjne kierownictwo „musiało”, a czego nie musiało. Zapewne, presja komunistycznego otoczenia jest potężna i np. zamiast wysuwać na pierwszy plan ustępstwa, można by i wliczyć w poczet zasług imponujące niekiedy (wieś!) i żmudne sprzeciwy. Jeżeli mówimy wyłącznie o ustępstwach to dlatego, że mnożą się zastraszające znaki, świadczące o tym, że broniąc jednych pozycji, ustępuje się — bez potrzeby, a często, jak wolno sądzić, i bez przekonania — z drugich.

Co gorzej, sama teoria czekania z liberalizacją na Rosję jest fałszywa i samobójcza. Bo, jak stwierdziliśmy powyżej, właśnie przez liberalizację na peryferiach można popchnąć opie-

szale centrum. Co gorzej dla nas: w „nadbudowie” Rosja zaczyna już dorywczo tu i ówdzie doganiać, a i wyprzedzać Polskę. Wystarczy z uwagą czytać publikacje sowieckie. To detale — powie słusznie czytelnik — ale detale znaczące, a suma ich przestaje być detałem.

Wynotujmy parę takich detali, pierwszych z brzegu:

Gdy w Polsce trzyma się pod korcem powieść oficjalnego barda partii o umęczonym przez Bezpiekę starym komuniście, w moskiewskim „Nowym Mirze” nr 4 i 5 z br. w powieści J. Bondarewa „Tiszina”, oficerowie NKWD przedstawieni są tak bestialsko, jak u nas pokazuje się tylko gestapowców.

A jak to się dzieje, że jeden z najbardziej barbarzyńskich wynalazków Hitlera-Stalina: ostracyzm nie tylko w stosunku do osób i dzieł, ale ich nazw i nazwisk, przetrwał w Polsce gomulkowskiej, kiedy już w samej Rosji wraca na łamy publikacji pamięć wszystkich pisarzy i uczonych, zarówno zamęczonych, jak i emigrantów? Że w kraju nie wolno cytować niepolitycznych wierszy, a niekiedy i nazwiska, jednego z największych dziś poetów polskich, że nazwisko starego i wybitnego kppowca Stawara, niedawno jeszcze wielbione, skreślane jest przez cenzorów? Że opresja systemu wielorakich cenzur przypłaszcza życie umysłowe środowisk intelektualnych do poziomu porachunków osobistych, do gry estetyczno-technicyzycznej, lub jałowych parafraz i wybiegów? Póki myśl i słowo są w kraju skrępowane, póki pisarz — jak komunista Stawar — musi przyjechać umierać do Maisons-Laffitte, aby brązownicy partyjni nie zafalszowali jego oblicza, by nie było nad nim „laurowo i ciemno”, póty istnienie „Kultury” jest przecież potrzebne dla myśli i kultury polskiej, która, jak to Kisiel stwierdza, jest tylko jedna.

Ano właśnie — wpadnie nam w słowo sceptyk z Warszawy — właśnie Stawar! Wydawanie Stawara i Terców przez „Kulturę” drażni Chruszczowa, opóźnia i utrudnia liberalizację ustroju.

W rozmowie z generałem T. Łubieńskim (pradziadem kolegi Kisielewskiego?) wiezionym na wygnanie po powstaniu listopadowym, a po audiencji zwolnionym, car Mikołaj I powiedział:

„Ja wam wszystko przebaczam, bunt, nawet detronizację, ale czego wam przebaczyć nie mogę, to jest, żeście zwichnęli cały plan moich rządów. Ja chciałem przez was ucywilizować Rosję, zbratać w postępie dwa narody; wyście temu stanęli na przeszkodzie, waszą głupią rewolucją zmusiliście mnie rzucić się w objęcia Niemców, używania tych największych moich i waszych wrogów”. (R. Łubieński: „Generał Tomasz Pomian hr. Łubieński”, Warszawa 1899, cyt. wg. Korespondencji Lubeckiego, Akademia Umiejętności, Kraków, 1909 r.).

I tenże Mikołaj o tychże Polakach:

„Dwa tylko znam gatunki Polaków: tych, których nienawidzę, i tych, którymi gardzę” (wg. Sz. Askenazy: „Dwaj bracia”, *Teki Historyczne*, T. XI., Londyn, 1960-1961).

*Nie strzela się z armat do wróbli. Narażamy się na śmieszność, podważając niefrasobliwy „Testament” ciężką argumentacją. Po prostu skorzystałimy, jak to czytelnik pewno zauważył, z okazji, aby rozprawić się z pokutującymi w wielu mózgach mitami i półprawdami. Tym bardziej to i nieszlachetne, że „Testament” był pisany w pośpiechu, szkicowo; nie ulega wątpliwości, że Kisielewski umiałby go uczynić bardziej przekonującym. Bardzo nam przykro.*

## Humor krajowy (II)

1) W paryskim pisuarze spotyka się dwóch uczestników wycieczki Orbisu. Wywiązuje się na skutek zaistniałej sytuacji dialog: „Pan pryska... Nie, wracam!”.

2) *Bajeczka*: ZSSR jest najbogatszym krajem świata — był tam tylko jeden Biednyj (Demian), najsłodszy — bo był tylko jeden Gorki i najmądrzejszy — gdyż najwyżej znajdzie się jeden głupi, który w to uwierzy.

3) Podczas budapeszteńskiej premiery „Aidy”, po zaśpiewaniu arii „Radamesie, gdzie jesteś?”, odezwał się głos z galerii: „Na kursach wieczorowych marksizmu!”.

4) *Anegdota historyczna*

Podobno Ludwik Solski podczas uroczystości jubileuszowych, tuż przed swoją śmiercią, w rozmowie z Rokossowskim zauważył: „Ale panu marszałkowi było bardziej do twarzy z wąsami!”.

5) Na wsi odbywa się wielkie zebranie w sprawie kolektywizacji. Prelegent przez dwie godziny udowadnia wyższość gospodarki kolektywnej nad indywidualną. Wzywa do dyskusji, namawia — niestety bez efektu. Nareszcie ktoś podnosi rękę. Uszczęśliwiony prelegent udziela mu głosu. Chłop pyta: „Przepraszam panocku, a która godzina?”.

6) Dyskusja w Moskwie między więźniami na temat radzieckich sukcesów w dziedzinie przedłużania życia sprowadza się do wniosku: „No, ale teraz będą długie wyroki, ho, ho!”.

7) Oficjalnie prostytucja w Warszawie nie istnieje, ale prywatnie wiadomo, że córy Koryntu gromadzą się pod hotelem

„Polonia”. W związku z tym zainstalowany neon PKO, uważa się za skrót informacji: „Patrz Kurwy Obok”.

#### 8) Bajka o ptaszku

Porażony mrozem ptaszek upadł na drogę. Przechodzący wieśniak ulitował się nad nim. Wziął go w ręce, chuchał, w końcu wsadził za pazuchę, licząc że ptaszek ożyje. Nie dało to rezultatów. Wreszcie, widząc kupę dymiącego krowiego łajna, wsadził tam ptaszka, starannie przykrywając go nawozem. Pod wpływem ciepła ptaszek ożył, wychylił głowę i zaczął popiskiwać. Usłyszał to lis — zbliżył się, delikatnie wyciągnął ptaszka, oczyścił go z brudu i zjadł. Z tej historii płynnie potrójny morał: 1) nie zawsze w złych intencjach wsadzają cię w g..., 2) nie zawsze w dobrych intencjach wyciągają cię z niego; 3) jak już siedzisz w g... — to siedź cicho.

9) Gomulka po śmierci puka do nieba. Święty Piotr sprawdza personalia. Niestety zmarły sekretarz partii nie ma żadnych dokumentów. Św. Piotr prosi aby mu udowodnił tożsamość i daje przykłady: Rubinstein też nie miał papierów, ale zagrał, Picasso namalował obraz, Callas zaśpiewała. Gomulka pyta: „A co to za jedni Rubinstein, Picasso, Callas?”. „Jakto nie wiesz” — ucieszył się klucznik niebieski. „Nie musisz się więcej trudzić — już ci udowodniłem że jesteś Gomulka.

10) W Warszawie mówi się, że Szyr nie tyle jest członkiem rządu, ile członkiem w rządzie.

11) Na drzwiach referatu reklamacyjnego Warszawskiego Urzędu Kwaterunkowego ktoś umieścił wywieszkę: „Ruch Obrońców pokoju”.

12) Podczas defilady pierwszomajowej w Pekinie Aleksander Zawadzki stoi obok Mao-Tse Tunga obserwując entuzjastyczny pochód. W pewnym momencie Zawadzki pyta: „A dużo macie wrogów klasowych?”. „Eh, drobnostka, odpowiada Mao — coś około 30 milionów!”. „To dokładnie to samo ile u nas”, ucieszył się Przewodniczący Rady Państwa.

13) Autentyczne ogłoszenie Klubu Wolnomyślicieli: Odczyt pt. „Czy istnieje Bóg”, zapowiedziany na 25 grudnia — nie odbędzie się z powodu Świąt Bożego Narodzenia”.

14) W warszawskim tramwaju. Pasażer pyta konduktora: „Czy daleko jeszcze do Placu Bankowego? (jak wiadomo plac ten po wojnie zmienił nazwę na Plac Feliksa Dzierżyńskiego). „O, jeszcze ze trzy lata” — odpowiada konduktor.

15) Żona naczelnika Wojewódzkiego Wydziału Kultury skarży się koleżance: „Ach ten biedny mój mąż ma tyle roboty! Nawet musi służbowo chodzić na wesela. Wczoraj znowu wieczorem nie było go w domu, bo żenił się jakiś Wyspiański!”.

16) Młody człowiek kupił sobie samochód. — Ile na nim wyciągasz? — zapytuje go przyjaciel. — Czy ja wiem, jakież pięć dziewczyn tygodniowo.

Zebrała Zofia HERTZ

## Notatnik socjalistyczny

Informacje i komentarze  
pod redakcją Adama Ciołkosza.

### Nowa prawica i nowa lewica w socjalizmie brytyjskim

Mniej więcej w roku 1958 brytyjski ruch socjalistyczny złożył do archiwów historii zagadnienia, którymi żył przed drugą wojną światową i w okresie bezpośrednio po wojnie następującym. Zagadnienia te rząd labourzystowski lat 1945-1951 rozwiązał, zaprowadziwszy państwo powszechnego dobrobytu (*welfare state*). Rozpoczęła się teraz dyskusja nad zasadniczymi problemami socjalizmu i nad związaną z tym przyszłością Partii Pracy.

Polemika toczy się w zasadzie między dwiema szkołami: „rewizjonistów” i „Nowej Lewicy”. Głównym przedstawicielem tych pierwszych jest Charles A.R. Crossland, który w książce *The Future of Socialism* i w szeregu artykułów podchodzi do problemu od strony socjologii. Opierając się na wynikach rozlicznych ankiet, Crossland dochodzi do wniosku, że obecne społeczeństwo brytyjskie różni się całkowicie od społeczeństwa przedwojennego i że zupełnie nie odpowiada ono obrazowi, jaki sobie o nim wytworzyli zarówno konserwatyści, jak i tkwiący w starych pojęciach niektórzy działacze labourystowscy, myślący wciąż kategoriami masowego bezrobocia i nędzy; wydaje im się, że rządy prawicy muszą doprowadzić do upadku państwa powszechnego dobrobytu i że jedyną obroną klasy robotniczej może być pełna nacjonalizacja gospodarki, która w konsekwencji przyniesie socjalistyczne zmiany strukturalne w społeczeństwie.

Crossland odrzuca tę tezę. Twierdzi on, że niewątpliwe podniesienie się stopy życiowej robotników po roku 1945 i szersze udostępnienie dzieciom robotniczym możliwości kształcenia się spowodowało spadek zainteresowania się tradycyjnym socjalistycznym programem Partii Pracy. Hasła walki klas czy uspołecznienia przemysłu są dla współczesnych robotników brytyjskich pojęciami abstrakcyjnymi, nie związanymi bezpośrednio z ich życiem i nie wpływającymi z niego. Konkretnie dążą oni

jako jednostki do podniesienia poziomu swego życia materialnego i do pełnego rozwoju swej osobowości. Różnice klasowe (Crossland zgadza się z obserwatorami cudzoziemskimi, że są one w Anglii ostrzejsze niż gdzie indziej) są w tym ujęciu indywidualnym problemem społecznym, a nie zbiorowym problemem ekonomicznym. Źródło ich leży w przestarzałym elitarnym systemie szkolnictwa i w podświadomym konserwatyźmie brytyjskim, który hamując zmiany obyczajowe utrwała tradycyjne podziały klasowe. Te same przyczyny powodują zacofanie przemysłu brytyjskiego w porównaniu nie tylko ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki, ale nawet z Europą zachodnią.

Crossland jest przekonany, że tylko Partia Pracy może przeprowadzić konieczne reformy społeczne i gospodarcze i dokończyć przebudowę imperium kolonialnego na nowy organizm równoprawnych państw. Dla osiągnięcia tych celów nieodzowne jest zdobycie władzy, tego zaś Partia Pracy nie może osiągnąć, jak długo jej program natychmiastowy nie przemawia do przekonania większości wyborców. Tutaj dochodzimy do sedna tez Crosslanda, do jego — jak on sam go nazywa — „nowego rewizjonizmu”. Partia Pracy musi zdaniem Crosslanda odrzucić hasło walki klas jako przestarzałe; również nacjonalizacja przemysłu pojęta jako cel socjalizmu nie ma sensu, jedynie w poszczególnych wypadkach należy zachować postulat nacjonalizacji jako sposobu osiągnięcia większej równości społecznej lub unowocześnienia zacofanych metod gospodarki. Nowy program winien przede wszystkim skoncentrować się na zagadnieniach postępu społecznego i równości społecznej, stać się bodźcem do nowego dynamizmu narodowego. Crossland jest stuprocentowym zwolennikiem gospodarki planowej, ale sądzi, że sprawa własności środków produkcji jest bez znaczenia dla planowania; wszakże planowanie gospodarcze istnieje zarówno we Francji jak i w Związku Sowieckim. Crossland jest w ekonomii zwolennikiem J.M. Keynesa, w socjologii zaś zwolennikiem J.K. Galbraitha, przyjmuje jego tezę, że ustrój obecny to „prywatny dostatek i publiczna nędza”. Ustrój ten winien ulec zmianie i to zmianie jak najszybszej. Crossland jest zwolennikiem nie tyle medytowania ile działania i dlatego nalega na wypracowanie programu, który przemawiając do wyborców i pociągając ich mógłby przynieść w wyniku następnych wyborów rządu Partii Pracy.

Crosslanda zaatakowali natychmiast tradycjoniści, starzy działacze Partii Pracy i związków zawodowych, którzy twierdzą, że porzucenie hasła pełnej nacjonalizacji środków produkcji, podziału i wymiany to po prostu zdrada ideałów socjalistycznych. Działacze owi pozostają wierni metodzie gradualizmu, tym niemniej nie chcą się wyrzec wizji całkowitej nacjonalizacji życia gospodarczego jako „celu ostatecznego” socjalizmu. Działacze tych należy skądinąd (np. w zagadnieniach polityki międzynarodowej) zaliczać do prawicy i centrum Partii Pracy. Jednocześnie ze

„starą prawicą”, choć dla odmiennych przyczyn, przeciwko „nowej prawicy” rewizjonistycznej wystąpiła „stara lewica” Partii Pracy. Najpoważniejszym przeciwnikiem Crosslanda i innych „rewizjonistów” z pozycji „starej lewicy” jest Richard H. Crossman. Nie wdaje się on w głębszą analizę ekonomiczną, natomiast podejmuje dyskusję z Crosslandem na płaszczyźnie dynamiki społecznej. Opierając się tak samo na tezach Galbraitha, Crossman zakłada, że „prywatny dostatek i publiczna nędza” muszą doprowadzić do społeczeństwa zastoinowego (*stagnant society*), które utraci poczucie stojącego przed nim zadania. Zastoinowe społeczeństwo demokracji zachodnich nie będzie pociągającym wzorem dla młodych państw azjatyckich i afrykańskich, które za wszelką cenę dążą do szybkiego podniesienia swej stopy życiowej. Crossmana hipnotyzuje tempo wzrostu dobrobytu materialnego w Związku Sowieckim, wydaje mu się, że zjawisko to jest dla niedawnych krajów kolonialnych i zależnych dużo ważniejsze od sprawy wolności indywidualnej czy równości społecznej. Dlatego też twierdzi, że jedynie podniesienie stopy wzrostu gospodarczego na Zachodzie może położyć tamę postępowi komunizmu w Azji i Afryce, to zaś przyspieszenie tempa wzrostu osiągnąć da się jedynie przez kompletną likwidację gospodarki prywatnej i wprowadzenie pełnego planowania przez państwo.

Tezy Crossmana zawierają w sobie poważną sprzeczność wewnętrzną: zarzuca on „nowym rewizjonistom”, że interesują się tylko materialnym poziomem życia, sam zaś zakłada, że mieszkańcy niedawnych kolonii nie mają innych zainteresowań. Jest to o tyle paradoksalne, że sam Crossman jeszcze przed kilku laty podkreślał, iż socjalizm, to nie tylko zagadnienie ekonomiczne, lecz przede wszystkim sprawa wolności człowieka. Kluczem do zrozumienia Crossmana jest jak się zdaje jego wiara — pod wpływem Millsa Wrighta, a może i Vilfredo Pareta — że rewolucje dokonywane są przez grupy inteligencji, a nie przez ruchy masowe, stąd widzi siebie w roli proroka kreślącego ostro zarysowaną perspektywę przyszłości, mającą mało wspólnego z konkretną, bieżącą sytuacją polityczną. Crossman czeka na katastrofę gospodarczą, której nadejście jest dla niego pewnikiem, a do tego czasu nie widzi szans zdobycia większości i odzyskania władzy przez Partię Pracy w wyborach parlamentarnych.

Zasadniczymi przeciwnikami „nowych rewizjonistów” są młodzi socjaliści z grupy Nowej Lewicy (*New Left*). Grupa ta odrzuca całkowicie ustrój kapitalistyczny i nie interesuje się reformami społecznymi jako półśrodkami. Nowa Lewica, to ewangelicy socjalizmu; zwycięstwo czy klęska w wyborach nie ma dla nich znaczenia; gotują się oni do objęcia władzy w nowym ustroju społecznym, który nadejdzie za lat może dziesięć, może dwadzieścia, w każdym jednak razie nadejdzie. Jeden z najwybitniejszych teoretyków tej grupy, Ralph Miliband, w książce pt. *Parliamentary Socialism* uzasadnia tezę, że Partia Pracy w

ciągu sześćdziesięciu lat swego istnienia nie była nigdy i nie jest i dzisiaj partią socjalistyczną, a tylko dążyła razem ze związkami zawodowymi do podniesienia stopy życiowej klasy robotniczej. Miliband — w odróżnieniu od dawnych tzw. lewicowców — wcale nie oskarża oficjalnych przywódców partii o zdradę ideału socjalistycznego i przyznaje im, że w dążeniu do podniesienia poziomu życiowego proletariatu brytyjskiego byli ze swego punktu widzenia uczciwi; twierdzi jedynie, że ich program to nie socjalizm, podkreślając, że socjalizm to coś więcej niż wysoka stopa życiowa. Ponieważ mimo niewątpliwych wielkich osiągnięć klasy robotniczej, socjalizm w Wielkiej Brytanii nie jest dziś bliższy urzeczywistnienia, niż był nim w chwili powstania Komitetu Parlamentarnej Reprezentacji Robotniczej (1900 r.), więc Miliband kwestionuje wartość systemu demokracji parlamentarnej dla socjalizmu. Jest to do pewnego stopnia echo tezy bolszewickiej, z zasadniczą jednak różnicą: Miliband, tak samo jak i jego przyjaciele z Nowej Lewicy, przetrwał doświadczenia Związku Sowieckiego i dlatego, chociaż odrzuca parlamentaryzm, nie aprobuje jego krańcowej antytezy: rewolucji. Zamiast niej głosi on konieczność nieustannej propagandy maksymalnych haseł socjalizmu i szkolenia socjalistycznego, bez względu na to, czy to zwiększy czy też umniejszy chwilowe szanse zaakceptowania socjalizmu przez większość wyborców. Miliband twierdzi, że zasadnicza, wytrwała opozycja w stosunku do kapitalizmu musi na dłuższą metę przynieść socjalizmowi zwycięstwo, chociażby nawet okres pozostawania w opozycji miał trwać kilkadziesiąt lat. Dodatnią cechą Nowej Lewicy jest, że przyjmując to założenie nie cofa się ona przed sięgnięciem do głębi wszystkich problemów, zarówno ideologicznych, jak i problemów bieżącej polityki. Tym różni się od „starej lewicy”, która kurczowo trzyma się tradycyjnych haseł, oskarża — jak to uczyniła Barbara Castle — ogół społeczeństwa o brak zrozumienia dla wysokiego poziomu moralnego lewicy i ma pretensję do klasy robotniczej, że przemiany w jej mentalności nie były zgodne z przewidywaniami Partii Pracy.

Nowa Lewica ma odwagę myślenia i dyskusji. Wnioski, które wyciąga, nie zawsze są trafne, ale w każdym razie nie ma tu tendencji do swobodnego konserwatyzmu socjalistycznego. Na przykład, pod wpływem Richarda Hoggarta i Raymonda Williama, dwóch krytyków literackich zbliżonych do Nowej Lewicy, grupa ta poświęca dużo więcej uwagi zagadnieniom kulturalnym, niż to się dzieje w tradycyjnych odłamach ruchu robotniczego. Jednocześnie, choć się do tego nie chce oficjalnie przyznać, przyswoiła ona sobie nie tylko Marksa i Keynesa, ale także Freuda i Junga. Stąd większe niż to dawniej miało miejsce akcentowanie roli jednostki, a nie klasy społecznej jako całości.

O programie Nowej Lewicy trudno jest mówić, gdyż jak dotychczas jest to właściwie grupa dyskusyjna. Łączy ją posta-

wa krytyczna w stosunku do programu oficjalnej Partii Pracy, a właściwie całkowite odrzucenie tego programu jako reformistycznego i wiara w przyszyły ustrój socjalistyczny, którego forma grupa ta nie potrafi jednak dokładniej określić. Jeśli chodzi o konkretne zagadnienia bieżące, Nowa Lewica to zwolennicy całkowitego wyrzeczenia się przez Wielką Brytanię broni jądrowych. Nowa Lewica odrzuca też zasadniczo Pakt Atlantycki, jako organizację kapitalistyczną, znajdującą się pod wpływem superkapitalistycznych Stanów Zjednoczonych nie tylko politycznie, ale także gospodarczo i kulturalnie. Nie przeszkadza jej to częściowo przyjmować idee amerykańskie, jak np. tezę Millsa Wrighta, że rewolucji socjalistycznej nie dokona klasa robotnicza, lecz nowe ramie historii — studenci. Początek tego młodointeligenckiego ruchu widzi Nowa Lewica w różnych krajach: w Polsce i na Węgrzech, na Kubie, w Turcji i w Południowej Korei (*sic*). Nowa Lewica jest przeciwniczką systemu sowieckiego jako miażdżącej jednostkę dyktatury, co jej jednak nie przeszkadza — jak to oświadczył Norman Birnbaum, redaktor *New Left Review* — od roku 1956 widzieć za „żelazną kurtyną” braci i towarzyszy, walczących o te same ideały.

Zestawiając z sobą wypowiedzi Nowej Lewicy i „nowych rewizjonistów” możnaby sądzić, że ich nic nie łączy i że nowe prądy socjalizmu brytyjskiego płyną w wręcz przeciwnych kierunkach. Faktycznie jednak różnice nie są tak wielkie. Np. czytając ostatnio wydaną książkę „rewizjonisty” Douglasa Jaya *Socialism in the New Society* trzeba dojść do wniosku, że przeprowadzona przez tego autora analiza Wielkiej Brytanii w roku 1960 nie różni się tak bardzo od tenoru artykułów w *New Left Review*. Te dwie grupy dzieli od siebie przede wszystkim sposób podejścia do zagadnień socjalizmu. „Nowi rewizjoniści” interesują się problemami bieżącymi i dążą do natychmiastowych, choćby częściowych reform, uważając, że na dłuższą metę doprowadzić one muszą do zasadniczych zmian strukturalnych. Nowa Lewica nie interesuje się reformami częściowymi, uważa ona, że system kapitalistyczny musi zniknąć całkowicie, gdyż motyw zysku indywidualnego jest sprzeczny z moralnością i jak długo będzie on istniał, nie da się mówić o socjalizmie. Nie wynika stąd jednak, że gdyby Partia Pracy doszła znowu do władzy, Nowa Lewica odrzuciłaby konkretne posunięcia, proponowane przez Crosslanda czy Jaya.

Nowa Lewica odgrywa do pewnego stopnia rolę aktywistów, dostarczających ruchowi robotniczemu ideologii długofalowej i bazy moralnej. Jeżeli niektóre tezy Nowej Lewicy wydają się naiwne, to trzeba pamiętać, że składa się ona przeważnie z ludzi bardzo młodych, których mierziła apatia polityczna społeczeństwa brytyjskiego w okresie lat pięćdziesiątych. Na postawę Nowej Lewicy złożyły się dwa czynniki: głębokie rozczarowanie się radykalnej młodej lewicy inteligenckiej do

komunizmu i kociokwik na skutek utraty przez Wielką Brytanię wielkomocarstwowego znaczenia. Jedno i drugie młoda lewica uświadomiła sobie równocześnie, w roku 1956 (Węgry i Suez). Nie chcemy przez to powiedzieć, że Nowa Lewica dążyła lub dąży do zatrzymania kolonii w ramach dawnego ładu imperialnego. Chcemy natomiast stwierdzić, że poczuła się ona bezradna wobec problemów o skali światowej. Podświadomie boli ją to, że decyzje i posunięcia Wielkiej Brytanii nie mają już wpływu na zasadniczy kierunek polityki światowej, a nawet i to, że nie da się już dziś planować brytyjskiej gospodarki narodowej bez uzgodnienia polityki ekonomicznej z innymi krajami. Tak samo trudno jest mówić o znaczeniu postulowanego przez Nową Lewicę rozbrojenia atomowego Wielkiej Brytanii (poza znaczeniem czysto moralnym), skoro wszystko zależy tu od decyzji dwóch tylko krajów: Stanów Zjednoczonych Ameryki i Związku Sowieckiego.

Ruch Nowej Lewicy jest ruchem typowo brytyjskim i na razie nie wychodzi swym znaczeniem poza Wielką Brytanię. Jego wkład do międzynarodowego ruchu socjalistycznego będzie mógł być wybitny, zwłaszcza jeśli idzie o zagadnienia kultury i psychologii w socjalizmie, ale nastąpi to dopiero wtedy, gdy grupa Nowej Lewicy pogodzi się z nowym układem sił w świecie. Ponieważ są to ludzie na ogół młodzi, więc to pogodzenie się może nastąpić dość szybko. Podobnie wybitna w skali międzynarodowej może być rola Crosslanda i „nowych rewizjonistów”. Mimo szybkiego rozwoju gospodarczego krajów Europy zachodniej, Wielka Brytania jest wciąż jeszcze krajem po Stanach Zjednoczonych Ameryki najbardziej zaawansowanym przemysłowo. Stąd więc brytyjskie częściowe przeobrażenia gospodarcze i społeczne w kierunku socjalistycznym mogą dostarczyć nowych podniet i innym krajom, jak to już było w latach 1945-1951, w okresie przebudowywania Wielkiej Brytanii na państwo powszechnego dobrobytu.

Jan LEWARTOWSKI

## Gospodarka uspołeczniona w Austrii

Staraniem Wiedeńskiej Księgarni Ludowej ukazała się drukiem praca socjalisty austriackiego Ernesta Winklera pt. *Das reiche Oesterreich* (Bogata Austria). Praca ta daje optymistyczne — optymizm ten jest udokumentowany — sprawozdanie z funkcjonowania uspołecznionego sektora

austriackiego życia gospodarczego, zaś jako swoisty produkt uboczny przynosi motywację Socjalistycznej Partii Austrii, SPOe.

Socjaldemokracja austriacka zawsze zażywała w międzynarodowym ruchu socjalistycznym wyjątkowej sławy. U socjalistów polskich pozostawiła dobre wspomnienie, wolne od żalów, jakie spowodować musiał dwuznaczny stosunek socjaldemokracji niemieckiej i rosyjskiej do polskich dążeń niepodległościowych. Socjaldemokracja austriacka, tj. niemiecko-austriacka, miała duże zrozumienie dla dążeń narodowych polskich, czeskich, włoskich, ukraińskich i słoweńskich socjalistów; jej program narodowościowy, tzw. program berneński z roku 1899, oparty był na koncepcji przebudowania Austrii na demokratyczny związek samorządnych narodów, ale w wykonaniu tej czysto teoretycznej koncepcji nikt nigdy w głębi duszy nie wierzył; współpraca socjalistów różnych narodowości monarchii austriackiej miała zawsze charakter prowizorium, w oczekiwaniu na rozejście się — prędzej czy później. Tylko w tej specyficznej atmosferze, wolnej od nacjonalizmów, która w ogromnej mierze była zasługą Wiktora Adlera, człowieka mądrego i szlachetnego, mógł Polak Ignacy Daszyński być przez dziesięć lat przewodniczącym wspólnego klubu posłów socjalistycznych w Wiedniu.

Katastrofa monarchii rozwiązała problem narodowościowy, ale przyniosła inne problemy. Największym z nich była powojenna nędza. Z niej płynęło przekonanie, że mała resztówka austriacka jest niezdolna do samodzielnego życia i że jedyną perspektywę ocalenia otwiera Anschluss do Rzeszy Niemieckiej. Z tym łączyła się koncepcja austriackiego ruchu socjalistycznego jako awangardy ogólnoniemieckiej rewolucji proletariackiej. Układ stosunków politycznych był jednak w Austrii inny niż w Niemczech, zgodny z klasyczną regułą „klasa przeciwko klasie”: z jednej strony partia socjalistyczna, z drugiej partia chrześcijańsko-społeczna, obie z własnymi formacjami zbrojnymi, przy zagęszczającej się coraz bardziej atmosferze wojny domowej. Ostatecznie wydarzenia rozwinęły się inaczej, niż to przewidywał Otto Bauer i inni austromarksisti. Socjalistom austriackim przypadła rola nie straży przedniej, lecz straży tylnej ogólnoniemieckiej rewolucji. Po kapitulacji socjaldemokratów i komunistów niemieckich w roku 1933, zbrojne powstanie Schutzbundu wiedeńskiego w lutym 1934 roku ocaliło honor i przyszłość socjalizmu międzynarodowego, ale na bieg wydarzeń wpłynąć już nie mogło. Austrofaszyści oddali Austrię pod protekcję Mussoliniego, a potem Hitler dokonał Anschlussu.

Wydarzenia w Drugiej Republice popłynęły zupełnie innym łożyskiem, niż w Pierwszej. Częściowo zdecydował o tym tzw. rozum stanu, przyswojona sobie przez oba skrzydła polityczne lekcja okresu międzywojennego i pragnienie uniknięcia powtórki, częściowo zaś warunki zewnętrzne, polityka zwycięzców. W roku 1918 ententa nie okupowała Austrii wojskowo, natomiast zastosowała politykę blokady tj. głodu; w roku 1945 odwrotnie — zwycięzcy zastosowali okupację, ale dali Austrii na ogół znośne warunki bytu materialnego (mowa o mocarstwach zachodnich). Nakazana przez zwycięzców niepodległość Austrii tym razem nie budziła już sprzeciwów wśród ludności, odwrotnie — doświadczenia Anschlussu i degradacji Austrii w ramach Wielkich Niemiec wytworzyły patriotyzm austriacki i pragnienie odosobnienia się od Niemiec. Dla pobudzenia sepa-

radykalizmu austriackiego okupanci od razu po zajęciu Austrii pozwolili na utworzenie rządu austriackiego, a potem, już 25 listopada 1945 roku, odbyły się demokratyczne i naprawdę (także pod okupacją sowiecką) swobodne wybory do parlamentu w Wiedniu.

Na czele pierwszego rządu Drugiej Republiki stanął socjalista Karol Renner, ten sam, który stał na czele pierwszego rządu Pierwszej Republiki. Podczas jednak gdy wówczas szeroka koalicja narodowa rozpadła się już po półtora roku, w lipcu 1920 roku, to teraz okazała się formacją trwałą. Zaszła w niej tylko jedna zmiana, a mianowicie w roku 1947 komuniści wystąpili z rządu; krok ten jednak nie spowodował żadnego wstrząsu, gdyż komuniści w Austrii stanowią pozycję niemal zerową, co można sprawdzić w każdym wyborach parlamentarnych (w obecnym parlamencie nie ma ani jednego komunisty), a przede wszystkim w wyborach do rad zakładowych; próba komunistycznego zamachu stanu wczesną jesienią 1950 roku spelzła na niczym, głównie dzięki postawie robotników.

Osobliwość koalicji austriackiej polega na tym, że socjaliści zasiadają w niej razem z tym samym stronnictwem (tylko nazwa uległa zmianie), które w lutym 1934 roku strzelało do robotników wiedeńskich z armat, a przywódców robotniczych wieszalo na szubienicach. Koalicja ta jest jednak koniecznością, jako że żadna partia nie rozporządza własną większością w parlamencie, a sytuacja międzynarodowa i delikatne położenie Austrii na pograniczu bloku sowieckiego wymaga współpracy stronnictw i jednolitej postawy w polityce zagranicznej. Tej współpracy stronnictw zawdzięcza Austria w wielkiej mierze zawarcie traktatu państwowego (taką nazwę nosi traktat pokojowy dla Austrii) i wycofanie się wojsk okupacyjnych w roku 1955. Pomimo istnienia koalicji, między dwiema głównymi partiami, tj. Partią Socjalistyczną i Partią Ludową (katolicką) trwa niestanna rywalizacja, walka o sympatie i poparcie ludności, walka o dusze ludzkie. Sprawdzianem są każdorazowe wybory do parlamentu (system głosowania jest proporcjonalny) i wybory na urząd prezydenta republiki (prezydenta wybiera się w głosowaniu bezpośrednim całej ludności). W ostatnich wyborach parlamentarnych w roku 1959 socjaliści otrzymali 45% głosów i 78 miejsc w parlamencie, zaledwie o jedno miejsce mniej od Partii Ludowej (dawnej partii chrześcijańsko-społecznej); konsekwencją tej nieznacznej przewagi Partii Ludowej jest, że kanclerzem jest jej przedstawiciel, wicekanclerzem natomiast jest socjalista. Przydientem republiki od roku 1945 jest socjalista (najpierw dr Karol Renner, potem gen. Teodor Koerner, obecnie dr Adolf Schaerf).

Co pewien czas sfery prawicowe podejmują za kulisami jakiegoś manewry, zmierzające do zerwania koalicji z socjalistami i do utworzenia rządu opartego wyłącznie o stronnictwa prawicy, tj. o Partię Ludową i neohitlerowską Partię Wolności, ale za każdym razem udało się socjalistom zabiegi te sparaliżować. Socjaliści twierdzą, że 45% ludności kraju ma prawo do odpowiedniego udziału w rządzie i w aparacie państwowym. Koalicja lewicy z prawicą przerodziła się w Austrii w instytucję stałą; tyle tylko, że w zależności od wyniku każdorazowych wyborów następują przesunięcia w stanie posiadania stronnictw koalicji w aparacie państwowym; walka o te stosunkowo niewielkie przesunięcia stanowi sens wyborów. Koalicja nie przekreśliła różnic ideologicznych i politycznych, wyeliminowała jednak

możliwość odrodzenia się atmosfery wojny domowej, a po stronie socjalistów pogłębiła metodę gradualizmu. Uległa też zmianie strategia przejścia pasa granicznego, dzielącego partię socjalistyczną od bezwzględnej większości głosów w kraju i w parlamencie: dawniej granicę tego przejścia i odparcia prób reakcyjnego zamachu stanu stanowiła organizacja zbrojna Schutzbundu, dzisiaj gwarancję tę daje obecność socjalistów w całym aparacie rządowym. Dalszą gwarancję stanowi niezwykle wysoki stopień uorganizowania — SPOe liczy 716.208 członków — oraz wysoki poziom świadomości i wyszkolenia socjalistycznego — nowy program socjalistów austriackich z roku 1958 jest programem atrakcyjnym, programem na pewno najlepszym spośród wszystkich programów socjalistycznych z lat ostatnich.

Taka jest rama polityczna dla gospodarczej treści, którą rysuje Winkler w swej broszurze. Swego czasu, po załamaniu się monarchii habsburskiej, mała republika austriacka przechodziła lata straszliwej nędzy i głodu, dopiero w roku 1922 Liga Narodów udzieliła Austrii niewielkiej pożyczki (650 mln. koron złotych) i to na ciężkich warunkach. Tym razem polityka zwycięzców była inna. Wprawdzie okupant sowiecki zarekwirował i wywiózł 43.000 obrabiarek, niemal połowę wszystkich maszyn w fabrykach, ale za to Zachód udzielił Austrii wielkiej pomocy bezzwrotnej, sześciokrotnie większej od pożyczki Ligi Narodów z roku 1922. W latach 1945-1955 Austria otrzymała 41 miliardów szterlingów, z czego 87% dały Stany Zjednoczone z planu Marshalla, resztę dała Dania, Anglia, Kanada, Szwecja i Szwajcaria. Pomoc ta pozwoliła na dokonanie wielkich inwestycji w przemyśle, przy czym rząd opracował kilka odrębnych, ale uzgodnionych z sobą planów odbudowy: dla elektryczności, dla węgla, dla żelaza i stali, dla metali kolorowych itd.; bardzo staranna planowość w inwestowaniu zapobiegła roztrwonieniu kredytów i obróceniu ich na inwestycje nie leżące w interesie publicznym. Postęp techniczny i ulepszone metody pracy podniosły (w porównaniu z rokiem 1937) wydajność pracy w przemyśle o 55%, w rolnictwie o 61%. Wynaleziona w hutnictwie austriackim metoda bezwęglowego wytopu stali obniża kosztą produkcji stali o połowę, a samą produkcję ogromnie przyspiesza; metoda ta odbywa obecnie triumfalny pochód w hutach stalowych całego świata. Odkryto też nowe zasoby naturalne, a mianowicie gazu ziemnego (wydobycie wyniosło w 1960 roku 1.469 mln m. kub.) i nafty (w 1960 roku 2.45 mln ton), Austria dzisiaj obok Rumunii i Niemiec zachodnich należy do największych producentów nafty w Europie. Co najważniejsze, przez cały okres po II wojnie światowej trwała dobra koniunktura gospodarcza, inaczej niż po I wojnie światowej, kiedy to kryzysy lat 1922 i 1929 pociągnęły za sobą masowe bezrobocie i austrofaszyzm. W roku 1937 liczba ubezpieczonych pracowników wynosiła (przeciętna roczna) 1,360.000, w roku 1960 wyniosła 2.282.000. Wskaźnik produkcji przemysłowej, jeśli rok 1937 przyjąć za 100, podniósł się w roku 1960 do 287,5, niemal trzykrotnie. Dochód społeczny wzrósł z 63,2 miliardów szyl. w roku 1953 do 118,5 miliardów szyl. w roku 1960, a więc podwoił się w ciągu sześciu lat. Wywóz osiągnął w roku 1960 poziom 29,13 miliardów szyl., co w stosunku do roku 1937 (w przeliczeniu na ówczesne ceny) oznacza potrojenie. Jesteśmy dzisiaj — pisze Winkler — trzy razy bogatsi, niż byliśmy przed wojną i Anshlussem. Stąd tytuł broszury.

Socjalizacja przemysłu austriackiego nie była zbytkiem, wyrosłym w ciepłarnianych warunkach pomyślności gospodarczej, odwrotnie — była jednym z najważniejszych elementów odbudowania i rozwinięcia austriackiego życia gospodarczego z ruin i zniszczeń II wojny światowej. Swego czasu pisał Karol Kautsky: „nie można socjalizować nędzy”. Cóż jednak uczynić, jeżeli nie ma wyboru, jeżeli socjalizacja jest nakazem sytuacji? Socjalizacja nędzy austriackiej była koniecznością; żaden prywatny przedsiębiorca nie był w stanie własnymi siłami odbudować tych fabryk i kopalń, które zniszczyły bomby z samolotów, a potem rekwizycje sowieckie. Jednymślnie przyjęcie przez parlament ustaw socjalizujących pozostaje dowodem, że socjalizacja była koniecznością. Na własność państwa przeszły kopalnie węgla, ropy, żelaza, miedzi, cynku, ołowiu, siarki i antymonu, huty żelaza, stali i metali kolorowych, rafinerie ropy, fabryki aluminium, nawozów sztucznych, maszyn, wagonów kolejowych i sprzętu elektrotechnicznego, elektrownie i wielkie banki. Ogółem państwo przejęło ponad 70 przedsiębiorstw, zatrudniających łącznie 133.000 robotników. Ponadto już od dawna należały do państwa koleje żelazne, poczta, telegraf, telefon, radio, fabryki wyrobów tytoniowych itd. Łącznie gospodarka i administracja publiczna (państwo, kraje, gminy i korporacje prawa publicznego) zatrudnia obecnie 627.000 osób tj. 28% ogółu niesamodzielnie zatrudnionych, spółdzielczość — 37.000 tj. 1,7%, gospodarka prywatna 1.572.000 tj. 70,3%.

Mineły lata. Można dziś powiedzieć, że przedsiębiorstwa upaństwowione zdały jak najlepiej swój egzamin, czyniąc zadość wszystkim wymogom gospodarności: przemysł upaństwowiony pracuje celowo, oszczędnie i z zyskiem, a przy tym z pożytkiem dla odbiorców i spóżywców (kilkakrotne obniżki cen stali, bardzo niskie opłaty za prąd elektryczny). W ciągu roku 1960 produkcja przedsiębiorstw upaństwowionych wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim o 20%, sama tylko produkcja stali wzrosła o 27%. Roczny obrót wszystkich przedsiębiorstw upaństwowionych wynosi niemal 20 miliardów szyl., przynoszą one około 4 miliardy szyl. czystego zysku, z czego połowa wpływa do skarbu państwa w postaci podatków, a połowa idzie na inwestycje (dane za rok 1960). Są to wyniki gospodarczo znakomite. „Dla politycznego, gospodarczego i społecznego rozwoju Drugiej Republiki — pisze Winkler — rozstrzygającym był udział socjalistów w rządzie. W oparciu o silną i zwartą partię, socjalistycznym członkom rządu udało się znakomicie doprowadzić do całkowitej zmiany w funkcjach państwa. Podczas gdy rządy bloku mieszczańskiego Pierwszej Republiki, hołdując liberalizmowi, niemal nie troszczyły się o gospodarkę, to rządy obecne, w których współdecydują socjaliści, ingerują w życie gospodarcze, kierując i planując, pomagając i popierając. Socjaliści przeprowadzili (w rządzie) podjęcie wielkich inwestycji w zakresie siłowni wodnych, sieci komunikacyjnej, odbudowy przemysłu i rolnictwa, budownictwa mieszkaniowego. Wymusili rozwinięcie polityki społecznej na wielką skalę (ubezpieczenie na starość, zasiłki rodzinne, opieka nad ofiarami wojny), czym osiągnęli powszechne podniesienie siły nabywczej i poprawę stopy życiowej mas ludowych. Można śmiało powiedzieć, że pod wpływem socjalistów dawne państwo — stróż nocny stało się socjalnym państwem dobrobytu. I nie ulega najmniejszej wątpliwości, że

tej socjalistycznej polityce gospodarczej i społecznej zawdzięczać należy jedno z największych osiągnięć naszej epoki: utrzymanie pełnego zatrudnienia”.

Socjalizacja dokonana została w formie przejścia przez państwo udziałów w spółkach akcyjnych. Konsekwencją upaństwowienia jest jawność wszystkich poczynań i kontrola publiczna. Przybiera ona postać wieloraką. Przede wszystkim rząd, a mianowicie ministerstwo przedsiębiorstw upaństwowionych, w porozumieniu ze stronnictwami koalicji rządowej, mianuje rady nadzorcze odnośnych spółek; w skład rad nadzorczych powołuje się przedstawicieli życia gospodarczego i spóżywców, zwłaszcza klientów odnośnych przedsiębiorstw; przedstawiciele robotników fizycznych i pracowników umysłowych odnośnych przedsiębiorstw mają miejsca w radach nadzorczych zastrzeżone ustawowo. Bilanse podlegają kontroli ekspertów i są ogłaszane publicznie. Przedsiębiorstwa upaństwowione podlegają ponadto kontroli ministerstwa przedsiębiorstw upaństwowionych oraz najwyższej izby obrachunkowej; ta ostatnia przekłada wyniki swych badań parlamentowi. Stopień udziału „ręki publicznej” (państwa, krajów i gmin) oraz różnych odmian spółdzielczości w spółkach akcyjnych jest bardzo wysoki i wyniósł w roku 1960 (wedle danych Austriackiego Instytutu Badań Gospodarczych) w górnictwie i hutnictwie 86%, w przemyśle chemicznym i naftowym 74%, spóżywczym 40%, elektrotechnicznym 34%, konstrukcji stalowych i budowy wagonów 32%, mechanicznym 15%, włókienniczym 14%, papierniczym 12%, towarów metalowych 8%, razem w przemyśle 56%, ponadto w elektrowniach 100%, w bankowości 62%, w turystyce 54%, w handlu 15%, ogółem „ręka publiczna” posiada 64% kapitału zakładowego w 450 spółkach akcyjnych. Jeśli chodzi o udział „ręki publicznej” w produkcie społecznym, to wynosi on w rolnictwie i leśnictwie 4%, w przemyśle 28%, w elektrowniach, gazowniach i wodociągach 87%, ogółem w produkcie narodowym brutto 29%. By skończyć z tymi, bardzo zresztą pouczającymi, statystykami, należy jeszcze podać liczby dotyczące przemysłów kluczowych. Otóż w ręku państwa znajduje się 100% produkcji ropy żelaza, 99% surowki żelaznej, 95% stali surowej, 94% węgla brunatnego, 85% energii elektrycznej i 70% aluminium.

Partia socjalistyczna zapewniała wielokrotnie, że nie dąży do socjalizacji dalszych przedsiębiorstw i dziedzin życia gospodarczego. Natomiast wiadomo, że pracuje ona nad znalezieniem sposobów zapewnienia robotnikom pełniejszego udziału w dochodach przedsiębiorstw, w których są zatrudnieni. Socjaliści austriaccy zdecydowanie odrzucają koncepcję „akcji ludowych” i tzw. upowszechnienia własności, natomiast wypracowali własną koncepcję „dywidendy społecznej”, złożonej z dwóch elementów: premii zasadniczej i dodatku. Premia zasadnicza miałaby wynosić określany corocznie odsetek przeciętnego zarobku pracobiorcy w przemyśle upaństwowionym; byłaby ona jednakowa dla wszystkich pracobiorców w przemyśle upaństwowionym. Dodatek miałby być wypłacany tylko w przedsiębiorstwach, wykazujących dywidendę co najmniej 3% od kapitału zakładowego; ustalana corocznie część dywidendy dzielona byłaby pomiędzy pracowników, w jednakowej wysokości dla wszystkich pracowników danego przedsiębiorstwa. Oblicza się, że w obecnym stanie rzeczy premia zasadnicza wyniosłaby 330 — 350 szyl. na osobę, dodatek — 650 szyl., razem



zatem do 1000 szyl. rocznie. Zwraca uwagę zasada równego podziału, niezależnie od wysokości indywidualnych stawek zarobkowych i od takich czy innych zasług osobistych. Prawo do dywidendy socjalnej ma być wmonitowane w regulaminy pracy. W ślad za przedsiębiorstwami państwowymi, dywidenda socjalna ma być rozciągnięta na przedsiębiorstwa prywatne.

„Samorząd producentów” — używając terminologii Marksa — wyraża się w dwóch instytucjach. Jedną z nich są rady zakładowe (*Betriebsraete*), których uprawnienia w przedsiębiorstwach upaństwowionych zazwyczaj wychodzą daleko poza ramy określone ustawą dla przedsiębiorstw prywatnych. Drugą są rady socjalne (*Sozialbeiraeete*), złożone parytetycznie z przedstawicieli zarządu fabrycznego i zatrudnionych; omawiają one gruntownie wszystkie zagadnienia polityki socjalnej i personalne w danym zakładzie. W skali ogólnokrajowej istnieje centralna rada socjalna, w której zasiada z jednej strony ośmiu przedstawicieli pracowników fizycznych i umysłowych, z drugiej strony ośmiu delegatów zarządów przedsiębiorstw, przewodniczącym jest minister przedsiębiorstw upaństwowionych lub jego zastępca. Dodajmy, że ministrem przedsiębiorstw upaństwowionych jest z reguły socjalista, co oczywiście wynika nie z konstytucji, lecz z układu sił i stosunków w koalicji rządowej. Położenie pracobiorców w przedsiębiorstwach upaństwowionych jest znacznie lepsze niż w analogicznych przedsiębiorstwach prywatnych, stawki płac z reguły wybiegają poza stawki ustalone układami zbiorowymi pracy dla odnośnych gałęzi przemysłu, fabryczne układy zbiorowe i regulaminy pracy zawierają też korzystniejsze dla robotników niż w fabrykach prywatnych postanowienia o czasie pracy, o pracy akordowej, o przerwach w pracy, o okresach wypowiedzenia umowy o pracę, o zatrudnianiu uczniów itd. Z reguły też, jeżeli robotnik zachoruje w czasie urlopu, nie wlicza mu się czasu trwania choroby do urlopu, tak samo nie wyłącza się robotnika z pracy bez względu na czas trwania choroby (prawo pozwala wywalić po czterech tygodniach choroby), nie pociąga się robotnika do odpowiedzialności za wyrządzone szkody o ile nie zachodzi oczywiście zła wola lub jaskrawe niedbalstwo itd. Pilnują tego wszystkiego rady zakładowe. Niemal wszystkie fabryki upaństwowione organizują własną służbę lekarską na miejscu w fabryce, wczas robotnicze we własnych ośrodkach wypoczynkowych, budowę kolonii mieszkaniowych w pobliżu miejsca pracy itd. Większość fabryk upaństwowionych wypłaca stale zasiłki swym byłym robotnikom, którzy przeszli na rentę starczą. Na warsztacie zamierzeń jest wypłacanie przez fabryki upaństwowione odpraw w wypadku odejścia z pracy z powodu macierzyństwa lub przejścia na rentę starczą po osiągnięciu wieku uprawniającego do renty.

Model austriacki jest modelem trójsektorowym, przy zdecydowanej przewadze czynnika publicznego w przemyśle kluczowych, komunikacji, zakładach użyteczności publicznej i bankowości. Wszystkie swobody polityczne zostały przy tym zachowane, ustrój demokratyczny funkcjonuje nie-nagannie. Związki zawodowe nie są krępowane w swej działalności, strajki są w przedsiębiorstwach państwowych dozwolone, wybory do wszystkich przedstawicielstw robotniczych są proporcjonalne, a w konsekwencji w ciałach tych reprezentowane są wszystkie kierunki polityczne (w takiej oczywiście sile, jaką mają na terenie danej fabryki czy przedsiębiorstwa). Mimo tych wszystkich osiągnięć socjaliści austriaccy nie mogą spocząć na

nym nie wszystkie zjawiska życia społecznego są automatyczne, nie wszystkie procesy są nieodwracalne. Poważne przechylenie się wahała w stronę prawicy w jakichś wyborach parlamentarnych mogłoby pociągnąć za sobą zerwanie koalicji z udziałem socjalistów, a w dalszej konsekwencji reprivatyzację przemysłu, przynajmniej częściową. Przyznajemy, że hipoteza ta jest zupełnie nieaktualna, wzmiankujemy ją tylko *per maxime inconcessum*, by wskazać, jak wysokie wymagania stawia demokracja polityczna partii socjalistycznej: nigdy nie może ona złożyć rąk. Parafrazując maksymę Burke'a należy powiedzieć, że ceną postępu społecznego jest wieczna czujność wszystkich zainteresowanych w tym postępie.

Krem.

## Manuskrypty polskie Karola Marksa

Na losach pism Karola Marksa i Fryderyka Engelsa zaciążyło rozbięcie pozostałych po nich manuskryptów. Było ono rzeczowo nieuzasadnione, albowiem twórczość obu tych pisarzy stanowi nierozdzielalną całość. Dwanaście lat, o które Engels przeżył Marksa, poświęcił na przygotowanie do druku II i III tomu „Kapitału”. Wprawdzie opublikował też niektóre inne nieznanne prace Marksa, np. „Krytykę programu gotajskiego”, ale całości spuścizny Marksa uporządkować nie zdołał. W swym testamencie podzielił Engels pozostałe manuskrypty: manuskrypty Marksa powierzył jego córce, pani Eleanor Aveling, wszystkie inne, tudzież całość korespondencji Marks-Engels, przekazał Edwardowi Bernsteinowi i Augustowi Beblowi. Ten pierwszy podział zrodził podziały następne. Potem przyszły zgony i konflikty wewnętrzne, które utrudniły a w pewnych okresach czasu nawet uniemożliwiły współpracę spadkobierców i powierników spuścizny pisarskiej Marksa i Engelsa. Potem przyszedł rozłam ostateczny. W roku 1919 powstała w Moskwie akademia komunistyczna, w roku 1922 wyłonił się z niej Instytut Marksa-Engelsa (późniejsza nazwa: Instytut Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina, dzisiejsza nazwa: Instytut Marksizmu-Leninizmu), do którego dyspozycji rząd sowiecki oddał fundusze, mające umożliwić zebranie i wydanie wszystkich pism Marksa i Engelsa. Instytut ten zgromadził wiele, ale nie wszystko (sposób gospodarowania tym, co zgromadził, stanowi odrębny temat). Część manuskryptów po Marksie i Engelse znalazła się w archiwach Partii Socjalno-Demokratycznej Niemiec, gdzie je złożyli Bebel, Bernstein i Karol Kautsky. Manuskrypty te udało się ocalić po dojściu Hitlera do władzy, weszły one w roku 1935 w skład archiwów Międzynarodowego Instytutu Historii Społecznej w Amsterdamie. Poza tymi dwoma instytutami, luźne manuskrypty rozrzucone są po różnych miejscach, np. w Instytucie Marksizmu-Leninizmu w Berlinie, jedna karta z manuskryptów Marksa trafiła nawet do Zakładu Historii Partii PZPR w Warszawie. Nie ma żadnego inwentarza spuścizny pisarskiej Marksa i Engelsa. Bibliografię ich dzieł opracował i wydał drukiem dr Maximilien Rubel w Paryżu w roku 1956. Obejmuje ona łącznie 1.056 pozycji, w czym 16 pozycji stanowią dubiosa. Bi-

biografia ta, jak się okazuje, nie jest kompletna. Nie ma też pełnego wydania dzieł Marksa i Engelsa, oba wydania rosyjskie, wydanie (wschodnio-)niemieckie i ukazujące się obecnie w Warszawie wydanie polskie nie są wydaniami kompletnymi.

W tych warunkach ukazanie się z końcem ub. r. książki z dwoma nieznanymi manuskryptami Marksa jest wielkim wydarzeniem dla każdego, kogo interesuje Marks jako uczonego bądź też jako działacza polityczny. Oba manuskrypty mają polską tematykę, oba genetycznie związane są z inicjatywami z okresu powstania styczniowego, pierwszy — z broszurą o sprawie polskiej, którą Marks zamierzał wydać zaraz po wybuchu powstania w Polsce, drugi — z dyskusją w Radzie Centralnej Pierwszej Międzynarodówki nad adresem do narodu polskiego. Pierwszemu manuskryptowi wydawcy nadali tytuł „Polska, Prusy i Rosja”, drugiemu — „Polska i Francja”. Pierwszy powstał w maju 1863 roku, drugi w grudniu 1864 roku. Książka nosi tytuł: *Karl Marx, Manuskripte über die polnische Frage (1863-1864)*. Pojawiła się staraniem Międzynarodowego Instytutu amsterdamskiego, a nakładem domu wydawniczego Mouton & Co w Hadze. Wstępem i przypisami zaopatrzyli ją dwaj uczeni niemieccy: Werner Conze i Dieter Hertz-Eichenrode. Jest ona wzorem sumiennosci naukowej i pieczołowitości wydawniczej. Posługując się czcionkami różnej wielkości i kroju oraz całym systemem znaków graficznych, wydawcy pozwolili nam zapoznać się nie tylko z treścią tych dwóch nieznanych prac Marksa, ale i z jego warsztatem pracy i metodą pisarską.

Co te prace wnoszą nowego do naszej wiedzy o Marksie? Niezmiernie wiele. Znana od dawna postawa obu twórców naukowego socjalizmu wobec zagadnienia polskiego streszczała się w dwóch wyrazach: uważali oni Polskę za naród, po pierwsze, rewolucyjny, po drugie, niezbędny. Rewolucyjny charakter narodu polskiego wynikał stąd, że Polacy *musieli* być rewolucyjni, o ile nie chcieli jako naród zginąć pod panowaniem trzech mocarstw despotycznych, spojonych z sobą właśnie rozbiarami Polski. Dążąc do obalenia świętego przymierza reakcji europejskiej, Polacy stawali tym samym na czele żywiołów rewolucyjnych całej Europy przeciwko patriarchalno-feudalnemu absolutyzmowi w Europie. Polacy związały swą walkę o oswobodzenie narodowe z walką demokracji agrarnej, jedynej demokracji, możliwej podówczas w Europie wschodniej i tym oddziaływali rewolucjonizująco na cały układ stosunków społecznych wśród narodów ościennych. Zaslugą Polaków jest, że pierwsi proklamowali prawdę o związku zachodzącym pomiędzy niezawisłością od zagranicy i reformą rolną wewnątrz kraju. Tak oto patrzyli Marks i Engels na rolę i znaczenie Polski. Z drugiej strony utrzymywali oni, że oswobodzenie i zjednoczenie Niemiec nie będzie możliwe, jak długo Niemcy uciskają Polaków. Głosili, że powstanie demokratycznej Polski jest pierwszym warunkiem powstania demokratycznych Niemiec. Stąd dwa postulaty: aby Niemcy zrezygnowały z ziem polskich, pozostających pod pruskim panowaniem i aby z bronią w ręku zażądały od Rosji zrezygnowanie z ziem polskich, pozostających pod panowaniem rosyjskim. Marks i Engels nawoływali do wojny rewolucyjnej przeciwko Rosji pod hasłem odbudowania Polski. Rosję uważali bowiem za główną podporę reakcji w Niemczech i za wiaźadło reakcji europejskiej.

Takie były poglądy Marksa w sprawie polskiej w okresie wiosny

ludów. Książka, wydana obecnie w Hadze, świadczy, że nie uległy one zmianie w latach późniejszych, a tylko pogłębiły się pod wpływem przeprowadzonych studiów historycznych. Lista książek na tematy z polskiej historii, z których Marks w trakcie pisania swej broszury poczynił wyciągi, obejmuje 16 tytułów, lista dalszych książek, z którymi się zapoznał — 17 tytułów, lista książek, które tylko odnotował — 8 tytułów. Jak w roku 1848 punktem wyjścia dla artykułów w *Neue Rheinische Zeitung* była debata polska w frankfurckim Zgromadzeniu Narodowym, tak teraz posłużył się Marks debatą polską w Landtagu pruskim w dniach 26-28 lutego 1863 roku, w szczególności wypowiedziami barona von Vincke i premiera pruskiego Ottona Bismarcka. Marks akceptuje całkowicie ich tezę, że państwo pruskie nie może istnieć bez Rosji i że nie może współistnieć z niepodległą Polską: albo Prusy, albo Polska; przyznaje rację Bismarckowi, że do tego wniosku prowadzi cała historia pruska. Na tym jednak kończy się zgodność poglądów. Przede wszystkim, Marks odróżnia Prusy od Niemiec, nie tylko odróżnia — przeciwstawia je sobie. Wykazuje, że rozbiory Polski doprowadziły do podporządkowania Prusom całych Niemiec; że przeciwpoliska polityka Prus uzależniła je całkowicie od Rosji, stały się one szakalem Rosji; że przez Prusy panuje Rosja nad całymi Niemcami; że zniszczenie niepodległej Polski spowodować musi zagładę Niemiec, Polska niepodległa była bowiem jedynym wałem, który chronił Niemcy przed rosyjskim zalewem; że wszystkie zagadnienia niemieckiej polityki zewnętrznej sprowadzają się do jednego tylko problemu — odbudowania Polski niepodległej; skoro zaś Polska i Prusy współżyć z sobą nie mogą, więc wskazanie Marksa brzmi: *zniszczyć państwo pruskie, odbudować Polskę*; zlikwidowanie państwa pruskiego będzie równoznaczne ze zniesieniem hegemonii rosyjskiej nad Niemcami.

Opublikowanie tej pracy obala raz na zawsze tezę Róży Luksemburg i Franciszka Mehringa, jakoby pozytywne stanowisko Marksa w sprawie odbudowania Polski było ściśle związane z sytuacją roku 1848, później zaś przestało być aktualne. Widzimy, że nie tylko podtrzymał Marks swe dawne stanowisko, ale doprowadził je do ostatecznej konsekwencji: do postulatu całkowitego zniszczenia państwa pruskiego, aby Polska mogła istnieć i żyć. Widzimy także, że Marks swoje *delendam esse* pod adresem Prus wywodził z roli, jaką Prusy odgrywały jako lennik i zausznik Rosji i od której się oderwać nie mogły: przez Prusy Rosja panuje nad Europą, takie było zdanie Marksa. Marks w tej pracy wyprowadza rolę Polski z geografii i historii, z wolnościowych tradycji Polski i anty wolnościowych tradycji Prus i Rosji. Nie ma tu ani śladu motywacji koniecznościami rozwoju gospodarczego, nie zastosował Marks w tej pracy metody tzw. materializmu dziejowego. Poprzestał na umotywowaniu potrzeby wielkiej i silnej Polski względami wyłącznie politycznymi: funkcją Polski jest osłaniać Europę przed Rosją. To czysto polityczne podejście jest oczywiście nowe w zestawieniu z wypowiedziami Marksa i Engelsa z okresu wiosny ludów. *Manuskripte über die polnische Frage* obalają ostatecznie tezę, jakoby razem ze zniesieniem poddaństwa chłopów i pańszczyzny rewolucyjna i wolnościowa rola Polski w Europie miała zblednąć i wygasnąć.

Druga praca Marksa, nie zakończona, zajmuje się stosunkami polsko-francuskimi. Przedstawia w niej Marks „historycznie nie dające się obalić

fakty stałej zdrady Polski przez Francuzów od Ludwika XV aż do Napoleona III". I ta rozprawa jest rewelacyjna, jeśli chodzi o poglądy Marksa.

A po roku 1863? Przewrót w europejskim układzie sił, spowodowany zwycięstwem Niemiec nad Francją, nie wpłynął na zmianę poglądów Marksa i Engelsa w sprawie polskiej. Już w roku 1870 przewidywał Marks, że Francja po utracie Alzacji i Lotaryngii będzie sobie szukała sojusznika przeciwko Niemcom i że zwróci się w pierwszym rządzie do carskiej Rosji. W roku 1874 utrzymywał Engels, że zwycięstwo Niemiec nad Francją zrodzi nieuchronnie wojnę rosyjsko-niemiecką, że mimo to armia rosyjska będzie zawsze gotowa do oddania Prusakom usług przeciwko wszelkiemu wewnętrznemu ruchowi i że niemiecki ruch robotniczy ma tylko jednego niezawodnego sojusznika: naród polski. Bez niepodległości Polski nie widział Engels możliwości zwycięstwa rewolucji w Rosji; w tym sensie pisał, że niepodległość Polski i rewolucja w Rosji warunkują się wzajemnie. Przyszłość widział Engels w perspektywie rosnącego szybko w siłę („jak nawałnica”) niemieckiego ruchu robotniczego: Socjalna Demokracja niemiecka dojdzie niezadługo do władzy i wtedy naprawi wszystkie niesprawiedliwości, popelnione przez jej poprzedników; przygotowuje odbudowanie Polski, da Szlezwiakowi północnemu oraz Alzacji i Lotaryngii możność swobodnego wypowiedzenia się. Lecz jeśli przedtem dojdzie do wojny, w której walczyć będą Francja i Rosja z jednej strony, Niemcy i Austria, a być może i Włochy z drugiej strony? „Carat rosyjski — pisał Engels w *Almanach du Parti Ouvrier* na rok 1892 — jest wrogiem wszystkich narodów na Zachodzie. Hordy carskie wkraczające do Niemiec przyniosą z sobą nie swobodę ale niewolę, nie rozwój ale spustoszenie, nie postęp ale rozbewstwienie... Zwycięstwo cara byłoby ujarzmieniem Europy... Jakież wobec tego są obowiązki niemieckich socjalistów? Z całych swych sił zwalczać Rosję i jej sojuszników, mniejsza o to, kto jest tym sojusznikiem. Jeżeli republika francuska oddaje się na usługi cara i 'samodzierzcy wszystkich Rusów', to socjaliści będą ją zwalczać, z bólem w sercu, to prawda, ale zwalczać ją będą... Partia socjaldemokratyczna w Niemczech może zmusić rząd do użycia w takiej wojnie środków rewolucyjnych, albo nawet sam rząd zastąpić". Jednym słowem, wizja wojny jakobińskiej w obronie Niemiec, o *rewolucji w Rosji ani słowa*. Ten właśnie artykuł, stanowiący ostatnie słowo Engelsa (Marks już od dawna nie żył), nieodzowny dla zrozumienia polityki twórców socjalizmu naukowego w sprawie polskiej, został pominięty w zbiorowym wydaniu pism Marksa i Engelsa o Polsce, które ukazało się z końcem 1960 roku w Warszawie. Nic dziwnego: gdyby był pomieszczony, cała konstrukcja słowa wstępnego Celiny Bobińskiej zawisłaby w powietrzu, razem z jej interpretacją poglądów Marksa i Engelsa na sprawę polską.

Nikt nie wie, co dzisiaj o sprawach polskich myśleliby i pisaliby Marks i Engels. Natomiast wiemy, co o nich myśleli i pisali za swego życia. Książka *Manuskripte über die polnische Frage* wzbogaca tę naszą wiedzę ogromnie. Razem z innymi dokumentami, pozwala nam ona ustalić dokładnie, jakie były poglądy Marksa i Engelsa na sprawę polską w roku 1848, 1863, 1892. Nie takie, jakie im przypisywała Róża Luksemburg i nie takie, jakie im przypisuje Celina Bobińska.

## Sprawy i troski

### Z australijskiej perspektywy

W Australii, według danych oficjalnych, przebywa blisko siedemdziesiąt tysięcy Polaków. Gdyby wszyscy mieszkali w jednym okręgu, gdyby każdy z nich miał czynne prawo wyborcze i gdyby byli zjednoczeni — mogliby od biedy wydelegować jednego posła do parlamentu federalnego. Ponieważ zaś rozsypani są małymi grupami po całym wielkim tutejszym kontynencie i nie jest prawdopodobne — ani możliwe — aby skumulowali się jedynie w celu uzyskania choćby tej symbolicznej reprezentacji w rządzie, więc trzeba sobie spokojnie i bez melancholii powiedzieć, że ta ewentualność na razie odpada.

Poza tym, cytowana często i z uporem liczba siedemdziesięciu tysięcy polskich dusz jest być może formalnie niedaleka od prawdy, ale nie taka dokładna. Faktem jest, że pewien procent innych narodowości przybył tu pod nalepką polską. Jest też odsetek małżeństw mieszanych, z niepolską żoną. Ponieważ zaś obowiązujący tu termin *nationality* nie oznacza prawnie „narodowości” — uzyskanie dokładnych danych o liczbie prawdziwych Polaków, nawet od ministerstwa imigracji, nie byłoby łatwe.

Krótko mówiąc — jest nas trochę mniej niż nam się wydaje.

Rozprzestrzenienie Polaków (oraz innych narodowości) na terenie Wspólnoty Australijskiej jest rezultatem tak zwanego ongiś „kontraktu” imigracyjnego, mocą którego każdy z wpuszczonego tu bezdomnych wędrowców zobowiązał się — bo wtedy nie miał innego wyjścia — do przyjęcia na okres pierwszych dwóch lat pobytu każdej wyznaczonej mu przez rząd pracy. O miejscu zatrudnienia decydowały oczywiście czynniki przydzielające i aczkolwiek głównym probiezmem skierowania człowieka do produkcji powinno być danie mu zajęcia pozwalającego w pełni wykorzystać jego przygotowanie fachowe — to jednak urzędy pośrednictwa, niewątpliwie w wyniku z góry podyktowanej polityki, kierowały się także motywem zapobiegania pow-

stawaniu monolitycznych skupisk narodowościowych i językowych, w rodzaju „Little Puerto Rico” na górnej Fifth Avenue w Nowym Jorku, czy niemal całkowicie zgermanizowanych enklaw etnicznych na terenie stanu Pensylwania, U.S.A. i tym podobnych w innych krajach świata.

Przewodnią myślą polityki emigracyjnej w owych czasach — rok 1949 i następne — była poza industrializacją Australii, asymilacja nowoprzybyłych w jak najkrótszym czasie. Nawet na rozmowy emigrantów między sobą w języku ojczystym i w miejscu publicznym patrzono krzywym okiem, choć logika i ten osławiony anglosaski *common sense* wskazywałyby, że nie można wymagać tak nagle aby dwaj, dajmy na to Polacy w średnim wieku mówili po angielsku w trzy miesiące po wylądowaniu. O tym, że od dwóch Polaków w ogóle nie można wymagać, aby mówili między sobą po angielsku — gdyby nawet znali ten język lepiej od Conrada — pomyślano dopiero o wiele później, gdy politykę asymilacji przemianowano na hasło „integracji”. Różnica jest subtelna, choć cel ostateczny pozostał niezmienny. W okresie forsownej asymilacji żądano od nowo przybyłych, aby stali się jak najprędzej Australijczykami, jeżeli już nie z krwi, to przynajmniej z kości. Integracyjna teza uznała, że nie ma cudów i że na wchłonięcie obcego elementu w społeczeństwo lokalne bez nabawienia się ostrej niestrawności demograficznej — potrzebny jest nie tylko nakaz z góry i powtarzanie pustawych sloganów o *Australian way of life*, ale też konieczność spotkania emigrantów w polowie asymilacyjnej drogi, wyjście im na przeciw i cierpliwa tolerancja — zanim się ich nie połknie jak swoich. Coś w rodzaju procesu odżywiania się ameby, która przedtem otacza sobą pokarm, a potem go przyswaja.

Nawet w niewielkiej ludnościowo Australii (dziesięć milionów na obszarze większym od Stanów Zjednoczonych), nieliczni i rozproszeni na przestrzeniach odległych dosłownie o tysiące kilometrów emigranci polscy mają tylko jeden środek łączności publicznej: jest nim lokalna prasa polska. Ona stanowi to medium, które umożliwia rozrzuconym garstkowi trzymanie się razem. Dzięki niej liczniejsza polska grupa, na przykład w Sydney, nad Oceanem Spokojnym, może poprzez moralnie odległą o pięć tysięcy kilometrów gromadę w Perth, nad Oceanem Indyjskim.

Gdy mowa tu o prasie polskiej, to wyraz ten powinno się umieścić w cudzysłowie. Polska ona jest, ale nie jest oczywiście prasą, w znaczeniu krajowym, przedwojennym. Owszem, dwa czy trzy tygodniki ukazują się już od kilkunastu lat *and the show goes on*, bo nie zdarzyło się jeszcze żeby numer, jaki on tam jest, nie wyszedł na czas. Lecz poza redaktorami i ich dzielnymi żonami stałych współpracowników nie ma. Stałych w znaczeniu takich, którzy są wobec redakcji formalnie i umownie zobowiązani do dostarczenia materiału regularnie i na czas. Jest zdaje się jeden wyjątek w osobie dziennikarza, który od lat i bardzo regu-

larnie redaguje tu w jednym z pism kolumnę pod tytułem „Komentarz Australijski”.

Teoretycznie więc możliwe jest, a praktycznie zdarza się to często, że pan Y lub pan Z nie ma ochoty, czy natchnienia, albo ma kociokwik i „ma to w nosie” — i nic nie przysyła. I nie wszyscy dziennikarze zawodowi zajmują się tym dorywczym pisanem. Jeden wcale nie pisuje, albo tak rzadko, że to się nie liczy — prowadzi natomiast z powodzeniem biuro podróży. Drugi przeważnie sprzedaje zabawki. Kilku innych pracuje jako urzędnicy państwowi i od czasu do czasu do czasu coś machną na odczepnego. Za to jeden redaktor naczelny jest byłym oficerem zawodowym drugi — byłym kupcem. Obaj okazali się niespodziewanie zdolnymi ludźmi i godni są tylko pochwały. Gdyby nie oni — to kto wie czy mielibyśmy polską prasę w Sydney i w Melbourne.

A przecież nie można się dziwić, że nawet zawodowi dziennikarze pisują tylko dorywczo. Nie powinniśmy zapomnieć o jednym, przyziemnym wprawdzie, tym niemniej ważnym czynniku: z samego pisania do polskiej prasy w Australii nawet dziennikarz utrzymujący uczciwą zapłatę za swoje artykuły nie mógłby się utrzymać; najprawdopodobniej umarłby z głodu w dość krótkim czasie. A zapłata jest daleka od dostatecznej. Najczęściej jest symboliczna lub żadna.

Każdy więc z pisujących ma — bo mieć musi, jeżeli chce żyć jak człowiek — swoje zwykłe zarobkowe zajęcie, które nie zawsze idzie w parze z możliwością poświęcenia czasu na pisanie. W związku z tym można zanotować interesujący fakt, że niektóre artykuły zawierają wszyte w tekst, i to dość grubymi nićmi, reklamy pewnych polskich firm handlowych na tutejszym terenie. Przypomina to historię przedwojennego reportera „Wieczoru Warszawskiego”, który pewnego dnia opisał w gazecie włamanie do znanego sklepu przyrządów do rybołówstwa. Notatką zainteresował się przypadkowo VIII komisariat PP i grzecznie zapytano redaktora skąd on się o tym przestępstwie wywieział, bo oni nie otrzymali żadnego meldunku. W rezultacie autor „artykułu” wyskoczył z posady tak szybko, że nie wiedział w pierwszej chwili co go rąbnęło. W Australii, w naszej prasie, taka forma reklamy jakoś uchodzi. Ciekawe.

Wróćmy jednak do naszego biednego redaktora, któremu nie przysłano solennie obiecanego materiału do bieżącego numeru. W takich wypadkach — gdy współpracownik nawalił — trzeba łątać dziurę przedrukami na tempo i skąd popadnie, lub wypełniać luki bezpłatnie dostarczonymi (i tyle wartymi co kosztują) komunikatami, przeważnie ze źródła amerykańskiego, o charakterze naiwne antykomunistycznym z dużą domieszką „Schadenfreude”. Te sławetne „serwisy prasowe” przypominają niekiedy znaną przedwojenną serię rysunków Mariana Walentynowicza w rodzaju „jak mały Kazio wyobraża sobie położenie p. Chruszczowa na obie łopatki”.

Następnym skutkiem braku stałych współpracowników jest to, że redaktor, aczkolwiek niewątpliwie zdaje sobie z tego sprawę, często zmuszony jest drukować materiał mało wartościowy, drugo- i trzeciorzędny, czasami produkt wręcz grafomański, lub nieoszlifowane wypociny, oparte na naiwnych dobrych chęciach i wierze w siebie, lecz jednocześnie na miłą zalatujące beztalenciem i brakiem minimum doświadczenia w pisaniu — przysyłane do druku w świadomości czy w chytrej nadziei, że na bezrybiu i rak ryba i że w redakcji nikt nie będzie miał czasu ani ochoty poprawiać tego i wydrukują, byle nie było jaskrawych błędów ortograficznych i gramatycznych.

Zdesperowany redaktor często puszcza taki materiał na lino typ. Samymi komunikatami Radia Free Europe nie wypada przecież wypełnić numeru gazety wychodzącej w Australazji. Więc drukuje się i te utwory grafomańskie, i te naiwne, i te dawno już nieaktualne i pachnące lamusem wspomnienia osobiste, które rzadko kogoś interesują poza tym, który je napisał, żeby jeszcze raz — albo zgoła po raz pierwszy — ujrzeć swe nazwisko na łamach bardzo zaściankowej, lecz przecież autentycznej, drukowanej gazety, z ryczałtem pocztowym, i sprzedawanej za prawdziwe pieniądze.

Tak powstają miejscowe sławy pisarskie.

Czasu na solidne poprawienie lub użycie nożyc i tego słynnego ołówka czerwonego — redaktor ma mało. Bardzo mało. Bo poza uganianiem się za materiałem musi też zająć się korektą, rozplanowaniem metrampażu, przygotowaniem egzemplarzy do opakowania, zaopatrzeniem je w nalepki adresowe, nadaniem na pocztę i monitorowaniem o zaległą pręnumeratę. Należy też wciąż myśleć o następnym numerze, gdyż tydzień ma niestety tylko siedem dni. I to wszystko trzeba robić między wizytami nieproszonych gości, którzy pod jakimkolwiek pozorem i pod byle pretekstem „wpadają na chwilę” do redakcji i zasiadają do pogawędki o starych Polakach z kochanym naszym redaktorem. Jedynie anielska cierpliwość oraz dobrze zrozumiany interes własny powstrzymują go przed wyrzuceniem ach! jakże miłego gościa na zbitą twarz.

Albowiem redaktor małego pisma na emigracji musi niekiedy być nie wyświęconym spowiednikiem, radcą matrymonialnym, rozjemcą i w ogóle spluwaczką emocjonalną. Dodajmy do tego czytanie najdziwniejszych listów, nieuniknione czasami odpowiadanie na korespondencje, telefony i pilnowanie drukarni — a zrozumiemy, że los pozał się Boże jednoosobowej redakcji tygodnika polskiego w Australii nie jest do pozazdroszczenia. Ale trzeba uśmiechać się do ludzi, kadzić czytelnikom, „robić dobrą twarz do złej gry” i broń Boże nikogo nie dotknąć, bo zaraz się obrazi i kropnie taki! list do redakcji, pod kopią, panie szanowny.

Pomimo tych osławionych siedemdziesięciu tysięcy potencjalnych odbiorców nakłady są nieproporcjonalnie znikome i czytel-

ników oraz współpracowników należy wciąż na nowo zdobywać — prośbą i groźbą. I tu, jeżeli chcemy patrzeć na sprawę trzeźwo, poważnie i z perspektywy, musimy pomyśleć o dwu zmorach. Pierwsza — zanik dziennikarzy, czyli pisujących. Druga — zanik autentycznych czytelników, czyli takich którzy wymagają od pisma odpowiedniego poziomu i nie popierają go wyłącznie z obowiązku społecznego i patriotycznego.

W przeciwieństwie do arki Noego zaokrętowanie emigrantów do Australii nie było takie planowe z punktu widzenia zachowania gatunku; gatunku intelektualnego w ogóle i dziennikarskiego w szczególności. Szablony selekcji kandydatów pod Krzyż Południa były raczej negatywne: negatywny Roentgen przy prześwietleniu płuc, negatywny Wassermann, negatywna analiza moczu na białko i cukier i tak dalej. Poziom ciśnienia krwi był o wiele ważniejszy od poziomu umysłowego przy otrzymaniu pozwolenia na wyjazd. Stopnia inteligencji nie badali, przyjmując nie bez pewnej racji, że każdy i tak jest angielskim analfabetą. Dlatego przyjechało tu stosunkowo mniej inteligentów niż na przykład do Ameryki. I aczkolwiek, na równi z wszystkimi innymi, emigracja na antypody odbywała się pod cukierkowym hasłem pomagania biednym (i jak!) uciekinierom politycznym, była ona skądinąd planowana całkiem zimno, cynicznie i celowo: Chodziło o sprowadzenie wprawdzie nie taniego (to trzeba przyznać), ale zdrowego i psychologicznie nastawionego robotnika do fabryki i do łopaty (temu nie można się dziwić). Ludzi z dyplomami nie zachęcano do przybycia i cudów im nie obiecywano — każdy musiał podpisać ten sam kontrakt. W pierwszym stadium, zgodnie z umową, wszystkie kobiety przydzielano do służby domowej i do sprzątanania — i to nie tylko krowy — w szpitalach. Mężczyzn z reguły posyłano do pracy fizycznej — wszyscy bez wyjątku mieli na „permicie” pieczęć: *labourer* — włącznie z inżynierami, lekarzami (sic!), adwokatami i — dziennikarzami. Oczywiście z czasem to się zmieniło, choć nie z inicjatywy czynników oficjalnych. Sprawiedliwość nakazuje tu dodać, że nieznajomość języka angielskiego oraz całkowity brak kapitału początkowego nie zostawiały tym inteligentom innego wyjścia. Z drugiej strony pewne jest, że jeżeli jest nam teraz dobrze, to sami sobie mamy to do zawdzięczenia.

Rezultatem tej polityki ryczałtowego zatrudnienia fizycznego było między innymi i to, że inteligenci przyjeżdżali do Australii tylko w ostateczności. Bowiemi wieści o faktach — zresztą oficjalnie nie ukrywanych — rozeszły się szybko i wkrótce każdy dziennikarz wiedział, że w swoim zawodzie nie znajdzie tu chleba i że będzie musiał przez dwa lata odwalać kontrakt jako monter-podawacz u Forda, jako kucharz, jako skryba w hostelu lub jako magazynier ładunkowy itp. Rzecz prosta przybyła tu także garstka ludzi, których poziom wykształcenia oraz pewne ambicje i zdolności pisarskie wciągnęły do współpracy z naszą prasą. Ale zarówno zawodowi dziennikarze jak

i amatorzy są po prostu na wymarciu. To kwestia dekady, no, niech będzie dwudziestu lat i skończy się ta sporadyczna rezerwa. A narybku nie widać i nie wygląda na to, że się znajdzie. Sprobowaliśmy tu wprowadzić z Polski dwóch piłkarzy o redaktorskich nazwiskach, wątpliwe jest jednak czy zaczniemy sprowadzać dziennikarzy.

Problem braku narybku dziennikarskiego wiąże się ściśle z drugim objawem, jakim jest, a raczej będzie, zanikanie czytelników o wymaganiach utrzymujących pisma na odpowiednim poziomie. Obecnie większość czytających nasze tygodniki składa się oczywiście z tych imigrantów polskich, którzy przyzwyczaili się w nie tak dawnych latach do pisma w ojczystym języku. Do swojej, nie obcej gazety. Dzieci tych emigrantów wychowywane są w szkołach i na uniwersytetach australijskich i naturalnym biegiem rzeczy oswajają się z językiem angielskim; dla nich przestaje on być obcy. Wprawdzie w domu mówią po polsku, lecz już często prymitywnie, nie tak czysto i z akcentem angielskim. Zaraz zobaczymy co akcent w mówieniu ma wspólnego z czytaniem.

O ile ojciec ze zwykłego sentymentu i z ludzkiego zamiłowania do ploteczki czyta sydneyjskie „Wiadomości Polskie” lub melburneński „Tygodnik Katolicki”, zawierające „ostatnie wiadomości” sprzed dziesięciu dni, to jego synalek czy córuchna już tak silnego pociągu do mowy ojczystej nie odczuwają — tym bardziej, że w szkołach wciąż wbijają im w głowę, że rozmawianie po polsku w okresie uczenia się angielskiego nadaje ich mowie niepożądany akcent. W rezultacie więc wolą mówić jak najmniej po polsku z mocnym akcentem angielskim niż po angielsku z polskim i w ten sposób oddalają się od języka ojczystego, tracą z nim kontakt.

Tak zanika przyszły czytelnik.

Godny najwyższej pochwały wysiłek pewnych jednostek starszego pokolenia przy organizowaniu i prowadzeniu polskich szkółek niedzielnych nie wstrzyma, niestety, australijskiej integracji młodego pokolenia. Szkółki te, prowadzone z prawdziwym samozaparciem, mają szlachetny cel wpojenia na czas dziecku zamiłowania do mowy ojców i do utrwalenia w nim polskości już w zaraniu. Istnieje wszakże poważna obawa, że gdy te oddane sprawie jednostki zestarzeją się ponad miarę i wymrą, to wraz z nimi zniknie intensywność szkółek niedzielnych. Z różnych powodów, których lepiej nie wymieniać, nie wszystkie dzieci chodzą do tych szkółek. Ale gdyby nawet każde polskie dziecko w Australii uczęszczało na te wykłady tygodniowe to nawet przy istnieniu odpowiednich sił pedagogicznych — których dość nie mamy — dojście do poziomu matury z polskiego musiałoby potrwać czterdzieści lat, co jest oczywistym absurdem. W konkluzji wypada stwierdzić, że mocno wątpliwe jest czy z tych dzieci będziemy mogli czerpać kandydatów na przyszłych polskich dziennikarzy i ich czytelników w Australii.

Jeszcześmy nie dorośli do takich „klasyków” emigranckiej mowy jak „zaparkowałem karę, na kornierze i wskoczyłem do salonu na drinka” (angielski plus Mazowsze), albo „kamion to ci wleciał do kafejki i zrobił się pieroński frakas” (francuski plus Mysłowice), czy też „przyszmajsowałem mu rychtyk w zycflajsz i szlus, był kaput” (niemiecki plus nic). Przykłady te są nieco naciągnięte, lecz dość wyraźnie oddają sposób wyrażania się niejednego kandydata na czytelnika prasy emigracyjnej w Toronto, w Pas-de-Calais czy ongiś w Wirtembergii. Przypuszczalnie, po zastrzyku nowej krwi emigracyjnej *by courtesy of Messrs. Adolf Hitler et Consortes* sytuacja musiała się wszędzie nieco poprawić. Na jak długo?

W Australii nie było, praktycznie biorąc, starej emigracji polskiej. Zaczęła się dopiero po ostatniej — pardon! drugiej — wojnie światowej. Ale historia zaczyna się powtarzać i w dwadzieścia trzy lata po wrześniu spotykamy w naszych tutejszych gazetkach takie określenia jak „tijnejdżer” (zamiast: młokos lub podłotek) i „maintenance” (zamiast: konserwacja) i inne „perelki” wstawione do tekstu jakby nigdy nic, niekiedy bez cudzośłowu, jako coś samo przez się zrozumiałe i naturalne. Do wyżej wymienionych klasyków o salonach alkoholowych, kamionie i zycflajszu jeszcześmy nie dorośli — lecz nie jesteśmy już tak daleko jak nam się wydaje od tego rodzaju wykoślawionej polszczyzny. A z mową jest jeszcze gorzej — po prostu zaczyna się roić od spolonizowanych anglicyzmów, szczególnie u młodego pokolenia, które te „wstawki” koniuguje, deklinuje i mnoży po polsku, aż miło.

Ta dysfiguracja lub co najmniej symplicyfikacja będzie też groziła w coraz większym stopniu słowu pisanemu. Albowiem amatorski dziennikarz piszący dla publikacji ma specyficzną umysłowość. Popęd do pisania zmieszany z oportunizmem jest u niego często tak silny, że aby go zaspokoić gotów jest bez głębszego namysłu zejść do poziomu czytelnika. On pisze „frydź” nie dlatego, że nie zna słowa „lodówka” — ale dlatego, że większość jego czytelników używa słowa „frydź” i basta. Nie odnosi się to wyłącznie do amatorów — objaw wulgaryzacji prasy dla jej popularyzacji jest obecnie powszechny na całym świecie. A naiwny redaktor, który dla zaspokojenia kilkunastu pięknouduchów emigranckich w Sydney czy w Melbourne chciałby z uporem ignorować masę odbiorców gazety i upierać się przy górnolotnych zdaniach i tematach — musi liczyć się z nagłym i spodziewanym spadkiem i tak niskiego nakładu. Dla ludzi władających jeno prymitywną polszczyzną trzeba będzie prymitywnie pisać, bo skomplikowanych myśli prostym językiem nie oddasz.

Tak spada poziom.

Ten proces obniżania jakości nie odbędzie się, oczywiście, nagle. Póki istnieje inteligencja, póki żyje pokolenie wychowane w Polsce — trzeba się z nimi liczyć. Przemiany będą po-

wolne, niedostrzegalne, lecz nieuniknione w miarę wymierania generacji starszych, urodzonych w ojczyźnie emigrantów.

Uwagi te odnoszą się nie tylko do prasy. Może nadejść taki czas, że po odczycie w Polskim Kole Kulturalno-Artystycznym w Sydney, czcigodny prelegent ukloni się, zejdzie z podium i zasiądzie ze swymi słuchaczami do brydża... jeżeli znajdą gdzieś czwartego. Bo jedno jest na razie pewne: starzejemy się, podświadomie wsiąkamy w obcy teren i któregoś dnia musimy umrzeć. A młodzi tutejsi będą inni od nas. Może będą dobrze gotowali bigos, lecz bez odpowiednich szkół oraz tuzina innych warunków większość z nich nie będzie znała tak dobrze języka ojczystego jak my. Nie starczy ich na nawet robiący bokami przyzwoity tygodnik. I kto go będzie pisał?

Dochodzimy więc do raczej smutnego wniosku, że tak jak sprawy obecnie stoją — albo leżą — prasa polska w Australii skazana jest na mniej lub więcej powolne zniknięcie, lub przynajmniej na skarłowacenie. Świeca spalana jest jednocześnie z obu końców: dziennikarskiego i czytelniczego. Smutne? Więc może warto się zastanowić nad środkami zaradczymi.

Ktoś gotów powiedzieć, że niepolitycznie jest pisać o takich sprawach na emigracji. Na to można odrzec, że realistyczne podejście do problemu, aczkolwiek gorzkie, zdrowsze jest od przyjemnej iluzji lub bezczynnego wyczekiwania na coś co może nastąpić dopiero po naszej śmierci.

Chowanie głowy w piasek? *Dolce far lo stesso?* Oczywiście, to też jest punkt widzenia.

Jeżeli natomiast nie chcemy pozostać pasywni i jeżeli sytuacja jest do uratowania — to jednak warto sobie wyraźnie zadać pytanie: Co się stanie z polską prasą w Australii, gdy obecne pokolenie piszących i czytających wymrze i gdy tu wychowane pokolenie zacznie się asymilować?

Czy ta może zbyt ponura prognoza będzie miała cechy aktualności w zastosowaniu do niesubwencjonowanej prasy polskiej w innych skupiskach pohitlerowskiej emigracji — to już inna sprawa.

Adam NASIELSKI

Polsko-szkocki Hotel

"STRATHGONA COURT"

(Właśc. C.C. Ślezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą od 21 szylingów

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

## Kronika kulturalna

### O trzech młodzieńcach

„Jestem zakochany w malarstwie od chwili gdy uświadomiłem sobie jego istnienie w 10-tym roku mego życia.

Zrobiłem kilka obrazów, wierzyłem, że były dobre gdy miałem lat 50, ale wszystko co zrobiłem przed 70-ką nie miało żadnej wartości. Gdy miałem 73 lata zdobyłem zdolność uchwycenia wszelkich zjawisk natury — kształtu ptaków, ryb, zwierząt, drzew, wszystkiego. Kiedy będę miał lat 80, pójdę jeszcze dalej, ale posiadę naprawdę sekret sztuki, gdy będę miał lat 90. Kiedy osiągnę lat 100 sztuka moja będzie prawdziwie wzniosła, cel zaś mój ostateczny osiągnę około roku 110 mego życia, wtedy każda kreska i każda kropka, którą nakreślę, będą nasiąknięte życiem”. To słowa wielkiego Hokusai „starca opętanego rysunkiem”.



Jakże nie wspomnieć Hokusai'ego po obejrzeniu dwóch wystaw: 80-letniego Braque'a w Luwrze i 81-letniego Picassa w Galerie Leyris. Ale cóż pisać o dwóch mistrzach, zapisano już o nich tony papieru i powiedziano wszystko: chyba tylko wejść w głąb swego własnego wobec tych obrazów przeżycia i starać się je wypowiedzieć.

Nigdy nie czułem się synem, pociotkiem, czy choć ubogim krewnym Picassa, jego nieprawdopodobna mimikra, wprost cyrkowa wirtuozeria, to narzucanie coraz to nowej mody, jakby był Diorem malarstwa, dawały mi prędzej uczucie obcości, a zachwyt nad jego obrazami nie trwał we mnie na tyle, żeby na świat mojego widzenia oddziaływać — był nieraz gwałtowny, ale szybko przemijający.

Braque zachwycał mnie bliżej, cieplej niż Picasso, ale i on w ostatnich czasach mi się oddalił. Jest on chyba pierwszym malarzem, który dostąpił zaszczytu wystawienia w Luwrze za

zycia: malarska kanonizacja żyjącego artysty. Widzieliśmy wszyscy tyle Braque'ów, i takie tysiące reprodukcji nie tylko w książkach o sztuce, ale na wystawach sklepowych i nawet w pismach popularnych, że wahałem się czy iść na tę wystawę. Cóż tam mogę zobaczyć, czego już nie widziałem, chociażby w dobrych reprodukcjach, w książkach, które mam na półce nad łóżkiem? Ale gdy nareszcie trafiłem do wielkiej, podłużnej, półciemnej sali — galerii na parterze Luwru, gdzie same obrazy i rysunki Braque'a były nie gwałtownie, ale dobrze oświetlone odczułem od pierwszej chwili cichutki szok, to czego w sztuce szukamy, tę świeżość i jedyność przeżycia. Zrozumiałem ile mu zawdzięczają parę pokoleń malarzy, ile mu zawdzięczamy wszyscy.

Co daje to malarstwo? Esencję poetycką, którą rodzą nie ekstazy, nie szale, nie paroksyzm czy pożar wewnętrzny (Goya, Van Gogh, Sutin) ale surowy ład, wciąż dążony głębiej i głębiej, czujne i czule widzenie, płynące z samotnej kontemplacji, coraz jakby szczuplejszej ilości elementów. Sztuka tego artysty zwęża się z wiekiem i pogłębia. Żadnych nowych odkryć, które by przychodziły z zewnątrz i mąciły to wchodzenie samotne w głąb siebie. Parę martwych, owoce, arabeska salaterki, mandolina, bilard, krzesło, parę pejzaży, łódź, skały, brona rzucona w polu, fragmenty najwykleszych przedmiotów w pracowni, ptak — to niebieski, to czarny. Muzyka kształtów i barw, kameralna, coraz czystsza, dźwięczniejsza i wdzięczniejsza. Nie widzę tu żadnej przesady, gdy tego artystę porównują do Chardin'a. Myślę również o Mallarmé i o wpływie oczyszczającym i ogromnym, jaki ten poeta miał na poezję francuską.

Powraca pogłębione wspomnienie jego pierwszych, sprzed ilu laty, zobaczonych obrazów: gra zestawień ciepłej czerni, ostrej żółci, butelkowej szarej zieleni; materia o umyślnie podkreślonej chropawości powierzchni, to niezmierne i dyskretne *raffinement* zdobyte środkami świadomie najbardziej ubogimi.

Na starą gazetę naklejona wycinanka niebieskiego ptaka, otoczona wieńcem kresek z kolorowych ołówków, i już mamy dzieło drogocenne, właśnie drogocenne. Nie on jeden w swojej generacji robił *collages*, kleił papiery, sypał piasek czy tłuczone szkło na płótno, szukał jak wydobyć *qualité* środkami najprostszymi, „antymalarskimi” w pojęciu nie tylko każdego akademika, ale każdego wyznawcy tradycyjnego, gładkiego obrazu („to gładkie, jak piękne malarstwo” — mawiał Degas). Ale któż Braque'a prześcignął? Można najlepiej prześledzić tę coraz większą syntetyzację wizji na pejzażu który maluje od przynajmniej 1926 roku do 1960: łódź rzucona na plaży, to samo narastające ograniczenie elementów obrazu, ten sam proces jak w trzech wersjach „Chrystusa wypędzającego kupców ze świątyni” Greca. (Te obrazy Greca reprodukuje, i pisze o nich, Malraux w „Głosach milczenia”). Pierwszy obraz, malowany jeszcze w Wenecji, pod bezpośrednim wpływem Tintoretta, drugi już uproszczony (wersja rzymska), trzeci, po dwudziestu

latach w Toledo. W tym ostatnim Greco usuwa wszystko, co kompozycję rozprasza.

U Braque'a na właściwie realistycznym jeszcze obrazie z łodzią z 1926 roku mamy realistycznie potraktowaną różową plażę, mamy czerwone i brązowe budki kąpielowe, zieleni morza i prawie że po Boudin'owsku potraktowane szare niebo z chmurami. Obraz z łodzią z 1929 jest zwężony kolorystycznie i kompozycyjnie uproszczony: czarne niebo, białawe skały w tle, domki przepadły, a formy już nabierają swoistej i skrajnie przestyliżowanej niezależności. Ten motyw coraz to będzie wracał u Braque'a w przeróżnych wersjach, aż po 1960. W tym ostatnim płótnie co za oszczędność i swoboda traktowania tego tematu: czerń aksamitna (czym wydobyta?), jakby nałożona na płótno gęsta pasta do butów coraz to piaskiem wybrzuszona, jedna plama żółci cytrynowej, wyważona gradacją walorów, w niczym, w żadnym detalu nie wypadkowa — efekt, o którym dziś marzy każdy, aż po wyznawców *arts brute*, każdy odkrywca nowych „dreszczów” poprzez nieoczekiwane użycie materiałów najprostszych. Ile Dubuffet, Burri, czy Potworowski zawdzięczają Braque'owi — czy on nie jest właśnie ojcem tych malarzy, czy już nawet dziadkiem prawowitym, bardziej niż którykolwiek z malarzy tamtej generacji.

Płótna, i bardziej jeszcze rysunki z pierwszej epoki kubizmu, również wystawione w Luwrze w dużej ilości, to kubizm klasyczny, który obok Picassa stworzył Braque. Jakże byli wówczas podobni w niektórych szaro-brązowych geometrycznych płótnach czy w rysunkach podobnych do algebraicznych teorematów, czy wymieszanych ze sobą znaków fugi muzycznej. Co za przeskok od impresjonizmu i fowizmu, co za rzut skrajny wahał: artyści odkrywający wszystko co impresjonizm zatracił, nawiązujący do klasyków, przekreślający wszystko co impresjonizm odkrył i zdobył, tworzą sztukę cerebralną, namyśloną, surową matematykę form. Kiedy sztuka przeżyła ruch wahał tak gwałtowny i ile znaczy ten wstrząs o parę lat wyprzedzający wstrząsy wojenne, polityczne i rewolucyjne?

*Aleksandr Makiedonskij wielkiej czelawiek, no zaczem stulja lamat'* — mówi jeden z bohaterów Gogola. Ileż tych krzesel jakoby definitywnie połamano w przeciągu tych 50-ciu lat? I coż odkrywamy dziś? Że te bogi przeciwne, na śmierć ze sobą skłócone (impresjonizm z odnogami, postimpresjonizm aż po tasyzm kubizm aż po czysto geometryczną abstrakcję) spotykają się po latach, krzyżują, zarażając się wzajemnie. Czyż na niektórych płótnach Bonnard nie odczytujemy wpływów kubizmu, pokrewieństw z Braque'iem? Na jednej z ostatnich fotografii Bonnar-da i jego pracowni widzimy nad półką z farbami, werniksami, okularami, obok małego Renoir'a zadedykowanego Bonnardowi, przypięte pluskiewkami kartki-reprodukcje, między innymi „La grande jatte” Seurata i kubistycznego Picassa.



Niejedno płótno Braque'a każe myśleć o Bonnardzie, który się nigdy nie wyrzekł swych korzeni impresjonistycznych *Je ne suis qu'un pauvre impressioniste*. To czerwone, ogrodowe krzesło na ciemnym tle, z 1947 roku, na wystawie w Luvrze, mogłoby być prawie namalowane przez Bonnarda. Te same bonnardowskie filiacje uderzyły mnie na wystawie Braque'a sprzed paru laty u Maeghta, w obrazie z zieloną ławką (i chyba rowem). Te płótna robią wrażenie Bonnardów, tyle, że inną materią malarską wyrażonych. Subtelność, bogactwo, które Bonnard wypowiedział coraz to nowymi i coraz to subtelniejszymi kombinacjami barwnymi, przerzuca Braque na coraz to nowe kombinacje materii przy zwięzaniu kombinacji barwnych.

Braque daje nam w tym pokazie na swe 80-lecie poezję pełni klasycznej i może najbardziej francuskiej.



Znana jest złośliwa *boutade* Picassa z dawnych lat: Braque to moja żona". Sam go słyszałem w 1925 roku, więc w okresie gdzie miał za sobą już nie jedną transformację, gdy mówił z lekceważącą ironią o Braque'u „dobry do obić i parawanów w stylowych salonach” — ale tego rodzaju powiedzonka, jak i te które mówił przeciwko Van Goghowi i tylu innym (wprost wstyd je powtarzać) są interesujące jedynie jako wyraz psychiki samego Picassa, wciąż w poszukiwaniu nowych form wyrazu, nowej sensacji, w obsesji jakiejś epoki minionej, jakiegoś obrazu czy również rodzących się prądów, i może w ciągłym czytaniu, by go nikt nie „prześcignął”.

„Co pan myśli o młodym malarstwie? — „Ależ ja jestem młodym malarstwem” — miał parę lat temu odpowiedzieć Picasso.

Picasso całe życie uczył się i ściągał od wszystkich i nie znosił własnych naśladowców („wszy na mojej głowie”). Naturę, ciało ludzkie, każdą formę, całe życie, jak Hokusai, smakował, studiował, kopiował. Znany malarz i profesor Akademii Paryskiej, Sauverbie, powiedział mu niedawno: „moi uczniowie z pańskich dzieł czerpią natchnienie”. Picasso mu odpowiedział: „Niech Pan im powie, że są g... (inaczej i gorzej). Niech kopią naturę i rysują palce od nóg” (1).

Ten artysta, jedyny w swoim rodzaju, zawsze się od kogoś, od czegoś odbijał, zawsze kogoś czy coś gasił, demolował, by na nowo, na świeżo, inaczej budować. Nikt nie był bardziej niż on ojcem niepokoju, nieustannego głodu nowości.

Wystawa Picassa w Galerie Leyris, otwarta jednocześnie z wystawą Braque'a w Luvrze, świadczy o niewygastej, zwycięskiej młodości tego zawsze zaskakującego mistrza. Nie pamię-

(1) Rozmowa zacytowana przez Belmondo, też profesora Paryskiej Akademii w „Art”, z 18. IV. 1962.

tam jego wystawy bardziej świeżej i właśnie bardziej *malarskiej*. Wśród tych obrazów o niechybnych *kolorystycznych* wolorach („nie jestem malarzem, kiedy brak mi jednego koloru na palecie, kładę inny” — miał kiedyś powiedzieć Picasso (2), widzimy parę portretów żony, to na tle gwałtownej czerwieni, to ciężkiej zieleni, parę martwych, synka, psa, trzy pejzaże błyskawiczne, obraz z szafą monumentalną, ciężką, rzeźbioną, z kręconymi kolumnami, zawalającą trzy ćwierci wielkiego obrazu z psem i synkiem. Cóż za przestrzeń dzieli to malarstwo od Braque'a? Już sama technika tych płócien, błyskawiczna, i ta ekspresyjność *opowiadająca*, jest o sto mil od sztuki Braque'a najbliższego współtwórcy z pierwszych lat kubizmu. Przecie u Picassa, poprzez jego obrazy znamy jego życie, jego wybuchy, pasje, bunt, miłość, życie rodzinne i gusty polityczne. „Genialny wirtuoz i ekshibicjonista”, jak go chyba trafnie nazwał Woźniakowski.

Trzy pejzaże z Vauvenargue przypominają o wiele bardziej pejzaż w tle jakiejś mozaiki bizantyjskiej niż pejzaże XIX-wieczne. Zwięzłe, w paru wstrzymanych tonach, są równie ujmujące jak kobieta z lustrem, gdzie zalane niebieskie tło gra z różowością ciała kobiety, nie ma wątpliwości, że Picasso i u Matisse'a, z którym pono to kłócił się, to się godził — wiele się nauczył. Picasso nie tylko nie gardzi wypadkiem, ale wypadki wciąż wykorzystuje. Na jednym z płócien zgadujemy inny motyw, który porzucił, zamalował. Ale to wszystko razem tak gra w całości, że zdaje się konieczne. Deformacja najgwałtowniejsza, a na niektórych płótnach „monstrualna” aktu kobiecego (jakże Picasso nas przyzwyczaił zachwycać się wesoło tymi monstrualnościami) sąsiaduje z martwymi o klasycznej prostocie (butelka w słomianym koszu), o krok dalej martwe barokowe, przestyliżowane do ostatnich granic, czy piękny portret żony. To nie Braque, co wraca wciąż i wciąż do tej samej kompozycji, tych samych paru kształtów, które z niezmierną ostrożnością i namysłem wieloletnim z lekka przesuwają czy z lekka upraszcza. Picasso sam powiedział, że jego malarstwo to jego dziennik. 31 wielkich płócien w Galerii Leyris, to dosłownie 31 kartek z tego picassowskiego dziennika. Zapelniał nimi wielką salę galerii a większość tych obrazów zrobił, jak czytamy we wstępie, między 10 a 30 kwietnia 1960 roku, w nowonabytym i już porzuconym pałacu w Vauvenargue.

U Braque'a przemyślane przez lata układy kształtów, kolorów, pogodna czułość do świata, powrót po latach do tej samej łódki, czy tej samej salaterki; u Picassa co krok improwizacja,

(2) Wszystko co powtarzam ze słów Picassa, piszę w formie warunkowej, jeżeli tych słów nie słyszałem na własne uszy. O ludziach tej sławy, tak samo jak teraz o de Gaulle'u, mówi się wiele, cytuje się ich słowa i rzadko można sprawdzić czy nie zostały lekko sfalszowane, czy wprost wymyślone.

wybuch, jakby nieustanne przekreślanie tego co zrobił dzień wcześniej czy godzinę wcześniej. Więc taka też może być starość — głębinowa i zbożna jak u Braque'a — lub jak u Picassa pełna nieustannych odkryć i coraz cenniejszej zdobywczej i coraz częstszej wizji?



Hokusai umarł mając 89 lat. Jego syn O-e-dzi usłyszał, jak starzec wyszeptał parę chwil przed śmiercią: „Gdyby niebo mi darowało jeszcze chociażby pięć lat życia, mógłbym stać się wielkim malarzem”.

Józef CZAPSKI

## Łacina a sprawa języka międzynarodowego

Zagadnienie języka uniwersalnego istnieje od dawna, ale dotychczas nie zostało rozwiązane.

Jego odwieczność unaocznia Biblia w historii o budowie wieży Babel, owym pierwszym wspólnym wysiłku organizacyjnym ludzkości, który został zmarnowany, ponieważ budowniczości nie mogli się ze sobą porozumieć, mówiąc rozmaitymi językami.

Bywały okresy w historii, kiedy zdawało się, że cywilizowana ludzkość posiadała język międzynarodowy. W trzech ostatnich wiekach przed Chrystusem greczyzna (koiné) była wspólną więzią ówczesnego świata kulturalnego, a jej następczyni, łacina, panowała od pierwszych stuleci naszej ery poprzez średniowiecze aż do XVII a nawet — jak w Polsce lub na Węgrzech — XVIII w. Ale zarówno grecka „oikumene”, jak rzymski „orbis terrarum” obejmowały tylko ograniczoną część kuli ziemskiej, a łacina w wiekach średnich i części nowożytnych ogarniała jedynie Europę od Atlantyku po wschodnie granice Polski i od Skandynawii po Hiszpanię. Ogromne połacie globu pozostawały poza zasięgiem łaciny.

Nie ulega jednak wątpliwości, że łacińskie rozwiązanie zagadnienia było ze wszystkich dotychczasowych najszcześniejsze i najskuteczniejsze. Ale od stu lat znajomość tego języka bardzo upadła i zacieśnia się — poza Kościołem katolickim — do garstki specjalistów. Wszelkie więc próby przywrócenia łacinie roli

międzynarodowej spotykały się ze sceptycyzmem. Wydawały się nierealne i beznadziejne. Dopiero ostatnie wystąpienie papieża Jana XXIII, które dało mi asumpt do tego artykułu, przywróciło sprawie aktualność.

A tymczasem potrzeby życia domagały się wielkim głosem ustanowienia języka uniwersalnego. Posuwa się budowa kultury powszechnej wysiłkiem wszystkich narodów cywilizowanych. Im większe osiągnięcia tej budowy, tym bardziej zacieśnia się więź kultur narodowych, nie zagrażająca zupełnie ich indywidualności. Nie ma ona bowiem nic wspólnego z kosmopolityzmem, niwelującym osobowość poszczególnych narodów i wyjąławiającym je z ich przyrodzonych bogactw.

Unifikacja ta sprawia, że — jak zauważył wielki językoznawca francuski, A. Meillet, bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej — obecnie paryżaninowi bliższy jest cywilizacyjny Anglik lub Włoch, niż w pierwszej połowie ubiegłego stulecia mieszkaniec Szampanii. Kulturalny Europejczyk czuje się z dnia na dzień coraz bardziej u siebie we wszystkich krajach zachodniej kultury. Czy solidarnemu wysiłkowi kulturalnemu ludzkości (lub choćby — mamy nadzieję chwilowo — jej zachodniej części) grozi niebezpieczeństwo z tej samej strony, co biblijnej wieży?

Niebezpieczeństwo jest mniejsze, gdyż uczeni, artyści i inni pionierzy myśli ludzkiej rozmaitych narodów mogą ostatecznie, jako ludzie wykształceni, znaleźć jakiś sposób porozumiewania się. Ale napotykają w tym niejednokrotnie na poważne trudności. Okulista hiszpański, któremu do jego badań potrzebna jest znajomość pracy naukowej norweskiego kolegi, staje wobec niemożności jej odczytania. Brazylijczyk, zajmujący się literaturą powszechną, znajdzie stosunkowo niewiele przekładów utworów polskich na zrozumiałe mu języki. Dyplomaci, zjeżdżający się nieustannie na międzynarodowe konferencje, borykają się stale z trudnościami językowymi i posługują się paliatywami w formie pomocy tłumaczy.

W tych warunkach potrzeba języka międzynarodowego wydaje się być ważnym postulatem kultury ludzkiej. Nie należy on do sfery zainteresowań tylko lingwistów. Nie chodzi tu również jedynie o porozumiewanie się w międzynarodowych restauracjach i wagonach sypialnych, lecz przede wszystkim — jak się rzekło — w dziedzinie nauki, sztuki, spraw społecznych i polityki. Stąd wniosek, że jest to zagadnienie kultury w pełnym znaczeniu tego wyrazu.

Z tendencjami unifikacyjnymi kultury powszechnej walczą dążności nacjonalistyczne w poszczególnych krajach. Ludy, które w poprzednich pokoleniach nie wnosiły nic lub bardzo niewiele do wspólnego dorobku cywilizacyjnego, obecnie dochodzą do głosu, a czynią to w swych językach ojczystych. Nie można i nie ma się prawa ich wkładów kulturalnych ignorować. Brak wspólnego języka nie powinien przeszkadzać budowie kultury wszechludzkiej.

To rozumieją nie od dzisiaj wszyscy ludzie myślący. Dlatego od bardzo dawna, zarówno w poszczególnych krajach jak na międzynarodowych zjazdach intelektualistów, rozważa się sposoby znalezienia jakiegoś języka uniwersalnego. Ale zgodzie co do samej zasady nie zawsze towarzyszy zgoda co do środków jej realizacji, co do właściwego wyboru.

Wydaje się na pozór, że najwłaściwszym rozwiązaniem kwestii byłoby powołanie do roli języka międzynarodowego jednego ze współczesnych języków żywych. Do pierwszej wojny światowej rolę taką odgrywał w znacznej mierze język francuski, zwłaszcza w dziedzinie dyplomacji. Kwalifikowały go do tego nader ważne zalety: bogactwo i precyzyjność w oddawaniu myśli, klasyczna jasność i zwięzłość. Ale od 40 lat język angielski coraz bardziej wypiera francuszczyznę, a dzisiaj osiągnął zdecydowaną nad nią przewagę. Jest to przecież mowa dwu potężnych państw anglosaskich, rozumiana ponadto w wielu dominacjach, koloniach i państwach Wspólnoty Brytyjskiej oraz w Irlandii. A jednak nie jest to prawdziwy język międzynarodowy, nawet w ograniczeniu do świata zachodniego.

Rolę międzynarodową mógłby spełniać dany język tylko wtedy, gdyby był on nauczany obowiązkowo w szkołach wszystkich krajów obok mowy ojczystej i opanowany przez ludzi wykształconych (co najmniej ze średnim wykształceniem) na całym świecie.

Nie wierzę w taką możliwość, jeżeli chodzi o współczesny język żywy. Albowiem ambicje innych narodów nie pozwalają żadnemu językowi na odgrywanie omawianej roli uprzywilejowanej. Nie tylko Rosjanie nie zgodziliby się na takie faworyzowanie angielszczyzny. Przecież francuszczyznę „zdetronizowali” Anglicy i Amerykanie w dziedzinie dyplomacji właśnie wtedy, gdy byli najgorętszymi przyjaciółmi Francuzów, bo u kresu pierwszej wojny światowej. Wiemy, że wówczas język angielski równouprawnił się z francuskim w rokowaniach pokojowych i nawet na zredagowanie Traktatu Wersalskiego w samym tylko tekście francuskim nie zgodzili się Anglosasi: rezultatem był podwójny tekst traktatu, co znowu wprowadziło w następstwie rozbieżności w jego interpretacji.

Skoro więc żaden żywy język współczesny nie ma szans, by zostać uniwersalnym, czy wynika z tego, że może i powinien nim być język sztuczny? Tak utrzymują esperantyści oraz ich rywale, zwolennicy innych konkurencyjnych tworów lingwistycznych powstałych pracowniach. I trzeba przyznać zwłaszcza esperantystom, że akcję swą ujęli w silne ramy organizacyjne i oparli ją na szeroko zakrojonej propagandzie.

Otóż należy stwierdzić wyraźnie, że tzw. język sztuczny nie posiada zasadniczych cech mowy ludzkiej. Od czasu Wundta („Völkerpsychologie”) wiemy, że język powstaje w sposób organiczny, naturalny i podświadomy, że zatem sama zasada języka

sztucznego jest sprzecznością w założeniu. Nie jest on w ogóle językiem. W porównaniu z mową ludzką wygląda on mniej więcej tak, jak mechaniczny robot wobec żywego człowieka. Po wtóre język, to nie tylko środek porozumiewania się (jak sygnały optyczne, telegraf lub gesty głuchoniemych): jest to przede wszystkim zjawisko kultury duchowej, musi więc być wykwitem jakiejś cywilizacji. „Język” sztuczny nie jest wytworem cywilizacji żadnego narodu, nie ma przeto danych, aby uchodzić za czynnik kulturalny. Można by się w nim porozumiewać w hotelach czy agencjach turystycznych, ale do stosunków duchowych w dziedzinie nauki, literatury czy sztuki — mimo prób w tym kierunku — nie nadaje się.

Nie przekonywa główny (i właściwie jedyny) argument esperantystów, że język ich jest bardzo łatwy, gdyż łatwość sporządzenia jakiegoś narzędzia nie świadczy bynajmniej o jego zaletach w użyciu. A przy tym nie zapominajmy o okazałej liczbie „języków” sztucznych, jakie dotychczas wymyślono. Nie działa ona zachęcająco. Jest to prawdziwa inflacja pseudojęzyków, z których każdy pretenduje do roli mowy międzynarodowej, a przyczynia się tylko do spotęgowania zamętu. Trzeba by nowego wynalazcy, który by z tylu „języków” sztucznych spreparował nowy „język” sztuczny...

Zauważmy tutaj nawiasowo, że popularny „Basic English” jest właściwie również tworem sztucznym. Bo chociaż jego „podstawą operacyjną” jest mowa żywa, to jednak sztucznie ogranicza on jej bogactwo, amputuje części jej organizmu, pozbawia ją mnóstwa wyrazów, a nawet niektórych form gramatycznych. Twór p. Ogdena, pomyślany pierwotnie jako język międzynarodowy, spadł obecnie do roli pomocniczej metody nauczania angielskiego dla cudzoziemców.

Jeżeli tedy żaden język współczesny nie ma szans, by zostać uniwersalnym, nie wynika z tego, że może nim być tylko „język” sztuczny. Przecież sztuczność jest przeciwieństwem nie współczesności lecz organiczności. Logicznie więc należałoby szukać języka, który by był organicznym, nie będąc współczesnym. Język taki istnieje. Jest nim łacina. Czyżby ona miała przynieść rozwiązanie zagadnienia?

Pragnę zaznaczyć jak najwyraźniej, że nie jest moim zamiarem popierać „kandydaturę” łaciny do stanowiska języka międzynarodowego. Chciałbym tylko przytoczyć argumenty tych, którzy są zwolennikami takiego rozwiązania.

Niejednokrotnie już zwracano uwagę, że nie jest to mowa martwa. Nie zginęła ona z upadkiem starożytnego Rzymu. Żyła własnym życiem przez długie stulecia, właśnie jako język międzynarodowy. Była bowiem środkiem porozumiewania się świata kościelnego, politycznego, naukowego, literackiego, a nawet towarzyskiego, słowem — powszechnym językiem kulturalnym. Ale i potem nie przestała łacina właściwie żyć jako język mię-

dzynarodowy. Żyje do dzisiaj w Kościele rzymsko-katolickim (gdzie jest właśnie znamię jego „katolickości” czyli „powszechności”) i to nie tylko jako język ściśle obrzędowy: jest również i językiem encyklik papieskich, poruszających — jak wiadomo — nie wyłącznie zagadnienia religijne, lecz także najżywotniejsze problemy życia współczesnego, jak sprawa małżeństwa lub kwestie społeczne. A dalej prawo, medycyna i nauki przyrodnicze zachowały łacińską terminologię, nie mówiąc już o filologii klasycznej, która z natury rzeczy pozostała wierna łacinie: w tym języku pisze się rozprawy z tej dziedziny i redaguje czasopisma naukowe, a nawet obraduje, jak to się zdarzyło na zjeździe filologów-klasyków państw słowiańskich w Poznaniu w r. 1929.

Sobór Ekumeniczny, zbierający się w jesieni bież. roku w Rzymie, będzie obradował w języku łacińskim. Taka jest decyzja Jana XXIII. Ale dążenie papieża do odrodzenia łaciny nie ograniczyło się do tego zarządzenia. 22 lutego r. wydał on dekret (tzw. „constitutio”), noszący nazwę od swych początkowych słów: „Veterum Sapientia” („Mądrość starożytnych”), w którym — w zakresie wyłącznie religijnym — skierował sprawę na zupełnie zdecydowane tory. Mimo więc religijnego tylko charakteru tego dokumentu, warto się z nim zapoznać i z szerszego punktu widzenia, gdyż ma on niewątpliwie znaczenie także dla ogólnokulturalnego aspektu kwestii umiędzynarodowienia łaciny.

#### ORĘDZIE APOSTOLSKIE O POTRZEBIE ROZWOJU STUDIUM ŁACINY

Mądrość starożytnych, zawarta w literaturze Greków i Rzymian, jak również przesławne pomniki wiedzy tych narodów, należy uważać jakby za jakowąś zorzę przedświutu prawdy ewangelicznej, którą zwiastował na tej ziemi Syn Boży... Albowiem Ojcowie i Doktorzy Kościoła uznali w znakomitych zabytkach piśmiennictwa owych pradawnych wieków pewne przygotowanie umysłów do przyjęcia bogactw niebiańskich, których Jezus Chrystus „w szkodliwym gospodarowaniu obfitością czasów” (św. Paweł) użyczył ludziom śmiertelnym. Wypływa z tego wyraźnie, że we wprowadzonym chrześcijańskim porządku rzeczy nie zmarniało zaiste nic prawdziwego, sprawiedliwego, szlachetnego, pięknego wreszcie, co wydały wieki poprzednie.

Dlatego Kościół święty pielęgnował z najwyższym poszanowaniem tego rodzaju zabytki mądrości, a zwłaszcza języki grecki i łaciński, stanowiące samej tej mądrości jak gdyby złotą szatę. A przyjął do użytku także inne czcigodne języki, które kwitnęły na Wschodzie, ponieważ miały one niemałe znaczenie dla postępu rodzaju ludzkiego i jego kultury. One to zachowały swą

moc, używane bądź w obrzędach religijnych, bądź w przekładach Pisma św., i przetrwały nieprzerwanie w niektórych krajach do dzisiaj, właśnie jako głosy żywej starożytności.

W tej różnorodności języków jeden zaiste góruje nad innymi który zrodzony w Lacjum, później przyczynił się w jakże cudowny sposób do rozkrzewienia imienia chrześcijańskiego w krajach Zachodu. Albowiem nie bez Bożego zamysłu stało się, że język, który przez tak wiele stuleci zespałał przeliczne ludy w jedną całość pod władzą imperium rzymskiego, stał się własnym językiem Stolicy Apostolskiej i, zachowany dla potomności, łączy ze sobą chrześcijańskie narody Europy ścisłą więzią jedności.

Łacina bowiem z samej swej natury nadaje się wybornie do rozwijania wszelkich form kultury u jakiegokolwiek ludu, gdyż nie wzniesła zazdrości, okazuje równą miarę i bezstronność wobec każdego narodu, nie uprzywilejowuje żadnego, a wszystkim jest życzliwa i przyjazna. Nie należy zaś zapominać, że język ten ma w swej budowie i właściwościach coś szlachetnego; jego jedyny w swoim rodzaju styl związany, bogaty, harmonijny, pełen dostojenstwa i godności zaleca się jasnością i powagą.

Z tych przyczyn Stolica Apostolska dbała zawsze o gorliwe pielęgnowanie języka łacińskiego, uważając go... za godny, by służył jej samej jako język urzędowy i by używali go kapłani. Ci bowiem, w jakimkolwiek kraju się znajdują, mogą przy pomocy mowy Rzymian rozumieć szybciej to, co przychodzi do nich ze Stolicy Apostolskiej, oraz z większą swobodą porozumiewać się z nią i między sobą.

...Nasz Poprzednik, Pius XI, ...uwidocznili trzy zalety tego języka, dziwnie harmonizujące z naturą Kościoła: „Albowiem Kościół, obejmując z miłością wszystkie narody i mając trwać aż do spełnienia się wieków..., potrzebuje języka z samej swej natury powszechnego, niezmiennego i nie będącego w potocznym użyciu”.

Skoro bowiem wszystkie kościoły muszą kiedyś połączyć się z Kościołem rzymskim, z drugiej zaś strony Papież ma rzeczywistą władzę episkopalną, regularną i bezpośrednią zarówno nad wszystkimi Kościołami katolickimi jak nad wszystkimi duszpasterzami i wiernymi jakiegokolwiek obrządku, narodu i języka, wynika z tego konsekwentnie, że narzędzie wzajemnego porozumiewania się winno mieć charakter uniwersalny i jednolity, zwłaszcza w stosunkach między Stolicą Apostolską a Kościołami tego samego obrządku łacińskiego. Przeto tak Papież, gdy chce nauczać narody katolickie, jak departamenty Kurii Rzymskiej przy załatwianiu wszelkich spraw i redagowaniu rozporządzeń, przeznaczonych dla ogółu społeczności wiernych, używają zawsze języka łacińskiego tak właśnie, jakby on był głosem, słuchanym jak głos wspólnej matki przez niezliczone narody.

Język, używany przez Kościół, powinien jednak być nie tylko powszechny, ale i niezmienny. Gdyby bowiem prawdy Kościoła katolickiego przekazywano za pośrednictwem czy to niektórych czy wielu spośród zmiennych języków nowożytnych, z których

żaden nie górowałby znaczeniem nad innymi, nie zdołałyby one w swej różnorodności oddawać znaczenia owych praw z dostateczną wyrazistością i jasnością; z drugiej zaś strony nie istniałaby wspólna i stała norma, według której oceniano by sens myśli wyrażanych w różnych językach. W samej rzeczy łacina, zabezpieczoną od dawna przed rozbieżnościami i zmianami, jakie zwykło wnosić do słownictwa codzienne postępowanie się mową potoczną, należy uważać za język okrzepnięty i niezmienny, ponieważ nowe znaczenie niektórych wyrazów łacińskich, wymagane przez rozwój, objaśnianie i obronę nauki chrześcijańskiej, zostało już dawno ostatecznie ustalone.

...Nikt również nie może mieć wątpliwości, że zarówno w języku Rzymian jak w ich wybitnych utworach literackich tkwi siła, która uchodzi za szczególnie zdolną do kształtowania i szkolenia młodocianych umysłów. Pod wpływem tych studiów zdolności umysłowe i inne duchowe osobliwie się ćwiczą, dojrzewają i wydoskonalają, wyostrowa się sprawność władz duchowych i niezawodność sądu, kształtuje się pomyślnie inteligencja chłopięca do właściwego obejmowania i oceny wszelkich zagadnień, a wreszcie rozwija się umiejętność myślenia i mówienia najlepszej próby.

...Dla tych samych tedy domniemych motywów, którymi kierowali się Nasi Poprzednicy i Synody Prowincjonalne, My również wyrażamy mocną wolę i dokładamy wszelkich starań, by gorliwe pielęgnowanie tego języka, przywróconego do swego dostojęstwa, zyskiwało coraz bardziej na sile. Ponieważ bowiem w naszych czasach zaczęto z wielu stron kwestionować i poddawać dyskusji używanie łaciny i jest tak dużo zapytań, co o tym sądzi Stolica Apostolska, postanowiliśmy przeto ogłosić właściwe wytyczne w tym ważnym dokumencie i czuwać, by stary i nigdy nie przerwany zwyczaj używania tego języka utrzymał się, a tam, gdzie by się już niemal zatracił, został przywrócony.

Jaki jest zresztą Nasz pogląd na tę sprawę, oświadczyliśmy — jak się Nam wydaje — dosyć jasno w przemówieniu do wybitnych uczonych-latynistów. Powiedzieliśmy wtedy: „Niestety jest wielu ludzi, którzy przesadnie olśnieni nadzwyczajnym postępem nauk technicznych, domagają się zniesienia czy ograniczenia nauki łaciny i innych pokrewnych studiów... My w obliczu tej samej zniewalającej konieczności uważamy, że należy obrać drogę przeciwną. Skoro na sercu leży właśnie to, co jest szczególnie istotne dla natury i godności ludzkiej, z jeszcze większym zapalem należy przyswajać sobie te wartości, które kształtują i uszlachetniają ducha, ażeby biedni śmiertelnicy nie stali się podobni do owych maszyn, które wyrabiają, zimni, twardzi i pozbawieni uczucia”.

...Ponieważ łacina jest żywą mową Kościoła, którą należy przystosować do rosnących z dnia na dzień potrzeb językowych, a ponadto wzbogacić przydatnymi a odpowiednimi nowymi wyrazami, w sposób jednakże jednolity i powszechny a zgodny z duchem starożytnej łaciny — jak to czynili i święci Ojcowie

Kościoła i najlepsi pisarze-scholastycy — przeto polecamy św. Kongregacji Seminariorów i Uniwersytetów powołać do życia Instytut Akademicki Języka Łacińskiego. Instytut ten winien zgromadzić w swym łonie zespół uczonych znawców języków łacińskiego i greckiego, powołanych z różnych części świata, a jego głównym zadaniem — podobnie jak to jest z Akademiami poszczególnych państw, stworzonymi dla rozwoju języków narodowych — będzie czuwanie nad odpowiednim rozwojem łaciny oraz wprowadzanie do słownictwa łacińskiego w miarę potrzeby wyrazów zgodnych z duchem tego języka i właściwym mu kolorytem. Równocześnie Instytut ma prowadzić szkoły, naucające łaciny różnych epok, a zwłaszcza ery chrześcijańskiej...

Przytoczyliśmy w przekładzie tylko te części orędzia papieskiego, który przy swoim charakterze religijnym mają znaczenie ogólnokulturalne; pominęliśmy zaś szczegółowe wytyczne w odniesieniu np. do programów nauki łaciny w szkołach duchownych i na Wydziałach Teologii. W tym, co tutaj podaliśmy, uderza przede wszystkim podkreślenie przez papieża wartości kształcącej studiów klasycznych w ogóle, a języka łacińskiego w szczególności; zdadność tego języka do roli mowy międzynarodowej dzięki jego zaletom ścisłości i precyzyjności; i wreszcie konieczność wyposażenia go w wyrazy, oddające pojęcia i rzeczy nowoczesne nieznanne Rzymianom, co ma być jednym z głównych zadań powołanego orędziem do życia Instytutu Akademickiego Języka Łacińskiego.

Umiejędźniarodowienie łaciny (a raczej odzyskanie przez nią tej roli) także w dziedzinach kultury świeckiej odpowiadałoby łacińskim tradycjom cywilizacji zachodniej. Co zaś do niezbędnego uwspółcześnienia tego języka, o czym mówi orędzie, to jego modernizacja przez uzupełnienie słownictwa nie byłaby zmianą istotną, lecz tylko taką, jakiej musi podlegać każdy język żywy.

Albowiem nie chodziło by tu ani o modyfikację gramatyki ani stylu, lecz tylko o grupę wyrazów, określających przedmioty i pojęcia nieznanne w dawnych wiekach. Ani Rej ani Cyceiron nie wiedzieli, co to jest samolot, telefon, radio, kino, jonizacja, monopol tytoniowy, bomba wodorowa, kubizm i soc-realizm. Dzisiejsza polszczyzna, wprowadzając te wyrazy, nie przestała być polszczyzną. Podobnie było by z łaciną. Wprawdzie niektórzy mają swą ambicję w wynajdywaniu w łacinie cyceironiańskiej odpowiedników przytoczonych wyrazów, ale uświatlenia takie trudno traktować inaczej niż niewinne igraszki oryginałów. Skoro „telefon” w tyłu językach jest „telefonem”, nie ma powodu w łacinie nowoczesnej szukać dlań mozołnych określeń „klasycznych” zamiast powiedzieć po prostu „telephonus”. Sprawę ogromnie ułatwia okoliczność, że idee i rzeczy odkryte w nowszych czasach mają zwykle nazwy pochodzenia właśnie łacińskiego lub greckiego.

We Włoszech, gdzie idea umiejędźniarodowienia łaciny była

od dawna bliska nie tylko sferom watykańskim, ale i świeckim, założony między wojnami Istituto di Studi Romani rozpoczął zakrojoną na wielką skalę akcję opracowania języka łacińskiego dla dziedzin nowoczesnych, np. bankowości i asekuracji.

Czy jednak łacina nie stałaby się wskutek wprowadzenia do niej wyrazów nowoczesnych łaciną barbarzyńską, nową odmianą średniowiecznej łaciny kuchennej? W odpowiedzi na to wystarczy wskazać na epokę Renesansu: nigdy łacina nie była bardziej klasyczna niż wtedy, mimo że wówczas właśnie była żywą mową międzynarodową. Łacina zaś średniowieczna nie dlatego była zepsuta że stanowiła język uniwersalny, ale dlatego że studia klasyczne stały wtedy na niskim poziomie, w każdym razie niższym niż w czasach Humanizmu.

Jeżeli chodzi o charakter klasyczny łaciny, polega on przede wszystkim na gramatyce, a zwłaszcza składni klasycznej. Dlatego wszelkie zakusy w kierunku tzw. uproszczenia łaciny (np. „Latino sine flexione”) należy odrzucić, gdyż tu leży istotne niebezpieczeństwo dla czystości tego języka. Co do stylu klasycznego, winien on być oczywiście pielęgnowany, ale bez przesady, która polega na uważaniu tylko stylu Cyncerona za poprawny. Jak wiadomo, pisarz ten stosował styl wybitnie artystyczny, na pewno nie używany przez żadnego Rzymianina. Tutaj raczej komedie Plauta lub „Satyricon” Petroniusza mogłyby służyć za wzory.

A słownictwo? Niejeden klasyk-purysta zachnie się napotkawszy taki termin nowołaciński jak np. „romantismus”. Są jednak wybitni filologowie, którzy tego rodzaju wyrazów używają, gdyż rozumieją, że może niektóre elementy składowe pojęcia romantyzmu były Rzymianom znane, ale z pewnością nie był im znany ten zespół pojęć, który w czasach nowożytnych nazwano „romantyzmem”. I dlatego klasycyzm ich łaciny nie przeszkadza im wprowadzić terminu „romantismus”.

Jeszcze jednym warunkiem umiędzynarodowienia łaciny byłoby ujednostajnienie jej wymowy we wszystkich krajach. Mimo że nauka ustaliła z dość dużą dokładnością wymowę Rzymian epoki klasycznej, inaczej wymawia często łacinę Francuz, inaczej Anglosas, inaczej Włoch, inaczej Słowianin. Kościół unifikuje wymowę, opierając ją na zwyczaju i tradycji włoskiej. Ale dzisiaj wiemy, że „Cicero” należy wymawiać „Kikero”, „Caesar” — „Kaesar”, „amicitia” — „amikitia”, a „vita” — „uita”. Tak się wymawia dzisiaj na uniwersytetach i w wielu szkołach średnich różnych krajów. Sądzę, że tu jest droga do poprawnego ujednostajnienia wymowy łaciny.

Jeżeli wreszcie mielibyśmy przykładać do całej tej sprawy kryteria ideologiczne, wydawało by się, że łacina jako język powszechny stanowiłaby symbol międzynarodowej solidarności cywilizacyjnej pod auspicjami zachodniej kultury łacińskiej.

Z takich założeń wychodząc zorganizowano w Warszawie w r. 1933 Towarzystwo Umiędzynarodowienia Łaciny pod przewodnictwem wielkiego humanisty, prof. Tadeusza Zielińskiego.

Rzecz znamienna, że skupiło ono nie tylko filologów-klasyków, lecz także przedstawicieli najrozmaitszych zawodów: lekarzy, historyków, publicystów, księży, nauczycieli, adwokatów, urzędników itd. Widać, że stare tradycje łacińskie kultury polskiej były żywe w przedwojennym społeczeństwie polskim. Towarzystwo przetrwało aż do wojny i wydawało czasopismo w języku łacińskim pod nazwą „Lygia”.

Sceptyków oczywiście nie brakło. Wyraz „utopia” padał raz po raz. A przecież jesteśmy świadkami realizacji takich „utopii”. Na naszych oczach martwy (naprawdę martwy) język starożytny — hebrajski — ożył jako mowa narodu zmartwychwstałego po tysiącach lat do bytu państwowego. Również drugi stary język, wprawdzie nie martwy, ale zanikający — irlandzki — staje się mową odrodzonego Eire. Wydawało by się więc, że i łacińska „utopia” może się urzeczywistnić, tym bardziej że umiędzynarodowienie języka nowoczesnego skazane jest w obecnych warunkach na niepowodzenie, a „języki” sztuczne należy wyłączyć z innych względów. Nasuwałby się więc wniosek, że to, co jest bardzo trudne do zrealizowania, jest zawsze łatwiejsze od tego, co jest niemożliwe.

Zgodnie z zapowiedzią przytoczyłem wszystkie główne argumenty zwolenników umiędzynarodowienia łaciny. Ale bezstronność każe spojrzeć na to zagadnienie także z punktu widzenia sceptyków.

Świat podzielony jest dzisiaj z grubsza na dwie części: anglosaską i imperiów komunistycznych (że pominiemy — dla uproszczenia sprawy — tzw. państwa neutralne). W pierwszej język angielski, w drugiej rosyjski i chiński mają przytłaczające znaczenie, tak że na szerszą rolę innych języków nie ma dzisiaj miejsca. Oczywiście trudno przypuścić, by stanowisko Rosji wobec umiędzynarodowienia łaciny, tej podstawy kultury Zachodu, mogło być inne niż wrogie. Dlatego uznanie obecnie jednego języka powszechnego jest tak trudne.

Jeżeli zaś chodzi o łacinę, to chociaż teoretycznie ma ona niewątpliwie największe prawo do odzyskania charakteru uniwersalnego i z punktu widzenia ideologii kultury zachodniej byłoby to jak najbardziej pożądane, akcja w tym kierunku napotkałaby dzisiaj na szczególnie poważne przeszkody. Przecież nigdy jeszcze znajomość łaciny nie stała tak nisko, nigdy zainteresowanie kulturą klasyczną nie było tak słabe. Zmaterializowanie ludzkości spowodowało odwrócenie się od wartości idealnych, jakie reprezentuje kultura grecko-rzymska, źródło cywilizacji zachodniej.

Do tego negatywnego wniosku w odniesieniu zarówno do umiędzynarodowienia łaciny, jak któregośkolwiek innego języka, dochodzi się dzisiaj w szerokich kołach intelektualistów i to przekonanych humanistów. W marcu 1948 r. Wielka Brytania, Francja, Belgia, Holandia i Luksemburg zawarły w Brukseli umowę, dotyczącą m.in. współpracy kulturalnej i pielęgnowania wspólnego dziedzictwa kulturalnego. W wyniku tej umowy zor-

ganizowano w Anglii (1949), Francji (1950) i Holandii (1951) konferencje nauczycieli wymienionych krajów. Rezultaty ich obrad zebrano w niezwykle ciekawej książeczce pt. „The Civilisation of Western Europe and the School” (Londyn, 1954).

Myślą przewodnią jest tu obrona kultury Zachodu przez pielęgnowanie kultur narodowych oraz wspólnego dziedzictwa. Ogromny nacisk położono na studia klasyczne, albowiem dzięki nim — jak piszą autorzy — „dochowujemy wiary nie tylko Grekom i Rzymianom, lecz jeszcze w wyższym stopniu samym sobie” jako Europejczykom. Jeżeli zaś chodzi o łacinę, to „skoro usiłujemy zacieśnić współpracę umysłową między naszymi narodami, nie było by do pomyślenia wyłączyć z naszego wykształcenia języka, który jeszcze niespełna 300 lat temu był narzędziem naszej jedności kulturalnej”.

Mimo jednak tego kultu studiów klasycznych, a w szczególności łaciny, autorzy nie zalecają jej jako języka międzynarodowego. Co więcej, występują przeciwko samej takiej idei, jako „niebezpiecznej iluzji”, popierając natomiast pielęgnowanie języków ojczystych. „Konferencja — czytamy — nie przejawiała dążności do ustanowienia w Europie zachodniej (a cóż dopiero w całym świecie — przyp. I.W.) jednego języka oficjalnego, wszechstronnie użytecznego, czy to przez wybranie do tej uprzywilejowanej roli któregoś z istniejących języków czy przez stworzenie języka sztucznego”.



Staralem się przedstawić trudne i złożone zagadnienie języka międzynarodowego „sine ira et studio”. Widzimy, że stanęło ono dzisiaj na martwym punkcie. Orędzie papieskie jest doniosłym krokiem w kierunku wyjścia z impasu, ale tylko na terenie religijnym. Czy jednak na podobnej mieliźnie nie osiadło wiele innych spraw zasadniczych, czyż nie osiadła na niej — miejmy nadzieję, że chwilowo — cała kultura duchowa naszej nieśczęsnej epoki?

Ignacy WIENIEWSKI

## Wielka strata

Profesor Stefan Stykolt, zmarły w wieku lat 38 w Toronto (Kanada), był człowiekiem o niepospolitej kulturze i wybitnym naukowcem. Jednym z tych Polaków, którego wkład w życie naukowe i intelektualne Kanady jest bardzo wielki. Ten wkład

znalazł zresztą oficjalne potwierdzenie. Nazwisko jego figuruje, jako przykładowe, w publikacji Ministerstwa Obywatelstwa i Imigracji. Profesor Harry Eastman w przemówieniu nad trumną Stefana Stykolta stwierdził m.in.:

„Urodził się w Polsce, fakt, o którym byliśmy skłonni zapomnieć, gdyż człowiek ten tak wszechstronnie uczestniczył w życiu Kanady. To uprzytamnia nam jak bardzo życie kanadyjskie zostało wzbogacone intelektualistami z Europy, przybyłymi w czasie wojny. Jego własne życie było bogatsze przez świadomość polskiego pochodzenia, wspomnienia dzieciństwa, utrwalane silnymi węzłami łączącymi go z rodzicami i siostrą...”

Znamienne jest, że na tę przynależność do kultury polskiej zwracają uwagę wszyscy, którzy piszą o Stefanie Stykoltcie. Jest to tym bardziej uderzające, iż tak głęboko wrósł w życie kraju osiedlenia i pokochał szczerze tę swoją drugą ojczyznę.

Stefan Stykolt urodził się w Zgierzu w 1923 r. i miał niespełna 16 lat, gdy wybuchła wojna. Należał do tego pokolenia Polaków, którzy ukończyli szkołę średnią już poza Polską. Maturę otrzymał w Toronto. Gdy przybył do tego miasta wraz z rodzicami w 1941 r. nie znał języka angielskiego, ale ten podstawowy brak uzupełnił w rekordowym czasie. Zdobył stypendium na studia uniwersyteckie w Toronto i ukończył je ze złotym medalem.

Doktoryzował się w Harvard University, po czym udał się na dalsze studia do Cambridge (Wielka Brytania), gdzie zresztą również nauczał. Przez cały okres studiów, zarówno w Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, otrzymywał stypendium. Nie był to wkład stracony, zwrócił go z wielką nadwyżką.

Do Toronto powrócił w 1951 r. i został wykładowcą ekonomii na swoim macierzystym uniwersytecie. Poświęcił się karierze naukowej i zmarł jako profesor ekonomii Uniwersytetu w Toronto. A jak wielką była jego pozycja świadczy dobitnie uchwała podjęta przez Radę Wydziału tej uczelni po jego przedwczesnej śmierci, wpisana do księgi protokołowej ku wiecznej pamięci. Głosi ona m.in.:

„...Główna jego praca akademicka polegała na praktycznych i teoretycznych studiach o koncentracji w przemyśle. Współpracował z prof. Bladen nad ustawodawstwem antykartelowym w ramach symposium zorganizowanego przez prof. Friedmana; reprezentował Kanadę na konferencji międzynarodowej we Frankfurcie w 1960 r., której tematem były restrykcyjne praktyki w handlu zagranicznym. Pracował również w Komisji Królewskiej, badającej sytuację w przemyśle samochodowym. Napisał poważną ilość artykułów w czasopismach francuskich i angielskich, był przez kilka lat współredaktorem miesięcznika „Canadian Forum”, a wreszcie w grudniu ubiegłego roku uczestniczył we francusko-kanadyjskim colloquium, zorganizowanym przez Instytut Stosowanej Ekonomii w Paryżu, będąc jednym z referentów.

Był człowiekiem o głębokiej kulturze i rozległych zainteresowaniach, obdarzonym wielkim poczuciem humoru i radością życia. Koledzy żywili dlań szacunek i mieli głębokie przywiązanie...”

Ta niezwykła uchwała stwierdza również, że Stefan Stykolt był świetnym pedagogiem, cieszącym się wręcz wyjątkowym uznaniem swoich studentów. Uczył ponad 10 lat, a więc wychował wcale pokazną ilość ekonomistów, piastujących już dziś różne stanowiska w życiu gospodarczym: prywatnym i państwowym. Był też doradcą rządu w sprawach, które były jego specjalnością.

Jako człowiek odznaczał się wyjątkową skromnością, ale w sprawach publicznych miał odwagę nie tylko wyznawania, ale i bronięcia najbardziej niepopularnych idei. Nie wahał się atakowania autorytetów. To właśnie prof. Stykolt pierwszy wraz z prof. Eastmanem, wystąpił przeciwko polityce monetarnej Jamesa Coynego, gubernatora banku emisyjnego Bank of Canada. Uczynił to w pierw na zamkniętym zebraniu ekonomistów, profesorów wyższych uczelni, a następnie zainicjował głośny list do Ministra Skarbu, wystosowany w grudniu 1960 r., przez 30 profesorów ekonomii wyższych uczelni. Nie poparł jednakże późniejszej akcji rządu kiedy tenże zweeksłował na tory personalnych rozgrywek z p. Coyne'm, uważając tę formę za niegodną.

W „Canadian Forum”, miesięczniku intelektualistów kanadyjskich, którego prof. Stykolt był redaktorem w latach 1954-1959, Kildare Dobbs pisze we wspomnieniu pośmiertnym m.in.:

„...Sądzę iż w głębi serca pozostał Polakiem. Recytował z pamięci długie ustępy z „Pana Tadeusza”, Mickiewicza, przesiąknięte nostalgią za Litwą oraz utraconym światem szlachty i bohaterstwa. O Conradzie mówił z głęboką wnikliwością i zrozumieniem wypływającym z miłości do polskich przymiotów Conrada: jego poczucia honoru, jego surowej nieskazitelnosci. Cechowały Stefana jeszcze inne bezcenne rysy polskości...”

Równocześnie z tymi literackimi zamiłowaniem Stefan Stykolt interesował się żywo zagadnieniami gospodarczymi Polski. W jego bogatym księgozborze widniały różne prace dotyczące aktualnych polskich problemów ekonomicznych. Zamierzał zresztą wyjechać do kraju by zapoznać się na miejscu z poszczególnymi problemami gospodarczymi. Pragnął ten plan zrealizować po ukończeniu dzieła, które miał od kilku lat na warsztacie. Niestety śmierć nie pozwoliła mu ani na ukończenie wspomnianej pracy, ani na podróż do Polski.

Stefan Stykolt był członkiem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce oraz przewodniczącym Fundacji im. Albina Radomskiego i na tym stanowisku bardzo skrupulatnie selekcjonował młodych naukowców polskich zwracających się o stypendium. Utrzymywał bliskie stosunki z innymi Polakami, pracującymi na wyższych uczelniach w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, a z niektórymi łączyła go serdeczna przyjaźń.

Przedwczesna śmierć położyła kres wszystkim zamierzeniom i wielkiej karierze naukowej młodego Polaka, którego nazwisko związane jest z rozwojem nauki ekonomicznej, życia gospodarczego i wychowaniem młodego pokolenia w Kanadzie.

B. HEYDENKORN

## Trocheje

### WSPOMNIENIE O WŁADYSŁAWIE BRONIEWSKIM

Było to w dawnych latach, gdy na Uniwersytecie Warszawskim uczyłem na seminarium poetyki, prowadzone przez prof. Kazimierza Wóycickiego. Była tam niewielka grupa studentów, m.in. dobry specjalista, Franek Siedlecki. Analizowaliśmy — tylko od strony formalnej — drobne utwory liryczne: Słowackiego, Kasprowicza, Staffa, Tuwima, Broniewskiego.

Broniewski kochał się wtedy w mojej przyjaciółce, Irenie Elzie Helman, pastelowej, ładnej i w dziwny sposób łączącej poetyckość wyobraźni i stylu z dużą dozą wyrachowania i sprytu życiowego. Później, w okresie okupacji, Irena wykazała wiele charakteru i odwagi, i potem zginęła, podobno w Tremblince. Romans jej z Władkiem był długi, mocno obgadywany w „Ziemiańskiej” i obfitował w wiele perypetyj, smutnych i zabawnych.

Pewnego wieczoru Irena przyszła do mnie z Władkiem i z nieodłączną butelką wódki. Był to jeden z typowo polskich wieczorów, z popijawą, nastrojami, długimi rozmowami o życiu, polityce i literaturze, gdzie nazwiska pisarzy różnych okresów padały obok słówek, którym Boy dał prawo obywatelstwa w literaturze.

Powiedziałam wtedy Broniewskiemu, że „przerabiamy” na uniwersytecie kilka jego wierszy („Gdy oknem pełnie cisza martwa...” i nie pamiętam już co.) Prosił, aby mu pokazać zeszyt i wczytał się w notatki bardzo uważnie. Potem powiedział: „To mnie bardzo wzrusza. Bo ja jestem już raz na zawsze zaklasyfikowany jako „rewolucyjny poeta”. Patrzy się na mnie od strony zawartości społecznej i moje utwory deklamują żydowskie panienki na lewicowych wieczorkach. Ale nie myślałem nigdy, że można mnie studiować, analizować od strony formalnej — że mogę po prostu jako poeta przejść do historii literatury”. Czytał jeszcze przez chwilę notatki i potem powiedział, dziwnie przejęty: „To ja piszę trochejami?”

Potem jeszcze wielokrotnie miałam kontakt z Władkiem, bezpośrednio albo przez jego utwory. Pamiętam jego „Bagnet na broń”, który jakby rozpoczął dla nas wojnę, jeszcze przed pierwszym wrześniem. Wiersz o polskim żołnierzu, który obiegał w odpisach okupowany przez bolszewików Lwów. Areszt Broniewskiego, gdy to we lwowskim „Czerwonym Sztandarze” ukazała się wzmianka o „zdegenerowanym” poecie. Potem spotkaliśmy się na Wschodzie, w Jerozolimie. Władek pił wtedy chyba więcej niż kiedykolwiek, miał znów parę romansów (powiedział mi kiedyś, że nigdy nie zbliżał się do kobiety bez prawdziwej miłości), napisał trochę znakomitych wierszy. Lwów, więzienie, zesłanie, pobyt w Jerozolimie — wszystko to zaznaczyło się w jego drodze pewną liczbą pozycji poetyckich, z których część przynajmniej pozostanie, tak jak chciał, „w historii literatury”.

Anka, jego córka, była w tym okresie w Rosji z matką. Pisywała czarujące, naiwne listy pensjonarki („Myślisz, że jeszcze jestem dzieckiem. A już się we mnie kochają. I ja też”). Miała głowę napchaną polityką i sloganami i wzywała ojca, aby „wrócił na swoją piękną drogę rewolucyjną”. Miała też zapewne swoje trudności, bo w jednym liście cytowała, w zastosoowaniu do siebie, piękną strofę ojcowską: „Nie głaśkało mnie życie po głowie, nie pijałem ptasiego mleka, no i dobrze, no i na zdrowie, tak wyrasta się na człowieka”. Ona też doniosła mu o rzekomej śmierci drugiej żony, która wtedy jeszcze żyła, ale Władek po otrzymaniu tej wiadomości napisał swoje piękne „Drzewo rozpaczające”.



Fakt, że w Polsce są jeszcze bliscy Władkowi ludzie, nie pozwala mi na zanotowanie tutaj kilku jego wypowiedzi o politycznym charakterze — na temat jego stosunku do Rosji, do komunizmu. Nie mają one zresztą znaczenia wobec faktu, że ostatecznie wrócił do Polski, że napisał to, co napisał i o czym wszyscy wiemy. Musiał tam, w Polsce, też mieć swoje wzloty i upadki. Przeżył wielką tragedię osobistą — przedwczesną śmierć Anki — której poetyckim owocem znów było kilka doskonałych wierszy.

Władek zostawił dostatecznie dużą spuściznę literacką i dość dużo żyje jego przyjaciół i ludzi, którzy mogli przez wiele lato obserwować go z bliska, aby istniał wystarczający materiał dla odtworzenia życia i sylwetki tego jedyne go w swoim rodzaju poety Dwudziestolecia i późniejszego okresu. Ja znalazłam go tylko z przelotnych spotkań i rozmów. Ale to jedno jego powiedzenie sprzed wielu lat zapamiętałam i uważałam za godne zanotowania. Bo choć prawdopodobnie przejdzie do historii literatury naszych czasów przede wszystkim jako „rewolucyjny poeta”, tak jak to wtedy powiedział; i choć z odrobiną dobrej woli da się bez trudu odcyfrować postać tego tragicznego człowieka i jego zawiłą i krętą drogę poetycką — chciałby zapewne, aby w przyszłości pamiętano, że był także poetą, artystą, dla którego — bez względu na zawartość ideologiczną jego utworów — środki artystycznej ekspresji były sprawą pierwszorzędnej wagi, który był poetą bardziej niż człowiekiem i rewolucjonistą, który — na koniec — „pisał trochęjami”.

Wanda FALK

## Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXVIII

BERNARD SINGER

**OD WITOSA DO SŁAWKA**

Cena egz. 18 NF (dol. 4,00; 27/-)



TOM LXXIX

CZESŁAW MIŁOSZ

**KRÓL POPIEL**

I INNE WIERSZE

(Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6)

## 15-lecie KULTURY

W lipcu rb. mija 15 lat od chwili powstania „Kultury”. Nie do nas należy ocena naszej pracy, ale ponieważ nie wszyscy czytelnicy śledzą naszą działalność, która nie ogranicza się wyłącznie do wydawania miesięcznika i nie wszyscy prenumerują „Kulturę” od początku — podajemy w sposób najbardziej skrótowny ważniejsze informacje.

### Instytut Literacki

Dom wydawniczy „Instytut Literacki” powstał na początku 1946 roku w Rzymie. Początkowo „Instytut” wydawał przede wszystkim książki, potem dopiero powstał projekt wydawania pisma „Kultura”, pomyślanego jako kwartalnik. I-szy numer „Kultury” ukazał się w lipcu 1947, w Rzymie. W październiku 1947 r. „Instytut Literacki” przeniósł się do Maisons-Laffitte we Francji. Następny nr „Kultury” — 2/3 — ukazał się na przełomie lat 1947-1948 już jako miesięcznik, zaś od lutego 1948 pismo ukazuje się regularnie 10 razy do roku, z tym, że dwa zeszyty (styczeń/luty i lipiec/sierpień) są numerami podwójnymi o zwiększonej objętości (240 stron zamiast 160).

W ciągu 15 lat „Kultura” wydrukowała w sumie 26.064 strony i zamieściła utwory 1.095 autorów (w tej liczbie znajdują się również tłumacze).

### Numery specjalne

Niezależnie od bieżących numerów „Kultura” w latach 1952/53 wydała 5 specjalnych „Zeszytów Krajowych” o łącznej

objętości 1584 strony, zaś w roku 1960 „Zeszyt specjalny w języku rosyjskim” obejmujący 130 stron.

### Biuletyn prasowy w języku niemieckim

W latach 1951/53 „Kultura” posiadała w Berlinie specjalnego korespondenta, śp. Jerzego Prądzyńskiego, który wydawał tam, od r. 1952, biuletyn prasowy SOF „Stimmen zu osteuropäische Fragen. Nachrichten. Kommentare. Presseauszüge. Erscheint vorerst monatlich”. Ogółem ukazało się 10 numerów Biuletynu w objętości przeciętnie 15 stron każdy.

### Wydawnictwa książkowe

W latach 1946/1952 (Włochy-Francja) „Instytut Literacki” wydał ogółem 35 książek obejmujących łącznie 7914 stron.

Od początku 1953 roku „Instytut” rozpoczął regularny druk książek w serii „Biblioteka KULTURY”. W bieżącym miesiącu ukazuje się tom 80-ty „Biblioteki KULTURY”. Ogólna ilość stron „Biblioteki KULTURY” wynosi 19.709.

### „Zeszyty Historyczne”

W roku bież., w ramach „Biblioteki KULTURY”, „Instytut Literacki” rozpoczął wydawanie „Zeszytów Historycznych”, poświęconych najnowszej historii Polski i krajów Europy środkowo-wschodniej. „Zeszyty Historyczne” będą ukazywały się dwa razy do roku (w styczniu i sierpniu) — każdy „Zeszyt” w objętości 240 stron.

Prenumeratorzy „Kultury” uprawnieni są do prenumeraty „Zeszytów Historycznych” po cenie niższej.

Dążeniem „Instytutu” jest przekształcenie w przyszłości „Zeszytów Historycznych” na kwartalnik. Jest to uzależnione jedynie od ilości prenumeratorów.

### Nagrody Literackie

W roku 1954 została ustanowiona Nagroda Literacka „Kultury”, wynosząca 1.000 NF. Jury Nagrody składa się z: Jerzego Giedroycia, Pawła Hostowca i K.A. Jeleńskiego.

Nagradzane są zarówno książki, które się już ukazały, jak i prace nadsyłane w maszynopisie do redakcji.

W r. 1957 stworzyliśmy analogiczną nagrodę dla pisarzy krajowych, ale w obawie przed represjami ze strony władz krajowych, musieliśmy z tego projektu zrezygnować.

Do chwili obecnej laureatami Nagrody Literackiej „Kultury” byli:

- w r. 1954 — Marian Pankowski za książkę „Smągła Swoboda”.
- w r. 1955 — Nagroda została podzielona pomiędzy: Andrzeja Chciuka za książkę „Smutny uśmiech” i Leo Lipskiego za książkę „Dzień i noc”.
- w r. 1956 — nagrody nie przyznano.
- w r. 1957 — Czesław Miłosz za „Traktat poetycki”.
- w r. 1957 — pierwsza i ostatnia nagroda krajowa — Marek Hłasko za książkę „Cmentarze. Następny do raję”.
- w r. 1958 — Gustaw Herling-Grudziński za opowiadanie „Wieża”.
- w r. 1959 — Halszka Guillej-Chmielowska za książkę „Spotkania na galerii”.
- w r. 1960 — Witold Gombrowicz za książkę „Pornografia”
- w r. 1961 — Józef Łobodowski za całokształt pracy poetyckiej.

Nagroda Literacka „Kultury” została ufundowana przez p. Edwarda Berenbaua, który do roku 1960 przekazywał ją na nasze ręce dla nagrodzonego autora. Następnie p. Berenbau przejął być fundatorem nagrody, ale tym niemniej Instytut Literacki nagrodę tę utrzymuje nadal. Nagroda będzie wypłacana ze składek czytelników wpłacanych na Fundusz „Kultury”. Jeżeli wysokość wpłat na ten fundusz na to pozwoli — nagroda od r. 1963 będzie podwyższona do 1.500 NF.

### Nagrody plastyczne

Od roku 1956 ustanowiona została nagroda plastyczna „Kultury” dla malarzy i rzeźbiarzy polskich. Nagroda ta polega na zakupieniu każdego roku obrazu lub rzeźby przez Redakcję „Kultury” za sumę 700 NF. Nagrodę ustala Redakcja. Jeśli wpływy na Fundusz „Kultury” pozwolą, nagroda będzie od roku 1963 podniesiona do 1.000 NF.

- Dotychczasowymi laureatami nagrody plastycznej byli:
- w r. 1956 — Śp. Stanisław Grabowski.
  - w r. 1957 — Zygmunt Turkiewicz za obraz „Marynarz w barze”.
  - w r. 1957 — Alina Slesińska za rzeźbę (była to — analogicznie do nagrody literackiej dla pisarza krajowego — próba przyznania nagrody artyście krajowemu, z której z tych samych powodów musieliśmy następnie zrezygnować)
  - w r. 1958 — Józef Czapski za obraz „Kawiarnia”.
  - w r. 1959 — Mieczysław Janikowski.
  - w r. 1960 — Konstanty Brandel.
  - w r. 1961 — Jan Ekiert.

#### Nagrody jednorazowe

W r. 1961 — Jerzy Stempowski (Paweł Hostowiec) — nagroda za najlepszy esej — ufundowana przez p. Iżę Neyman.

#### „Fundusz KULTURY”

W r. 1954 „Kultura” ogłosiła zbiórkę na dom „Kultury”. Zbiórka ta w dużej mierze umożliwiła nam w tymże 1954 r. nabycie własnego domu w Maisons-Laffitte. Ponieważ już po spłaceniu domu składki od naszych przyjaciół i czytelników napływały nadal, przekształcono je na „Fundusz KULTURY”. Pieniądze wpływające na ten fundusz obracane są na doraźne pomoce (ze zrozumiałych względów trudno nam ogłaszać dokładniejsze sprawozdanie), na nagrodę plastyczną oraz — obecnie na nagrodę literacką.

Niezależnie od stałej zbiórki na „Fundusz KULTURY” przeprowadzaliśmy jednorazowe zbiórki o charakterze specjalnym, jak np. na zakup sprzętu dla Biblioteki Narodowej w Warszawie, na nagrobek dla śp. Andrzeja Bobkowskiego czy na koszty przekładu książki Andrzeja Stawara pt. „Pisma ostatnie” na język rosyjski.

Korzystając z okazji serdecznie dziękujemy za wielokrotne dary na Fundusz „Kultury” pp.: Lucie Hersch, Genewa; Ninie Sereda, Montreal; A. Anyżowi, Meksyk; Dr St. N. Korzeniowskiemu, Ladd, Ill. (USA), Janowi Piórkowskiemu, Bronx, N.Y., (USA); Dr K. Boniarczykowi, New York; Wandzie Darcy, New York; R. Fiksowi, Chicago; MWK z Australii; Annie-Teresie Serafin-Poniatowskiej, Phoenix, Arizona (USA); Irenie

Skrobikowej, Montreal i M.C. Wierzbickiemu, Brighton, Mass. (USA).

#### Biblioteka

Niezależnie od działalności wydawniczej „Instytut Literacki” od początku swego istnienia postawił sobie jako jeden z celów stworzenie biblioteki, która obejmowałaby możliwie wszystkie wydawnictwa emigracyjne i krajowe oraz polonica z literatur zachodnich jak również wydawnictwa w językach obcych, z zakresu literatury pięknej, najnowszej historii, historii ostatniej wojny i marksizmu. Niezależnie od książek kompletowane są wszystkie czasopisma emigracyjne i ważniejsze pisma krajowe i zachodnie.

W obecnej chwili biblioteka „Kultury” liczy 20.000 tomów skatalogowanych oraz parę tysięcy nieskatalogowanych dotąd z braku czasu. Książki nieskatalogowane, to wydawnictwa techniczne, artystyczne, encyklopedyczne i słowniki. Nieskatalogowana jest również biblioteka czasopism, ale w miarę możliwości poszczególne roczniki są stale oprawiane. Powolne tempo katalogowania oraz brak katalogu rzeczowego spowodowane są tym, że zespół stałych współpracowników „Kultury” jest niezmiernie szczupły: składa się z 5-ciu osób, w tym Juliusz Mieroszewski, zamieszkały w Londynie — które zajmują się wszystkimi sprawami, zarówno redakcyjnymi jak i administracyjnymi.

Oprócz książek polskich najpełniejszy jest dział książek francuskich. Można bez wielkiej przesady powiedzieć, że biblioteka nasza posiada wszystkie najważniejsze pozycje francuskie z ostatnich 10-ciu lat. W bibliotece znajduje się także znakomita większość wydawnictw ukraińskich, jakie ukazały się na Zachodzie w okresie sprawozdawczym. Książki niemieckie obejmują głównie polonica, zaś książki angielskie i amerykańskie — wydawnictwa z zakresu sowietologii i najnowszej historii. Od roku 1959 biblioteka zaczyna kompletować książki i czasopisma sowieckie.

#### O „Kulturze” na świecie

„Kultura” wywołuje dość żywy rezonans nie tylko w prasie polskiej — emigracyjnej i krajowej — ale również w prasie obcojęzycznej. Od początku Redakcja prowadzi archiwum wycinków, dotyczących „Kultury” i jej wydawnictw. Wycinki te do roku 1961 włącznie obejmują 29 grubych, oprawnych tomów. Ma się rozumieć Redakcja nie jest w stanie zarejestrować wszystkich

głosów, ale i te które posiada dają pewne pojęcie o szerokim zainteresowaniu naszą pracą.

Od chwili powstania aż do 1961 r. włącznie posiadamy następujące ilości wycinków prasowych:

2583 — z prasy emigracyjnej,

900 — z prasy krajowej (z tym że pierwsze odgłosy zaczęły się w roku 1949 (z tego roku posiadamy tylko 2 wycinki), największe nasilenie było w r. 1957 (240 wycinków), zaś w roku 1961 było wycinków 49.

718 — z prasy obcojęzycznej na Zachodzie (obejmują one prasę w językach: amerykańskim, angielskim, czeskim, francuskim, arabskim (Liban), hebrajskim, hiszpańskim (Hiszpania i Ameryka Południowa), niemieckim, portugalskim (Brazylia), rosyjskim, ukraińskim i węgierskim.

Ponadto, parokrotnie byliśmy atakowani w prasie sowieckiej (rosyjskiej i ukraińskiej).

Wśród wycinków nie brak czołowych pism światowych jak: „Le Monde”, „New York Times”, „Time”, „Neue Zürcher Zeitung” etc. Zamieszczamy w bieżącym numerze fotomontaż ciekawszych wycinków.

### Przekłady książek „Biblioteki KULTURY” na obce języki

Witold GOMBROWICZ:

„Trans-Atlantyk” — przekład na jęz. niemiecki w przygotowaniu;

„Ślub” — wydanie w języku hiszpańskim oraz w przygotowaniu przekłady na języki: angielski, francuski i niemiecki;

„Dziennik 1953-1956” — wydanie w języku niemieckim; przekłady na języki francuski i włoski w przygotowaniu;

„Pornografia” — wydanie w jęz. francuskim; w przygotowaniu przekłady na języki: niemiecki i włoski.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI:

„Skrzydła ołtarza” — wydania w językach: niemieckim i włoskim; przekład na jęz. hiszpański w przygotowaniu. Ponadto przetłumaczone zostały szkice i opowiadania, drukowane w „Kulturze”, a mianowicie: „Żwycięstwo Borysa Pasternaka” na jęz. hiszpański, niemiecki i włoski; „Lekcja Czechowa” na jęz. włoski; „Książę niezłomny” na jęz. hiszpański; „Drugie przyjście” na jęz. niemiecki — tłum. na

język włoski w przygotowaniu; „Izaak Babel” na jęz. amerykański i włoski.

Marek HŁASKO:

„Cmentarze” — wydania w jęz. amerykańskim, angielskim, arabskim, czeskim, duńskim, fińskim, hiszpańskim, holenderskim, japońskim, niemieckim, norweskim, szwedzkim i włoskim.

„Następny do raju” — wydania w tych samych językach co „Cmentarze”.

I. IWANOW:

„Czy istnieje życie na Marsie? — wydanie w oryginale rosyjskim w ramach „Biblioteki KULTURY”; przekłady na jęz. amerykański i niemiecki w przygotowaniu.

Stefan KORBOŃSKI:

„W imieniu Rzeczypospolitej...” — wydanie w jęz. amerykańskim.

„W imieniu Kremla” — wydanie w jęz. amerykańskim.

Józef MACKIEWICZ:

„Kontra” — wydanie w języku niemieckim.

Czesław MIŁOSZ:

„Zniewolony umysł” — wydania w językach: amerykańskim (2), angielskim, francuskim (2), hiszpańskim (Ameryka Południowa), niemieckim (2), szwedzkim i włoskim.

„Zdobycie władzy” — wydania w językach: amerykańskim, chińskim (Hong Kong), francuskim (2), ponadto 2 wydania w języku francuskim w Szwajcarii, gujarati (Indie), indonezyjskim, japońskim, niemieckim (w Szwajcarii), malajskim oraz w jęz. tamil (Indie).

„Wiersze” — wybór w przekładzie na jęz. litewski, wydany w Argentynie.

„Dolina Issy” — wydania w językach: francuskim, niemieckim (2), włoskim (w przygotowaniu).

„Rodzinna Europa” — wydania w językach: niemieckim i włoskim oraz w językach amerykańskim i francuskim (w przygotowaniu).

Tadeusz NOWAKOWSKI:

„Syn zadżumionych” — wydanie w jęz. niemieckim w książce obejmującej ponadto nowele drukowane w „Kulturze”: „Piknik wolności” i „Wyprawa wiedeńska”. Ponadto na jęz. niemiecki przełożone zostało opowiadanie z „Kultury”: „Grüss Gott”.

Leo LIPSKI:

„Dzień i noc” — wydanie amerykańskie w przygotowaniu.

Abram TERC:

„Sąd idzie” — wydania w językach: amerykańskim, angielskim, arabskim (Liban), chińskim (Hong Kong), fińskim, francuskim, hebrajskim, duńskim, hiszpańskim (Ameryka Połudn.), holenderskim, japońskim, koreańskim (Korea Poł.), niemieckim, norweskim, szwedzkim i włoskim. Oryginał w jęz. rosyjskim ukazał się w „Bibliotece KULTURY”, niezależnie od wydania polskiego. W przygotowaniu przekład na jęz. bengali.

„Fantastyczne opowiesci” — w przygotowaniu wydania w językach: amerykańskim, angielskim, francuskim, holenderskim, niemieckim i włoskim. Oryginał w języku rosyjskim ukazał się w „Bibliotece KULTURY”, niezależnie od wydania polskiego.

Andrzej STAWAR:

„Pisma ostatnie” — w przygotowaniu wydania w językach: francuskim, niemieckim, rosyjskim i włoskim.

### PRZYJACIELE

Przedstawiając bilans naszej działalności musimy wspomnieć o przyjaciółach, którzy nam w tej pracy pomagali. Ich pełna lista byłaby zbyt długa. Przykładowo jedynie chcemy wymienić gen. Kazimierza Wiśniowskiego, którego pomoc w wielkiej mierze przyczyniła się do powstania „Instytutu”, śp. płk. Ign. Witka, a obecnie A. Mieczysławska w New Yorku oraz B. Heydenkorna i W. Iwaniuka w Kanadzie. Aniela Mieczysławska jest zresztą znana nie tylko czytelnikom „Kultury”. Przy ciężkiej pracy zawodowej ma zawsze czas, aby zajmować się nie tylko naszymi sprawami. Czy to idzie o zorganizowanie doraźnej pomocy dla poszczególnych ludzi i instytucji, zorganizowanie zbiórki czy imprezy społecznej,

urządzenie wystawy malarzowi czy też znalezienie potrzebnych adresów — jest ona niezastąpiona. Każdy z nas będąc w New Yorku zetknął się z jej gościnnością i uczynnością.

Naszym mecenasem był także p. Edward Berenbau z Uru-gwaju. Był on inicjatorem zbiórki na dom „Kultury”, otwierając ją dużą sumą. Przez 6 lat finansował nagrodę literacką „Kultury”. W sposób dyskretny pomagał również wielu pisarzom na emigracji.

Mieliśmy również szczęście zdobyć sobie przyjaciół wśród cudzoziemców. Charles Merrill, James Burnham, Sheeba Goodman, kierownicy Congress of Cultural Freedom, by znów wymienić przykładowo, przychodzili nam z pomocą. Dzięki nim mogliśmy wydać szereg książek ważnych z punktu widzenia kulturalnego czy politycznego, a deficytowych ze względu na swój specjalny charakter.

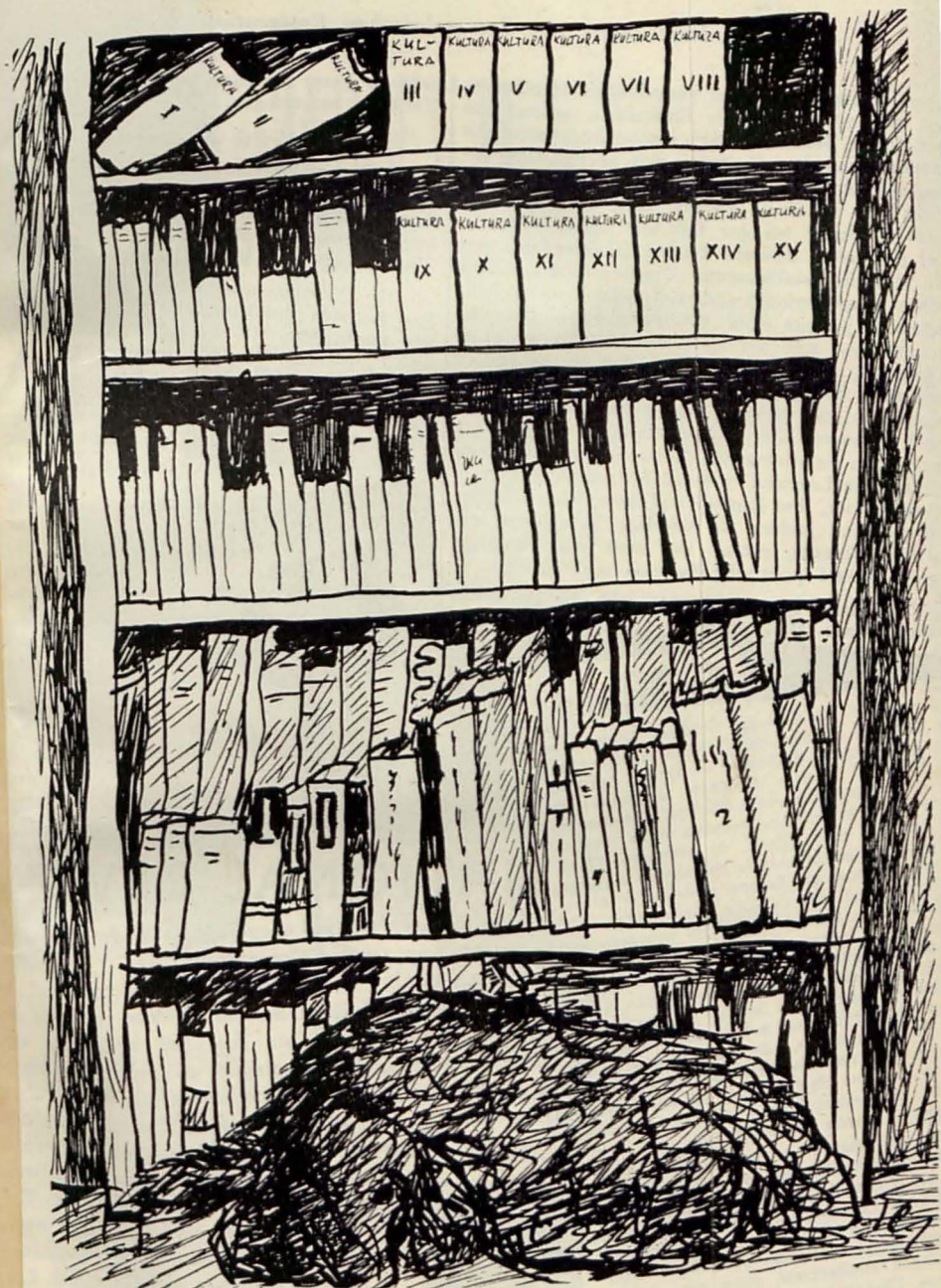
### Alfabetyczny wykaz książek wydanych przez „Instytut Literacki” w latach 1946-1952

- Bielatowicz Jan: *Brygada Karpacka*.  
 Bielatowicz Jan: *Passaggiata*.  
 Blum Leon: *Na miarę człowieka*.  
 Burnham James: *Walka o świat*.  
 Chałasiński Józef — Jan Ulatowski: *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*.  
 Czapski Józef: *Na nieludzkiej ziemi*.  
 Felsztyn Tadeusz, dr: *Energia atomowa*.  
 Gryziewicz Stanisław: *Srodki polityki gospodarczej*.  
 Hort Weronika: *Tulacze dzieci*.  
 Hostowiec Paweł: *Il Calvario continua...*  
 Hostowiec Paweł: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*.  
 Informator o Imperium Brytyjskim i krajach Ameryki Płn. i Płd.  
 Janta (-Połczyński) Aleksander: *Wracam z Polski 1948*.  
 Kaden-Bandrowski Juliusz: *La citta di mia madre*.  
 Kaden-Bandrowski Juliusz: *Miasto mojej matki*.  
 Koestler Arthur: *Krucjata bez krzyża*.  
 Kowalik Jan: *Polska w bibliografii powojennych Niemiec (1945-1953)*.  
 Kowalik Jan: *Polonica niemieckie za czas od 1 września 1939 do 31 grudnia 1948 roku*.  
 Kukiel Marian: *Książę Adam (Czartoryski)*.

- Kuszelewska Stanisława: *Kobiety*.  
 Miciński Bolesław: *Portret Kanta i trzy essaye o wojnie*.  
 Mickiewicz Adam: *Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego*.  
 Mirzwiński Henryk: *Etiudy*.  
 Piasecki Sergiusz: *Jabluszeko*.  
 Piasecki Sergiusz: *Spojrzę ja w okno...*  
 Piasecki Sergiusz: *Nikt nie da nam zbawienia...*  
 Piskor Aleksander: *Siedem ekscelencji i jedna dama*.  
 Reymont Władysław St.: *Rok 1794 — trylogia (Ostatni Sejm Rzeczypospolitej, Nil desperandum, Insurekcja)*.  
 Sienkiewicz Henryk: *Legiony*.  
 Sieroszewski Wacław: *Beniowski*.  
 Strug Andrzej: *Dzieje jednego pocisku*.  
 Strug Andrzej: *Mogła nieznanego żołnierza*.  
 Szpotański Stanisław: *Prometeusz*.  
 Wańkiewicz Melchior: *Klub trzeciego miejsca*.  
*W oczach pisarzy. Antologia noweli wojennej (1939-1945)*.

Wykaz książek  
 wydanych w serii „Biblioteka KULTURY”  
 w porządku chronologicznym:

- Gombrowicz Witold: *Trans-Atlantyk. Słub.*  
 Orwell George: *1984*.  
 Miłosz Czesław: *Zniewolony umysł*.  
 Burnham James: *Bierny opór czy wyzwolenie?*  
 Miłosz Czesław: *Światło dzienne*.  
 Straszewicz Czesław: *Turyści z bocianich gniazd*.  
 Korboński Stefan: *W imieniu Rzeczypospolitej...*  
 Łobodowski Józef: *Złota Hramota*.  
 Miłosz Czesław: *Zdobycie władzy*.  
 Miłosz Czesław: *Dolina Issy*.  
 Pankowski Marian: *Smagła swoboda*.  
 Parnicki Teodor: *Koniec „Zgody Narodów” (T. I i II)*.  
 Korboński Stefan: *W imieniu Kremła...*  
 Aron Raymond: *Koniec wieku ideologii*.  
 Greene Graham: *Moc i chwata*.  
 Lipski Leo: *Dzień i noc*.  
 Chciuk Andrzej: *Smutny uśmiech*.  
 Hersch Jeanne: *Polityka i rzeczywistość*.  
 Miłosz Czesław: *Traktat poetycki*.  
 Mackiewicz Józef: *Kontra*.



Maskota redakcji — Black — również obchodzi 15-tolecie swoich urodzin

ok: Unter den vielen periodischen Publikationen der osteuropäischen Emigration scheint die seit einigen Jahren in Paris erscheinende polnische Monatszeitschrift «Kultura» eine einzigartige Bedeutung zu haben. Sie hat sich einen hohen Ruf nicht nur im Exil, sondern auch in Polen und teilweise sogar bei der fremden Leserschaft, die der polnischen Sprache kundig ist, erworben, weil sie sich ein unabhängiges Urteil in allen politischen Fragen erlaubt und auch nicht davor zurückschreckt, jenseits einer nationalistischen Betrachtungsweise, wie sie den meisten Exilgruppen eigen ist, so schwierige Probleme zu behandeln wie etwa dasjenige der polnisch-ukrainischen Beziehungen, des Verhältnisses zwischen den Polen und Litauern oder des Antisemitismus. Da sie außerdem hervorragende Vertreter der modernen polnischen Literatur, wie den Schriftsteller Witold Gombrowicz, den Dichter und Essayisten Czeslaw Milosz und andere als ständige Mitarbeiter gewinnen konnte, nimmt sie heute eine wichtige geistige und politische Position ein.

Zu dieser Popularität hat auch die im selben Verlagshaus herausgegebene Bücherreihe beigetragen.

Le Monde

Dirigé par Georges Giedroyc, Kultura se présente comme un centre indépendant d'opposition intelligente et parfois constructive qui dépasse d'ailleurs les limites de la Pologne. Elle avait soutenu Gomulka en 1956 et appelé les Polonais à la réconciliation; elle défend la frontière Oder-Neisse et milite pour la création d'une large zone neutre en Europe centrale et orientale. C'est une équipe de gauche qui anime, et ses positions sont progressistes au sens propre du mot. Elle reconnaît comme irréversible plusieurs des transformations réalisées depuis une dizaine d'années en Pologne. Et, loin de céder, comme beaucoup d'émigrés, à un anticommunisme un peu hystérique, elle souhaite une «révision» et une révolution du communisme dans un sens démocratique et humaniste. Enfin, strictement laïque, elle lutte vigoureusement contre l'antisémitisme.

Par l'originalité de sa position et la valeur personnelle de ses collaborateurs, elle est à cent lieues au-dessus des autres feuilles de l'émigration. Mais cette supériorité patente qui lui vaut ici depuis dix ans une très large audience, notamment dans les milieux intellectuels, attire sur elle la défiance, l'hostilité et parfois la fureur du régime.

On ne peut comparer son rôle qu'à celui qu'elle joua en Russie au siècle dernier la publication de Kolokol (la Cloche) rédigée



NATIONAL REVIEW

land but more rope, including distribution has to be possible. Kultura has been a center of intelligence and articles, and

volume encyclopedic study of Poland under Communist rule. From the outset Giedroyc and his Kultura associates have rejected the chauvinism that has been the traditional plague of eastern Europe. They see the future of a free Poland as part of an East European federation that would be part of a federated Europe. They have therefore always collaborated with non-Polish East European exiles, and have had especially close relations with Ukrainians, Czechs, Yugoslavs and Germans. Last year, Giedroyc published a large anthology of Ukrainian literature, which he is distributing by clandestine means inside the Soviet Ukraine.

habe zu dieser Reaktion bei den unterentwickelten Nationen beigetragen.

Kritik an Amerika

In diesem Zusammenhang beschäftigt sich die Zeitschrift mit der Frage, ob die Amerikaner kommunistischen Herausforderung zu balen Wettbewerb ohne kriegerische setzung begegnen können.

Die Kommentare setzen Sowjets sich durchaus darüber wie rasch eine militärische durch Rußland die amer mobilisieren würde. E Sowjets als Fremde Sie seien überze Gesellschaftssystem schwer fallen



TIME

NEWSMAGAZINE... months, while dying of cancer, he wrote and rewrote the manuscript that embodied this truth. Before he died, he turned his work over to Kultura, a magazine issued by Polish exiles in Paris. By last week, Stawar's Last Writings had been published by Kultura in a special issue—and smuggled into Poland.\* It proved to be the most devastating indictment of the Communist system since Milovan Djilas' The New Class.

Wrote Stawar: "It is a myth that Khrushchev has put an end to Stalinism. The fatal flaw in the Soviet government is its principle of Caesarism. Only the Party is capable of remedying these defects and effecting reform, which is necessary for its survival. Because such re-

PRASA ŚWIATOWA "KULTURZE"

ULTIMI ARRIVI DA MOSCA

PAOLO MILANO

COMBAT

Le gouvernement et le parti socialiste unifié polonais sont actuellement l'objet de fortes pressions soviétiques relatives à la pénétration en Russie — à travers la Pologne — de la littérature révisionniste éditée en France par la revue polonaise Kultura. Cette revue dirigée par Jerzy Giedroyc groupe un certain nombre d'intellectuels de gauche polonais, et son influence sur l'intelligentsia de Pologne est depuis 5 ou 6 ans très importante. Interdite en Pologne, elle y pénètre quand même, certaines de ses publications sont passées en Russie, d'où le courroux des autorités soviétiques. Les Russes ont été particulièrement agacés par un ouvrage relatif à la génération des écrivains ukrainiens Les éditions d'Etat à Kiev, capitale de la république fédérative d'Ukraine ont publié en automne 1961 un ouvrage intitulé « Les falsificateurs ukrainiens de la littérature ukrainienne (auteur Mazurkiewicz) destiné à polémiquer avec la publication de la Kultura.

col titolo "Si fa il processo", poi ristampato nella mondadoriana "Biblioteca delle Silerchie" come "Entra la Corte", è una satira kafkiana di un certo ambiente burocratico con gli incubi che lo affliggono, nella quale i vessatori e vessati, ipocriti ed ingenui, sono ritratti grottescamente con uno stesso ironico distacco.

Ora, gli intellettuali polacchi che si riuniscono a Parigi intorno alla rivista "Kultura", hanno pubblicato tutta una raccolta di "Racconti fantastici" di Abram Terz, dalla quale è tolta una lunga novella, "Tu ed io", che "Tempo presente" ha offerto in italiano nel suo fascicolo del novembre scorso. In un suo acuto saggio, "Che cos'è il realismo socialista?" ("Tempo presente", ott. 1959), Abram Terz dichiarava i suoi propositi in

COMBAT

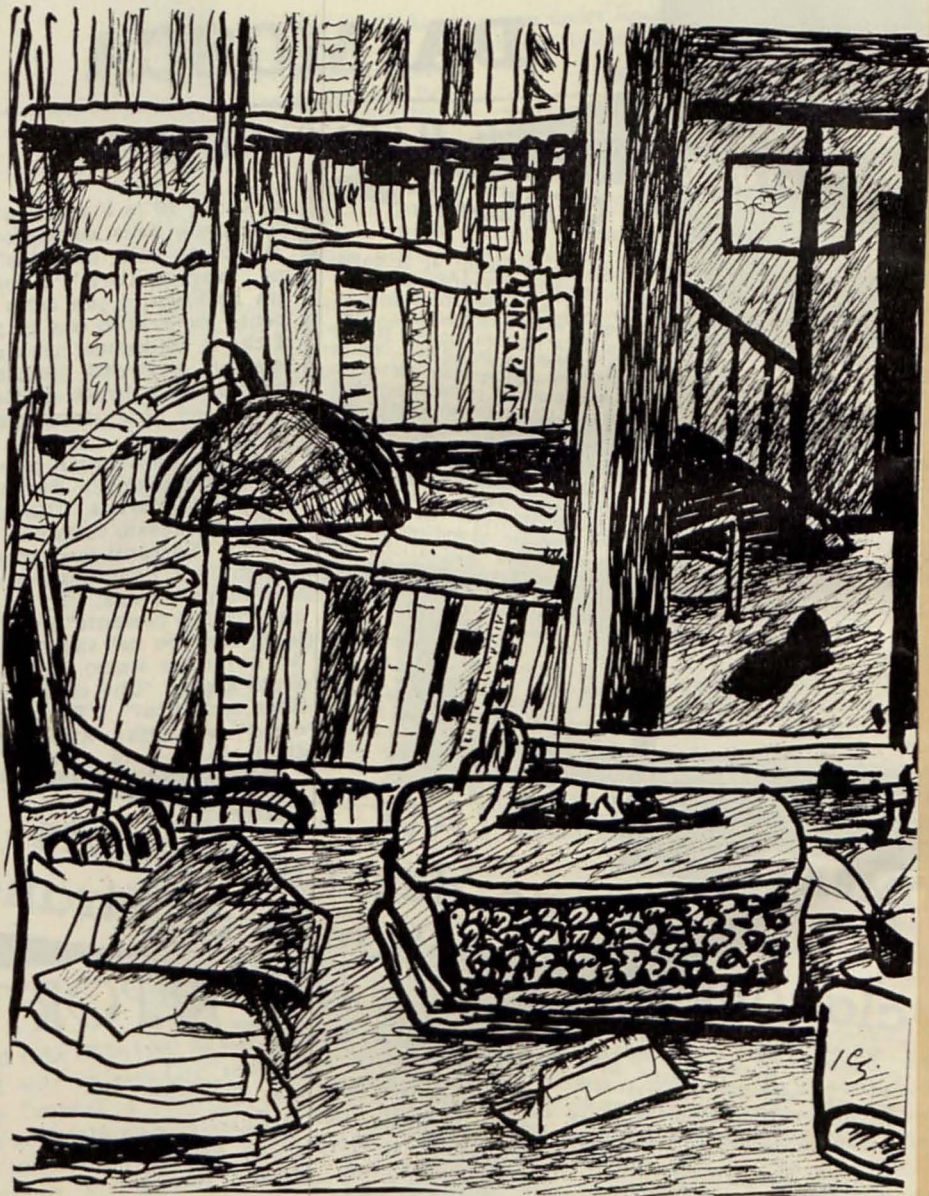
La fortune des manuscrits clandestins soviétiques à l'étranger THE REPORTER

S'il est difficile d'évaluer l'importance de l'évolution des intellectuels en Russie soviétique, il est manifeste qu'il existe dans certains milieux littéraires une opposition très vive au régime de Khrouchtchev. Ce sont les éditions Kultura, installées dans la banlieue parisienne, qui en apportent le témoignage.

Depuis quelque temps déjà, le rédacteur en chef de la revue socialiste polonaise qui paraît en France sous ce titre, Jerzy Giedroyc, reçoit par des voies clandestines des manuscrits d'écrivains soviétiques qui, sans être anticommunistes, parce qu'ils rancissent l'R.S.S., dénoncent les révisions

Cette œuvre allemande doit être prochainement en Allemagne, est nation de l'antisémitisme des dirigeants de donné tant de piteux blouses blanches qui se dissimulent dans sa préface d'Ivanov. Mais il s'agit d'un ouvrage qui ne peut être publié en URSS. Mais il s'agit d'un ouvrage qui ne peut être publié en URSS.

THE MAGAZINE OF FACTS AND IDEAS. The latest addition to this list is a play by one "I. Ivanov" entitled Is There Life on Mars? As yet there is no English translation. It was brought out in the original Russian (Yes! li zhizn' na Marse?) by Kultura, a distinguished Polish periodical published in Paris. Set in Moscow and on the planet Mars in 1956, the play, described by its author as "a comedy or possibly a tragedy," treats



Fragment lokalu redakcji



- Gombrowicz Witold: *Dziennik (1953-1956)*.  
 Bobkowski Andrzej: *Szkice piórkami (Francja 1940-1944)* (T. I i II).  
 Zaremba Paweł: *Historia Stanów Zjednoczonych*.  
 Hertz Aleksander: *Amerykańskie stronnictwa polityczne (Mechanizm demokracji)*.  
 Bell Daniel: *Praca i jej goryczy (Kult wydajności w Ameryce)*.  
 Winczakiewicz Jan: *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*.  
 Džilas Milovan: *Nowa klasa wyzyskiwaczy*.  
 Hłasko Marek: *Cmentarze. Następny do raju*.  
 Miłosz Czesław: *Kontynenty*.  
 Kowalik Jan: *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*.  
 Rembek Stanisław: *W polu*.  
 Fast Howard: *Król jest nagi*.  
 Weil Simone: *Wybór pism*.  
 Camus Albert: *Człowiek zbuntowany*.  
 Burnham James: *Rewolucja menadżerska*.  
 Katelbach Tadeusz: *Rok złych wróżb (1943)*.  
 Ławrynenko Jurij: *Rozstriljane widrodżennja*. (Antologia poezji i prozy ukraińskiej).  
 Łobodowski Józef: *Pieśń o Ukrainie*.  
 Nowakowski Tadeusz: *Syn zadżumionych*.  
*Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)*.  
*Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 6)*.  
 Hłasko Marek: *Hrbitowy*.  
 Kowalik Jan: *„Kultura” 1947-1957*.  
 Pasternak Borys: *Doktor Żiwago*.  
 Lednicki Waław: *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej*.  
 Terc Abram i Anonim: *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?*  
 Déry Tibor: *Niki*.  
 Sukiennicki Wiktor: *Kolumbowy błąd (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 7)*.  
 Iwaniuk Waław: *Milczenia 1949-1959*.  
 Miłosz Czesław: *Rodzina Europa*.  
 Grudziński-Herling Gustaw: *Skrzydła otarza*.  
 Guillej-Chmielowska Halszka: *Spotkania na galerii*.  
 Czapski Józef: *Oko*.  
 Gombrowicz Witold: *Pornografia*.  
 Lipski Leo: *Piotruś*.  
 Huxley Aldous: *Nowy wspaniały świat poprawiony*.



- Wierzyński Kazimierz: *Tkanka ziemi*.  
 Kot Stanisław: *Jerzy Niemirycz w 300-lecie ugody Habsburskiej*.  
*Węgry* (Seria „Dokumenty”. Zeszyt 8).  
 Swinarski Artur Marya: *Sasza i bogowie*.  
 Chciuk Andrzej: *Rejs de Smithton — Stary ocean*.  
 Ciołkosz Adam: *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*.  
 Luksemburg Róża: *Rewolucja rosyjska* (Seria „Dokumenty”. Zeszyt 9).  
 Czaykowski Bogdan i Sulik Bolesław: *Polacy w W. Brytanii*.  
 Mostwin Danuta: *Ameryko! Ameryko!*  
 Hostowiec Paweł: *Eseje dla Kassandry*.  
 Hertz Aleksander: *Żydzi w kulturze polskiej*.  
 Stawar Andrzej: *Pisma ostatnie* (Seria „Dokumenty”. Zeszyt 10).  
 Terc Abram: *Opowieści fantastyczne*.  
 Iwanow I.: *Czy istnieje życie na Marsie?*  
 Terc Abram: *Fantastyczne powieści*.  
 Iwanow I.: *Jest' li życie na Marsie?*  
 Zaremba Paweł: *Historia Polski Cz. I. 1-szy Zeszyt Historyczny*.  
 Czerniawski Adam: *Topografia wnętrza*.  
 Broniewski Władysław: *Wiersze*.  
 Czapski Józef: *Na nieludzkiej ziemi* (Wyd. drugie).  
 Miłosz Czesław: *Człowiek wśród skorpionów*.  
 Singer Bernard: *Od Witosa do Sławka*.  
 Miłosz Czesław: *Król Popiel i inne wiersze*.  
 2-gi Zeszyt Historyczny.

## Książki

### Nowe czasopisma socjologiczne

W Polsce pojawiły się dwa nowe kwartalniki socjologiczne, mianowicie *Studia Socjologiczne* oraz *The Polish Sociological Bulletin*. Pierwszy z nich wydaje Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, drugi — Polskie Towarzystwo Socjologiczne.

Potrzeba wydawania nowego kwartalnika socjologicznego — czytamy w słowie wstępnym „Od redakcji” w pierwszym numerze *Studiów Socjologicznych* — wyrosła z intensywnego rozwoju badań socjologicznych, ilościowego wzrostu publikacji naukowych oraz rozszerzenia się ich zakresu tematycznego. Wspomnianą potrzebę dostrzegali wszyscy śledzący publikacje socjologiczne ukazujące się w kraju. Nie mógł ich pomieścić *Przegląd Socjologiczny*, który dopiero od niedawna ukazuje się w dwóch półrocznych zeszytach (uprzednio był rocznikiem), oraz *Zeszyty Socjologiczno-Polityczne* specjalizujące się w socjologii stosunków politycznych (ten termin przyjęto w kraju jako odpowiednik angielskiego terminu *political sociology*) i skupiające wśród swych współpracowników socjologów podzielających wspólne zainteresowania i wspólną orientację metodologiczną. Z tej przyczyny rozprawy i artykuły socjologiczne ukazywały się niejednokrotnie na łamach *Studiów Filozoficznych* oraz *Kultury i Społeczeństwa*. Z braku miejsca wyniki wielu ciekawych badań socjologicznych znane były tylko z opracowań publicystycznych ogłaszanych w tygodnikach *Przegląd Kulturalny*, *Nowa Kultura* i *Polityka*. Miało to pewne dobre strony, gdyż w ten sposób większy zasięg czytelników mógł się zapoznać z rezultatami badań ankietowych. Ale artykuły publicystyczne nie zastępują publikacji pełnego naukowego opracowania dostarczającego prócz ostatecznych wyników badań również całego dokumentacyjnego materiału opisowego i statystycznego. Można obecnie oczekiwać, iż dzięki *Studiom Socjologicznym* będziemy

mogli zapoznać się z pracami sygnalizowanymi w tygodnikach w ostatnich kilku latach.

Początek w tej sprawie został już zrobiony, gdyż *Studia Socjologiczne* ogłosiły w nr. 2 wyniki badań Wł. Wesołowskiego i A. Sarapaty nad hierarchią zawodów i stanowisk, omówione swego czasu w *Polityce* (1), a w nr. 3 pracę Z. Baumana o znaczeniu sukcesu życiowego warszawskiej młodzieży, która wznosiła się dotąd jedynie w publicystycznej wersji ogłoszonej w *Nowej Kulturze*, jak obecnie widzimy, nieco mylącej a w każdym razie uproszczonej. Wiadomą jest rzeczą z doniesień o prowadzonych badaniach i z artykułów w prasie tygodniowej, iż na druk czekają opracowania innych ciekawych studiów ankietowych, nade wszystko badania Stefana Nowaka nad postawami światopoglądowymi studentów uczelni warszawskich (2) oraz Ireny Nowakowskiej nad poglądami społecznymi, politycznymi i religijnymi uczonych.

Wymienione wyżej artykuły nie wyczerpują listy prac z dziedziny badań empirycznych opublikowanych w *Studiach Socjologicznych*. Każdy numer *Studiów* zawiera dwa główne działy: teoretyczno-metodologiczny oraz socjologii szczegółowej. W drugim z tych działów ukazało się szereg prac empirycznych o ciekawej problematyce i wynikach, a więc praca A. Pawelczyńskiej o grupach młodocianych przestępców, Z. Gostkowskiego o zainteresowaniach wyborami do Rad Narodowych wśród ludności Łodzi (1958), A. Sarapaty o przemianach w hierarchii zawodów, J. Piotrowskiego o sytuacji rodzinnej kobiet zamężnych zawodowo czynnych, T. Gęska o zawodzie oficera w oczach młodzieży i szereg innych.

We wspomnianym słowie wstępnym redakcja *Studiów Socjologicznych* stwierdzała, iż jest jej zamierzeniem by stały się one „ośrodkiem integrującym wysiłki ogółu socjologów polskich i reprezentującym pełny wachlarz stanowisk metodologicznych i zainteresowań badawczych”. To zamierzenie jest wyrazem opinii uzasadnionej szczegółowo przez Stanisława Ossowskiego w artykule „Stanowiska i szkoły”, opublikowanym w pierwszym numerze *Studiów*. Ossowski broni w nim poglądu, iż dominującą tendencją nauk społecznych w ostatnich latach jest zanik odrębnych szkół. Po wyłączeniu zagadnień niesprawdzalnych i założeń nie dających się sprawdzić w obecnym stanie wiedzy, rozbieżności kierunków sprowadzają się do różnic w doborze problematyki i metod badawczych, czemu towarzyszy wzrastające integracja aparatury pojęciowej i metodologicznej. Co do trafności tej diagnozy można mieć zastrzeżenia (Ossowski zdaje się nie doceniać roli postaw archaicznych, jak je określa, założeń

(1) Praca ta była opublikowana wcześniej w nieco krótszej redakcji w *American Journal of Sociology*, Vol. 66, 1961, pp. 581-591.

(2) Część pracy Nowaka była opublikowana w *American Sociological Review*, Vol. 25, Nr 2, 1960.

ideologicznych i odrębności postaw społecznych nadal dzielących socjologów), ale zamierzeniu redakcji *Studiów* należy przyklasnąć.

Zamierzenie to nie pozostało deklaracją. O ile w badaniach empirycznych, spełniających wymagania stawiane obecnie pracom tego typu, nie ma miejsca na różnice kierunków, różnice te mogłyby się zarysować w studiach teoretycznych i metodologicznych. Trudno jest bowiem zgodzić się bez zastrzeżeń z opinią Lewisa Feuera, cytowaną przez Ossowskiego, iż „zasady filozoficzne to nie są twierdzenia naukowe”. Nie jest bowiem prawdą, jak Feuer sugeruje czytelnikom, iż ponoć każda „zasada filozoficzna” jest wyrazem emocjonalnego stosunku do świata i jako taka nie może być obalona przez analizę logiczną lub odwołanie się do faktów. Trudno jest również zgodzić się bez zastrzeżeń z opinią Ossowskiego, iż tradycja filozoficzna jest jedynie obciążeniem dla socjologii w obecnym stadium jej rozwoju. Nie można przecież pominąć faktu, iż takie dzieła socjologiczne jak *Struktura klasowa w społecznej świadomości* Ossowskiego, *Socjologia* Szczepańskiego i *Z zagadnień współczesnej socjologii amerykańskiej* Baumana, jakie ukazały się w kraju w ostatnich latach, wyrosły z różnych tradycji filozoficznych.

Istnienie różnic dzielących socjologów na płaszczyźnie teorii i metodologii nie wyklucza dążenia do integracji nauk społecznych w zakresie aparatury pojęciowej i z tą aparaturą związanych założeń teoretycznych. Pierwszym krokiem w tym kierunku jest stworzenie platformy, na której ogół socjologów, reprezentujących różnorodne orientacje, może się spotkać i stanowisko swe sformułować. Jeśli wolno sądzić z zawartości czterech pierwszych numerów, *Studia Socjologiczne* zadanie to doskonale spełniają i stały się, stosownie do redakcyjnej deklaracji, trybuną całego polskiego środowiska socjologicznego. Nazwiska autorów artykułów z zakresu teorii i metodologii reprezentują szeroki wachlarz poglądów. Pomijając socjologów starszego pokolenia wystarczy wspomnieć, iż w *Studiach Socjologicznych* znajdujemy obok siebie artykuły Z. Baumana, B. Gałęskiego, Z. Gostkowskiego, A. Malewskiego, H. Malewskiej, S. Nowaka, A. Podgoreckiego, J. Wiatra. Zakres tematyki i sposób jej prezentacji świadczą chlubnie o rozmachu i poziomie polskiej socjologii.

*Polish Sociological Bulletin*, którego pierwszy podwójny numer ukazał się w maju br., spełniać ma dwa zadania. Ma on z jednej strony informować o rozwoju badań socjologicznych w Polsce, z drugiej dostarczyć polskim socjologom łamów do wypowiedziania się w języku o światowym zasięgu o zagadnieniach teoretycznych i metodologicznych socjologii i w ten sposób umożliwić im włączenie się do międzynarodowej dyskusji. Wśród problemów jakimi kwartalnik w języku angielskim pragnie się zająć, są w pierwszym rzędzie sprawy związane z historycznymi determinantami teorii socjologicznych oraz socjologiczne zagadnienia

planowania. Dobór tych właśnie problemów podyktowany jest osobistym zainteresowaniem polskich socjologów oraz faktem, iż oba problemy polscy socjologowie znają z własnych doświadczeń i mogą je śledzić na podstawie własnych obserwacji.

*Polish Sociological Bulletin* jest pomysły jako samodzielne czasopismo, które nie ograniczy się do publikacji w języku angielskim artykułów ogłoszonych lub czekających na druk w jednym z polskich wydawnictw socjologicznych. Pierwszy numer kwartalnika zawiera cztery działy: artykułowy, doniesienia o prowadzonych badaniach, recenzje polskiej i zagranicznej literatury socjologicznej oraz informacje o instytutach badawczych, periodykach socjologicznych i działalności Polskiego Towarzystwa Socjologicznego.

*Polish Sociological Bulletin* walczy z trudnościami językowymi i pod tym względem pozostawia nicjedno do życzenia. Ponadto, zdaniem piszącego, równowaga między częścią artykułową i informacyjną została zachwiana na niekorzyść informacji. W obecnej chwili ten drugi dział jest ważniejszy ze względu na zainteresowanie rozwojem badań socjologicznych w Polsce. Odnosi się wrażenie, iż *Polish Sociological Bulletin* tym lepiej spełni swe zadanie im pełniej i wszechstronniej zaspokoi to zapotrzebowanie.

Polska posiada obecnie cztery czasopisma socjologiczne, a ich zawartość świadczy o tym, iż nie jest to liczba nadmierna. Gdy w 1956 roku socjologia odzyskała prawa dyscypliny akademickiej, nikt nie oczekiwał by socjologia mogła się odrodzić w kraju w tak niezwykle szybkim tempie i rozwinąć badania na tak szerokim froncie. Przyjemnym obowiązkiem recenzenta jest zanotowanie poważnych osiągnięć, jakich dokonano w kraju w ostatnich kilku latach, oraz podkreślenie gwarancji zapewniających dalszy postęp w przyszłości. W odróżnieniu od okresu przedwojennego, gdy losy socjologii spoczywały na barkach kilku wybitnych jednostek, obecnie są one w rękach licznej i stale rosnącej grupy socjologów, znających swoje rzemiosło i ożywionych chlubną ambicją zarówno pomnożenia wiedzy teoretycznej jak i jej zastosowania dla dobra społecznego.

Zbigniew JORDAN

Z przykrością stwierdzamy, że Redakcja „Kultury” nie otrzymuje egzemplarzy recenzyjnych krajowych czasopism socjologicznych.

## Wspomnienia głównego agenta

Książę Władysław Czartoryski, syn księcia Adama Jerzego, niekoronowanego króla Polski, a wnuk księcia Adama, generała ziem podolskich, został przez Rząd Narodowy mianowany w dniu 15 maja 1863 głównym agentem dyplomatycznym w Paryżu, Londynie, Turynie, Sztokholmie i Konstantynopolu. Gdy w lipcu, wobec oskarżeń wicekanclerza Gorczakowa, rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, iż powstanie polskie jest wyłącznie dziełem międzynarodowej rewolucji, nominacje te ogłoszono publicznie — został przedstawicielem jedynie na Francję i Anglię.

U schyłku życia sięgnął po pióro, by zostawić świadectwo swej działalności. Jego własne słowa najlepiej to wyjaśniają.

„Trzydzieści lat (podaje na samym wstępie) niemal upłynęło od ostatnich naszych strasznych wypadków. Dużo przez ten czas ukazało się dzieł o nich, czy to opisując historię, czy to wydając sąd o wypadkach i ludziach. Nikt dotąd nie skreślił historii dyplomatycznej zagranicznej tej epoki, a często spotykałem się ze zdaniem mylnym lub to w książkach, lub nawet u żyjących. Fakta są przedstawiane inaczej, niż były, formują się legendy, miotają się na ludzi ostre i dotkliwe a nieuzasadnione zarzuty.

Stary i schorzały, jednak biorę za pióro, by opisać tę stronę dyplomatyczną naszych wypadków. Jestem jej świadomy, bom nią kierowałem. Winienem to uczynić nie tyle dla mnie, jak dla moich współpracowników, a szczególnie dla wyświecenia prawdy”.

Zaczął ją spisywać w roku 1892 i pracował nad tym prawdopodobnie do samej śmierci w czerwcu 1894. Posługiwał się licznymi dokumentami, zachowanymi w archiwum rodzinnym. Szczególnie cenne są pierwsze strony, gdyż zostały opracowane na podstawie nie istniejącego już zeszytu posiedzeń Biura. Wspomnienia te były w zasadzie niedostępne historykom przed rokiem 1945. Obecnie wyszły one drukiem (1). Wraz z pamiętnikiem zostały ogłoszone trzy dalsze rękopisy z Archiwum Czartoryskich w Krakowie. Mianowicie dwa zeszyty protokółów posiedzeń Biura z lat 1861-1865, oraz zeszyt rozmów politycznych księcia z okresu powstania. Tom ten jest pierwszym z serii, która ma objąć wybór źródeł do tego okresu z archiwum Hotelu Lambert.

Pamiętnik księcia rozpoczyna się od przeglądu sytuacji Polski po wojnie krymskiej (1854-56). Nowe pokolenie, nie pamiętające już klęski listopadowej, ogarnięte zostało ogólnym niepokojem umysłów, jakie wtedy zawiadnęło Europą. Wojna włoska (1859) tendencje te jeszcze spotęgowała. W otoczeniu

(1) Władysław Czartoryski: *Pamiętnik 1860-1864*. Warszawa, 1960. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, stron 402. Opracował i wstępem opatrzył Henryk Wereszycki.

księcia Adama, ojca Władysława, zdecydowano, „że należy z krajem się znieść, a działać zbiorowo w porozumieniu wzajemnym” (str. 23). W Hotelu Lambert powstał tajny ośrodek zwany Biurem, które nawiązując łączność z krajem za pomocą tak zwanych korespondentów, starało się, przez prasę i interpelacje w parlamentach Paryża i Londynu, wpłynąć na opinię zachodnio-europejską.

Osobiste stosunki książąt Czartoryskich z francuską parą cesarską, oraz związki rodzinne z dworem hiszpańskim ułatwiały wielce te poczynania. Ze wszystkich ugrupowań polskiej emigracji jedynie ich wysłannicy mieli niemal wszędzie wolny dostęp; zarówno na pokoje papieskie, jak i do pałaców sultanskich, do Karola XV szwedzkiego jak i przede wszystkim do Napoleona III. Propaganda polska trafiała zresztą na podatny grunt ogólnej sympatii świata cywilizowanego dla ofiar wschodniego barbarzyńcy. „Ale sami Moskale nam pomagali swoim niecnym i gwałtownym postępowaniem” (str. 55).

Zainteresowania Biura nie ograniczały się tylko do polskich zagadnień. Sprawy kaukaskie, bułgarskie, starowierców w Dobrudży, skomplikowane stosunki tureckie zabierały nie mniej czasu i energii dyplomacji Hotelu Lambert. O nawale podjętych prac świadczyła ilość komisji: finansowa, korespondencyjna z krajem, angielska, szwedzka, rzymska, wschodnia, rosyjska, dziennikowa i francuska. Głównym oparciem finansowym były fundusze przesyłane z kraju, zbierane we wszystkich dzielnicach. Najwięcej pracy i uwagi wymagała sekcja dziennikowa. Ale też mogła się ona i pochwalić największym dorobkiem. „Można powiedzieć, że żadne słówko o Polsce nie było drukowane bez naszego współdziałania” (str. 103). Najbardziej trwałym okazał się trud umieszczania dokumentów dotyczących spraw polskich w „Archives Diplomatiques”, zbiorze niezbędnym do dzisiaj dla wszystkich badaczy dyplomacji XIX wieku.

Najważniejszym jednak zadaniem Hotelu Lambert, o wiele bardziej istotnym niż informowanie Zachodu o Polsce, było przeciwdziałanie nadciągającemu nieszczęściu. „Robiłem sobie jeszcze iluzje, że może się da odroczyć powstanie. Moi współpracownicy podzielali te iluzje” (str. 112). Mowa księcia z 29 listopada 1862 była jednak daremnym ostrzeżeniem.

„Nastał nareszcie ów straszny rok” (str. 116). „Z początku ja i moi współpracownicy jak piorunem tknięci zdumieliśmy, jak boleścią niezmierną ogarnieni zbieraliśmy się w milczeniu. Wypadki opowiadano sobie, do ostatka nie chcąc im wierzyć (2). Przypominam sobie, jak płk. Jordan zapłakał na wieść powstania” (str. 118).

(2) Słowa te są nie tylko trzydziestoletnim refleksem po klęsce. Hotel Lambert był rzeczywiście zupełnie zaskoczony powstaniem i aż do 29 stycznia zaprzeczał oficjalnie jego istnieniu, określając wiadomości o walkach jako rosyjską prowokację by usprawiedliwić następnie spodziewaną falę barbarzyńskiego terroru.

Obowiązek wobec własnego narodu kazał jednak przyłączyć się do walki i oddać swe usługi i swą siatkę dyplomatyczną do rozporządzenia Rządu Narodowego. Książę Czartoryski mógł to uczynić o tyle z czystym sumieniem, iż ze wszystkich stron, włączając w to ambasadora austriackiego i angielskiego, mówiono mu że powstanie musi trwać. Najbardziej wymownym był tu głos samego Napoleona na audiencji 26 marca. A cesarzowa wręcz nalegała, by on osobiście przyłączył się do ruchu i dał mu swe nazwisko. Inni radzili mu, by Polacy dokonali jakiegoś czynu zuchwałego i głośnego, który by działał na imaginację ludzką, jak na przykład zajęcie Odessy. Były to niewątpliwie odgłosy toczącej się wtedy walki zakulisowej o zmuszenie Francji do wystąpienia w obronie Polski.

Nie wiele mógł zdziałać wtedy przedstawiciel dyplomatyczny Polski. Nie był on nawet, jak to kilkakrotnie sam podkreśla, należycie informowany o aktualnej sytuacji politycznej, ani o toku dyskusji dyplomatycznej. Żądano od niego, by powstanie trwało, pomagano w niektórych imprezach, jak wyprawa kaukaska, ale zasadnicze decyzje w rozgrywce o Polskę były pobierane za jego plecami, bez powiadomienia go o tym. Czartoryski przypisuje winę polskiej klęski Napoleonowi III, który zażądał trwania powstania by go potem opuścić i narazić się na utratę prestiżu. Książę Władysław kilkakrotnie ostrzega dyplomatów drugiego cesarstwa, iż opuszczenie Polski będzie kosztować dynastię napoleońską tron.

Po stu latach historycy polscy i obcy zgadzają się tylko w części z tymi zarzutami. Rok 1863 i opuszczenie Polski był momentem przełomowym w dziejach drugiego cesarstwa, prysł mit o potędze władcy w Tuilleries, o tym iż on jest arbitrem losów Europy. Rosja Aleksandra II zadała temu kłam i mimo protestów francuskich nie tylko złamała zbrojny poryw Polaków, ale nie cofnęła się przed gloryfikacją Murawiewa ku grozie całej cywilizowanej Europy. Czartoryski nie podejrzewał, iż *le grand coupable* polskiej klęski nie był jednak w Paryżu a w Wiedniu. To katolicka Austria ludziła Francję sojuszem w obronie Polski i skłoniła go w ten sposób do zachęcania Polaków, by ci trwali w walce. Raz wciągnięty na drogę rozmów z Wiedniem, protestów w Petersburgu, podtrzymywania Polaków, Napoleon III nie mógł się z tego wyplątać, angażował Francję i siebie coraz bardziej w sprawę polską, by ją w końcu opuścić i zamknąć w ten sposób jeden rozdział historii europejskiej i, nie wiedząc o tym, otworzyć nowy, w którym pokłócone o Polskę Francja i Anglia patrzyły bezradnie jak imperializm niemiecki i rosyjski pchały świat do wojny światowej. Bez interwencji dyplomatycznej w roku 1863 nie byłoby upadku Wielopolskiego, zjednoczenia Niemiec, przedłużenia istnienia Austrii o następne pół wieku, czekania przez Polaków jeszcze 50 lat na odzyskanie niepodległości.

Niepodległość ta mogła przyjść do Polski ze sztandarami

napoleońskimi, ale cesarz wahał się, nie chciał rozpoczynać bez sojuszu z Wiedniem lub Londynem. Te wahania są dość wier- nie przedstawione przez Czartoryskiego. Cytuje on słowa pre- miera angielskiego Palmerstona, który bardzo trafnie ujął na początku czerwca sytuację oświadczając księciu na jego zapew- nienia o sympatii Napoleona do powstania. „Jak kto jest cesa- rzem Francji i ma za sobą parękroć sto tysięcy bagnetów, to nie ma usposobienia lub chęci, lecz ma wolę i nakazuje” (str. 153).

Pamiętnik ten jest pierwszorzędnym źródłem do dziejów sprawy polskiej w latach nim objętych. Przynosi wiele nowych szczegółów, daje nam komentarz do wypadków człowieka, który kierował polską dyplomacją, lepiej rozumiemy trudności Hotelu Lambert, w zestawieniu z korespondencją dyplomatyczną obcych państw, zyskujemy lepszy obraz zmagania o Polskę w „tym strasznym roku”. Nie wiedząc co przyniosą następne tomy archiwum Czartoryskich, podkreślmy najbardziej ciekawe szcze- góły zawarte w tym pierwszym dziele.

Autor pamiętników powtarza szczegółowo, korzystając z notatek robionych wspólnie, swe rozmowy z cesarzem i jego sekretarzem Mocquardem, z Aleksandrem Walewskim, księciem Napoleonem, z ambasadorami i ministrami państw obcych. Wszyscy zgodnie stwierdzali w latach 1861-2, iż Po- lacy w zaborze rosyjskim nie powinni wychodzić poza mani- festacje i żądania mające szanse spełnienia.

„Miałbym jedną radę do dania — oświadczał Napoleon — bądźcie spokojni i cierpliwi, Rosja osłabia się i jest w rozbiciu, macie tam jakąś partię macie przychylną, czekając macie niemałe szanse, gotujcie się na przyszłość, organizujcie się, tutaj działajcie na opinię publiczną przez prasę, i wtedy, jak przyjdą okoliczności, będziecie mogli z nich korzystać. Ale teraz nie opuszczajcie gruntu prawnego — agitujcie, ale legalnie” (str. 47).

Nie było to jednak łatwe do urzeczywistnienia wobec bar- barzyństwa represji. Rozumieli to zresztą sami Francuzi: „Po- stępowanie Rosji jest tak ohydnie srogie, o ile może być, i na teraz nie zmieni go” — oświadczył Mocquard (str. 63).

Ciekawe są słowa księcia Napoleona z grudnia 1861 odnoś- nie wojny krymskiej i jego ówczesnej propozycji uczynionej Mierosławskiemu, by ten wylądował na Litwie z 500 ludźmi.

„Nie powstaliście, a jednak nie było wojska u was, mogło się wam udać i gdyby wam się nie szczęściło, Francja byłaby wam na pomoc przyszła” (str. 61).

Te same zarzuty usłyszał Czartoryski w kwietniu 1864 z ust samego cesarza:

„Ależ zawsze tak nieszczęśliwie i nie w porę porywacie się do broni. W czasie wojny krymskiej cicho siedzieliście, a teraz powstaliście w chwili spokoju w Europie” (str. 200).

Ten żal do Polaków, iż nie wykorzystali wtedy okazji do czynu zbrojnego, a jedynie posłusznie słuchali ówczesnych nale- gań Paryża by nie komplikowali sytuacji swym wystąpieniem, przewija się ciągle w tych latach przez rozmowy francusko- polskie. Warta zanotowania jest także uwaga księcia Oskara szwedzkiego, iż tylko intrygi austriackie powstrzymały Szwecję od wcześniejszego udziału w owej wojnie (str. 82).

Jednym z ciekawszych zagadnień roku 1863 są niedostatecz- nie jeszcze znane rozmowy francusko-szwedzkie, mające na celu sojusz zaczepny dla ratowania Polski. Pamiętniki dorzucają no- we szczegóły. Okazuje się, iż to Napoleon rozpoczął swym listem z 7 marca ową, dochoowaną do nas tylko fragmentarycz- nie, korespondencję między dwoma władcami. W odpowiedzi Karol XV, prócz zaofiarowania cesarzowi swej 60.000 armii, zażądał subsydiów oraz wzmocnienia swej floty wojennej jed- nostkami francuskimi. Na dowódcę chętnie by widział mar- szalka Mac-Mahona. List ten miał wywołać niezadowolnienie adresata (str. 74-83).

Po raz pierwszy mamy podaną w całości wypowiedź Na- poleona o przywróceniu polskiej monarchii z księciem Konstan- tym na tronie i z Wielopolskim jako rzeczywistym władcą, dyskutowaną w Petersburgu w roku 1862. Dotychczas znałiś- my to jedynie z aluzji Adama Lewaka (3). Jest to jeszcze jedno pośrednie źródło do ciągle dla nas tajemniczej polityki mar- grabiego w latach 1861-3 (str. 127).

Książę Władysław niezmiernie krytycznie ocenia postępo- wanie Andrzeja Zamoyskiego. Opisując jego znane widzenie się z carem w październiku 1862 stwierdza:

„Stracił p. Andrzej tę ostatnią okazję, gdzie mógł coś otrzymać dla kraju, więcej może niż ktokolwiek przez swoją powagę i urok, mógł przy- najmniej wzmocnić margrabiego i otrzymać znaczne rozszerzenie zdobytej już, choćby małej dotąd autonomii Królestwa — a to byłoby się i dalej rozciągnęło”.

I dodaje:

„Pan Andrzej nie był wcale ani mężem stanu, ani człowiekiem poli- tycznym... Dlatego porozumienie z margrabią nie przyszło do skutku, co by było prawdopodobnie tyle dobrych pociągnęło za sobą następstw. Pan Andrzej odrzucił rękę, którą mu ofiarował Wielopolski, z niego sobie nieprzyjaciela zrobił i ci dwaj mężowie, którzy tak korzystnie mogli razem dla kraju pracować, stanęli na 2 ostatnich krańcach z postawą nieprzy- jaciół” (str. 110-1).

Gdy Zamoyski przybył do Paryża Czartoryski starał się otrzymać od niego publiczne potępienie szykującego się powsta- nia. Spotkał się z odmową. „W każdej machinie musi być sza- lone koło, inaczej machina stanie” — odrzekł malowniczo Pan

(3) A. Lewak: Polska Działalność dyplomatyczna w 1863-4 r. Warszawa 1937, str. 18.

Andrzej (str. 111). Słowa te dziwią bo wyjeżdżając do Petersburga, nie zawahał się on zawołać na dworcu do odprowadzających go przyjaciół: „Tylko broń Boże zbrojnego powstania” (4). Odtąd Czartoryski nie rozmawiał z Andrzejem Zamoyskim o polityce.

Niezmiernie charakterystyczną jest uwaga księcia Napoleona o Walewskim wypowiedziana do księcia Władysława w marcu 1863. „Czy was nie opuści właśnie w chwili, gdy przyjdzie wybierać między posadą a wami” (str. 125). Wiemy obecnie, po udostępnieniu jego papierów prywatnych badaczom, iż Walewski był jednym z najgorliwszych szermierzy wyprawy na Rosję i epizod z odmową angielską zgodzenia się na niego jako na ambasadora w Londynie jest jednym z więcej znanych przejawów walki zakulisowej o nową wojnę polską.

Dziwi uwaga Czartoryskiego, iż John Russell, angielski minister spraw zagranicznych, słabo się orientował w polskich sprawach (str. 92). Dostępna obecnie korespondencja, tak prywatna jak i urzędowa, wykazuje raczej coś przeciwnego. Był jednym z nielicznych Anglików naprawdę rozumiejących komplikację polskiego położenia. Zaskakuje także opinia o obojętności Rouhera, ministra francuskiego, rzeczywistego dyktatora gospodarczego drugiego cesarstwa (str. 115). Salon jego był jednym z najbardziej propolskich w Paryżu, córka, przebywając stale w towarzystwie Polaków, nauczyła się po polsku i stała się następnie tłumaczką dzieł Sienkiewicza na francuski. Pierwsze jej tłumaczenia ukazały się właśnie w roku 1892, roku pisania pamiętników. Obszernie pisze zresztą o tym we swych wspomnieniach Maria Walewska. Sam Eugeniusz Rouher jest autorem znanego powiedzenia: *Je n'oublie pas que, de 1796 à 1814 la Pologne errante s'est assise a notre foyer.*

Ciekawym echem tradycji Hotelu Lambert jest wzmianka, iż Anglicy nie dopuścili do podniesienia sprawy polskiej w czasie kongresu paryskiego, kończącego wojnę krymską (str. 192). Na stronie 118 Czartoryski wspomina o widzeniu się cara z Napoleonem w Nicei i umieszcza je w okresie przedpowstaniowym. W rzeczywistości miało ono miejsce w październiku 1864 r. Cesarz upomniał się o Polaków, Aleksander II odparł, iż nie nadszedł jeszcze czas na złagodzenie represji. Błąd zakradł się także do relacji z rozmowy z francuskim ministrem spraw zagranicznych, Drouyn de Lhuys, po ogłoszeniu przez „Moniteur” noty rządu polskiego o barbarzyństwach rosyjskich. Miała ona miejsce 22 września a nie sierpnia, następne widzenie się należy więc poprawić z 26 sierpnia na 26 września (str. 169-170).

Z kart pamiętnika przebija gorycz autora, gorycz iż nie zdołał powstrzymać wybuchu powstania, iż jego wysiłki dyplomatyczne roku 1863 rozbiły się o krótkowzroczność Napoleona

III, gorycz wreszcie iż własni rodacy rzucali na niego kamieniami nieuzasadnionych kalumni. Sam pamiętnik nie jest łatwy w czytaniu, całość jest dość chaotyczna, są liczne powtarzania się. Autor widocznie pisał go z przerwami, zapominał co już opowiedział i wracał często do poruszonego przedtem tematu. Szczególnie strony odnoszące się do roku 1863 są nieuporządkowane i treściowo słabsze od poprzednich rozdziałów traktujących lata przedpowstaniowe. Postępująca choroba nie pozwoliła księciu na pełne opowiedzenie czynności z tego strasznego lata. Nie jest to więc ostateczna redakcja, ale raczej brulion, który byłby, gdyby stało zdrowia, poprawiony i uzupełniony przez samego Czartoryskiego.

Pamiętnik został opracowany i opatrzony wstępem przez profesora Henryka Wereszyckiego, najlepszego, po generale Marianie Kukielu, specjalisty polskiego XIX wieku. Wstęp opisuje obecny stan rękopisów i wyjaśnia technikę ich wydania. Następnie daje ocenę podanej zawartości oraz przestrzega przed jego jednostronnością.

Wyjaśnienia są opracowane wzorowo i zaoszczędzają czytelnikowi wiele żmudnej kwerendy. Nieuniknione myłki są nieliczne i drugorzędnej wartości. Brak w indeksie nazwisk lorda Ellenborough wymienionego kilkakrotnie w tekście. Arcybiskup Dupanloup był orleanistą a nie „szefem partii katolicko-liberalnej” gdyż taka jeszcze wtedy nie istniała. Arese nie był ambasadorem włoskim w Paryżu w roku 1863, był nim, jak prawidłowo podano kilka stron dalej, Nigra (str. 125, 132). Bitwa pod Konstangalią miała miejsce 15 lipca a nie 15 sierpnia (str. 146, przypisek 293). Żeby zrozumieć tekst polski protokołów Biura trzeba czasami uciekać się do języka francuskiego; np. na stronie 329 „z kim się mieszać” powinno być wyjaśnione z kim przestawać (*avec qui se mêler*). Korekta jest dobra, ale złośliwy chochlik określił plany Mierosławskiego jako „wozy z kozami” (str. 114).

Jest to najpoważniejsze źródło do historii dyplomatycznej powstania styczniowego jakie ukazało się w kraju od roku 1937, tj. od cytowanego wyżej zbioru dokumentów wydanego przez A. Lewaka. Daje ono wierny obraz działalności dyplomacji Hotelu Lambert, jego ogólne dążenia i jego wysiłki by rozpoczęte powstanie skłoniło mocarstwa europejskie, a pierwszym rzędzie Francję, do interwencji zbrojnej.

Czekamy na dalsze tomy z nadzieją, iż obejmą one także lata 1854-60, gdyż w wypadkach tego okresu leży zrozumienie pokolenia, które podjęło walkę styczniową.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

(4) Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński: Pamiętniki, Kraków 1897, tom II, str. 243.

## Księga o polskim dorobku tysiąclecia

Nie zamierzam szukać przyczyn zjawiska — ograniczę się do stwierdzenia, że w latach powojennych, zarówno w kraju, jak i tu, na emigracji, wzrosło się znacznie i w dalszym ciągu wzrasta zainteresowanie historią ojczyzną, dawną i najnowszą. Nie będę omawiał tu krajowych wydawnictw. Spójrzmy jednak na emigrację. W ciągu ostatnich 10-12 lat ukazały się — obok wznowionych dzieł kultury polskiej Al. Brücknera oraz „Wielkiej Emigracji” Lubomira Gadona — prace Oskara Haleckiego Henryka Paszkiewicza, Tadeusza Sulimirskiego, Jana Kucharczyńskiego, Stanisława Kota, Władysława Konopczyńskiego, Władysława Wielhorskiego, Adama Żółtowskiego, Mariana Kukiela, Waleriana Meysztowicza, Karoliny Lanckorońskiej, Leona Koczego. Wydawane w Londynie „Teki Historyczne”, początkowo cienkie brouszury, dziś pęcznią z każdym nowym zeszytem, licząc już po 320-350 pojemnych stron druku. To samo powiedzieć można o londyńskiej „Niepodległości”, poświęconej naszym dziejom najnowszym. Mnożą się wydawnictwa takie jak „Rocznik Kijowski” czy tak bogate w treści wydawnictwa Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego, w jej odnodze londyńskiej. Równocześnie najpoczytniejsze na emigracji pisma — „Kultura”, i londyńskie „Wiadomości”, w dużej mierze także „Bellona”, nie skąpią na swych szpaltach miejsca sprawom z naszej przeszłości. Jeśli do tego dodamy literaturę pamiętnikarską, która przecież także mówi o tym, co było, to bez obawy przesady powiedzieć można, iż na dziedzinę historii przypada bardzo znaczny, chyba największy, odsetek naszej wydawniczej produkcji na emigracji.

Dziedzina ta w ciągu ostatniego półrocza znów się wzbogaciła o szereg pozycji: przybyły wydane w Londynie wspomnienia gen. St. Maczka, gen. St. Kopańskiego i płk. T. Tomaszewskiego, — „Kultura” oprócz pierwszego „Zeszytu Historycznego” wydała cztery książki, w całości — jak „Nieludzka ziemia” Czapskiego — lub w dużej części poświęcone sprawom z przeszłości: wspomnienia W. Weintrauba o Broniewskim, znakomitą rozprawę Miłosza o tragicznym splocie przyczyn i skutków w życiu Brzozowskiego, wreszcie wspomnienia sejmowe Singera-Regnisa. Nowymi z tegoż ostatniego półrocza pozycjami są trzy obszerne książki: Pawła Zaremby „Historia Polski”, w wydanym tomie pierwszym, w próbie syntezy obejmującej okres od zarania państwa polskiego do r. 1506, na tle politycznego, kulturalnego i gospodarczego rozwoju Europy; imponujące roz-

miarami „Dzieje Porozbiorowe” Mariana Kukiela i wreszcie owoc pracy zespołowej: „Polska i jej dorobek dziejowy” (1).

Wydawnictwo to — w zamierzeniach swoich — dać miało w dwóch dużych tomach „obraz całości życia polskiego” w dziedzinie politycznej, ustrojowej, kulturalnej i społeczno-gospodarczej w okresie od początku dziejów polskich do roku 1939, a w pewnych zagadnieniach, wojskowych i politycznych, aż do roku 1945. Wydany tom pierwszy zawiera prace — o charakterze syntetycznym i popularno-naukowym — 29-ciu współautorów, mówiących w części pierwszej: „Ziemia i człowiek” o obliczu ziemi polskiej, o jej położeniu geograficzno-politycznym, o polszczyźnie i języku polskim, jako elemencie kultury narodowej, o narodowych obrzędach i zwyczajach dorocznych, w części drugiej: „Historia” — o czasach przedhistorycznych, o epoce Piastów, o Litwie przed unią z Polską, o czasach Jagiellonów, potem o nie całym stuleciu od Walezjusza do Władysława IV, o Polsce drugiej połowy wieku XVII, o czasach saskich i Stanisławie Augustie, wreszcie o okresie porozbiorowym do r. 1918. Uzupełnieniem do dziejów politycznych są zawarte w tymże tomie rozprawy o ustroju Polski w kolejnych etapach jego rozwoju, o dziejach myśli politycznej w dawnej Polsce, o jej życiu społecznym i gospodarczym, o jej roli na rubieży dwóch kultur — Zachodu i Wschodu, o dawnej wojskowości. Prawie całą drugą połowę tego tomu wypełniają rozprawy o warunkach życia kulturalno-naukowego po rozbiorach, o Wielkim Księstwie Litewskim w jego rozwoju kulturalnym, o Wołyniu i ziemiach południowo-wschodnich, o Kościele katolickim, o protestantach polskich, o kościele prawosławnym w Polsce, wreszcie — o Żydach polskich.

Co w tym olbrzymim tomie jest jego stroną słabszą, a co wartością niemałą i bezsporną?

Byłem kiedyś — przed wojną jeszcze — redaktorem naczelnym wielkiego wydawnictwa o podobnym charakterze. Z wyniesionych doświadczeń wtedy, tkwi we mnie dotąd przekonanie nie tylko o niewdzięcznej roli kierownika takiego zespołu, ale i o zdecydowanej przewadze w osiągniętych rezultatach momentów ujemnych nad dodatnimi.

Wiem jak niełatwo jest znaleźć i skupić „fachowców” dla wspólnego wysiłku, jak wiele jest zawodów i niespodzianek, i jak trudno jest zrobić z napływających zewsząd fragmentów — całość zwartą, o jednolitym poziomie. Z trudnościami takimi spotkać się musiał i profesor Paszkiewicz, skoro, w przedmowie redaktorskiej stwierdza, że porozumiewanie się z 56 współautorami, zwerbowanymi do dwutomowej całości, a osiadłymi w

(1) „Polska i jej dorobek dziejowy w ciągu tysiąca lat istnienia. Zarys i encyklopedia spraw polskich. Tom pierwszy. Pod redakcją prof. dr. Henryka Paszkiewicza. Księgarnia Polska Orbis-Polonia, Londyn (1956-1962) Stron 592, liczne ilustracje i mapy.

ośmiu krajach, „nie zawsze było rzeczą łatwą”; jeszcze wymowniej brzmi stwierdzenie, że współautorów tych pochłaniały „inne zajęcia”. Sądzę też, że nie tylko względy finansowe — choć koszt tego wydawnictwa musiał być bardzo duży — ale przede wszystkim zawody i niespodzianki ze strony współautorów są powodem, że wydawnictwo drukowało się w tak żółwym tempie, bo rozpoczęte — jeśli się nie mylę — w roku 1953, zostało po dziewięciu latach doprowadzone zaledwie do połowy.

Ale oprócz tej zwłoki widoczne są i inne ujemne skutki pracy w przypadkowo dobranym zespole. Wymieniłbym tu przede wszystkim rażące braki w konstrukcji pierwszego wydanego tomu. Historia polityczna Polski doprowadzona jest w nim tylko do roku 1918, mimo, że autorzy innych fragmentów wkraczają w okres dwudziestolecia niepodległości, a w niejednym wypadku sięgają aż do r. 1945. Nie ma obrazu ani literatury polskiej, ani teatru, ani muzyki, ani sztuki, ani nauki. Wydawnictwo zapowiada, iż te brakujące tu fragmenty wejdą w skład drugiego tomu. Powinnyby jednak być w tomie pierwszym, a brak ich można chyba jedynie wytłumaczyć zawodami ze strony współautorów. Do przypuszczeń tych upoważnia nie tylko pierwotny prospekt wydawnictwa, ale również wydane poza tomem pierwszym — jako „makiety” broszurowe — dwa zbiorowe opracowania: o „literaturze polskiej od czasów najdawniejszych do r. 1939” (stron 88) i o „Polsce niepodległej i drugiej wojnie światowej, 1918-1945” (stron 104). Nie dziwię się redaktorowi, że nie chciał wprowadzić tych opracowań do tomu pierwszego — oba bowiem są bardzo słabe; najwidoczniej były one potraktowane jako sposób przedyskutowania tematów i podniesienia ich do poziomu innych opracowań.

Powiedziawszy tyle o złych skutkach pracy w zespole przypadkowo dobranym — chciałbym zastanowić się jeszcze nad celowością i praktyczną wartością takich wydawnictw. Omawiany tom bogaty w treści, w niejednej rozprawie doskonały, a tu i tam nawet odkrywczy, jest w pewnym sensie odmianą encyklopedii — wszystko prawie jest tu maksymalnie skondensowane, zwarte, zwięzłe, krótkie. Skrót za daleko posunięte prowadzi nieuniknienie do uproszczeń, uproszczenia zaś często graniczą z błędem, a tu i tam są błędem. Nie przytaczam przykładów — ograniczę się do uwagi ogólnej w formie paru pytań: cóż w rozdziale o dziejach porobiorowych mógł powiedzieć na dwudziestu paru stronach Marian Kukiel, skoro świeżo wydał księgę niemal 700-stronicową o tych samych dziejach? Co na niecałych dwudziestu stronach powiedzieć mógł o okresie 1871-1918 Michał Sokolnicki, mający tak olbrzymi i tak bogaty dorobek z pracy nad tym półwieczem? Wreszcie — co mógł dać dosłownie na czterech tylko stronach gen. Pełczyński piszący o Armii Krajowej od jej początków w r. 1939 do Powstania Warszawskiego — z powstaniem włącznie?

Po omówieniu minusów — przejdźmy do tego, co jest w tym tomie plusem niewątpliwym, zresztą nie jedynym.

W *Historii Polski*, wydanej przez P.A.N. w Warszawie bardzo wiele miejsca poświęcono Ziemiom Odzyskanym. Co razi w porównaniu z niesłychanym skąpstwem w informacjach, o ziemiach wschodnich, nie tylko tych, które kiedyś należały do przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, ale i tych, które stanowiły integralną część Polski z dwudziestolecia międzywojennego.

Zgoła inny obraz mamy w londyńskim tomie „Polski i jej dorobku”. Ziemiom wschodnim poświęcono tu dużo więcej miejsca, niż innym dzielnicom. Obok zagadnień narodowo-litewskich i unijnych litewsko-polskich, uwzględniono szeroko takie aspekty przeszłości, jak życie religijne, warunki współżycia pod jednym dachem kilku narodowości, rozwój języka i kultury, etapy w życiu gospodarczym — wszystko od czasów średniowiecza niemal do naszych dni, z nienarzucanym, lecz z wymowy faktów wyrastającym wnioskiem o ścisłym zespoleniu się tych ziem z Polską, o ich sile kulturalnej i prężności narodowej, przejawiającej się nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach niewoli politycznej.

Nie mniejszą wartością tomu jest jego strona ilustracyjna. Na niecałych 600 stron druku mamy 17 tablic i 725 ilustracji w tekście. Niektóre z nich, jak mapa Polski Grodeckiego i Pograbki z r. 1569, reprodukcje aktu fundacji Władysława Hermana dla Bambergi, facsimile listu chana tatarskiego Tochtamysza, transkrypcja aktu elekcji Walejusza albo facsimile pruskich ustaw wywłaszczeniowych są naprawdę rzadkością niespotykaną w innych wydawnictwach.

Dobór i układ ilustracji oraz graficzny układ książki — „Polska i jej dorobek” zawdzięcza Józefowi Olechnowiczowi — jest to także niewątpliwy i wartościowy wkład do tego wydawnictwa.

Władysław POBÓG-MALINOWSKI

## Monumentum Kolbergianum

Po ostatniej wojnie wydano kilka zasadniczych, wielkich prac sposobem ofsetowym, sposobem fotokopii czy fototypii; umożliwia on szybkie i stosunkowo niekosztowne powielanie druków, a także rękopisów. Przy zastosowaniu tej metody ukazały się: nowe, trzecie, wydanie słownika Lindego (1951), tzw. „Słownik Warszawski” (1952), słownik etymologiczny Bruecknera (1957), „Encyklopedia staropolska” Glogera (1958),



cztery tomy w dwóch woluminach, niestety bez zapowiedzianego woluminu uzupełniającego), a nawet „Rzeczy teatralne” Karola Estreichera-ojca, książka wydana pierwotnie w 100 egzemplarzach i od chwili narodzin skazana na los białego kruka (nowe wydanie uzupełnia świetny indeks). Teraz w zakresie prac podstawowych i w znacznej mierze tym samym sposobem podjęto przedsięwzięcie najśmielsze i największe — pełne wydanie „Kolberga” (1).

W taki sposób, nazwiskiem twórcy — Oskara Kolberga — określa się dzieło, które całe jest dokonaniem jednego człowieka, narastało w ciągu kilkudziesięciu lat, ma trzy, a nawet cztery tytuły. Wszystko to jest jedyne w swoim rodzaju, właściwie dosyć nieprawdopodobne.

Żeby zacząć od końca — od profuzji tytułów. W 1857 r. Kolberg ogłosił „nakładem wydawcy”, tzn. swoim własnym, „Pieśni ludu polskiego”. W osiem lat później rozpoczął wydawnictwo ciągłe o szerszym zakresie, którego zawartość pedantycznie wylicza tasiemcowy tytuł: „Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, gusła, zabobony, pieśni, muzyka i tańce”. Włączył do niego poprzednio wydane „Pieśni” jako serię pierwszą i wydał ich do końca życia 23, przy czym niektóre z nich mają dodatkowy tytuł ogólny: „Materiały do etnografii Słowian”. W r. 1882 zaczął równoległe z „Ludem” ogłaszać tomy skromniej i mniej obowiązująco nazwane „Obrazami etnograficznymi”, których jest 11. Poza obu seriami ukazała się „Ziemia Dobrzyńska”. Po śmierci Kolberga (w r. 1890) wydano jeszcze 4 zbiory, czyli jego znany dziś dorobek obejmuje bez mała 40 tomów.

Ale to nie jest wszystko. Legendarne, nieprzebrane „teki kolbergowskie” zawierają materiał na dalszych kilkanaście tomów. Kilka tomów wypełnią rozmaite *miscellanea* ludoznawcze, kilka — twórczość muzyczna Kolberga, utwory wokalne i instrumentalne, niemal wyłącznie oparte na folklorze, trzy — jego korespondencja. Jeśli do tego dodać życiorys, który się Kolbergowi od dawna należy oraz aparat pomocniczy skorowidzów, bez którego ta olbrzymia masa byłaby bezdrożną dżunglą — zamierzone i właśnie zaczęte „Dzieła wszystkie” sięgną 66 tomów. Będzie to rzeczywiście — „Monumentum Kolbergianum”.

Zanim odsoni się ono w całej imponującej pełni, dwa rzeczowe wstępy — Juliana Krzyżanowskiego i Mariana Sobieskiego — ujawniają rodowód Kolberga, narastanie jego świadomości, urastanie do życiowego dzieła.

Kolberg (ur. 1814) należał do młodsze­go pokolenia roman-

tyków, liczył się do „cyganerii warszawskiej”. Była to formacja małego wymiaru, jeśli ją zestawiać ze współczesnym czy trochę wcześniejszym wybuchem twórczości emigracyjnej, ale chlubi się ona tym, że wydała Norwida. Jej drugim tytułem do chwały jest właśnie Kolberg.

Jak Norwid, jak inni „cyganie”, jak współczesny im wielkopolski odpowiednik Berwiński — ten nauczyciel gry na fortepianie odbywał „wędrowki po kraju”, sentymentalnie bałamucił się ludem i jego życiem, zbierał tworzone przez niego pieśni i melodie. Zrazu chciał być kompozytorem, chciał „ludowe” podnosić do „narodowego” albo, jak się ówczasnie mówiło, przetwarzać muzykę ludową w „muzykę domową”. W r. 1842 wydał „Pieśni ludu polskiego” — według informacji podtytułu — „zebrane i rozwinięte” przez siebie, przystosowane do muzykowania domowego. Krytyka Libelta, jak przypuszcza Sobieski, czy własny odruch samokrytyczny skierowały go w inną stronę. W piętnaście lat później wydane „Pieśni ludu polskiego”, choć noszą ten sam tytuł są już czymś zupełnie innym. Tutaj teksty i melodie występują w wiernym zapisie, odmiany słowne i muzyczne pieśni są zestawione obok siebie dla celów porównawczych. Jest to dokumentacja naukowa, nie popularyzacja, dzieło folklorysty, nie adaptatora.

W tym samym roku co „Pieśni” ukazała się jeszcze jednoaktowa opera Kolberga „Król pasterzy”, do której libretto napisał inny „cygan warszawski”, Teofil Lenartowicz. Ale logika wewnętrznego rozwoju, działała konsekwentnie. W r. 1865 wychodzi pierwsza seria „Ludu” — „Sandomierskie”. Nie jest to już monografia tematyczna czy rodzajowa, poświęcona pieśni, lecz pierwsza monografia regionalna. Kolberg zauważył, że „charakter mnóstwa pieśni jest ściśle związany z pewnymi sytuacjami zwyczajowymi i obrzędowymi”, że te sytuacje wiążą się z otoczeniem całego życia, że zdradzają bogatą skalę odmian. Postanowił opisać całe życie materialne i duchowe wsi, uchwycić wszystkie odmienności jej obyczajów i wyrazu artystycznego. Zaczął wydawać encyklopedyczne opisy „prowincjonalności”, „zamkniętych całości”, określonych przestrzennie i historycznie. W ciągu swego życia objął takim ujęciem niemal całą Rzeczpospolitą przedrozbiorową. Im dalej w lata, stawał sobie coraz większe wymagania, dążył do coraz ściślejszego opisu i coraz głębszej interpretacji tego co opisywał. Stworzył naukową etnografię polską.

Można powiedzieć, że Kolberg przeszedł od sentymentalnego romantyzmu do trzeźwego pozytywizmu. Zaczął jako amator i dyletant, skończył jako świadomy siebie, doświadczony badacz. Za tę ewolucję zapłacił ambicjami kompozytorskimi, podporządkował jej talent muzyczny, jak się zdaje, niewielki, jeśli o wczesnych jego przejawieniach się Chopin napisał „dobre chęci, wąskie plecy”. Kolberg-etnograf, encyklopedysta kultury chłopskiej nigdy nie przestał być — jakby się dzisiaj

(1) Oskar Kolberg: *Dzieła wszystkie*. Tom I: „Pieśni ludu polskiego”. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze — Polskie Wydawnictwo Muzyczne — Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Wrocław, 1961. Stron LVI-XII-448-32 nlb., ilustracje wielobarwne i czarnobiałe.

powiedziało — etnomuzykologiem, do czego miał dobre, przywiezione z zagranicy przygotowanie. Do końca najżywiej obchodził go folklor śpiewno-muzyczny. Jasno rozumiał, że poezja ludowa jest „ściśłym i nierozdzielnyim zespołem słowa i tonu”. Jak oblicza Krzyżanowski, zapisał około 13 tysięcy pieśni, z którymi — według obliczenia Sobieskiego — łączy się około 10 tysięcy melodii. Bez Kolberga po wielu z nich nie pozostałoby nawet echo.

Tej gigantycznej pracy dokonał w pojedynkę. Jak Linde, autor „Słownika”, stary Éstreicher, autor „Bibliografii”, Gloger, autor „Encyklopedii staropolskiej”, należy Kolberg do typu, który można by określić terminem: człowiek-institut. Jest to typ niewiarogodny, dziś już właściwie nie istniejący (dla porównania warto zanotować, że komitet redakcyjny „Dzieł wszystkich” Kolberga liczy 19 osób, ich pierwszy tom ma aż dwóch redaktorów!). Gdy Kolberg budował swój monument nie było jeszcze fonografu, płyty gramofonowej, taśmy magnetofonicznej. Sam jeden spędzał całe miesiące i lata „w terenie”, słuchał cierpliwie tej samej pieśni, bajki, gadki powtarzanej przez wielu wykonawców, porównywał wersje, zapisywał brzmienie najpełniejsze i najbardziej poprawne. Tak samo jego zapis muzyczny, zwłaszcza instrumentalny jest bardziej szczegółowy i poprawniejszy niż u któregośkolwiek z jego poprzedników. „W wielu wypadkach — stwierdza Sobieski, najwybitniejszy dziś folklorysta, etnomuzykolog polski — w wielu przypadkach nie różni się dokładnością od tego co dziś zapisujemy w oparciu o taśmę magnetofoniczną”.

Także Krzyżanowski — jak wiadomo równie znakomity etnograf jak historyk literatury — wysoko ocenia stopień autentyczności w tekstach słownych utrwalonych przez Kolberga, choć nie tai, że ich strona językowa, ściśle fonetyczna jest niedoskonała. Zarzuca mu niedostatecznie ostry krytycyzm wobec cudzych zapisów lub nawet pseudozapisów, ale przyznaje wyczucie różnicy między pieśnią ludową i popularną, pieśnią samorodną i nasyconą pogłosami literatury. Autorytatywnie stwierdza, że „Lud” stanowi „teren badań nie tylko etnografa i folklorysty, ale i historyka literatury, dla którego *chowa* nie jedną niespodziankę”.

Wiele hipotez muzykologicznych Kolberga nie wytrzymuje dziś krytyki, zresztą wiele z nich odrzucił on sam przed końcem życia, ale „Kolberg” pozostaje bezcennym źródłem, pomnikowym przekazem kultury, której już nie ma i która w naszych oczach przemija już bezpowrotnie. Jest to — jak stwierdza autor trzeciej przedmowy — „niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju opis życia chłopstwa polskiego. Równie obszernego dzieła nie posiada folklorystyka i etnografia żadnego narodu”.

To dzieło od dawna było trudno dostępne, zostało zaczytane, zaczęło się rozsypany w proch. Niektóre jego tomy — jak powtórnie wydany teraz — liczą przeszło wiek, najmłodsze

dobrze przekroczyły pół wieku. W dotychczasowym kształcie nawet jeśli dostępne, jest ono niezmiernie trudne do użytkowania: jest lasem bez przesieków, bez znaków orientacyjnych, drogowskazów. Spora część niewydanych materiałów przez 70 lat z górą zalegała teki, którymi gospodarowano nie zawsze umiejętnie. Nie była dostępna dokumentacja odnosząca się do osoby i pracy zbieracza. Na dobrą sprawę jest on — uczyonym nieznanym, a tej miary i zasługi, że należy mu się monografia.

To wszystko przełamuje rozpoczęte wydawnictwo „Dzieł wszystkich” Kolberga. Na ten radosny fakt pada cień tylko od pytania: kiedy można oczekiwać końca, ostatniego indeksowego tomu tych „Dzieł”? Wydawcy (Polskie Towarzystwo Ludoznawcze i Polskie Wydawnictwo Muzyczne) nie robią żadnych obietnic, nie biorą w tym względzie żadnych zobowiązań. Jeśliby ogłaszano 10 tomów rocznie, co jest więcej niż nieprawdopodobne, na ukończenie całości trzeba by co najmniej sześciu lat. Gdyby wydawano 6 tomów, można by się spodziewać zamknięcia w ciągu lat dziesięciu. A 10 lat to jest dużo w życiu społeczeństwa i w życiu wydawnictwa ciągłego. Należy tę granicę czasową — 10 lat — postawić jako nakaz trudny, ale obowiązujący.

Tymon TERLECKI

## Nadesłane nowości wydawnicze

- IERC (Abram). *La Gelata*. Str. 221. Przełożyła Maria Olsoufieva. Przedmowa Gustawa Herlinga. (Wyd. Rizzoli Editore Milano, 1962, cena 2000 lir).
- Portrety pisarzy angielskich*. Seria I. Pod redakcją Marii Danilewiczowej. Str. 455. 12 wkładek kreślonych z portretami omawianych pisarzy. (Wyd. B. Swiderski, Londyn, 1962, cena 48/- lub 7 dol.).
- GARLIŃSKI (Józef). *Matki i żony*. Str. 199. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1962).
- SZEKSPIR (William). *Tragedia Makbela, Korol Henri IV*. Przekład Teodosja Ośmaczki. Str. 448. (Wyd. „Na Hori”, Monachium, 1961).
- MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz or The Last Foray in Lithuania*. Przekład Watsona Kirkconnell. Przedmowa dr. Williama J. Rose. Str. 388. (Wyd. The Polish Institute of Arts & Sciences in America, New York, 1962).
- TABORSKI (Bolesław). *Przestępując granicę*. Wiersze. Str. 80. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1962, cena 10 zł.).
- WINKLER (E.). *Il piu antico dizionario latino-polacco (del 1424)*. Str. 96-111. Odbitka z „Ricerche Stavistiche” n. VII, Rzym, 1960).

## Listy do Redakcji

Londyn, 20 maja 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dla p. Pobóg-Malinowskiego mam wiele szacunku i uznania dla względów tak mocno wyłożonych przez p. A. Kawalkowskiego, podkreślających olbrzymi, a samotny wysiłek autora „Najnowszej Historii Polski”. Ten szacunek wzmógł się o sympatię na tle głośniejszej uchwały Instytutu im. Marszałka Piłsudskiego. Tym bardziej przykry był zawód jakiego doznałem po przeczytaniu recenzji p. Pobóg-Malinowskiego o książce płk. Tomaszewskiego w majowym zeszycie „Kultury”.

P. Pobóg-Malinowski wystąpił w roli niecierpliwego profesora wystawiającego zły stopień uczniowi za „zasklepienie się w ciasnym obrębie swoich własnych przeżyć i doświadczeń, opieranie się na własnej pamięci, traktowanie swoich spostrzeżeń, wrażeń i wniosków jako sądów nieomylnych, dając szkodliwy balast (?) staje się mimowoli zaśniewaniem (!) naszej najnowszej historii” (Znak zapytania i wykrzyknik moje).

Płk Tomaszewski nie napisał historii o obronie Warszawy. Książka nosi tytuł jak najbardziej „osobisty”: „Byłem szefem obrony Warszawy”. Zdałoby się, że p. Pobóg-Malinowski skwapliwie weźmie na swój warsztat uczonego historyka *relację* (nie historię) płk. Tomaszewskiego, który był koronnym świadkiem obrony i, co więcej, jej *magna pars* z racji wysokiego i odpowiedzialnego stanowiska. Nie mówiąc już o kwalifikacjach i autorytecie starego żołnierza, świetnego oficera sztabu i wykładowcy Wyższej Szkoły Wojennej. Nie z innych względów Szef Sztabu Głównego, gen. Stachiewicz ofiarował mu w pierwszych dniach wojny stanowisko szefa oddziału operacyjnego Naczelnego Dowództwa.

Tymczasem p. Pobóg-Malinowski w roli poirytowanego profesora ocenia książkę płk. Tomaszewskiego pod kątem „niewprowadzenia żadnych uzupełnień czy poprawek, nawet tam gdzie jego wrażenia, spostrzeżenia, wnioski zostały zdewaluowane przez upływ czasu i narosłą literaturę”. Co najmniej dziwny u historyka wydaje się zarzut spisywania wspomnień (bo tym jest książka płk. Tomaszewskiego, nie przypisująca sobie roli historii) w rok czy dwa po wypadkach, zatem u normalnych ludzi o niezarosłych jeszcze przeżyciach i po przemyśleniach podkreślonych niezliczonymi rozmowami z kolegami w ciągu długich omal sześciu latach niewoli. Jeśli były potrzebne jakieś wyjaśnienia i sprostowania łatwo je było uzyskać w czasie owych rozmów w obozie liczącym ok. 6.000 oficerów, w tym kilkunastu generałów i bardzo wielu uczestników obrony Warszawy (niemal cały sztab).

Właśnie *à propos* owych dezawuowań, p. Pobóg-Malinowski długo, zawiłe i bardzo nieprzekonywująco rozwodzi się nad rolą dowódcy Okręgu Warszawa, który opuścił dowództwo nie powiadamiając nikogo o składach materiału wojennego na terenie Okręgu. P. Malinowski czyni zarzut płk. Tomaszewskiemu „powierzchnowości w obserwacji i pośpiechu we wnioskowaniu” co do postępowaniu gen. Trojanowskiego. A wydawałoby się, że historyk przede wszystkim zada sobie pytanie — tak jak to uczyniłby zwykły nieuczony czytelnik — czy gen. Trojanowski „wsiadł po prostu do samochodu i nikomu nic nie mówiąc... wyjechał z Warszawy... burząc cały swój aparat... Czy nie wsiadł?”

Czy wobec braku jakichkolwiek informacji na skutek „ewakuacji” trzeba było „zbadac wszystkie magazyny, składy, forty itp.”. Czy trzeba było „rozwalac siłą drzwi składów, wysadzac dynamitem bramy starych fortów, nie majac do nich kluczy” i „odkrywac skarby w postaci okolo setki nowiuteńkich haubic, ok. 50 połówek... i skarb ponad skarby, lufy zapasowe do boforsów”. Czy nie trzeba było rozwalac? Czy stalo się to z winy wyjazdu dwu Korpusu, co „pociagnęło... rozprzegnienie się całego aparatu...”. Czy nie bylo winy?

Oto dokąd prowadzi nadmierna „sumienność” uczonego.

P. Pobóg-Malinowski rozwodzi się szeroko nad sprawą wystąpienia zaczepnego z Warszawy na pomoc gen. Kutrzebie, krytykując opinię płk. Tomaszewskiego, który się opowiada za uderzeniem. Ten zarzut podniósł już gen. K. Rudnicki omawiając, zresztą bardzo pochlebnie, książkę płk. T. w „Dzienniku Polskim”. Jednakże sprawa owego zwrotu zaczepnego nie jest tak prosta jak to się autorowi „Skoro nie szablą to piórem” wydaje, jeśli wielu wysokiej rangi oficerów i autorytetów, jak np. gen. Kutrzeba, nie próbowało wydawać tak kategorycznego sądu. Osobiście najbardziej mi odpowiada koncepcja gen. Kutrzeby „wyjść z Warszawy... wystrzelać całą amunicję, po czym skapitulować w polu, a nie w mieście”. Ostatecznie — heroiczna obrona Warszawy strategicznie nie odegrała żadnej roli w zamiarze dniesrowego przyczółka. Nikt chyba, nawet ówczesnie, w to nie wierzył. Zaś w koncepcji gen. Kutrzeby ocalając honor Narodu i Armii oszczędziłoby się ruinę Warszawy i życie wielu cywilnych mężczyzn i wielu kobiet i dzieci.

Wolałbym zatem, aby tym razem autor „Skoro nie szablą to piórem” poszedł za cytowaną przez samego siebie radą płk. Porwita, innego świetnego żołnierza i uczestnika obrony Warszawy: „z czasem bezstronny historyk rozstrzygnie po czyjej stronie słuszność rozumowania operacyjnego i prawdziwość sądu”.

Ostatni zarzut p. Pobóg-Malinowskiego o rzekomej krzywdzącej relacji płk. T., dotyczącej Prezydenta Starzyńskiego mimo profesorskich wywodów autora recenzji, nie tylko wydał mi się niesłuszny, ale co najmniej niesprawiedliwy. Trudno byłoby odmalować tak mocno i serdecznie blaski, jakie rzucił płk. T. na bohaterską postać Prezydenta.

Końcowa moja uwaga. Jak dotychczas książka płk. T. spotkała się w prasie i u czytelników („idzie jak gruszki”, jak się wyraził jeden ze sprzedawców) z bardzo gorącym przyjęciem. Oczywiście wolno historykowi mieć inne zdanie, jednakże bardzo surowa, jeśli nie powiedziec zjadliwa, krytyka nie wydaje mi się usprawiedliwiona i — co więcej — zrozumiała. Na szczęście od sądu historyka do sądu Historii jest dość daleka droga.

Łączę wyrazy poważania.

Kazimierz BANACH

Toronto, maj 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z pewnym zdziwieniem, a równocześnie uczuciem niesmaku przeczytałem końcową część wstępu p. Józefa Czapskiego do nowego wydania jego książki „Na nieludzkiej ziemi”. Jako współwięźień obozu Grawiec-kiego bardzo szanuję i cenię p. Czapskiego, jako człowieka wysokiej kultury, autora i artystę malarza, co jednak nie przeszkadza mi, że jestem jednym z tych, o których, jak sam mówi, nie zgadzają się z jego zapatrywaniami na naród rosyjski i Rosjan, znanych mi prawdopodobnie na równi dobrze z nim. Wobec jego otwartego oświadczenia w tym względzie, niech mi zatem również wolno będzie wyrazić moje osobiste zapatrywanie w tej sprawie.

Na przestrzeni lat w obszernym morzu narodu rosyjskiego zetknąłem się zarówno wśród białych, jak i czerwonych Rosjan z objawami patologicznej wprost nienawiści do nas, i ze światłymi „jasnoduchami”, ustosunkowanymi przychylnie do Polaków, patrzącymi z wiarą w przyszłość Rosji. Pan Czapski w swoim podejściu do nielicznych dodatnich jednostek narodu rosyjskiego, z którymi jak pisze zetknął się na terenie ZSSR w najprzykrzejszym dla niego okresie życia, zapomina o zasadniczej masie tegoż narodu, która z rozmaitych powodów, datujących się od najdawniejszych czasów, w stosunku do Polaków była zawsze, a prawdopodobnie i dzisiaj jest nieufnie i wrogo usposobiona. Wśród tych milionów są poszczególne jednostki o innym do nas, pozytywnym nastawieniu, ale tak już było przed laty i za czasów Mickiewicza. To nie upoważnia nas jednak jeszcze do wylewnej miłości w stosunku do tych Rosjan i jak dotąd nie dało pozytywnych rezultatów, poza wymianą myśli i listów z tymi jednostkami.

Słusznie p. Czapski powiada, że stanowisko zajęte przez niego we wstępie do jego książki jest obce większości Polaków. Do takich Polaków i ja należę, choćby mnie w pewnych kołach nazywano zacyfowanym obskurantem, nie rozumiejącym konieczności obecnej polityki międzynarodowej i *warmongerem*. Mimo to nie zmienię mojego zdania w tej sprawie, przytaczając starą, ale i dziś aktualną piosnkę z 1831 roku.

*Kto mi powie że Moskale  
Cnymi braćmi są Lechitów,  
Temu pierwszy w łeb wypalę  
Przed kościołem Karmelitów...*

Ta piosnka może zbyt naiwnie i radykalnie oddaje ujemne nastroje społeczeństwa polskiego do Rosjan, ale które i do dziś pozostały te same, zarówno w kraju jak na emigracji. Wylewne uczucia p. Czapskiego w stosunku do paru „dobrych” Rosjan nic w tym nie zmienia, choć by to miało być wbrew poglądom internacjonalistycznym, a nawet interesom narodowym. Być może, iż tego rodzaju zapatrywaniami muszą hołdować pewne czynniki społeczne w kraju, nie mając innego wyjścia z sytuacji, w której się znajdują, ale dobrowolne, entuzjastyczne obnoszenie się z nimi na emigracji i głoszenie publiczne swojej miłości do Rosjan, choćby „najlepszych”, jest co najmniej dziwne i wzbudzające raczej uczucie odstręczające, wywołując wręcz odrębny skutek wśród przeważającej liczby czytelników, mających o tym odmienne zdanie od p. Czapskiego. Zbyt wylewną miłość w kierunku choćby najlepszych Rosjan jest większość narodu polskiego obca i to nie oficjalnie, lecz pochodząc z głębi serca.

Obracając się w życiu dosyć dużo w kołach niemieckich miałem wśród nich również przyjaciół — Niemców, którzy nigdy nie byli nazistami i z oburzeniem od nazizmu i jego poczyniń się odcinali. Co by na to

powiedział p. Czapski oraz opinia publiczna gdybym we wstępie do moich pamiętników napisał że owi „lepsi” Niemcy, tak jak on pisze o Rosjanach, są mi bliscy i z entuzjazmem rozwodził się nad nimi? Jak wyglądałoby to moje oświadczenie przy równoczesnym potępieniu Oświęcimia?

Pan Czapski w swoich superlatywach dla pewnych Rosjan stara się być jak najbardziej obiektywny, ale jest to trudne do pojęcia z punktu widzenia przeciętnego Polaka, przy jego równoczesnych słowach oburzenia dotyczących się mordu katyńskiego. Bo czy to ludzie z innej planety, a nie Rosjanie z NKWD mordowali Polaków w Katyniu? Czy bojcy likwidujący oddziały Armii Krajowej byli Papuasami z wysp Południowych? Przecież to byli wszystko Rosjanie. Być może, że wśród nich był też jakiś jeden albo drugi „lepszy”, tak jak był jeden „dobry” politruk w Griaźowcu, ale ich obecność nie miała żadnego wpływu na normalny bieg rzeczy z tamtej strony, jak nie miała i nie ma wpływu na nasze ustosunkowanie się do całości narodu rosyjskiego i jego „lepszych” wyjątków. Jak mimo „dobrych” Niemców był Oświęcim, tak „zli” czy „dobrzy” Rosjanie byli dobrowolnie, czy też przymusowo wykonawcami zbrodni katyńskiej...

Dlaczego jednak można otwarcie pisać, że się kocha Rosjan, a nikomu nie przychodzi do głowy aby mówić iż się kocha Niemców? Da się to tylko wytłumaczyć podświadomym rusofilstwem, tkwiącym w głębi duszy niektórych Polaków, lub też stronnictwami i przesadą w pewnym kierunku. Słusznie zatem zaznacza p. Czapski, że jego uczucia w stosunku do owych paru „dobrych” Rosjan są natury czysto osobistej, gdyż w oczach większości Polaków są one niesmaczne, nierealne i nieprzekonywujące. Wolno p. Czapskiemu mieć swoje osobiste przekonania i zapatrywania, ale głoszenie ich tak otwarcie *na forum publicznym* jest może bardzo odważne, lecz w równoczesnym połączeniu ze sprawą katyńską graniczą z bluźnierstwem.

Końcowa część wstępu do nowego wydania książki o okrutnym życiu w Rosji Sowieckiej odejmuje jej częściowo odium „drażniącego nacjonalizmu polskiego” i nadaje więcej cech obiektywności. Szkoda jednak, że myśl przewodnia tak dobrej książki jaką jest „Na nieludzkiej ziemi” została przez te wylewne uczucia autora w stosunku do pewnych Rosjan, spaczona. Czy też może p. Czapski chciał przez to zaznaczyć wobec cudzoziemskich czytelników swój obiektywizm i że ewentualny zarzut antyrosyjskości co do jego książki jest niesłuszny? Lub może chciał przez to ugłaskać cenzurę reżymową, aby dać możliwość swojej książce szerszego krążenia po kraju? Faktem jednak jest, że końcowa część nowego wstępu do drugiego wydania książki nic jej nie dodała, a raczej ujęła jej cech charakterystycznych, broniąc pośrednio oczywistej *prawdy*, którą głosi, a która niepolskiemu czytelnikowi, nie znającemu Rosji i Rosjan mogłaby się może wydać przesadną i oszczerczą.

Żałuję i współczuję p. Czapskiemu, iż to uczynił, równocześnie podziwiając jego odwagę cywilną, gdyż oświadczenie nigdy bym się na to nie zdobył, aby rozpisywać się publicznie w takich superlatywach o moich dawnych przyjaciółach „dobrych” Niemcach lub Rosjanach, przy równoczesnym potępieniu Katynia lub Oświęcimia. Dlatego szkoda, iż uczynił to p. Czapski, ale jak sam zaznaczył różniimy się zasadniczo w podejściu do tego problemu, a prasa jest cierpliwa i w krajach demokratycznych stoi otworem dla ludzi o wszelkich poglądach osobistych i politycznych, diametralnie często różnych od siebie.

Pozostaję z głębokim szacunkiem i poważaniem.

Jerzy GROBICKI

Toronto, 15 kwietnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Trudno o lepsze zestawienie i posunięcie niż wydrukowanie listu Kisielewskiego i „Wizyty u Luboniów” Mieroszewskiego. Właściwie powiedziano tym wszystkim, co na temat listu Kisielewskiego da się powiedzieć. Ale jednocześnie trudno osobie bezpośrednio „zaczepionej” powstrzymać się od jedynej okazji polemiki z pisarzem krajowym. Jedynej — gdyż z rozlicznych względów polemika na łamach prasy krajowej nie wchodzi w rachubę.

Nie bez satysfakcji stwierdzam, że zaczepka p. Kisielewskiego była jedną z wielu — przyjemnie jest wywołać reakcję słowem pisanim, nawet jeśli systemem czysto polskim operuje się w dyskusji takimi ważkimi i prze-myślanymi terminami jak „niepoczytalność”.

Ale istotne jest co innego. Kisielewski ubolewa, że dziennikarze zachodni umieją spojrzeć bardziej obiektywnie na rzeczywistość polską, niż przybývający do kraju Polacy. Ci pierwsi, jak pisze Kisiel, „potrafią wyłapać rzeczy gospodarczo i politycznie najważniejsze, dotrzeć do odpowiednich ludzi, źródeł, cyfr, czy wskaźników i uformować sobie obraz reportersko prawdziwy”. Tu właśnie „leży pieśń pogrzebany” — Polacy łączący zainteresowania turystyczne z dziennikarskimi docierają do „ludzi nieodpowiednich”. Nie chodzi o ich stosunek do rzeczywistości, a tylko o to, że są to zwykli, szarzy ludzie, a nie katarynki przygotowane na uświadamianie przybyszów z zagranicy. Nie szukają źródeł i cyfr, bo to można znaleźć nie ruszając się z domu. Szukają życia — na co dzień. Zarówno reportaży mój, jak i p. Ewy Karpińskiej dotyczył przede wszystkim dnia codziennego w Polsce i życia przeciętnego człowieka, nie zaś spraw politycznych czy gospodarczych w skali narodowej. Nie dotrze do tych spraw dziennikarz zagraniczny ze względu na nieznaną języka i trudności ze spotkaniem ludzi spoza kręgu redakcji, barów, hoteli „Orbisu”.

Jakże naiwny jest Kisiel, gdy sugeruje redaktorowi „Kultury” wyjazd paromiesięczny do Polski „zamiast wysyłania tam egzaltowanych niewiast”. Nie, proszę pana, p. Giedroyc ani jako redaktor „Kultury”, ani jako rzekomy dwójkarz, nikogo do Polski nie wysyła, a gdyby miał takie plany na pewno szukałby kandydatów w sferach *strictu sensu* dziennikarskich, a nie literackich; nie szukałby ich też aż na drugiej półkuli. Na szczęście, w kapitalistycznym ustroju, można nawet przy całkiem przeciętnych zarobkach „wysłać się” samemu za ocean.

Zarówno Kisiel, jak i parę innych osób, które zaatakowały mnie za relację o życiu codziennym w Polsce, są niezmiernie czule na wszelkie przejawy krytyki, na fakt, że oko z zewnątrz widzi różne szczegóły, z którymi mieszkańcy kraju żyli się tak dalece, że ich nie zauważają, bądź uważają za nieuniknioną rzeczywistość z którą — jak z wiatrakami — nie warto walczyć.

To wyczulenie na dbałość o prawdę i ścisłość nie jest dogmatem, który by pisarze krajowi stosowali do samych siebie. Sięgnijmy dla przykładu do serii felietonów Kisielewskiego drukowanych w „Tyg. Powsz.” przed kilkoma laty po pobycie w Londynie. Dowiadujemy się stamtąd np., że Mieroszewski jest na emigracji „zgola znienawidzony”, że „dzieli ten los z Miłoszem, Giedroyciem, Gombrowiczem, Wańkowiczem, Catem, paryską „Kulturą” itp. Tak więc to, co my skłonni jesteśmy uważać za intelektualną kwintesencję Emigracji, za jej najbardziej reprezentatywne osiągnięcie, tu, w najlepszym wypadku, przechodzi niezauważone, a przeważnie budzi sprzeciw”.

Ejże, czy wypadkiem pan Kisiel nie pomylił adresów? Czy nie miał na myśli właśnie stosunku kraju do „Kultury” i jej zespołu? Bo przecież

czym można tłumaczyć, że numery tej „intelektualnej kwintesencji” wysyłane prywatnie nie dochodzą do kraju nawet listem poleconym; że lista osób którym wolne (!) otrzymywać to pismo liczy osób 60 i jest sztywna jak świeżo nakrochmalony kołnierzyk.

W tymże felietonie boleje Kisiel, że najniewinniejsze książki wydane w Londynie nie mogą dochodzić do Polski — „sprawa cel, sprawa opłat za paczki, sprawa przesyłek książkowych”. A myśmy zawsze myśleli że cenzura. Jak to człowiek może się mylić. W następnym felietonie z tej serii rozdziera Kisiel szaty nad tym, że pisarze emigracyjni nie chcą wydawać w kraju — „obrazili się”. A myśmy myśleli, że to trochę bardziej skomplikowane. Tak też pewno do dziś myślą ci, którzy spróbowali i doznali okastrowania swego dzieła literackiego. A przecież sprawa jest prosta: obrazili się i trzymają zabawki na swoim podwórku.

Niejednokrotnie zdarzyło się nam czytać bzdury nieprawdopodobne na temat Kanady i Stanów — pisali je ludzie przybyli z kraju na krótki pobyt. Szczytem takiej reporterki były „Tyrdy z Kanady” Marty Burakiewicz („Przekrój”). Obfitowały one w słowa „wszystko”, „wszyscy”, „każdy”, „nikt” i „nigdy” — w całkiem niespodziewanych kontekstach. Wzbogaciłyśmy wiedzę o Kanadzie faktami takimi, jak wiosenne odgrzebywanie trupów na szosach Kanady, brak dzieci i drzew itp. Nikt się nie oburzał, nikt nie protestował, po prostu ubawiliśmy się setnie.

Tymczasem każde słowo krytyki o kraju wywołuje krzyk sprzeciwu. O Polsce można tylko dobrze albo wcale. Dlatego też zapewne w ostatnich latach zaczęto utrudniać przyznawanie wiz emigracyjnym dziennikarzom, literatom, ba nawet poetom. Jak demokracja to demokracja. Niech jeżdżą ci tylko, których stać na bezkrytyczny zachwyty. Wątpię też bardzo, czy ktokolwiek z piszących do „Kultury” dostałby wizę na wyjazd do kraju. *Sicher is sicher.*

Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA

Waszyngton, maj 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z pytaniem postawionym przez „Londyńczyka” w „Kronice angielskiej”, str. 113 „Kultury” z maja 1962 r., a mianowicie: „...czy sprawiedliwi z Tybingi... czy tych ośmiu Niemców godnych najgłębszego szacunku otrzymało jakiś wyraz sympatii i uznania ze strony polskiej?” — śpieszę poinformować że w marcu bieżącego roku dzienniki „New York Herald Tribune” w Nowym Jorku „The Evening Star” w Waszyngtonie i „Christian Science Monitor” w Bostonie — ogłosiły mój list wysłany w charakterze przewodniczącego polskiej delegacji do Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarmionych (ACEN) o treści następującej:

„Należy powitać słuszne i realistyczne stanowisko zajęte w ostatnim opublikowanym memorandum przez ośmiu wybitnych przywódców niemieckiego Kościoła Ewangelickiego między innymi księcia Klaus von Bismarcka potomka „Żelaznego Kanclerza”. Wszyscy oni wypowiadają się z uznaniem przez Zachodnie Niemcy polskich granic zachodnich na Odrze i Nysie. Ponieważ rosnąca militarna potęga odrodzonej zachodnio-

niemieckiej armii jest uważana przez naród polski za nowe zagrożenie tych granic, jedynie ich śpieszne uznanie przez zachodnie mocarstwa w ogóle, a przez zachodnio-niemiecki rząd w szczególności może dopomóc do rozproszenia tej obawy i stworzyć podstawy dla polepszenia stosunków polsko-niemieckich”.

Ponieważ pierwsze z tych pism ma zasięg światowy (dodając nawiasem cieszy się ono ograniczonym debitem również w Polsce), zatem z pewnością ten oddźwięk pochodzący z polskiego ośrodka politycznego dotarł do wiadomości wspomnianych ośmiu Niemców.

Łączę najlepsze pozdrowienia.

Stefan KORBOŃSKI

Berkeley, 2 czerwca 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Prosiłbym o łaskawe zamieszczenie mojego sprostowania. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Juliusza Mieroszewskiego *Na ruinach „przedmurza”* (*Kultura*, nr 5/175, Paryż 1962), który trafił mi tym bardziej do przekonania, że sam podobnie o tych sprawach myślę. Zawsze bardzo sobie cenię przyjazną uwagę p. Mieroszewskiego w stosunku do mnie. Tym razem jednak (na stronie 102) zakradła się pewna faktyczna nieścisłość, którą czuję się w obowiązku sprostować.

Katedrę literatur i języków słowiańskich w Brukseli, ufundowaną przez rząd polski, objąłem w roku 1926 i wykladałem tam do stycznia 1928 r. literaturę polską i rosyjską oraz polski i rosyjski język. W styczniu 1928 roku, powołany przez Uniwersytet Jagielloński na katedrę rusycystyki, rozpocząłem tam swoje wykłady inauguracyjnym odczytem. W roku 1932 Uniwersytet Brukselski zaprosił mnie na rok akademicki 1932-33, po czym nastąpił układ między Uniwersytetem Brukselskim, rządem polskim i Uniwersytetem Jagiellońskim, na mocy którego aż do wojny co roku przez dwa miesiące wykladałem w Brukseli, łącząc w ten sposób pracę wykładowczą na tych dwóch uczelniach.

Moja praca rusycystyczna w Polsce nie była łatwa, nie zawsze jednak moje audytoria miały tylko pięciu słuchaczy. Były okresy, kiedy na niektórych kursach miałem dwudziestu i czterdziestu. Nadmienię, że moje publiczne odczyty we Lwowie w latach trzydziestych gromadziły nieraz przeszło 500 słuchaczy. Podobnie się działo i w Wilnie. Dodam też, że Towarzystwo Polskie dla Badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu w Krakowie, którego to Towarzystwa byłem założycielem i od roku 1935 trzecim z rzędu prezesem (pierwszym był prof. J.M. Rozwadowski, drugim krótko K. Srokowski) — rozwinęło dużą działalność wydawniczą i odczytową. Pod moją redakcją ukazało się do roku 1939, w ciągu dziesięciu lat istnienia Towarzystwa, 17 tomów, z których większa część została poświęcona Rosji. Odczyty również były poświęcone głównie zagadnieniom rosyjskim. Wtrącę, że np. dwa jubileuszowe tomy poświęcone Puszkiniowi zdobyły sobie wielkie uznanie nie tylko w Polsce, lecz i zagranicą, zaś akademie Puszkiniowskie,

zorganizowane przeze mnie w rozmaitych polskich miastach uniwersyteckich, zbierały wielkie zastępy publiczności.

A więc do Brukseli z Krakowa się nie przeniósłem — i w Brukseli, powtarzam, wykladałem nie tylko literaturę rosyjską, lecz i polską. Chętnie byłbym wtedy przeniósł się do Warszawy, gdzie atmosfera dla katedry rusycystycznej była bardziej odpowiednia. Niestety starania, jakie w okresie swego urzędowania w Ministerstwie Oświaty wiceminister prof. Józef Ujejski czynił w tym kierunku, zostały udaremnione przez biurokratyczne kaprysy kogoś, kto miał coś w tej sprawie do powiedzenia.

O doli i niedoli rusycystyki w Polsce sam pisałem przed wojną często i dużo, sytuacja jednak nie była aż tak rozpaczliwa. Podkreślę jednak — że na końcu, że w zasadzie, ujmując rzecz ogólnie, p. Juliusz Mieroszewski ma rację.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

W. LEDNICKI

Monachium, 13 maja 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze „Kultury” z maja rb. ukazał się znakomity list prof. J.M. Bocheńskiego w doniosłej sprawie stosunków polsko-niemieckich. Ponieważ „wolność świata” w moim przekonaniu polega i na tym, że nigdy nie może być w nim za dużo dyskusji w rzeczach ważnych, przeto niech wolno mi będzie zabrać głos w sprawie tej wypowiedzi prof. Bocheńskiego.

Swojego czasu wyraziłem w liście do „Kultury” osobiste przekonanie, że spór, zarówno ze strony polskiej jak ze strony niemieckiej, w sprawie „Odry-Nysy” jest sporem współcześnie bezprzedmiotowym, i mógłby co najwyżej mieć znaczenie istotne dopiero w nieodgadnionej przez nas przyszłości. — Ale nawet wychodząc z założenia, z którego wychodzi zarówno większość Polaków jak Niemców, że PRL jest przedłużeniem historii Polski, a nie przedłużeniem historii rewolucji bolszewickiej 1917, jak ja to pojmuję; z założenia, że PRL jest przedłużeniem państwowości polskiej, a nie przedłużeniem i integralną częścią państwową bloku komunistycznego — to i w takim wypadku, moim zdaniem, spór polsko-niemiecki nie może być w obecnej konstelacji politycznej traktowany jako aktualny.

J.M. Bocheński natomiast, w punkcie 4 swego, poza tym świetnego listu uważa, że „sprawa granicy niemiecko-polskiej jest w tej chwili psychologicznie ważna”, dzieląc w tym wypadku znaną tezę, że fakt iż tylko Sowiety spośród wielkich mocarstw uznają obecną granicę, wiąże Polaków, wbrew ich woli z obozem sowieckim. Ze zatem uznanie tej granicy również przez mocarstwa zachodnie i Niemcy federalne, tę więź łączącą Polskę z blokiem komunistycznym rozluźni. — Ponieważ nie wiadomo w jakiej postaci to rozluźnienie ma nastąpić, więc powiedzmy prościej, że: spotęguje w Polsce nastroje pro-zachodnie, a można się domyśleć, że automatycznie i antysowieckie.

To pozornie logiczne sformułowanie posiada wszelako tę dużą nielogiczną usterkę, że zakłada antysowiecki w gruncie cel końcowy we współ-

nym działaniu z — komunistami... Albowiem wiadomo, że zarówno komuniści polscy, jak cały blok sowiecki, jak wszyscy komuniści, prokomiści i fellow-travellerzy całego świata, zgodnie popierają i zabiegają o uznanie tej granicy przez mocarstwa zachodnie i Niemcy federalne. Z drugiej zaś strony wiemy, że nie może leżeć w interesie komunistów ani rozluźnienie więzi łączącej Polskę z blokiem komunistycznym, ani wzrost nastrojów pro-zachodnich w Polsce, ani naturalnie wzrost nastrojów antysowieckich. — Ażeby więc tę oczywistą, zarówno formalną jak istotną sprzeczność usunąć należałoby założyć, że:

a) Nieprawdą jest, że komuniści zabiegają o uznanie tej granicy. — Albo: b) zabiegając, czynią to nieszczerze. — Albo: c) Jeżeli i zabiegają i szczerze, to znaczy że są tak głupi, iż nie zdają sobie sprawy, że działają na własną niekorzyść.

Moim zdaniem ani jeden z tych punktów nie da się utrzymać. Punktom a) i b) zaprzeczają ponadto wielokrotne wypowiedzi publicystów i polityków emigracyjnych, że „we wspólnej sprawie dotyczącej zachodniej granicy Polski idziemy łącznie z komunistami”. Uzasadnianie punktu c) obniżyłoby w ogóle poziom dyskusji. Wniosek zatem może być tylko jeden, że komuniści nie obawiają się żadnych dla siebie ujemnych skutków z uznania granicy przez mocarstwa zachodnie, a w szczególności spójni PRL z blokiem sowieckim. I wydaje się, że mają w tym swoje racje. Racje bloku komunistycznego, których z braku miejsca nie będę tu rozwijał. Tym samym wypada uznać, że ten aspekt w sporze polsko-niemieckim, który prof. Bocheński traktuje jako istotny odpada, a co najmniej jego „psychologiczna ważność” staje się wątpliwa.

W całej sprawie ważny jest inny moment psychologiczny, którym posługują się komuniści, a mianowicie pogłębianie sporu polsko-niemieckiego pod wszelkim emocjonalnym pretekstem, aby nie dopuścić nie tylko do porozumienia polsko-niemieckiego, ale nawet do rozmów polsko-niemieckich na ten temat. Ten psychologiczny moment jest wyzyskiwany i podsycany w formie: „zagrożenia Polski przez rewizjonizm niemiecki”, w jednostronnym interesie bloku komunistycznego. Nie ma on nic wspólnego z interesami Polski, bez względu na to, czy negujemy jej niezależny byt państwowy w tej chwili, jak ja to czynię, czy uznajemy PRL za „państwo polskie” o własnych, zewnętrznych granicach państwowych, jak to czyni większość Polaków. Gdyż nawet zakładając istnienie suwerennego państwa polskiego w postaci PRL, musieliśmy przy obiektywnej ocenie sytuacji dojść do przekonania, że nic mu ze strony Niemiec w tej chwili nie zagraża, i nawet zagrażać nie może.

Retrospektywny rzut oka na historię poucza nas, że nie istniał chyba taki moment w dziejach, żeby ktoś nie rościł pretensji czy to do korony, sukcesji, terytorium, czy jakiejś własności innego państwa. „Rewizjoniści” byli zawsze i wszędzie. Sam fakt istnienia tendencji „rewizjonistycznych” nie przesądza o zagrożeniu. Nie stwarza takiego zagrożenia nawet formalne poparcie „rewizjonistów” przez sąsiednie państwo i rząd, nie uznający istniejącego status quo. W r. 1938 pod presją ultimatum polskiego nawiązane zostały dyplomatyczne stosunki z Republiką Litewską, które w krótkim czasie przeistoczyły się w stosunki przyjazne. Uważano to powszechnie za duży sukces rządu polskiego, mimo iż do układu między państwowego włączona została uroczysta deklaracja Litwy, że nie zrzeka się ona pretensji do Wilna. W ten sposób rząd Litewski popierał „rewizjonizm” całego w istocie narodu litewskiego. Argument, że mała Litwa była zbyt słaba, aby zagrażać o tyle silniejszej od niej Polsce, jest niewątpliwie argumentem słusznym. Dzisiejsza NRF jest bez porównania słabsza od bloku komunistycznego, niż ówczesna Litwa od ówczesnej Polski.

Zagrożenie rzeczywiste stwarza dopiero wola użycia siły, celem dokonania „rewizji”, łącznie z faktycznym istnieniem takiej siły. Ani tej woli, ani tej siły NRF nie posiada. Polityka NRF w stosunku do wschodnich sąsiadów znajduje się *de facto* pod kuratelą Stanów Zjednoczonych, a nieliczna armia niemiecka pod kuratelą NATO. Nie istnieje możliwość wystąpienia Niemiec nie tylko zbrojnego, ale nawet politycznego bez uzgodnienia z mocarstwami zachodnimi. Niemcy w tej chwili nie są w stanie nawet planować samodzielnej obrony Berlina zachodniego, jakże w ich położeniu mogliby planować atak na Odrę i Nysę. W zaistniałym obecnie układzie sił twierdzenie, że 300-tysięczną armią niemiecką, nawet gdyby została podporządkowana całkowicie „rewizjonistom”, może zagrażać 20-milionowej armii bloku komunistycznego, zakrawa na groteskę.

Jak wiadomo komuniści, zarówno w postępowaniu na wewnątrz jak i na zewnątrz, nie wahają się posługiwać sloganami groteskowymi. Wystarczy przypomnieć, że w grudniu 1939 r. twierdzili, że „zagraża im Finlandia”, której cała ludność wynosiła zaledwie tyle co ilość mieszkańców jednej Moskwy, i że to Finlandia napadła na Związek Radziecki, a nie odwrotnie. W tej chwili Sowiety dążą do opanowania całych Niemiec „drogą pokojową” (tatyka „salami”); nikogo zatem kto zna ich metody nie powinno dziwić, że w tej chwili twierdzą, że to Niemcy zagrażają państwu „bloku socjalistycznego”. Dziwić się natomiast można, jak Polacy najlepiej obeznani z tymi metodami sowieckimi, zamiast dekonspirować je przed całym światem, mogą im jeszcze udzielać kredytu i poparcia.

Słyszysz się, że w przyszłości Niemcy mogą na nas napaść, bo napadały już uprzednio. Bardzo możliwe. W przyszłości wszystko może się stać, albo nie stać, powtórzyć, albo nie powtórzyć. W przyszłości też może być każda umowa polityczna, lub formalne uznanie jakiejś granicy, dotrzymane, albo podeptane w strzępy jak niezliczona ilość umów i paktów międzynarodowych. Sowiety np. ze wszystkich umów, które zawarły od czasu swego istnienia, dochowały zaledwie 5%, a 95% podeptały. Ale nie chodzi przecie o to, aby własną i cudzą uwagę absorbować przeciwko komuś, kto w nieokreślonym terminie przyszłości może być, albo nie być, agresorem, tylko raczej przeciwko temu kto nim jest dziś i z całą pewnością będzie jutro. Że komunistom zależy właśnie na odwróceniu tej uwagi jest rzeczą, naturalnie, zrozumiałą.

Prof. Bocheński wypowiedział jakże rozumną myśl w punkcie 3 swego listu. „Sprawa granic wydaje mi się tracić na ostrości w miarę, jak zbliża się scalenie Europy. Jeśli uda się nam wprowadzić w niej taki porządek, że każdy człowiek będzie mógł wszędzie żyć w wolności i rozwijać swoją kulturę, to problem przemieszania granic stanie się rzeczą całkiem drugorzędną. Za nieuzasadnione uważam więc podniecanie się sprawą granic zarówno u Niemców, jak i u Polaków”.

Podzielając w zupełności ten pogląd, tym bardziej wydaje się, że zarówno z moralnych jak taktycznych względów należałoby kierować całą energię mocarstw w tej chwili nie tyle na uznanie tej czy innej linii granicznej obecnego *status quo*, ile na uznanie wreszcie nagłości tego wspólnego dla wszystkich, nadrzędnego niebezpieczeństwa, które wisi nad nami od lat w postaci zagrożenia komunistycznego, a które jeżeli nie zostanie usunięte w porę, to nadzieja na scalenie Europy może okazać się tylko piękną mrzonką, nieureczywistnioną nigdy. Niestety, prymatu tej aktualnie wspólnej sprawy, ani ci Polacy ani ci Niemcy, których zaślepiła spór o „Odrę-Nysę”, zdają się nie dostrzegać, czy też nie uznawać.

Józef MACKIEWICZ

East Malvern, Australia, 14 maja 1962

Szanowny Panie Redaktorze!

Warszawski miesięcznik „Hejnał” z kwietnia br. zamieścił na str. 15 notatkę oraz przedruk fragmentu jednego z moich artykułów. Notatka ta, zatytułowana „Młody Pan Lech Paszkowski”, brzmi: „Młody polski socjolog Lech Paszkowski, kierownik rządowego zespołu badań naukowych nad problemami adaptacji imigrantów w Australii i autor studium „Polacy w Australii i Oceanii, 1790-1940”, pisze w artykule rozesłanym do wielu pism polonijnych...”

W związku z tym byłbym Panu bardzo wdzięczny za opublikowanie mojego wyjaśnienia: — Nie jestem socjologiem, nie jestem kierownikiem żadnego rządowego zespołu, ani nie zajmowałem się badaniami nad problemami adaptacji imigrantów w Australii. Prawdopodobnie pomyłono mnie z kim innym. Natomiast jestem istotnie autorem książki „Polacy w Australii i Oceanii, 1790-1940”, prowadziłem i prowadzę badania nad historią emigracji polskiej w Australii, ale jest to moja inicjatywa całkowicie prywatna.

Zamieszczony pod wyżej wspomnianą notatką fragment jest przedrukiem mojego artykułu „O książkach i czytelnikach”. Artykuł ten napisałem na zamówienie p. Romana Gronowskiego, redaktora „Tygodnika Katolickiego”, którego jestem stałym współpracownikiem. Ukazał się on w „Tygodniku Katolickim” (Melbourne), dnia 28 listopada 1961, na str. 9. Do żadnego innego pisma, ani w maszynopisie ani w formie drukowanej, artykułu tego nie wysyłałem i o ile mi wiadomo nigdzie nie był przedrukowany.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Lech PASZKOWSKI

Londyn, 23 kwietnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem przeczytałem w marcowej „Kulturze” artykuł p. Kazimierza Okulicza o „cywilizacji jagiellońskiej”, zaskoczył mnie jednak jeden urywek, który przytaczam poniżej.

„Polska 'pańskość' i szlacheckość zbyt jaskrawo kontrastowały z masywnym tłem ludności tych obszarów. Ani ta społeczno-obyczajowa „pańskość”, ani wyłączność lub przewaga polskiej kultury ostać się tam nie mogły. Młode i niewyżyte nacjonalizmy naszych historycznych pobratymców obróciły się w końcu XIX wieku przeciwko nam, przeciwko wspólnocie jagiellońskiej”.

Wydaje mi się, że tego rodzaju ocena sytuacji jest jednostronna.

Przeciwko wspólnocie jagiellońskiej obrócił się w pierwszym rządzie duch czasu. Na koniec XIX wieku przypada w tej części Europy początek rozkwitu nacjonalizmów obudzonych przez rewolucję francuską i w grę wchodzi tu nie tylko młode i niewyżyte nacjonalizmy naszych pobratymców,

ale w pierwszym rządzie nacjonalizm polski, który zaczyna myśleć nie kategoriami wielonarodowej Polski obejmującej Koronę i Litwę, ale wąskimi kategoriami Polski etnicznej. Ten polski (koronny) nacjonalizm nie tylko pragnął jak najszybszej polonizacji, może nawet pod presją, pobratymców, którzy, jego zdaniem, zamieszkiwali terytorium z polską przewagą etniczną, ale również obrócił się on przeciwko Żydom i tak powstał polski antysemityzm. Ten polski nacjonalizm odrzucał i zwalczał ideę jagiellońską. Ma się rozumieć państwa zaborcze włożyły dużo wysiłku w popieranie nacjonalizmów i rozbięcie wspólnoty jagiellońskiej. Duch czasu im dopomógł. Ostatnim dokonaniem wspólnoty jagiellońskiej było powstanie styczniowe.

Wysiłki Piłsudskiego w celu wznowienia wspólnoty jagiellońskiej spełzły na niczym. Złożyło się na to wiele przyczyn. Między innymi Piłsudski lekceważył propagandę i właściwie tak Polacy jak i nie-Polacy nie byli zorientowani w jego zamiarach. Nawet Polacy litewscy nie rozumieli o co Piłsudskiemu chodziło. Najlepsze pióra służyły „Polsce dla Polaków”, a wspólnotę jagiellońską wydrwiwały. I tak ostatnia szansa wielkości została stracona, Polacy i pobratymcy dobrowolnie skazali się na małość.

A jednak istniały jeszcze pewne cechy wspólnoty jagiellońskiej. Cerkwie prawosławna opierała się na polskiej państwowości i duchowni prawosławni zachowali się lojalnie w okresie wojennej próby. Na Wileńszczyźnie z wyjątkiem biur obsadzonych przez napływowy element obowiązywała dwujęzyczność. W 39 roku na słupach telegraficznych wisiały karteczki z napisem: *Stalin sieręć Mołat studi a Polszcz jak była tak budzić*. Warszawiacy wysłani jako instruktorzy A.K. na Wileńszczyznę lub Nowogródczynę nie mogli zrozumieć tego, że chociaż w służbie mówiło się po polsku, to jednak większość tamtejszych żołnierzy A.K. rozmawiała między sobą po białorusku. A jak ogromny procent ludzi, którzy w domu nie mówili po polsku, walczył w szeregach 2 Korpusu, mogą wiedzieć tylko ci, którzy wśród nich przebywali. Statystyki tego nie podają, temat zbyt wstydlivy, a szkoda, bo mnie się wydaje, że to jest powód do dumy. Jałta zadała ostatni cios wspólnocie jagiellońskiej.

Prawdą jest, że na terytorium byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego „pańskość” była polska, ale polskość wcale nie ograniczała się do „pańskości”. Wręcz przeciwnie, polskość schodziła w dół społeczne przez zubożala szlachtę zagrodową i przez ubogich pobratymców rzymsko-katolickiego wyznania. Nie było polskiej wyłączności, polskość przechodziła i zlewała się z nie-polskością. Nie było żadnej wyraźnej granicy, a istniała symbioza, która powstała na skutek wieków współżycia. Tysiące ludzi ubogich po polsku modliło się lub rozmawiało od święta. Gdyby istniała wyłączność polskiej kultury i odizolowana „pańskość”, jakże mógłby „pan” Skirmuntt zostać prezesem Białoruskiego Komitetu Narodowego, jeżeli posłużyć się przykładem podanym przez p. Kazimierza Okulicza.

Pozwolę sobie na dygresję bardziej osobistą. Ojciec mój zatrudniał kilkunastu parobków. Wszyscy oni co do jednego mówili w domu po białorusku, a ich znajomość polskiego była dość ograniczona. Niektórzy z nich byli prawosławni, ale większość była katolikami. Nosili nazwiska rozmaite, od rdzennie polskich jak Dziewnowski do typowo białoruskich, jak Szakoła. Mimo to jednak wszyscy, z wyjątkiem jednego, są obecnie na Ziemiach Odzyskanych. Zjawisko to można częściowo uzasadnić względami ekonomicznymi, ale zasadniczo świadczy ono, że polskość sięgała nawet do najniższej warstwy społecznej.

Istniała poważna przewaga polskiej kultury, przewaga całkiem naturalna. Kultura polska przyciągała pobratymców i niektórzy nacjonalisci jak na przykład Litwini musieli się uciekać do metod administracyjnych, żeby tę atrakcyjność przełamać. Właśnie ta przewaga kulturalna pozwalała na



danie pobratymcom dużych koncesji terytorialnych i ekonomicznych bez obawy o utratę prestiżu polskości w nowej wspólnocie jagiellońskiej, która mogła powstać po pierwszej wojnie światowej. Znaczna większość Polaków od czasów pierwszej wojny światowej wspólnotą jagiellońską nie interesowała się. Zwyciężyło hasło „Polska dla Polaków”. Obecnie marzenia nacjonalistów spełniły się, jest Polska etniczna, ale też i satelicka. Biorąc pod uwagę trudne położenie geograficzne ilość rdzennych Polaków jest tak mała, że każda Polska etniczna będzie równocześnie Polską satelicką. Pobratymcy wyszli na tym jeszcze gorzej, bo nawet nie są satelitami.

I tak Dmowski siedł z duchem czasu, zwyciężył historycznie, opanował umysły Polaków, ale jego sława maleje. Piłsudski pozostał w odosobnieniu, przegrał walkę z czasem, ale rośnie jego legenda jako tego, który, po raz ostatni może, miał wizję wielkości i próbował wprowadzić ją w życie.

*Tertium non datur.* Albo narodowa małość na takim lub innym terytorium, w sferze Niemiec lub Rosji, albo ponadnarodowa wielkość. Polska dwudziestolecia, narodowa z przymieszką jagiellońszczyzny, jako skutek dwóch sprzecznych koncepcji była tworem sztucznym i nie mogła się utrzymać. Z przykrością należy przyznać, że Mołotow chyba miał rację określając Polskę jako *urodliwie diettiszcze wiersalskawo dogowora*.

Po uporczywych staraniach trwających kilka wieków, dopiero w roku 1945 Rosja zdołała ostatecznie odebrać Polakom ideę jednoczenia terenów położonych między Rosją i Niemcami i zastosowała ją sama w swoistej formie. To czego nie zdołały dokonać zaślepione nacjonalizmy narodów dawnej Rzeczypospolitej, a w szczególności nacjonalizm polski, bo paraliżował ośrodek centralny, zostało doprowadzone do końca siłą zewnętrzną. Polska „pańskość” i polska przewaga kulturalna odegrały w tym procesie małą rolę, *if any*.

Pozostają z szacunkiem.

Zbigniew Sebastian SIEMASZKO

Chicago, 26.5.1962 r.

P. Marian Romeyko w nrze 12/170 „Kultury” z miesiąca grudnia 1961 r. w artykule „Jeszcze o pierwszych dniach Rzeczypospolitej” wspomina o planach Józefa Piłsudskiego z lata 1917 roku przedostania się poprzez front niemiecko-rosyjski do Rosji, gdzie wówczas formowały się polskie oddziały wojskowe z rozkładającej się armii rosyjskiej.

Potwierdzenie tego słyszałem z ust samego Piłsudskiego w roku 1923, w czasie odczytu, jaki wygłosił w Galerii Luksemburga przy ul. Senatorskiej w Warszawie. Zaniechanie tego planu tłumaczył wówczas względami na opinię swoich żołnierzy, którzy nie pogodziliby się z faktem opuszczenia ich przez komendanta w chwili, gdy oni szli za druty, do obozów internowanych, za odmowę złożenia przysięgi.

Piłsudski zatem dobrowolnie i świadomie przełożył pobyt w więzieniu niemieckim w Magdeburgu nad udział w formowaniu armii polskiej w Rosji porewolucyjnej. Wówczas, w drugiej połowie roku 1917, żołnierze rosyjscy pod wpływem agitacji bolszewickiej porzucali front, spiesząc się do domu, aby dzielić upragnioną ziemię. Całe uzbrojenie, artyleria, amunicja, tabory zapasy żywności pozostały na froncie bez niczyjej opieki. Żołnierze zabierali

ze sobą jedynie karabiny. Ilość Polaków w armiach rosyjskich obliczano wówczas na 800.000. Nie trudno sobie wyobrazić, co za silne armie polskie mogłyby powstać na froncie rosyjsko-niemieckim, gdyby panowała wśród Polaków zgoda na ich tworzenie. Tymczasem zamiast zgody powstało skłócenie i zwolennicy Piłsudskiego znaleźli się w obozie przeciwnym formowaniu armii polskiej w Rosji. Odbiło się to tragicznie na losach tej armii.

Dopiero pod koniec roku 1917, po październikowej rewolucji bolszewickiej, otworzyły się oczy zwolenników Piłsudskiego, ale było już za późno. Stracono bezpowrotnie cenne półrocze od wiosny do jesieni 1917 roku, między pierwszą, a drugą rewolucjami rosyjskimi. Z nastaniem rządów bolszewickich ustały możliwości wydzielania Polaków z szeregów rosyjskich. Na nic się nie zdały przedostawania się przez front emisariuszy P.O.W. Zamiast kilkuset tysięcy armii, w trzech korpusach polskich znalazło się raptem parę dziesiątków tysięcy, które odegrały minimalną rolę. Korpus gen. Stankiewicza został rozbity przez Niemców pod Kaniowem po połączeniu się z brygadą gen. Hallera, która na wieść o zawarciu przez Niemców i bolszewików pokoju brzeskiego przebiła się przez front na stronę rosyjską. Korpus gen. Dowbór-Muśnickiego za namową Rady Regencyjnej złożył broń wobec Niemców. Korpus Michaelisa nigdy nie został ostatecznie sformowany.

Aż dziw bierze, że taki realizator śmiałych pomysłów, jakim był Józef Piłsudski, w owym momencie zawiódł i zaniechał możliwości stworzenia kilkuset tysięcy armii polskiej w Rosji, gdy możliwość taka przestała istnieć po stronie austriacko-niemieckiej. I to ze względów błahych, oportunistycznych, nie narażania się opinii swoich żołnierzy. O ileż łatwiej byłoby Piłsudskiemu realizować swe zamierzenia odbudowy unii polskolitewsko-rosyjskiej w granicach przedrozbiorowych, gdyby wojska polskie stały wzdłuż Dniepru od północy do południa, bo przecież na linii Dniepru formowały się korpusy polskie.

Meżów stanu należy oceniać nie tylko według tego czego dokonali, ale także i według tego czego dokonać zaniedbali.

Jan O. SOKOŁOWSKI

Londyn, 18.V.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Na wstępie muszę stwierdzić, że w recenzji o mojej książce: „Byłem szefem sztabu w obronie Warszawy w 1939 roku” ogłoszonej w „Kulturze” Nr 5/175 z maja br. Pan Pobóg-Malinowski wypowiedział więcej przykrych uwag o mnie samym aniżeli krytycznych na temat faktów, które w niej podałem. Przechodzę nad tym, dziwnym że stanowiska zasad krytyki, wypadkiem do porządku, ale myślę, że mam nie tylko prawo ale i obowiązek w imię dobrych obyczajów na tym polu, zastrzec się przeciw opinii pana Pobóg-Malinowskiego o mojej książce, że jest „szkodliwym balastem”, którą... „staje się mimo woli zaśmiecaniem naszej najnowszej historii”, a bardziej jeszcze przeciw tej, że książka moja, jak to stwierdził łaskawie: „napisana jest żywo i barwnie i na pewno nie znudzi nikogo”. Stawia mi

p. Pobóg-Malinowski także najcięższy zarzut, że w mojej relacji o Stefanie Starzyńskim wyrządziłem mu krzywdę co wyjaśniam osobno.

Nie analizując szerzej, czy głębiej, obu podniesionych tu przeze mnie wypowiedzi p. Pobóg-Malinowskiego, pragnąłbym jednak stwierdzić, że mają one dla mnie posmak osobistej obelgi, bo książka, „niewielka” sobie, jest relacją z moich osobistych przeżyć na stanowisku szefa sztabu obrony Warszawy, których doznania nie życzyłbym p. Pobóg-Malinowskiemu. Zapewniam go również i wszystkich, którzy czytali i będą czytać moją o nich książkę i krytykę jej w recenzji p. Pobóg-Malinowskiego, że wspomnień moich o tej tragedii naszej nie pisałem dla rozweselenia znudzonych głupców i tych, którzy przeżycia moje, a także i Stefana Starzyńskiego, w walce obrony Warszawy, uważają za śmiecie w historii polskiej. I myślę, że takie kwalifikowanie moich przeżyć i opisu tych, w których widziałem Stefana Starzyńskiego w bombardowanej i burzonej przez Niemców Warszawie — nie jest godne historyka tej miary, jaką ma w opinii polskiej.

Co do zarzutów podniesionych przez p. Pobóg-Malinowskiego na temat faktów oraz zarzutu krzywdy wyrządzonej Stefanowi Starzyńskiemu odpowiadam i wyjaśniam następująco.

Pisze p. Pobóg-Malinowski, że ja „dziwię się” iż obronę Warszawy powierzono generałowi Czumie. Jaktó? Czuma? Komendant Straży Granicznej? Jestem pewny, że gdy p. Pobóg-Malinowski pisał te słowa, to ja, jeden jedyny z kilkudziesięciu tysięcznej rzeszy obrońców Warszawy, grzebałem samotnie w tym czasie mego generała w dalekiej Walii (generał zmarł 7 kwietnia br.). Generała, z którym w największej harmonii współpracowałem przez całą obronę bez starcia bez zgrzytu, p. Pobóg-Malinowski jako historyk wprawia czytelnikom, że ja byłem generałowi Czumie przeciwny. P. Pobóg-Malinowski historyk, obcina część mego zdania, by zmienić sens o 180 stopni, bo pytanie moje w mej książeczce strona 10 brzmiało i brzmi: *Panie Generale! Dlaczego to Pan General, jako komendant Straży Granicznej został, zaszczycony tym zadaniem, a nie generał Trojanowski, dowódca Korpusu Warszawskiego?* Czyżby pan historyk nie rozumiał sensu mego pytania, że mnie chodziło nie o osoby, lecz o sprawność i logikę organizacyjną? Czyżby p. Pobóg-Malinowskiemu, jako historykowi, wolno w ten sposób obcinać zdania?

P. Pobóg-Malinowski bierze w obronę gen. Trojanowskiego przed moim atakiem, że generał miał dużo pracy, że był przemęczony itp. Ja to dobrze widziałem i wiedziałem, ale czy to upoważniało gen. Trojanowskiego do opuszczenia swego miejsca postoju, nie zawiadamiając o tym generała Czumę? I czy nieoczekiwany wyjazd gen. Trojanowskiego zburzył system zaopatrzeniowy? Czyśmy musieli rozwalać bramę fortów i magazynów dynamitem? P. Pobóg-Malinowski nie odpowiada na te pytania. Tylko w oparciu o Polskie Siły Zbrojne stwierdza autorytatywnie... Generał Trojanowski „wyjechał 7 czy 8 września z Warszawy do Siennicy, a później dalej na wschód”. Koniec. Kropka. Można i tak! Ja nie historyk.

Zgadzam się z p. Pobogiem-Malinowskim, że sprawę operacyjnego zagadnienia czy uderzyć na wschód czy na zachód jest zbyt skomplikowana, by ją tu poruszać. To też ją pomijam.

Zając się jednak muszę sprawą krzywdy Starzyńskiego, jaką, ponoć mimo woli, Starzyńskiemu wyrządziłem. Okazuje się, że to daty sprawiają Starzyńskiemu krzywdę. Chodzi o to, czy Starzyński objął sprawę cywilną Warszawy 5 czy 8 września. Otóż przedstawiam dwa dowody w tej sprawie. Pierwszy — to list pułkownika Kowalewskiego, (plk. Kowalewski jest w Londynie). Pisze plk Kowalewski: „Sprawę jaką pan poruszył w swoim liście przypominam sobie doskonale. Odwiedziłem pana i Czumę 5 września w sztabie Dowództwa Obrony w Alejach Ujazdowskich pierwsze piętro...

Było wtedy tak, że Starzyński był zmobilizowany, ja zaś nie byłem ani zmobilizowany ani powołany, tylko chodziłem na ochotnika. Obaj, tj. Starzyński i Kowalewski, pętałyśmy się po korytarzach w Sztabie... gdzie Malinowski sprawę Starzyńskiego załatwił”. To jest oddanie Starzyńskiego pod komendę Czumy. A więc i ja i Kowalewski, obaj niezależnie stwierdzamy że Starzyński przybył do nas 5 września i że z rąk generała otrzymał pisemny rozkaz mianujący go komisarzem cywilnym Warszawy, a ja to pismo — rozkaz osobiście zredagowałem.

A drugi dowód znajduje się w mej książeczce w ustępie „Paniczne Przemówienie Radiowe” na stronie 24. Przypominam, że panika ta rozgrywa się w nocy z 6 na 7 i pisząc o tej panice wspominam (wiersz 18-ty od góry): „Szczęściem w nieszczęściu miasto nieszczęsne ma już z powrotem swego prezydenta, komisarza cywilnego, majora rez. Starzyńskiego, tj. w dniu 6 na 7 września.

A więc 5 przybywa do nas, 6-go nie wiem i nie pamiętam co robił, 7-go, po panice porządkuje Warszawę, a 8-go września porządkuje i ustala prawno-formalne przepisy związane z jego nominacją, by je zalegalizować — organizuje swój aparat, rozprzężony ucieczką Jaroszewicza”. Oto ścisły porządek i bieg spraw jak go pamiętam. A pan Pawłowicz w swej relacji jest bardzo nieścisły, gdy stwierdza, (cytuje za p. Pobogiem-Malinowskim str. 133 „Kultury”): „Ze po opuszczeniu Warszawy przez Rząd i organy administracji publicznej, a więc dopiero „6 września” Starzyński decyduje się ratować sytuację”. Jest to absolutnie nieprawdziwe, bo Rząd opuścił Warszawę nie 6 września, a 4 września, wywołując tym pierwszą wielką panikę. Dwudniowa omyłka w dacie dla historyka tej miary jak p. Pobóg-Malinowski, piszę to bez zółci, jest bardzo wielka bym mu ja, jako pamiętnikarz, mógł wybaczyć.

Przystępuję do ostatniej sprawy niezmiernie przykrej, bo ni mniej ni więcej p. Pobóg-Malinowski zarzuca mi „zmyślenie” by nie użyć słowa „błagę” czy też, „klamstwo”. Oto ponoć, jak najbliżej, a więc i krzywdząco dla Starzyńskiego, opisuję jego rzekome wahania i jego rzekome „postanowienie” ukrycia się, by zaleźnie od potrzeby pozostać pod ziemią bądź wyjechać za granicę...

P. Pobóg-Malinowski pisze, jakoby prosił pułkownika Tomaszewskiego, by mu ułatwić dojście do jego mieszkania, gdzieś w obrębie pozycji, by mógł zabrać trochę rzeczy i pewne dokumenty...

Wszystko to brzmi wręcz nieprawdopodobnie, pisze p. Pobóg-Malinowski. Znany, pisze p. Pobóg-Malinowski, całej Warszawie i uwielbiany przez nią prezydent, miałby szukać pomocy u plk. Tomaszewskiego? Miałby z przepustką w ręku legitymować się komuś w drodze do swego mieszkania itd...

Dość lekceważąco wyraża się p. Pobóg-Malinowski o mnie, jako o szefie sztabu, pisząc, że uwielbiany prezydent miałby szukać pomocy plk. T. A pytam się p. Poboga-Malinowskiego, gdzie miał jej szukać, a policjanta na rogu ulicy? Wydaje mi się, że p. Pobóg-Malinowski nie orientuje się w pełni co to jest szef sztabu i jakie są jego możliwości i jego kompetencje.

Więc czyż to dziwne i czy zasługuje na lekceważenie, że z czasem między szefem sztabu a komisarzem cywilnym wytworzył się jak najserdeczniejszy stosunek i najściślejsza łączność, a także i intymna, gdy szło o sprawę polityczną, jak np. próby tworzenia rządu po 17 września, czy o przedwczesną kapitulację.

A czy to nie było zamiennym pociągnięciem generała Rómmla, że pierwsze dwa ordery Virtuti Militari w obronie Warszawy otrzymali szef sztabu i komisarz cywilny?

Czyż jest więc w tym coś dziwnego, że Starzyński zwrócił się o pomoc właśnie do mnie, do szefa sztabu, z którym był stale w jak najściślejszej styczności? Czyż miałem go puścić samego poprzez labirynt barykad, rowów okopów i drutów kolczastych, by wyleciał w powietrze na pierwszej z brzegu minie talerzowej „jako znany całej Warszawie i uwielbiany prezydent”.

Więc na litość boską, jakież ja miałbym cel, by to wszystko zmyślać, po co miałaby mi służyć aż taka obluda i kręctwo? Po co? Dziś, z odległości lat, widzę tak, jak widziałem wówczas. Starzyński miał rację, czuł każdym swym nerwem co go czeka, jego wielka inteligencja, jego zdolność widzenia, przenikały zasłonę przyszłości i chciał się „ukryć” nie żeby uciec, lecz aby walczyć z podziemią, czy z Francji, czy z piekła. Wyobraźmy sobie taki cud, że udało się Starzyńskiemu ukryć i że zjawił się na terenie Francji. Ja nie próbuję nawet jednym słowem zaskicować, jak innym byłby bieg naszej historii na emigracji, gdyby ten tytan woli, energii i odwagi, ta skoncentrowana siła moralna, ten ogromny autorytet zjawiał się tu, wśród skłóconych emigrantów. Pisząc o tym w 1940 roku na stronie 17 mej książeczki podaję: „...Załowałem i żałuję, że opatrność kazała mu być tylko komisarzem cywilnym Warszawy”. Chyba to było i jest w największej skali moim uznaniem dla jego osobowości.

Gdy w 1942 roku Japończycy otoczyli gen. Mac Arthura w twierdzy Corregidor na Filipinach, prezydent Roosevelt dał mu rozkaz opuszczenia twierdzy. Precedens nieznanym w dziejach wojennych. Wówczas to, a było to prawdopodobnie jeszcze w Murnau, na jednym z niekończących się spacerów z generałem Kutrzebą, gdy doszła nas wieść o śmierci Starzyńskiego, powiedziałem: „W przyszłości, Panie Generale, musimy się zawsze zastanowić co jest lepsze, czy człowiek, ale żywy, czy też bohater, ale półtora metra pod ziemią”. Na to moje stwierdzenie, generał Kutrzeba, jeden z najbardziej wymownych ludzi, jakiego znałem, zmilknął i nigdy na ten temat ze mną nie rozmawiał.

Powiedział Napoleon „Ludzie są niczym, człowiek jest wszystkim”. Myśmy takiego męża mieli i zrobiliśmy z niego bohaterskiego „burmistrza” i zwiąaliśmy go tym burmistrzem aż do śmierci w ponurym bunkrze niemieckim.

Szukając dalszych argumentów ku mnie skierowanych, powiada p. Pobóg-Malinowski prawie z żalem. „Zaglądam do książki gen. Kutrzeby, nie ma u niego żadnej o tym wzmianki”. A dla mnie brak tej wzmianki jest znamienny, jest dla mnie dowodem, że tragedia Starzyńskiego, to to średnio-wieczne nieopatrne związanie go z „burmistrzem”. Interwencja pani Ireny Wirszylło, to już było za mało i za późno, już się był zaciął w swej decyzji „Wytwram do końca”. Tu mógł pomóc tylko prezydent Rzeczypospolitej, względnie Naczelny Wódz. Ale gdzie ich było szukać w tej otchłani... Więc mamy jeszcze jednego bohatera półtora metra pod ziemią.

No i w końcu relacja gen. Tokarzewskiego, pisana w 1943 roku, czyli o trzy lata młodszą od mojej. Z relacji tej wynika, że generał Tokarzewski zwracał się w dniu 27 września do Starzyńskiego, by wraz z nim przeszedł do pracy podziemnej. Starzyński odmawia, motywując „że musi pozostać jawnie na swoim stanowisku” (czyż nie jest to odgłos gen. Kutrzeby „że burmistrz nie może być nieobecny”).

Ja w pełni wierzę gen. Tokarzewskiemu, że tak było i jestem nawet w stanie określić w przybliżeniu czas tej rozmowy, odbyć się ona mogła późno wieczorem 27 września, po rozmowie Starzyńskiego z gen. Kutrzebą. Muszę tu zaznaczyć, że określenia dzień i noc, gdy się pracuje i mieszka razem w schronie, przy stałym oświetleniu elektrycznym, jest bardzo względne.

Oto pamiętam, jak w mej obecności, w moim schronie gen. Tokarzewski proponuje Porwitowi objęcie szefostwa sztabu w podziemiach, Porwit odmawia.

Pamiętam, jak do mego schrony major Kruk-Strzelecki znosi walizy z milionem, czy dwoma milionami złotych. Nie liczyłem.

Pamiętam jak do mego schronu wchodzi typ raczej do „brodiagi” niż do generała podobny, a okazało się, że to był generał Tokarzewski, któremu wspinała jego czuprynę maszynką do zera wystrzyżono.

Mógłbym pomnożyć to „pamiętam” parokrotnie, ale nie jestem w stanie wszystkich zdarzeń określić, kiedy to było. Czy jeszcze 26, czy już 27; czy było to rano, czy był to wieczór; nocą, czy dniem, przy tym natłoku, stałym ruchu, w ciasnotach niewielkiego schronu.

Kończąc! Przed paru laty odwiedził mnie mój syn z Polski, były żołnierz A.K. Otóż mówił mi syn, że tuż przed odlotem pułkownik Porwit powiedział mu: „Zamelduj Pan Ojcu, że dzisiejsza młodzież wojskowa wprost namiętnie studiuje kampanię 39 roku, chcąc dotrzeć prawdy tej niezmierniejącej kłeski”.

Może ta książeczka, tak schlastana przez zawodowego historyka, pomoże im odsłonić jakiś rąbek prawdy.

Tadeusz TOMASZEWSKI

6.6.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu wystąpienia Pana mgr. Görlicha na łamach „Kultury” numer 6/176 chcę zwrócić się do Redakcji „Kultury” oraz do wyżej wymienionego z następującą prośbą.

Jeśli p. mgr. Görlich jest aż tak dobrze zorientowany w stanowisku polskiej opinii publicznej odnośnie problemu polsko-niemieckiego, że wysuwa przeciwko p. Mieroszowskiemu zarzuty, że jego wystąpienia i poglądy są niezgodne ze stanowiskiem polskiej opinii publicznej, a posuwa się nawet do oskarżeń o „nacionalizm”, w takim razie może p. mgr. Görlich będzie łaskaw oświecić p. Mieroszewskiego oraz czytelników „Kultury” (zarówno emigracyjnych jak i krajowych) o tym co myśli polska i „nie nacjonalistyczna” opinia publiczna w sprawie problemu polsko-niemieckiego. Do ewentualnego wystąpienia p. Görlicha przywiązuję wielkie znaczenie, gdyż dotychczas jeszcze ani na forum publicznym, ani też prywatnym nie spotkałem się z dyskusją na ten temat między Polakami, a wszystkie opisy jakie znam od najróżniejszych środowisk emigracyjnych lub krajowych są w zasadzie zgodne ze stanowiskiem p. Mieroszewskiego, toteż mam nadzieję, że wystąpienie p. Görlicha może być dla nas „bezcennym wkładem” w dzieło poznawania samego siebie.

Łącząc wyrazy szacunku.

(Nazwisko osoby z kraju, znane Redakcji)

## KOMUNIKAT

Zarząd „Polonia Technica, Inc.”, Stowarzyszenia Polskich Inżynierów i Techników w Stanach Zjednoczonych, uchwalili, przyznać na rok akademicki 1962/63 dwa stypendia dla Polaków, studiujących nauki techniczne w jednym z krajów Europy Zachodniej, w wysokości \$ 300 (trzysta dolarów) każde, płatne w ratach miesięcznych lub kwartalnych, do uznania Zarządu „Polonia Technica, Inc.”.

Zainteresowani studenci proszeni są o przesyłanie zgłoszeń w terminie do dnia 15 lipca 1962 r. na adres Stowarzyszenia, jak w nagłówku. Zgłoszenia winny zawierać następujące dane:

1. Imiona i nazwisko kandydata,
2. Adres stałego zamieszkania i telefon,
3. Krótki życiorys z podaniem miejsca i daty urodzenia, studiów szkolnych, daty opuszczenia kraju, etc.,
4. Nazwa wyższej uczelni technicznej, wydziału i przedmiotów obecnych studiów,
5. Opinia wyższej uczelni o kandydacie,
6. Zaświadczenie wyższej uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1962/63.

7. Sytuacja materialna kandydata.

8. Referencje dwóch lub trzech osób, znających kandydata osobiście. W myśl Regulaminu Funduszu Stypendialnego pierwszeństwo przy równych kwalifikacjach przysługiwać będzie bardziej zaawansowanemu w studiach kandydatowi.

Zawiadomienie o przyznaniu stypendium nastąpi 15-go sierpnia 1962 r.

T. Z. ORSKI, skarbnik

Damian WANDYCZ, Prezes

Londyński korespondent „Kultur”: Juliusz MIEROSZEWSKI,  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,

91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 3<sup>e</sup> trimestre 1962

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
<b>AFRYKA POLUDNIOWA:</b> Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
<b>ARGENTYNA:</b> Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
<b>AUSTRALIA:</b> « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
<b>BELGIA:</b> Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
<b>BRAZYLIA:</b> Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo. J. Orciuch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana.		5 dol. am.	9 dol. am.
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
<b>HOLANDIA:</b> T. Szpilecynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
<b>IZRAEL:</b> « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 NF	21 NF	41 NF
<b>KANADA:</b> M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; M. Król, 637 Kent Road, Winnipeg, Man.; « Zwiakowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
<b>MEKSYK:</b> Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
<b>NIEMCY:</b> St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonz-zerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
<b>NORWEGIA:</b> Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
<b>SZWAJCARIA:</b> Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
<b>SZWECJA:</b> Red Norbert Zaba, Kalkskärsgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
<b>U. S. A.:</b> W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 134 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 12932 Shackelford Lane, apt. 6, Garden Grove, Cal. Jan Wojcik, 153 Broad Street, New Britain, Conn.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
<b>W. BRYTANIA:</b> « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
<b>WŁOCHY:</b> Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,  
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

# Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXX

II-gi

## ZESZYT HISTORYCZNY

z a w i e r a j ą c y m. i n.:

Bazyli Rogowski:

*Ostatni okres życia marszałka Rydza-Smigłego*  
*Nieznane listy marszałka Piłsudskiego*

ukáže się — zgodnie z zapowiedzią — w sierpniu bież. roku

Cena ZESZYTU w sprzedaży: 15 NF (22/-; dol. 3)  
w prenumeracie o połowę taniej.



MILOWAN DŻILAS

## ROZMOWY ZE STALINEN

w przekładzie Adama Ciołkosza



WITOLD GOMBROWICZ

## DZIENNIK

T. II